PO VIII PLENUM

ALEKSANDER WAT

WIERSZE Z NOTATNIKA

MAREK HŁASKO

ÓSMY DZIEŃ TYGODNIA

EDWARD BAGRICKI

NOWE PRZEKŁADY

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

VERCORS

ANDRZEJ KIJOWSKI

PRZEGLĄD PRASY

TWÓRCZOŚĆ 11

TWÓRCZOŚĆ

LISTOPAD 1956

11

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK XII LISTOPAD 1956 Nr 11

SPIS TREŚCI

PO VIII PLENUM
Str. 5

Aleksander Wat
WIERSZE Z NOTATNIKA
Str. 10

Marek Hłasko
ÓSMY DZIEŃ TYGODNIA
Str. 23

Krzysztof Kąkolewski
NAD BRZEGIEM NIEBA
Str. 69

Sławomir Mrożek
KRONIKA OBLĘŻONEGO MIASTA
Str. 80

Antoni Isaković
PO RAZ TRZECI
(przełożył *Zygmunt Stoberski*)
Str. 86

Edward Bagricki
HYMN DLA MAJAKOWSKIEGO PTASZNIK SPOTKANIE NOC
(przełożyła *Anna Kamieńska*)
Str. 102

Andrzej Piwowarczyk
TRĄBIENIE DWU SŁONI
Str. 110

Zdzisław Najder
POLSKIE LATA CONRADA
Str. 137

Książka miesiąca
VERCORS — *Zbigniew Bieńkowski*
Str. 153

Wśród książek
„RYMY" MICHAŁA ANIOŁA — *Piotr Grzegorczyk*
Str. 158

„ACHTUNG, HIRSCHE!" — *Jarosław Iwaszkiewicz*
Str. 164

O KROK OD SIENKIEWICZA — *Zbigniew Pędziński*
Str. 167

„LISY W WINNICY" — *Marceli Ranicki*
Str. 170

Na widnokręgu
PRZEGLĄD PRASY — *Andrzej Kijowski*
Str. 176

NIECO FAKTÓW I TRUIZMÓW — *Ziemowit Fedecki*
Str. 180

ZE WSPOMNIEŃ O STANISŁAWIE WYSPIAŃSKIM — *Leon Stępowski*
Str. 186

O IGNACYM FIKU — *Andrzej Chruszczyński*
Str. 190

APOLOGIA ESTETYKI — *Bronisław Wiśniowski*
Str. 194

ANTYWOJENNA KSIĄŻKA ZACHODNIO-NIEMIECKA — *B. R.*
Str. 198

RADZIECKI PRZEGLĄD LITERACKI — *Józef Spinc*
Str. 199

Noty
Str. 205

Książki nadesłane
Str. 214

REDAKTOR NACZELNY:
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewn. 54.
Adres administracji: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Cena numeru zł 7.—. Prenumerata kwartalna zł 21.—, półroczna zł 42.—
Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie Urzędy Pocztowe i listonosze.
nformacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju za zleceniem wysyłki za granicę udziela raz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych przy „Ruchu", Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 8-05-05.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa. Zamówienie 5815/c z dnia 8.10.1956 r.
Nakład 6400 egz. Druk ukończono w listopadzie 1956 r. B-24

PO VIII PLENUM

Pisarze polscy, zgromadzeni w Domu Literatury w Warszawie, podjęli w dniu 23 października następującą rezolucję:

„W trudnych i pięknych dniach walki o nową treść demokracji łączymy się z godnym podziwu ruchem naprawy Rzeczypospolitej, obejmującym cały lud Polski. Społeczeństwo z wielką dojrzałością polityczną wystąpiło w obronie godności i suwerenności narodowej, szacunku dla człowieka i jego praw.

Po latach kłamstw i krzywd nastaje czas nadziei. Zawdzięczamy ją przede wszystkim męstwu i rozumowi robotników i młodzieży. Nasze myśli i uczucia jednoczą się w powszechnym potępieniu bezprawia i w powszechnym dążeniu do wolności i sprawiedliwości społecznej. Otwarta została polska droga do socjalizmu".

*

Wśród wielu gorzkich spustoszeń stało się w minionych latach i to, że z własnej, a także i nie z własnej winy zagubiliśmy rzetelną treść co najmniej kilku pojęć potrzebnych dla życia narodu w sposób tak samo konieczny, w jaki człowiekowi niezbędne jest powietrze. Myślę o słowach: prawda, niepodległość, wolność, sprawiedliwość, autorytet, zaufanie, godność jednostki. Gdy na te słowa pada cień kłamstw, gwałtów i strachu — gaśnie słońce nad narodem i umiera dla żyjących nadzieja.

Nie doszliśmy, na szczęście, do ostatniej granicy klęski. W dniach, od których

krok zaledwie nas dzieli, poczęto przywracać podeptanym słowom ich sens, godziwy społecznie i moralnie. Były to dnie przebudzenia się ogromnej części narodu — i niech mi będzie darowany patos — rzeczywiście ogarnięte oddechem najpiękniejszego patriotyzmu. Posuwaliśmy się w owych decydujących godzinach skrajem przepaści. Jeden nierozważny krok, jedna chwila słabości lub nieopanowanego gniewu, jeden moment zamącenia woli mogły doprowadzić do katastrofy. Jeśli jej uniknęliśmy, to chyba dlatego, iż dokonała się rzecz nieczęsta w naszych dziejach: lud, w którego sercu nie wygasło męstwo walki, jednomyślnie stanął przy swoich przywódcach, ci zaś nie zawiedli go przy podejmowaniu decyzji.

Co dalej? Dużo trudności, mnóstwo sprzecznych żywiołów, ciemne jeszcze obszary ze znakami zapytań i wśród tego wszystkiego na pewno konieczność odwagi i także konieczność upartej cierpliwości działania, towarzyszącej wiernie burzliwym myślom. Przecież głos młodego Mickiewicza: „Witaj, jutrzenko swobody!" już dzisiaj brzmi na naszej ziemi szczególnie żywo. Więc co dalej? Tylko naród o mądrym sercu i żarliwym umyśle może zapalić ponad sobą słońce.

Jerzy Andrzejewski

*

Przyzwyczailiśmy się do ganienia naszego narodu i do porównywania go na naszą niekorzyść z sąsiadami i nie-sąsiadami ze wschodu i zachodu. Nawet do pewnej elegancji umysłu należy u nas jak najgorsze wyrażanie się o wartości naszego społeczeństwa. Ale w chwilach decydujących naród nasz potrafi zdobyć się na tyle dojrzałości politycznej, tyle jedności — że po prostu zatyka nam oddech podziw i zdumienie.

Właśnie w wielkich dniach październikowych Polacy pokazali, czym są właściwie. Przeżyliśmy naszą rewolucję — bo rewolucją zawsze jest to, czego chce naród, nie to, czego chcą dzierżący nad nim chwilową władzę.

Nasze odwieczne dążenie do wolności, nasze tradycyjne o wolność walki przybierały w ciągu wieków najrozmaitsze kształty; chwilami nawet stawały się czymś amorficznym, bezkształtnym, nieokreślonym. Największą wartość mają dla mnie nasze październikowe zwycięstwa w swej ostatecznej krystalizacji, w precyzyjnym określeniu woli ludu. Tak, socjalizm, ale nasz własny socjalizm; tak, przyjaźń ze Związkiem Radzieckim, ale na zasadzie równości.

Ogromne uczucie ulgi, które dzisiaj odczuwamy, napełnia nasze serca miłó-

cią dla naszych współbraci i poczuciem solidarności ze wszystkimi, którzy walczą o lepsze jutro swoich narodów i całej ludzkości.

Jarosław Iwaszkiewicz

*

Przeżyliśmy rewolucję. Była to rewolucja odsłoniętej w pełni prawdy, ale zwyciężyła ta prawda nie tylko przez same jej ujawnienie. Bezbronna prawda nie zwycięża. Myśl nawet najsłuszniejsza, pozbawiona siły materialnej, nie podjęta przez masy — jest bezradna. To, że dążenia mas znalazły wyraz w wyborze nowego kierownictwa Partii — zawdzięczamy ujawnionej prawdzie, ale prawdzie, w której obronie gotowa była stanąć klasa robotnicza Warszawy, Nowej Huty, Katowic. Prawda wypowiedziana ustami Władysława Gomułki zwyciężyła, bo wyrażała wolę robotników. Wolę klasy przodującej w walce o polską drogę do socjalizmu — prawdę więc całego narodu. To robotnicy Żerania, zjednoczeni w działaniu z młodą inteligencją, ci, którzy czywali dzień i noc w czasie, kiedy ważyły się losy, ci, którzy gotowi byli wznieść barykady — to oni przyczynili się walnie do zwycięstwa odrodzeńczego kierunku w łonie Partii. Winniśmy głęboką wdzięczność warszawskiej organizacji partyjnej, wspaniałej, bojowej, i całemu ludowi Warszawy. Swoją gotowością do czynu ocalił suwerenność Polski, prawdziwą demokrację i socjalizm.

W te przełomowe dni odczuliśmy wszyscy doświadczalnie prawdę, którą przed stu kilkudziesięciu laty odkrył twórca socjalizmu: w naszych czasach twórczynią dziejów jest klasa robotnicza. Ona, sprzymierzona ze wszystkimi siłami postępu w narodzie polskim, dokonała tej bezkrwawej rewolucji. Z jej dążeniami jednoczymy nasze myśli i wolę, z nią jest inteligencja twórcza, z nią lud wiejski — z klasą robotniczą jest cały naród polski.

Julian Przyboś

*

Wróciliśmy do źródła rewolucji. Ileż razy używaliśmy tego słowa nadaremnie! Nasze słowo, słowo pisarzy partyjnych, wywleczone na transparent, wy-

blakło, służyło okresowi pogardy dla człowieka, stało się odwrotnością swego ludzkiego sensu. Słowo pustego dzwonu bez echa w sercu narodu. Nauczeni doświadczeniem bądźmy skromni. Nie w tym rzecz, że ten lub ów pisarz, członek partii, potrafił uchronić swe pióro od kłamstwa. Również milczenie było kłamstwem. Również milczenie było zgodą na terror myśli. Nauczeni doświadczeniem bądźmy prawdziwi, tylko w ten sposób będziemy służyli rewolucji, klasie robotniczej, narodowi.

Wróciliśmy na drogę, z której daliśmy się zepchnąć. Mówmy o niej bez odświętności. Mimo że ma ona być polska, nie będzie łatwa. Na razie nie wiemy, jak ma wyglądać, więc nie upiększajmy jej słowami. Ma ona nas doprowadzić do socjalizmu, ale w tej chwili nie wiadomo, ile jeszcze wymagać będzie trudu, poszukiwań, ile nas czeka wybojów i stromizn. Bo to jest dopiero szukanie form, które nie spadną gotowe jak idea z platońskiego nieba. Trzeba ją będzie wykuwać w pocie czoła, w ciągłej, nieustającej walce z ogromem zła, jakim jest dziedzictwo epoki stalinowskiej.

Nie dajmy zatrzymać procesu przemian. A jesteśmy zaledwie u początku. Dlatego nie rzucajmy takich słów, jak szczęście. Nikt z nas nie wie, jak ono wygląda, nikt nie wie, na jakim kilometrze naszej nowej drogi ono się ukaże.

Julian Stryjkowski

*

Zabieram głos po raz pierwszy od ośmiu lat, po długim przymusowym milczeniu. Wydarzenia, które zaszły, są przełomowe dla całego narodu. Pamiętne trzy dni, to dni prawdziwej rewolucji ludowej, na szczęście bezkrwawej, w której młodzież i robotnicy współdziałali z obradującym Plenum Partii. Te trzy dni to prawdziwie nasza polska rewolucja, nie pozbawiona patosu i swoistego romantyzmu. Atmosfera Warszawy i całej Polski przypominała tylko największe okresy naszych dziejów. Polityczna doniosłość tej naszej rewolucji przewyższa jej doniosłość moralną. Stało się tak, że nie siła, nie przemoc pokierowały wypadkami, lecz bezbronna prawda, sprawiedliwość, dążenie do naprawy Rzeczypospolitej w duchu demokratyzmu i uczciwości. Wiece młodzieży i wiece robotników były dowodem dojrzałości politycznej i moralnej, były także dowodem nieugiętej postawy w walce z odradzającą się dyktaturą jednostek. I to jest wielkie moralne zwycięstwo tych niezapomnianych trzech dni, że zatryumfowała prawda, że powalone zostało kłamstwo, które pożerało nas przez ponure lata stalinizmu.

Posłyszeliśmy głos męża stanu, pierwszego sekretarza Partii, Władysława Gomułki, który przemówił w sposób godny, odważny, prosty i ludzki — prawdziwie tak, jak czuje i myśli naród.

Nastąpiło oczyszczenie atmosfery, wstąpiła nadzieja, rozprostowały się ramiona, bo po raz pierwszy od dawna ktoś powiedział prawdę. Oby w duchu prawdy rozpoczęło się wielkie dzieło przebudowy życia i naprawy Rzeczypospolitej.

W tej przełomowej chwili dla całego narodu, w przełomowej chwili także dla pisarzy i literatury — poczuwam się i ja, skazany dotąd na milczenie — do współdziałania w życiu Polski i w życiu literatury.

Reprezentuję ideę wieloświatopoglądowości w życiu i literaturze, wyznając światopogląd katolicki. Wierzę, iż bogactwo kultury, a tym samym jej wielkość zależą od bogactwa myśli i bogactwa wyrazu. Podnoszę zdeptaną zasadę, aby prawo do wolności sumienia i wolności przekonań było szanowane w życiu publicznym i w życiu literatury.

Muszę z całą stanowczością odciąć się od wszelkich grup monopolitycznych, które przywłaszczają sobie prawo do jedynej jakoby reprezentacji pewnych idei, jak to przez wiele lat czyniła grupa „Pax", uważając, że ona jedna wyraża poglądy katolików postępowych. Jest to z gruntu fałszywa uzurpacja, która mogła mylić opinię tylko w warunkach zakłamania.

Jestem upoważniony przez wielu pisarzy, wyznających ten sam co ja światopogląd, aby sprostować ten błąd, krzywdzący ludzi prawdziwie postępowych, oddanych idei sprawiedliwości społecznej. Wszystkie siły twórcze katolików polskich witają z uznaniem przełom naszego życia, wielkie dni rewolucyjnych przemian, wierząc, że dzieło odbudowy Rzeczypospolitej będzie dziełem wszystkich Polaków, bez różnicy przekonań i wyznań.

Jerzy Zawieyski

Aleksander Wat

WIERSZE Z NOTATNIKA

Prof. Dr. Zdzisławowi Askanasowi, aby zechciał przyjąć te, które Mu się spodobają

*

* *

I znów się dzień zaczyna gruchaniem synogarlic.
Noc opuściła mnie, a z nią — wszyscy drodzy umarli
(którzy zlatują się na noc, by ich gnał kto w sto koni,
jak ludzie, co obsiadają łoże druha w agonii).

Nim kogut zapiał, przez sen swój słyszę ich galopadę.
Jak błogo śnić, że od siebie razem z nimi odjadę.

W SZPITALU

Za batystową zasłoną cień przeszybował gołębia.
Podźwignąć trzeszczącą głowę w pocie skąpaną i mroku!

Za parawanem zszarzałym rzęzi ktoś konający.
Czkawką odmierza minuty chora z dziewiątej sali.

Już bamboszami człapiąc wlecze się jędza szpitalna,
dzwoni wesołą pobudkę blachą kapiących wiader.

W zaduch eteru i moczu flet się wświdrował poranka —
Błogo mi: noc się skończyła, a jeszcze nie zaczął dzień tortur,

sprężony dopiero się czai ból mój, mój demon, Behemot.

Boże zmiłuj się nad nami

1953

*
* *

W czterech ścianach mego bólu
nie ma okien ani drzwi.
Słyszę tylko: tam i nazad
chodzi strażnik za murami.

Odmierzają ślepe trwanie
jego głuche puste kroki.
Noc to jeszcze czy już świt?
Ciemno w moich czterech ścianach.

Po cóż chodzi tam i nazad?
Jakżeż kosą mnie dosięgnie,
kiedy w celi mego bólu
nie ma okien ani drzwi?

Gdzieś tam pewno lecą lata
z ognistego krzaka życia.
Tutaj chodzi tam i nazad
strażnik — upiór z ślepą twarzą.

Mentona, luty 1956

TROCHĘ MITOLOGII

Ja nie jestem Heraklesem
ani Ola Dejanirą
wrogi moje nie centaury.

Lecz koszuli ja Nessosa
już się nigdy nie pozbędę.
Ona wlewa w żyły ołów
limf rysunek, nerwów deseń
ona trawi w wolnym ogniu.
Ona tkankę miażdży żywą
kość rozkrusza, mózg zaciska.
Żeby wyżąć z krwawym potem
słowa słowa słowa.

Mentona, luty 1956

*

* *

Z początku tylko chmura jedna żeglowała po lazurze,
a na morzu jasnym, opalowo-lazurowym
przesuwała się żaglem śmigłym plama ciemna ciemna.
Ta chmura w plamie nie chciała się poznać.
Ta plama w chmurze nie mogła się poznać.
Potem ta piękna, choć nieświadoma zjawisk równoległość
(podobna do tej, która myśl przekuwa do bytu)
urwała się nagle. Z południa zadął
mistral — wróg mój. Zaciągnięto w górze
kurtynę siną. Tu zaś, tutaj, w dole
— echo wszystkich oper niebiańskich
teraz zmącone — morze
atramentniało posępnie.
W pauzie usłyszeliśmy znikąd głos przejmujący skrzypiec
a posłuszne jego arpejdżom
na całej wód rozległości
zabiegały szybko drobne drobne dreszczyki —
podobne do ławic ryb posrebrzanych,
które to wynurzają się
to zapadają w głębiny.

Chciałem zapaść się razem z nimi

Menton-Garavan, styczeń 1956

*

* *

Być myszą. Najlepiej polną. Albo ogrodową —
nie domową:
człowiek ekshaluje woń abominalną!
Znamy ją wszyscy — ptaki, kraby, szczury.
Budzi wstręt i strach.
Drżenie.

Żywić się kwiatem glicynii, korą drzew palmowych,
rozgrzebywać korzonki w chłodnej wilgotnej ziemi
i tańczyć po świeżej nocy. Patrzyć na księżyc w pełni
odbijać w oczach bławe światło księżycowej
agonii.

Zaszyć się w mysią dziurkę na czas, kiedy zły Boreasz
szukać mnie będzie zimnymi palcami kościstymi,
by gnieść moje małe serce pod blaszką swego szponu —
tchórzliwe serce mysie —
kryształ palpitujący.

Menton-Garavan, kwiecień-plecień 1956

WIDZENIE

Niebo — lazur bez skazy
morze — szafir zaspany,
słońca nie widzę, ale wszystko tutaj leży pod jego palącym wejrzeniem.
Wszystko — to znaczy: próżnia, cząstki powietrza oraz mrowie molekuł wody.
Bo poza tym nie ma nic.

I oto cokolwiek poniżej zenitu
na wklęsłej powierzchni nieba wyrysowuje się zwolna
— jak wzór spod ręki kreślącej —
mandala: i już rozpoznaję
ogromną macicę perłową, misternie karbowaną.
Na niej trup podany. Kościotrup. Taki z Totentanzu.
Długi. Ugięty w kolanach. Uśmiechnięty. Żywy.

Maj 1956

KOŁYSANKA DLA KONAJĄCYCH

Lepiej mi tu będzie na tym cmentarzyku
na tym cmentarzyku
uptasionym
rozpromienionym
uwikłanym
w roślinne i ptasie szaleństwa

nad tym morzem lazurowym
pod cyprysem tym strzelistym

lepiej mi tu będzie
tęsknić za tobą
za spłakanym niebem
za siermiężnymi chmurami
za ubłoconym listopadem
za łzawymi świeczkami
u posępnych twoich mogił
ojczyno

niźli w twojej ziemi
pod twym niebem spłakanym
pod twoją płaczącą wierzbą
pod skrzywionym krzyżem
tęsknić

za czym?
za czym?

Mentona, maj 1956

NOC W SZPITALU

„Słowiki już śpiewają mi na śmierć. A także pawie"
Pawi nie ma tu. One są w innych ogrodach:
o zmierzchu, gdy barwy ich stają się niepotrzebne nikomu,
pawie kładą się ciężko, z śmiertelnie smutną powagą,
by umrzeć na noc. Na jedną. Do czasu. Do świtu.

„Słowiki już śpiewają mi na śmierć. A także pawie".
Tak pisałem, gdy miałem lat dwadzieścia.

Teraz po trzydziestu pięciu jakże trudnych latach
słowiki naprawdę śpiewają mi na śmierć
w ogrodzie w Saint Mandé, śród starych akacyj.
Jak trudna jest noc szpitalna nawet w Saint Mandé,
gdzie słowik śpiewa i słodycz drży w powietrzu,
i dzwony z utrillowskich wież odmierzają czasy,
a noc filtruje ból i czarne jej esencje,
i słowiki, słowiki śpiewają mi na śmierć...

Saint Mandé, czerwiec 1956

W KAWIARNI NA PLACE DE LA REPUBLIQUE

Ponad wyniosłą domów pierzeją
z piramidami dachów
ciemna niebieska chmura
zaległa skrzydłem spokoju.
Obcięty jak księżyc po nowiu
błękit szykuje się do snu
modli się gwiazd wersetami,
które wyśpiewał już Hafiz.
Pomnik tu czuwa pośrodku
nie wiem ja czyj już i jaki
ale mi wszystko jedno
dość nam, że latarń festony
pieszczą go blaskiem dzieciństwa.
Zbliża się tu Marokańczyk
w fezie, z naręczą kobierców.
Dobrze jest, dobrze! Jak dobrze jest
żyć.

Lipiec 1956

SEN

Jest we mnie wyspa
i niebo nad nią
i rzeka wokoło.

Skąd ta rzeka wypływa?
Dokąd ta rzeka wpływa?
Znikąd. Donikąd.

Co wyłowi ten rybak, ukryty w sitowiu?
Co ustrzeli myśliwy, nurkujący śród traw wysokich?
Jaki ptak runie z nieba z przestrzelonym gardziołkiem,
z którego śpiew się wysypie jak groszki z gwizdawki?
Gdy noc zapada
myśliwy i rybak
siadają na ziemi
— obydwaj są niemi —
łuk złożą i sieci
siadają na ziemi
gdzie księżyc nie świeci
gdzie woda nie płynie
gdzie nic nie przeminie
choć wszystko przemija.
O, to ziemia niczyja
Siadają na ziemi
i utrudzeni pokazują swój połów z dnia całego:
monstra podwodne
jeża, nietoperza
kości końskiego szkieletu
i zabłąkaną tu przygodnie hamadriadę
z sercem przestrzelonym, a jeszcze żywym, wciąż jeszcze żywym
tęskniącą do drzewa swojego.
Gdzie jesteś drzewo, gdzie jesteś drzewo tej hamadriady?
Ona umiera,
chce się pożegnać.
Księżyc zaciera
jej zmysły. Nie grać,
żabia kapelo
słowiku solisto.
Kości się bielą
Nad wodą. Nieczystą.

Saint Mandé, lipiec 1956

PRZED WEIMARSKIM AUTOPORTRETEM DÜRERA
(W DWÓCH WARIACJACH)

1

Twoje ciało zielenieje z przerażenia,
gdy budzisz się w nocy. By grozie stawić czoło
godnie,
nagi stajesz przed lustrem ze świecą w ręku.
Każde włókno ciała
z grozy omdlewa
ze strachu truchleje.
Jak strasznie jest spotkać w nocy własny obraz,
gdy to budzi cię w nocy: „Przyjdź" woła „Przyjdź, kotku"
A potem bez ceregieli: „Wróć!"
Jak kapral do rekruta, co łudził się zejść z pola walki.
Daremnie.
Piece już rozpalone. Dymy idą ku niebu.
„Wróć"
rozkazuje kapral. A ty wiesz, że Donikąd.
Do Nicości.
Która jest skłębieniem przerażeń
podnoszącym włosy na głowie praarchaicznej Meduzie.

2

„Skąd?" — „Od śmierci." — „Dokąd?" — „Do śmierci."
„A ty?" — „Z życia. Do życia"
„Kto ty jesteś?" — „Ja jestem Ty.
Jak w lustrze:
ty jesteś moim odbiciem.
Albo odwrotnie."
— „Jak ustalić, kto czyim jest odbiciem?"
— „Nie ustalisz. Lustra nie ma."

Lustra nie ma. A przecież widzę swoje ciało przerażone
oblewane wolno spływającymi dreszczami lęku
w liturgicznej zieleni świecy.
Lustra nie ma. Jest tylko oczarowanie.
Jest cień gołębia biały — on się tu zawieruszył
i już się z oczarowania nie wywieruszy nigdy.
Jest tylko echo, które nie wie, czyim jest echem?
Czy czyimś jest echem?
Zawsze słyszało tylko głos swój własny,
zawsze z siebie się tylko odradza, Feniks przedziwny,
wieczna zjawisk partenogeneza.

Dokąd? Do śmierci. Dokąd? Do życia.
Jest tylko ja, lecz i ono nie wie, czyim jest ja?
Czy czyimś jest ja?
A nadzieja? Ona, owszem, odzywa się jak ptaszę w nocy,
gdy wszystkie głosy zmilkły, gdy wszystko śpi,
gdy wszystko umarło i wszystkie nadzieje wygasły.

Paryż, lipiec 1956

ARYTMETYKA

Gdy jesteś sam,
nie myśl, że jesteś sam.
On (ona) zawsze jest z tobą.

Gdziekolwiek pójdziesz,
wszędzie pójdzie z tobą.
Najwierniejszy pies nie tak jest wierny;
cień niknie czasem,
on (ona) — nigdy.

Ta ruda dziewka oparta o odrzwia hotelu,
a z nią — nie sobowtór — ona, druga ona.
Ten stary, jak kot wślizguje się za nią,
a z nim towarzysz jego nieodstępny.
Tamci oboje na łóżku w kontorsjach.
Ci siedzą w nogach, czekają, smutne zwiesiwszy głowy.

Paryż, czerwiec 1956

ZOBACZONE Z POCIĄGU

Na turni z bazaltu
Zabitej w odmęty
Nad wód seledynem

Złoty posążek:
Panna Medea
Stoi na wietrze.

Ręce wzniesione
Nie do modlitwy
Dłońmi do słońca.

By los-chiromanta
Obecny w eterze
Wiedział bez wahań
Co jej uczyni.

Cap d'Ail, maj 1956

WIELKANOC

W dwukonnej karecie
starozakonny staruszek
w cylindrze na głowie
jedzie z synagogi
kiwa się, mówi do siebie:
królem jestem, królem jestem, jestem królem.

Mężczyźni stoją szpalerem
Kobiety wyglądają z okien
Dzieci wieszają girlandy
Żandarmi klękają na bruku.

Wtem Jahwe wyciągnął rękę
zdarł jemu z głowy cylinder
nasadził ciernistą koronę.
Za czym karetą dwukonną
staruszek starozakonny
wjechał prosto do nieba.

Dymy stoją nad miastem
Dzieci wieszanych girlandy
Kobiety leżą na bruku
Żandarmi stoją szpalerem.

Mentona, kwiecień 1956

TRZY SONETY

1

Spać. Choćby dopełnić się miało,
na co czekano z drżeniem od wieków zarania.
Jak senny, jak uchylny, jak mdły jest duch i ciało
w godzinie rozstania.

Spać. Spać w tym dziwnym ogrodzie,
gdzie Mistrz nasz łka i kona, od wszystkich opuszczony.
Siecie rzucone na brzeg, na wodzie śpią łodzie,
w drzewach wiatr uśpiony.

Spać. Przespać wieczność całą,
śmierć i zmartwychwstanie, piekło i zbawienie.
Albo potępienie.

Kiedy mnie obudził, oko tylko spojrzało.
Ręce były umarłe, usta oniemiałe,
serce skamieniałe.

2

Czarno. Czarno. W świątyni zasłona rozdarta.
Kości rzucone w piasek. I gąbka octem upita.
Sen, sen kamienny bez snów spadł na wartę.
(Nigdy już tutaj nikomu dzień nie zaświta.)

Jak ciepło. Noc wygwieżdżona. Iście
Kwietniowa noc to. Czarom jej poddani
Nie drgną ludzie, nie zadrżą liście.
(Eli, Eli, lama sabahtani.)

Cicho. Szakal jedynie z pustyni zaszczeka.
Kur zmylony zapieje. I znów jest cicho, błogo.
(Nikt stąd nie odejdzie, nikt nie nadejdzie tą drogą.)

Jak dziko nagle rozdarł ciszę głos człowieka:
Sama śmiertelnie senna, w ciżbie śpiących ludzi,
Matka usypia syna, który się z krzykiem zbudził.

3

Do grobu złożył Go mąż z Arymatei
i nakrył ciosowym kamieniem.

I siadł na pokucie, by płakać nadziei,
która jest-że tylko złudzeniem?

W nocy podeszły tu dwa serafimy.
Odwalili kamień i rzekli: „Wstań, Panie!"
I rękę podali, by wstał i szedł z nimi,
aby się spełniło Boże zmartwychwstanie.

Nie wstanę! —rzekł do nich. — Nie wstanę dopóty,
dopóki i człowiek nie będzie wyzwolon
od śmierci i bolu.

Od dawna już Filip ów powstał z pokuty.
I w proch już obrócon... A On ciągle czeka
na wyzwolenie człowieka.

Vence, wrzesień 1956

*

* *

Więc świat wasz znów jest czysty jak pierś młodej matki,
starte zostały znaki zdrady, krwi i trwogi.
Stoję przed nim nieśmiały, ręką dotykam kołatki,
a nie śmiem zakołatać. Jestem jak gość ubogi —

jego tu zaproszono odcieniać wspaniałość domu,
a on nie poznaje nikogo, sam też nieznany nikomu.

Ogród zapłonął w słońcu jak w pierwsze dni Stworzenia
i nawet ja u tej furty jestem — jak upiór — bez cienia.

Kwiecień 1956

Z PERSKICH PRZYPOWIEŚCI

Nad wielką bystrą wodą
na brzegu kamienistym
leżała ludzka czaszka
krzyczała: Ałłach je Iłłach.

I tyle w tym krzyku grozy
i tyle było błagania
i taka jej była rozpacz,
że zapytałem sternika:

O cóż tu jeszcze błagać? I co ją jeszcze trwoży?
Jaki ją może nad to porazić wyrok boży?

Wtem nadbiegła fala
pochwyciła czaszkę
i rozkołysawszy
zdruzgotała o brzeg.

Nic nie jest ostateczne
— powiedział sternik głucho —
i nie ma dna gorszemu

Nesles la Gilberde, sierpień 1956

Aleksander Wat

Marek Hłasko

ÓSMY DZIEŃ TYGODNIA

I

— Nie — powiedziała Agnieszka. Odsunęła stanowczo jego rękę i obciągnęła sukienkę. — Nie teraz.

— Jak chcesz — mruknął mężczyzna. Położył się obok niej na trawie i patrzył na drugi brzeg Wisły. Środkiem rzeki śmieszny holownik z wysiłkiem ciągnął trzy ciężkie barki; jego silnik pracował tak samo ciężko jak serce starego człowieka. Nadchodził wieczór i chłód tężał jak mleko. Drzewa ciemniały. Mężczyzna leżał nieruchomo aż do chwili, kiedy poczuł na głowie dłoń Agnieszki.

— Pietrek — rzekła cicho. — Ja nie chcę, żeby to wszystko było ot tak na grandę. Gdybym cię nie kochała, może byłoby mi wszystko jedno. Tu mogą nadejść ludzie. Nie chcę, żeby w moją najlepszą sprawę inni wchodzili butami. Musisz mnie zrozumieć. Jeśli jest czego naprawdę bronić, to chyba właśnie tego.

Podniósł się na łokciach i uniósł twarz do góry. Musiała przymknąć oczy; jego młoda, dziecinnie jeszcze czysta twarz ścięta była bólem.

— Agnieszka — powiedział — czy ty wiesz, jak strasznie jest prosić o takie rzeczy? Czy ty wiesz, co to jest czekać?

— Ja też czekam.

Uchwycił jej rękę. Oczy jego były teraz blisko: ciemne i skupione.

— Jak długo będziemy jeszcze czekać? To udręka.

— Musimy czekać — powiedziała odwracając głowę; holownik już zapadł w mgły. — Może uda nam się dostać jakieś mieszkanie? W lecie możemy razem wyjechać... Chcesz się spotykać po jakichś pokoikach lub na ławkach w parku?

— Nie.

Umilkli. Nad ich głowami niebo stawało się złote; złota była również rzeka. Rosa kropliła się już na trawie i Agnieszka drżała z chłodu mimo skórzanej kurtki, na której siedzieli. Sąsiedni brzeg zgasł.

— Ja kłamię — powiedziała nagle Agnieszka i w głosie jej wyczuł mękę. — Ja już też nie mogę czekać. Wszystko mi jedno. Postaraj się tylko o jakiś pokój, o jakieś mury. Aby nie tutaj, aby z daleka od ludzi. Rozumiesz?

— Tak — szepnął. Dotknął jej dłoni: była bardzo chłodna i zamknięta jak muszla. Westchnął i rzekł: — Chodźmy już. Noc.

Podnieśli się; przez cały bielański las szli w milczeniu i dopiero przy pętli tramwajowej powiedział do Agnieszki:

— Pogadam z Romanem, on ma pokój. Niech sobie znajdzie inny lokal na jedną noc.

„Pogadasz z Romanem — pomyślała. — Wiem, co mu powiesz. Nie powiesz mu przecież, że mnie kochasz i że ja ciebie kocham. Powiesz mu tak: »Ty, Roman, ja mam dziewczynę, którą muszę załatwić. Pożycz murów na jedną noc«. A on ciebie zapyta: »Ładna jest chociaż?« Ty wtedy skrzywisz się, zmrużysz oko i powiesz: »Czy ja wiem? Teraz nie jest sezon, więc co zrobić«. Nie przyznasz mu się do niczego, bo przecież też chcesz bronić tej sprawy. A potem powiecie jeszcze kilka świństw o kobietach, których mieliście żałośnie mało i o których nic zupełnie nie wiecie..."

W tramwaju było zaledwie kilka osób: dwie stare baby, żołnierz o smutnej twarzy, paru wyrostków z piłką. Oświetlone domy uciekały w ciemność. Agnieszka uśmiechnęła się i przytuliła do Pietrka.

— Dobrze, kochany — rzekła. — Porozmawiaj z Romanem.

— Co dzisiaj mamy? — rzekł w zamyśleniu. — Czwartek?

— Tak, czwartek.

— Poproszę go — rzekł — aby wyjechał sobie gdzieś z soboty na niedzielę. — Przytknął usta do jej ucha: — Trzymaj się, Agnieszka.

Tramwaj zahamował. Konduktor uniósł wzrok znad okularów i powiedział przez nos: — Trasa... — Pietrek uścisnął rękę Agnieszki i wyskoczył. Popatrzyła za nim: był szczupły i giętki jak leszczyna. Głowę nosił pochyloną. „Czemu on się tak garbi? — pomyślała. — Boże, gdyby on jednak z nim nie rozmawiał." Po chwili zmieszał się z wieczornym tłumem i straciła go z oczu. Nad miastem przecierały się dopiero pierwsze gwiazdy; tylko na samym środku nieba, spokojnie i pewnie płonął Wielki Krzyż.

— Targowa — powiedział konduktor. — Podniosła kołnierz płaszcza: zaczął padać ciepły deszcz. Przed nią szło dwóch mężczyzn w roboczych ubraniach. Jeden z nich zaklął i powiedział do drugiego: — Znów leje. Już dawno nie pamiętam, żeby był taki paskudny maj. Nie można nawet podskoczyć w krzaki. — Z kim? — powiedział drugi. — Z teściową chyba. Masz forse? — Kiedy Agnieszka przechodziła obok nich, trącił ją ramieniem i powiedział: — Z nią byś podskoczył? — Obojętnie — powiedział pierwszy — ale ona takim jak my nie daje. — Może ją przygadamy? — zaproponował drugi. Krzyknął: — Proszę pani, pójdę z tobą...

Wyminęła ich; skręciła w Brzeską. W mętnych kręgach latarń zataczali się pijani. Z baru „Schron u Marynarza" wyrzucono pijanego awanturnika; pojechał twarzą po bruku; za chwilę wyleciała za nim teczka i kapelusz. W bramach stały grupki milczących gapiów; jakiś głośnik ryczał donośnym basem: „Dzisiejszy etap zakończył się porażką drużyny polskiej. Zwycięzcą etapu był Rumun Dumitrescu..." Śmierdziały gnijące odpadki jarzyn z Bazaru. Ktoś śpiewał piskliwym tenorem. Jakiś wyrostek zajrzał Agnieszce w twarz i gwizdnął. Ktoś drugi powiedział tęsknie: — Chryste, ta by się pruła jak koronka... —

Koty wałęsały się pod nogami; zza mgieł nie było widać już gwiazd. Jakiś pijak szepnął jej gorąco do ucha: „Stara wyjechała, mam lokal. Dam ci nylonięta, chcesz?" Na dworcu Wschodnim wyły lokomotywy; wilgotne powietrze z trudem parło do płuc; ludzie mieli spocone twarze i zmętniałe oczy.

„Porozmawiaj z nim — pomyślała Agnieszka. — Porozmawiaj z nim jak najprędzej."

II

W domu ojciec zapytał:

— Gdzie byłaś, Agnieszka?

Stał przy oknie i odsunąwszy firankę patrzył na ulicę; mógł tak stać godzinami i obserwować, co dzieje się w dole. Był niski, łysawy i przedwcześnie postarzały; cerę miał niezdrową a oczy wypłowiałe. Pracował w jakimś związku spółdzielców jako inspektor; ożywiał się jedynie wtedy, kiedy udało mu się wykryć jakieś nadużycie.

— Na spacerze — odpowiedziała Agnieszka. Zdjęła płaszcz i powiesiła go w przedpokoju. Potem wróciła. — Czy nie było nikogo do Grzegorza?

— Nie — rzekł ojciec; w dalszym ciągu bębnił palcami po szybie.

— Ty jej wierzysz, że ona była na spacerze? — szyderczo zapytała matka ze swojego łóżka. Leżała całymi dniami: brzydka, zgorzkniała kobieta o histerycznym usposobieniu, chora na serce. — Ty w to wierzysz? — powtórzyła. — Szwendała się pewnie z jakimś gachem. — Zwróciła w stronę Agnieszki swą wiecznie opuchniętą, bladą twarz. — Doczekasz się — powiedziała zbolałym głosem. — Ale ja tu bachora nie potrzebuję.

— Nie pytałaś mnie o zdanie, kiedy miałam przyjść na świat — rzekła Agnieszka. Usiadła na swoim łóżku w kącie i zapaliła nocną lampkę. Wyciągnęła książki i podkuliwszy nogi ułożyła się, opierając podbródek na pięściach. — Chcę się uczyć — powiedziała.

— Uczyć, uczyć — powiedziała matka i jęknęła. Twarz jej miała wyraz męczeński. — Grzegorz też się uczył i co z tego wyszło? Skończysz tak samo jak i on, jeśli się nie opamiętasz.

— Jestem dorosła.

— Ale ja ci daję jeść — powiedziała matka. W głosie jej zabrzmiały nutki płaczu, ojciec odwrócił się. — Ja ci daję jeść, a nie kto inny — powtórzyła.

— Tak fatalnie gotujesz — rzekła Agnieszka — że nie powinnaś o tym wspominać. Dajcie mi się uczyć.

— Agnieszka, Agnieszka — powiedział ojciec; głos miał bezbarwny i teraz, kiedy usiłował nadać mu ton surowości, brzmiało to po prostu śmiesznie. Załamał ręce i patrzył na nią z wyrzutem. — Jak ty możesz w ten sposób odpowiadać matce? Matce, która cię wydała na świat.

— Jesteś pewien, że świat jest aż tak piękny, aby to stanowiło powód do wdzięczności? — powiedziała Agnieszka. Wstała rzucając książki z hałasem. Podeszła do okna i stanęła obok ojca. — Żeby nie było pijaków, tych ulic i...

— I co? — zaczepnie spytała matka.

— To proste: żeby nie było takich jak wy. — Zwróciła się do ojca: — Czy Zawadzki już wrócił?

— Nie — rzekł ojciec. Zgarbił się, patrzył na Agnieszkę oczami psa. — On wraca później, przecież wiesz o tym.

— Pójdę się uczyć do kuchni — powiedziała Agnieszka. Pozbierała swoje książki i skierowała się ku wyjściu. W drzwiach przystanęła. — Przykro mi, mama — rzekła z trudem. — Czasem chlapnę coś jęzorem a potem samej mi przykro.

— Ty lepiej uważaj na siebie — powiedziała matka. Znów jęknęła. — Na pewno z jakimś łobuzem się szwendasz zamiast siedzieć w domu. — Poczęła mówić bardzo szybko i z naciskiem: — Ale ja tu żłobka nie założę. Jezu, czy to było kiedyś do pomyślenia?...

Agnieszka popatrzyła na nią w milczeniu i wyszła. Zapaliła światło: kuchnia była mała i ciasna; mnóstwo miejsca zajmowały łóżka. Na jednym z nich spał jej brat — Grzegorz; na drugim monter Warszawskiej Gazowni, Zawadzki; mieszkał z nimi od czterdziestego piątego roku i wciąż oczekiwał na mieszkanie.

Usiadła przy stole i rozłożyła książki. Z trudem przeczytała pół strony i wtedy do kuchni wszedł ojciec. Stanął na środku i chrząkając przestępował z nogi na nogę. Spojrzała na niego wyczekująco.

— Agnieszka? — rzekł ojciec. — Co jest z tobą?

— Cóż to znaczy?

— O czym matka mówi?

— Jasne. Jestem dziwką. Powtórz to matce. Wystarczy?

— Agnieszka — powiedział błagalnie ojciec — Agnieszka... — Patrzył na nią bezradnie. — Boję się, że Grzegorz źle skończy — powiedział. Rozłożył ręce. — Dlaczego my się zupełnie nie rozumiemy?

— Rozumiemy się dobrze — powiedziała Agnieszka. — Biedna, chora, ciasne mieszkanie, marnie zarabiasz. Musimy się jeszcze pomęczyć. W przyszłym roku skończę studia i będę wam pomagać. A teraz wracaj do pokoju, bo matka będzie cię posądzać, że masz ze mną jakieś straszliwe konszachty.

Siedział jednak nie ruszając się z miejsca. Ręce splótł na kolanach i patrzył na nie w zamyśleniu. Potem uniósł głowę.

— Starzeję się — powiedział. — Czasem czuję się tak okropnie zmęczony. Matka stale choruje, Grzegorz pije, ty jesteś jakaś dziwna... — Uśmiechnął się do niej nieśmiało. — Chciałbym wiedzieć, co ci jest — powiedział. — Czy mogę ci jakoś pomóc?

— W czym można człowiekowi naprawdę pomóc — rzekła. Odgarnęła swoje ciężkie, brązowawe włosy i milczała chwilę. Widziała, iż patrzy na nią aż do bólu oczu. — Każdy musi sobie sam dawać jakoś radę — rzekła. — Cóż więcej?

Westchnął.

— Pojadę w niedzielę na ryby — rzekł. — Chcę trochę wypocząć, a tutaj chyba się nie da. Przygotowałem sobie wędki; muszę jeszcze postarać się o żyłkę, a z żyłkami teraz ciężko. Może pojechać do Piaseczna? Albo tam, gdzie jeździłem zeszłego roku, aż pod Wołomin? Tam były takie glinianki. — Znów westchnął. — Do niedzieli jeszcze daleko.

— Trzy dni — rzekła. — Cóż to jest?

— Trzy dni — powtórzył. Uśmiechnął się. — Mój Boże, trzy dni. Wyobrażenia nie masz, ile się może pozmieniać przez trzy dni. To strasznie długo.

— Cóż to jest trzy dni wobec całego życia?

— Wiele. Czasem wszystko można stracić przez trzy dni.

— Nie wierzę, ale mniejsza z tym. Dobrze ci radzę, żebyś wrócił do matki. Wstał.

— Więc gdzie mam jechać, Agnieszka? Do Piaseczna czy do Wołomina? Patrzył w jej twarz z natężeniem.

— Koniecznie do Wołomina — rzekła.

— Chyba tak zrobię — mruknął. — Dziękuję ci.

Wyszedł. Było duszno: Agnieszka otworzyła okno. Po deszczu powietrze stało się czyste jak oddech dziecka. Ulica jeszcze nie spała. Prawie wszystkie okna były otwarte i prawie ze wszystkich na raz dobiegał nosowy głos spikera: „Ze słuszną dumą podkreślić należy, że przezwyciężyliśmy szkodliwy w skutkach i przynoszący mnóstwo wypaczeń kult jednostki. Obecnie przystąpić musimy do podcinania jego korzeni. Wytyczne XX Zjazdu winny stać się..."

„Gdyby można było zapomnieć — pomyślała. Skryła twarz w dłoniach. — Gdyby dało się zapomnieć o tym wszystkim. Spokój. Trochę spokoju. Nic więcej. Bez Pietrka, bez ojca, bez Grzegorza. Po prostu spokój i cisza. Niechby się działo, co tylko kto chce, ale tam, gdzie ja, żeby mógł być tylko spokój i cisza. To już wszystko; tak, to już zupełnie wszystko."

Uniosła głowę i spojrzała znów na przeciwległą stronę ulicy. W oknie pierwszego piętra ktoś się golił składając usta w śmieszny ryjek; był to tęgi mężczyzna w gimnastycznej koszulce. Radio wrzeszczało: „Potem nadejdzie noc, która jest naszym przeznaczeniem". Potwornie hałasując przejechał ciągnik. Ktoś wszedł do kuchni i Agnieszka odwróciła się. Był to Zawadzki, mężczyzna trzydziestokilkuletni o czerstwej cerze i błękitnych oczach. Kolorową koszulę nosił rozpiętą na piersiach: szyję miał twardą i mocną.

— Dobry wieczór — powiedział. Zdjął marynarkę i powiesił ją starannie na krześle. Nalał w miednicę wody i począł zawijać rękawy: ramiona miał opalone.

— Wybierasz się gdzieś? — zapytała Agnieszka. Mieszkali z sobą od lat dwunastu i byli na ty.

— Tak trzeba — powiedział wesoło. — Siedzieć w domu, kiedy taki wieczór na dworze? A ty?

— Muszę się uczyć — powiedziała — i dlatego wtargnęłam do twojego królestwa. Starzy kłócą się bez przerwy.

— Cóż mają robić — powiedział i wyszczerzył zęby. — W tym wieku? Albo się kłócić, albo grać w szachy. — Wycierał się ręcznikiem tak szybko, że ciało jego przybrało kolor upieczonego przed chwilą chleba. — Kup im szachy — powiedział — a będziesz mieć spokój w domu.

— Gdzie idziesz? — zapytała; pragnęła, aby nareszcie poszedł.

— Do kolegi. Będziemy kończyć ten motor.

— Do diabła z tym twoim motocyklem — powiedziała Agnieszka. Uśmiechnęła się. — Ciągle tylko słyszę o tym motocyklu. Chciałabym kiedy zobaczyć cię na nim.

— Muszę zmienić sprzęgło — powiedział z gniewem. Rzucił ręcznik, usiadł na łóżku i począł zmieniać buty. Szarpał się przez chwilę ze sznurowadłami, potem uniósł głowę. — Ty też nie byłabyś mądra, jakbyś przez dziesięć lat musiała jeździć z jednym jeźdźcem. Myślisz, że mój motor jest głupszy? Zakładam sprzęgło i jadę w niedzielę do narzeczonej.

— Nie wściekaj się. Słyszę to już trzeci tydzień. — Usiadła na parapecie i poczęła machać nogami. — Ciekawa jestem, co teraz z tego wyjdzie.

— Słuchaj, Agnieszka — powiedział Zawadzki. — Jeśli to prawda, co oni mi piszą, jeśli to prawda, że ona mnie zdradza — ja jej tak skuję mordę, że jej żaden szpital nie przyjmie do leczenia.

— Co dalej?

— Nie wiem.

— Czy ty ją kochasz?

— Więcej niż ci się zdaje.

— I dlatego musisz zrobić tak głupio?

— Dlatego.

— Jakbyś jej nie kochał, co byś zrobił wtedy?

— To proste: żyłbym z nią dalej.

— Więc cóż ci z tego przyjdzie?

— Wiele.

Machnęła ręką i wychyliła się. Na ulicy — przed wejściem do nocnego sklepu — toczyła się jakaś awantura. Ktoś ryczał obłąkanym basem: „Ja mu dam brata ubowca. Ja mu dam brata ubowca". Niebo patrzyło w oczy Agnieszki dwiema twarzami — własną i z kałuż; i tu, i tu gwiazdy były małe, nierealne. Agnieszka drgnęła: Zawadzki położył jej rękę na ramieniu. Spojrzała na niego i pierwszy dopiero raz zauważyła, że stojący przed nią mężczyzna ma bardzo gorzkie usta i czoło pocięte twardymi bruzdami.

— Słuchaj — powiedział. — Wy wszystkie jesteście w gruncie rzeczy jednakowe i dlatego nie ma właściwie sensu z wami gadać. Ale powiem ci jedną rzecz; człowiek chce mieć coś tylko dla siebie i na to nie ma rady. Jeśli to nie kolega ani nie która z was, to dobrze mieć chociaż swoje pętackie poczucie honoru. Kiedy siedzieliśmy w oflagu, do jednego chłopaka rodzina napisała, że jego dziwka łazi z Niemcami. W oflagu — nuda. Wszyscy jeździli po nim jak pomocnik blacharza po dozorczyni. „To nic — mówili do niego — nie przejmuj się, Mietek. Jak wrócisz i weźmiecie ślub, to powiesisz sobie nad łóżkiem *Bitwę pod Grunwaldem*. Spojrzysz — i będzie ci lżej. Tam oni dostali od naszych." Ten chłopczyna wariował ze wściekłości, aż w końcu powiedział: „Nie szkodzi, ja jej pokażę". „A jeśli to będzie wojna trzydziestoletnia?" „Ja to załatwię w dwa tygodnie" — powiedział i następnego dnia już go nie było. Kryliśmy to przez miesiąc, a po miesiącu wrócił. „Załatwiłem" — powiada.

Agnieszka, on dwa razy przechodził przez trzy granice, bo szedł okrężną drogą, tylko po to, żeby tej dziwce wsadzić butelkę i rozgnieść ją pogrzebaczem. To był wariat, na pewno, ale ja wolę go od innych.

Odszedł. Wyjął z szafy inną marynarkę i począł ją wkładać.

— Co się z nim stało? — zapytała Agnieszka.

— Z tym chłopcem?

— Tak.

Mężczyzna uśmiechnął się nieprzyjemnie.

— Proste — rzekł. — To, co zrobił, nie było dla niego przyjemne. Mógł się przecież postarać o broń i zabić ją. Jego to potem prześladowało w jakiś sposób. Łaził po oflagu i mówił: „Dogodziłem jej na całe życie". Zwariował. Podciął sobie brzytwą gardło w latrynie. Dobranoc. Gdzie Grzegorz?

— Nie wiem — rzekła Agnieszka. — Pewnie gdzieś pije.
— Ciągle na nią czeka?
— Ciągle.
— Też ładnie — rzekł Zawadzki. — Dobranoc.

Wyszedł; na schodach zadudniły gwałtownie jego kroki — biegł po kilka stopni jak mały chłopiec. Uliczna awantura dobiegała końca. Pijani obejmowali się teraz ramionami. — I dlaczego pan tak do mnie, panie Witku? — bełkotał jeden; głos miał młody. — Życie jest życiem — odpowiedział drugi. — No, to wszystko w porządku — uzupełnił trzeci. Przyciągnął ich do siebie i dokonywał prezentacji: — Panowie się zapoznają: kolega z wojska — kolega ze szkoły. — Ach — powiedział pierwszy i zachichotał. — To ze swojej wiary... — Wszyscy trzej wzięli się pod ręce i przeszli przez gwiazdy nieba w wodzie.

„Koniec" — pomyślała Agnieszka. Zamknęła okno i usiadła przy stole.

Ojciec wszedł do kuchni. Ubrany był w starą, samodziałową jesionkę. Na głowie miał ciemny kapelusz, szyję okręconą bawełnianym szalikiem. Żadna z tych rzeczy nie pasowała do innych w najmniejszym nawet stopniu.

— Idę po Grzegorza — rzekł. — Matka histeryzuje.

— Gdzież go będziesz szukać? — zapytała Agnieszka. Podeszła do ojca: była wyższa od niego i wydawała się silniejsza. Wyglądał przy niej jak uschły krzak przy młodym drzewie. Patrzyła na niego spod zmrużonych powiek. Nagle jasne jej oczy zgasły jak iskra osłonięta dłonią. — Chcesz go wyciągnąć z knajpy?

— Tak — powiedział. Przestąpił z nogi na nogę, ręce nie wiadomo dlaczego założył do tyłu. Usiłował nadać swej zwiędłej twarzy wyraz stanowczości. — Wyciągnę go z knajpy — rzekł — i tak mu nagadam, że mu to wszystko w pięty pójdzie.

— Stefan — krzyknęła słabym głosem matka — idziesz już?

— Tak — powiedział — idę już, kochanie. — Poprawił kapelusz i skierował się ku wyjściu.

— Chwilę — rzekła Agnieszka.

Podeszła do drzwi i zamknęła je.

— Jeśli go w ogóle znajdziesz — powiedziała. Siłą posadziła ojca na krześle i wzięła z rąk jego kapelusz. — To nie będzie łatwe — powiedziała. — A twoje gadanie również nie zda się na nic. On jutro też będzie pił. Zostaw go.

— Dlaczego?
— On jest teraz zupełnie sam.
— Dlaczego?
— Kocha.
— Ma przecież rodziców, dom, siostrę.
— Nie ma nic prócz męki.
— Jakiej męki?
— Jego sprawa, nie nasza.
— Mam siedzieć i czekać spokojnie, kiedy mój syn tarza się po knajpach. — Ojciec wstał i sięgnął po kapelusz. Uderzył pięścią w stół. — Do cholery — powiedział. — Pójdę i siłą przyprowadzę go do domu.

— Do domu — powtórzyła Agnieszka. — Do domu, gdzie matka bez przerwy jęczy, a ty siedzisz z ołówkiem w ręku i obliczasz, że piętnaście lat temu mogłeś za swoją pensję kupić sześćdziesiąt litrów wódki, podczas gdy teraz za-

ledwie dwadzieścia. Do domu, gdzie nie ma dla siebie kawałka spokojnego kąta. Do rodziców, którzy do dziś dnia nie potrafią zrozumieć, w jaki sposób udało im się z sobą przenudzić dwadzieścia parę lat. Do domu, gdzie pomiędzy krzyżem a portretem Stalina nie ma w zasadzie żadnej różnicy, gdyż ani jednego, ani drugiego nie rozumie się zupełnie. Do takiego domu chcesz go przyprowadzić?

Milczał. Siedział nieruchomo opuściwszy głowę. Splótł ręce na kolanach i zacisnął je tak silnie, że stały się białe jak ręce umarłego.

— Cóż mam robić? — powiedział po chwili. Sięgnął po kapelusz i znów go odłożył. — Cóż mam robić? — powtórzył. — Chciałbym dla was jak najlepiej.

— Nie garb się — powiedziała. — W niedzielę pojedziesz na ryby. Ja pójdę po Grzegorza.

Wzięła z jego rąk kapelusz i przeszła do przedpokoju. Włożyła płaszcz, do kieszeni wsunęła klucze. Ojciec powiedział błagalnie:

— Wracajcie szybko... Boże, gdyby już była niedziela...

— Gdyby ona przyszła do Grzegorza — powiedziała Agnieszka — to niech zostawi dla niego jakąś kartkę.

— Agnieszka — powiedział ojciec — czy ona przyjdzie kiedyś do niego?

Zatrzymała się w drzwiach.

— Nie.

Wyszła na ulicę. Niebo ściemniało już zupełnie. Miasto usypiało nieruchomo powalone w ostrym blasku gwiazd.

III

— Jest — powiedział portier i uśmiechnął się do Agnieszki. Na samym przedzie miał pokaźną szczerbę, co nadawało mu wyraz beztroskiej filuterności. — Przy barze. Jak się pani przepcha? Dzisiaj taki tłok... — Odszedł, gdyż do drzwi wejściowych poczęło się dobijać gwałtownie jakieś hałaśliwe towarzystwo.

Agnieszka weszła na salę. Było ciemno i duszno: z niskiego sufitu świeciły lampki w kształcie gwiazd. Przy parkiecie musiała przystanąć: stłoczeni na kilku kwadratowych metrach tańczący ludzie deptali sobie po nogach i potrącali nieustannie, przepraszając się co chwila i wymieniając ukłony. Kobiety — jednostajnie ubrane i pachnące tym samym tanim „Poematem" — kładły głowy na ramionach swoich partnerów, pod sufitem wisiał dym, kędzierzawy refrenista ckliwie bredził o rozstaniu. Któryś z kelnerów powiedział do Agnieszki: — Niech się pani odsunie, niech pani nie przeszkadza... — Z bliska zajrzał jej w twarz; był młody, ciemny i przystojny: błyszczał brylantyną i złotym zębem. — Tak — powiedział z żalem. — Tak to bywa... — Poczuła od niego alkohol, odszedł; jego brylantyna była tak silna, iż nawet w tęgo zadymionym powietrzu pozostawiała wyraźną smugę zapachu. Tęgi, o nalanej, charakterystycznie obrzękłej twarzy, jakie mają muzycy grający od wielu lat w nocnych lokalach, saksofonista nieudolnie naśladował amerykańskich solistów. Któraś z pijanych kobiet śmiała się histerycznie, zaciskając dłoń na ramieniu partnera; dłoń jej była szeroka jak płetwa, biała, o pulchnych palcach; Agnieszka uśmiechnęła się okrutnie. Taniec skończył się nagle i dziesiątki lu-

dzi o spoconych twarzach powróciło na swoje miejsca przechodząc koło niej. Spóźniony pijak na parkiecie krzyknął: „Mało". Dwie kobiety pociągnęły go do stolika. Zapłonęły światła: muzycy ocierali czoła i odstawiali instrumenty.

— Pani wygląda jak Mona Lisa — powiedział do Agnieszki ktoś z tyłu. — Czy pani dlatego ma taką smutną twarz, że jak i ona nie posiada pani małego, ślicznego zegarka marki „Tissot"? Na ten temat moglibyśmy ewentualnie porozmawiać...

Przeszła do baru. Panował tu tłok niesamowity: krzyczano, śpiewano, wymyślano sobie; pito bruderszafty, wymieniano pocałunki i uściski dłoni. Za ladą uwijało się dwóch barmanów w białych fartuchach. Jeden z nich był niski i szczupły, twarz miał ruchliwą i wesołą; drugi był wysoki, a twarz jego cechował nieprzenikniony spokój. Operował kieliszkami z kamienną powagą; do obsługiwania każdego klienta zabierał się jak chirurg do operacji, przekonany jednakże, że wszystko przebiegnie pomyślnie, zgodnie z wolą jego rąk i mózgu. Nie reagował zupełnie na rozpaczliwe okrzyki pijących: pracował według własnego, nadzwyczaj precyzyjnego planu.

Dotarła wreszcie do Grzegorza. Siedział na samym końcu baru, tam gdzie nikiel kończył się łagodnym łukiem. Patrzył przed siebie rozwodnionym wzrokiem, milczał. Był uderzająco podobny do niej; jak i ona wysoki, o włosach, których nie można by nazwać ani zdecydowanie ciemnymi, ani jasnymi; tak jak i jej, oczy jego również zmieniały kolor zależnie od pogody: od błękitu aż do ciemnej zieleni. Twarz miał obrzękłą, nos krótki; bruzdy ściągały usta w dół. Głowę oparł na dłoni, Agnieszka dotknęła jej. Drgnął.

— Była? — zapytał.

Pokręciła głową.

— Nie — rzekła. — Jesteś zalany, Grzegorz.

Spojrzał na nią jak na martwy przedmiot.

— Niewykluczone, że masz rację — powiedział. Przysunął sobie szklankę z wodą: — Ale cóż z tego za wniosek?

— Mam ochotę napić się z tobą ze dwa kieliszki — rzekła. — A nie chciałabym mieć do czynienia z nieboszczykiem, tak jak to było przedwczoraj. Możesz mi postawić?

— Nie wiem, czy mogę — rzekł. — Ale ci postawię. — Pochylił się do barmana. — Nalej pan — powiedział konfidencjonalnym szeptem. Ujął swój kieliszek i trącił się z Agnieszką, wypili. Spojrzał na nią oczyma niewidomego. — Więc jednak nie było jej — powiedział. Głos miał trzeźwy i Agnieszka zrozumiała, że nadaremnie Grzegorz stara się upić.

— Nie — powiedziała. — Nie było jej.

Uśmiechnął się.

— Przecież ja to wiem i bez ciebie — rzekł. — Ty nie wiesz czasem, po jakiego diabła ja pytam?

— Wiem. Ale jej nie było.

Pokiwał głową. Wesoły barman zapytał: — Wymienić? — Nie czekając na odpowiedź nalał ruchem szybkim jak głos i zniknął wśród butelek. Orkiestra znów zagrała; siedzący poczęli schodzić z wysokich stołków i przepychać się w kierunku parkietu.

— Wiedziałem, że nie przyjdzie — powiedział Grzegorz. — Najgorsze są noce, Agnieszka. Zamykam oczy i wtedy ją widzę; wyciąga ręce i mówi do

mnie coś, czego nie mogę usłyszeć i zrozumieć. Zdaje mi się, że ona u siebie w domu tak samo patrzy w ciemność i modli się do mnie jak ja do niej. A kiedy otwieram oczy, widzę tylko kawałek łóżka Zawadzkiego i kawałek sufitu. Słyszę, jak kapie z kranu. Czy nie możecie zreperować tego zlewu? I znowu leżę godzinami bez chwili snu. Kiedy zatrzymuje się przed domem jakaś taksówka, wstaję z łóżka i podchodzę do okna. Wydaje mi się, że ona z niej wysiądzie, przyjdzie po mnie i wtedy skończy się ta cała udręka. Liczę kroki na schodach, cienie i głosy. Zreperujecie jutro ten kran?

— Tak.

Umilkł. Podstawił barmanowi kieliszki.

— Niech pan naleje — powiedział. — I jakąś wodę...

— Może starczy? — rzekł barman. Spojrzał pytająco na Agnieszkę. Pokręciła głową.

— Proszę nalać — rzekła. Barman nalał i odszedł, Grzegorz milczał. Dwóch starszych panów przepijało do siebie. — Pijemy brudzia. Ja Wacek, a ty? — Józek. — Jaki Józek? Piłsudski? — Nie. — Ten drugi? — Też nie. Józio Kwiatkowski. — No to bęc. — Bęc. — Orkiestra grała tango; Agnieszka odchyliła firankę dzielącą bar od sali i popatrzyła na tańczących. Niski człowiek stojący obok niej powiedział: — Ja stąd wyjeżdżam. W tym kraju można być tylko pijakiem lub bohaterem. Normalni ludzie nie mają tu nic do roboty. Adieu. — Zapłacił i odszedł.

— Dzisiaj czwartek? — zapytał Grzegorz.

— Już piątek.

— Do niedzieli — powiedział. — Żeby tylko wytrzymać do niedzieli. Wtedy wszystko się wyjaśni: albo — albo. Tak powiedziała: potrzebny jej tydzień do namysłu. Zostały jeszcze dwa dni, trzy, jeśli nie przyjdzie do niedzieli wieczór, to znaczy, że koniec... A wtedy...

— Co wtedy? — zapytała ostro.

Podniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy. Milczał chwilę.

— Nic wtedy — rzekł. — Będę żyć dalej. To jest właśnie najgorsze.

— To nie jest jeszcze to najgorsze, kiedy ma się dwadzieścia pięć lat — powiedziała Agnieszka.

Żachnął się.

— O czym to świadczy? — powiedział. Twarz jego przybrała wyraz wzgardy. — A poza tym: kto ma dziś dwadzieścia pięć lat? I cóż z tego? W czym ma mi ta świadomość pomóc? Nie będziesz chyba tak głupia, aby mi powiedzieć, że mam przed sobą życie i wszystko jeszcze przyjdzie, i tak dalej. Nie ma ani jednego człowieka na świecie, który by w to naprawdę wierzył. Każde dobre uczucie ludzkie jest święte i nie ma żadnej gwarancji, że raz jeszcze w życiu człowiek będzie chciał się wygłupiać i dawać drugiemu człowiekowi tak samo wiele, a o to przecież w końcu chodzi. „Dawać wszystko z siebie", tak przecież nazywacie te wszystkie irygatory, gumowe czapeczki i skrobanki. Tak?

— No więc?

— U Słowackiego zdaje się ktoś pyta: „Czy dusza jest niewypaloną nigdy lampą?" Przed każdym dobrym uczuciem człowieka trzeba klękać jak przed świętością, jak przed gwiazdą. Ochraniać, nieść jak światło, a jeśli jest tego chociaż iskierka, to dmuchać aż do utraty tchu. To wiek dwudziesty, Agnieszka: Izolda mieszka w burdelu, a Tristan pije z sutenerami na rogu. Ludzie mają

dziś mało czasu na wielkie uczucia; zrywają się rano, chłepczą swoje zupki w barach mlecznych, tłoczą się w tramwajach, kupują tandetne meble w domach towarowych na raty, kłócą się z konduktorami o pięć groszy i tak dalej. Klękać — powiedział — klękać. Życie nie daje żadnych gwarancji na przyszłość. Każdemu, który mówi: „Zostaw to, za parę lat przyjdzie co innego", powinno się pluć w gębę. Co przyjdzie? Kiedy przyjdzie? Każde szczęście przychodzi złą drogą.

Umilkł, skinął na barmana. Patrzył w napełnione kieliszki, kiedy tamten już odszedł. Jakaś kobieta siedząca o parę stołków dalej śpiewała piskliwie: „Ja jestem taka mała..." — Ale pakowna — powiedział z przekonaniem męski głos. Kobieta umilkła; pochyliła się nad kieliszkiem i mamrotała coś do siebie niezrozumiale. Saksofonista znów usiłował naśladować Amerykanów. Wesoły barman obrzucił Grzegorza bacznym spojrzeniem.

— Kawuni?

Ocknął się.

— Jak pan chce — powiedział — ale to zbyteczna fatyga: dziś i tak się nie zaleję. — Zwrócił się do Agnieszki: — Chcesz kawy? — Skinęła głową. — Niech pan da dwie kawy — powiedział Grzegorz. Barman powrócił i postawił przed nimi filiżanki. Grzegorz spróbował i ze smutkiem pokiwał głową. — Kawunia też podła — rzekł.

Wesoły barman rozłożył ręce.

— Takie c z a s z y — powiedział. Odszedł.

— Do diabła z czasami — powiedział Grzegorz. — Też jakiś idiotyczny mit... — Zwrócił się do Agnieszki: — Przyszła mi do głowy pewna myśl.

— Mów.

— Chciałbym kiedyś napisać coś.

— Książkę?

— Tak, książkę.

— O miłości?

Roześmiał się nagle i zmarszczki wokół jego oczu stały się białe.

— O, nie — powiedział. — Napisać cokolwiek o tym, to ośmieszyć się. Cała literatura o miłości to, jak dotąd, tylko wspaniałe gówno. Cóż to ma wspólnego z miłością, Boże mój drogi. Chciałbym cokolwiek przeczytać o sobie i o swoich uczuciach, kiedy leżę dwudziestą noc bez snu i patrzę w sufit. Wszystko, co na ten temat napisano, jest mdłe jak miedź przy słońcu. Może jeden Dostojewski był odrobinę prawdziwy, ale od jego miłości ucieka się z rękami jak od rozpalonego żelaza. To nie dla dzisiejszego człowieka. Nie te c z a s z y. — Pochylił się ku Agnieszce i ujął ją za rękę. — Posłuchaj — rzekł. — To coś zupełnie nowego: mianowicie historia dwojga ludzi. Nie będziemy nazywać ich po imieniu ani też wymyślać dla nich nazwisk... — Był jednak trochę pijany i język mu się nieco plątał; oddech jego był gorący. Mówił: — Tak, to coś zupełnie nowego. Historia dwojga, którzy spotkali się w złym miejscu życia. Nie wiem jeszcze tylko, kim oni są, muszę fiksować, ty rozumiesz? On musi być zwyczajny, bardzo zwyczajny; ona chyba także, nie wiem zresztą... Przypuśćmy, że on chlał za dużo i rozrabiał, może być tak? Co zresztą można było robić dobrego przez ten czas, jak nie chlać i nie rozrabiać? W Polsce pijak jest traktowany na prawach specjalnych, pijaństwo stało się czymś w rodzaju nowej, specjalnej moralności. Wiadomo, że jak pije, to go coś gryzie. Ale

mniejsza z tym, wracam do rzeczy... A ona? Diabli ją wiedzą, jaka ma być. Musi dużo przeżyć; tak, tak, musi dużo przeżyć, musi być w jakiś sposób zrezygnowana czy rozgoryczona. Kiedy się coś zaczyna, wprost trudno uwierzyć, że tym razem jest to coś naprawdę wartościowego. Ten gość zaczyna się zachlewać, gdyż chce to w sobie szybko zniszczyć, boi się cierpień i tak dalej, ona również ucieka od tego wszystkiego, bo prawdę mówiąc facet jest do niczego: zalewa się, robi awantury, ma za sobą kawałek złego życia. Ale to jednak coś jest, jednak coś tam jest; w całej tej historii, gdzieś na siódmym dnie musi być coś wartościowego, coś dobrego i oni chcą się jakoś do tego dogrzebać, za wszelką cenę dogrzebać. Ziemia jest paskudna, życie jest komicznym piekiełkiem, ale gdzieś w głębi tej skorupy płonie rozpalone żelazo. I oni tamtą historię montują na siłę; to rozpada się tysiąc razy w ciągu dnia i godziny, ale oni po tysiąc razy rozpoczynają od nowa. Może by nawet wszystko było dobrze, kto to w końcu wie, ale zaczynają im pomagać ludzie.

Wyprostował się nagle i odtrącił dłoń Agnieszki.

— Ludzie — powiedział. — Przeklęci, głupi ludzie, którzy zawsze mają zbyt mało własnego piekiełka i wtrącają się w cudze. Zaczynają to wszystko obmacywać swoimi spoconymi rękami, szeptać, ustawiać, pomagać, odciągać ich na boki i informować o sobie. „Czy wiesz — mówią do niego — że ona żyła z tym i z tym?" „Czy wiesz — mówią do niej — że on w czterdziestym siódmym roku, w Myśliborzu, pobił zawiadowcę stacji, kasjera i pomocnika maszynisty?" „Czy wiesz, że on to, a ona tamto?" Ludzie wtrącają się, ludzie kłamią, ludzie wymyślają podłe idiotyzmy, a pewnego dnia już nie wiadomo, co jest prawdą, a co kłamstwem, co plotką, a co rzeczywistością, kto jest przyjacielem, a kto świnią, kto jest kolegą, a kto durniem; niesposób wprost połapać się w tym wszystkim. I oni postanawiają się rozstać...

Umilkł; mięśnie jego szczęk dygotały. Wyglądał teraz żałośnie. Wesoły barman spojrzał na niego i zapytał:

— Nalać?

Skinął głową; ujął swój kieliszek i wypił jednym haustem. Agnieszka zapytała:

— To już koniec?

— Nic podobnego — powiedział nie patrząc na nią. — To byłoby zbyt proste, a ludzie pragną przecież zrozumieć się do końca. Ale ja nie wiem, co musi być dalej. Koniec, jasne, że koniec, ale przedtem musi coś jeszcze nastąpić. Tak, tak, na pewno, ale jeszcze nie bardzo wiem co... Coś niesłychanie banalnego. To wcale nie musi być dobra książka, po jakiego diabła ma być dobra? Książki o prawdziwej miłości i tak nikt nie napisze, każdy by się bał odsłonić do końca, to za straszne i za śmieszne rzeczy... Więc co? Tu potrzeba czegoś banalnego, czegoś paskudnie banalnego. Może choroba? Jakiś księżyc, jakaś woda? Coś takiego musi przecież istnieć, pomyśl i ty nad tym. Wypadek kolejowy, katastrofa, śmierć? Śmierć, może śmierć? To w końcu najbanalniejsze ze wszystkiego, co może być. Więc jaka śmierć, Agnieszka? Ukąszenie przez jadowitą mrówkę, cegła z rusztowania?... Może samobójstwo? Tylko kto: on czy ona? Nie, on, rzecz jasna, że on, kobiety mimo wszystko bardziej kochają życie od mężczyzn. Tak. Więc już mam.

Odetchnął. Włosy przylepiły mu się do czoła, odgarnął je. Twarz miał spoconą, oczy zmniejszone obrzękiem.

— On się zabija — powiedziała Agnieszka. — I już koniec?

Pomyślał chwilę.

—Nie — rzekł. — Mimo wszystko, tym razem to także nie koniec. To zaledwie połowa, koniec jest jeszcze daleki. To samobójstwo nie może się udać, Agnieszka, w tej historii nic nie może się udać. Potem jest jeszcze gorzej, bo okazało się, że to, czym straszą i szantażują nas tutaj, na ziemi, to bardzo niewiele. Ale co dalej? Szczęśliwy koniec nigdy nie bywa zbyt mądry w literaturze. Rozchodzą się. Koniec. Kropka. Może spróbują mądrze żyć, może nie, diabli ich wiedzą. Ale w tym miejscu trzeba już kończyć, dosyć tej zabawy. Więc rozchodzą się. Pogoń za szczęściem się kończy. Zawsze bezcelowa, ale dla której warto poświęcić życie. To nie ja, to Stendhal. Warto czy nie warto? — zapytał barmana.

— Warto — powiedział barman.

— Nie warto — rzekł Grzegorz — ale mniejsza z tym. Proszę jeszcze nalać dwie wódki.

— Ona by ci tego nie darowała — rzekła Agnieszka.

— Czego?

— Co powiedziałeś przed chwilą.

— Ona nie przyjdzie i tak.

— Chcesz wszystko zgnoić?

— Tak — powiedział Grzegorz. — Nie chcę o niczym pamiętać. To zbyt okrutne: wymagać od człowieka, aby wspominał swoje święte chwile. Wspomnienia to śmieci.

— Jak się będzie nazywać ta książka? — zapytała Agnieszka.

— Trudno powiedzieć — odparł niezdecydowanie. — Ona i tak przecież będzie żyć tylko w mojej wyobraźni. Jestem przecież chemikiem, do cholery. A tytuł? Coś o milczeniu, coś o potrzebie milczenia wobec innych ludzi. Więc jak?

Bar opustoszał. Wesoły barman krzątał się z olbrzymią ścierką wycierając do sucha nikiel. Ekspres już nie syczał, orkiestra dawno zamilkła. Ktoś spał oparłszy głowę na rękach. Kolega szarpał go powtarzając bez przerwy:

— Bolek, wyprostuj się... Bolek, nie bądź pijany... Bolek, nie bądź tulipan...

— Koniec — powiedział wesoły barman. — Do jutra.

Grzegorz zapłacił i wyszli. Ulicami ciągnął chłodny powiew. Grzegorz nachylił się ku Agnieszce i ujął ją za rękę; jego dłoń była spocona i gorąca.

— Przyjdzie?

— Kochankowie spotkali się zbyt późno — powiedziała Agnieszka. Ziewnęła, chciało jej się spać.

Grzegorz roześmiał się.

— Agnieszka — powiedział uwalniając dłoń z uścisku — odłóż to między bajki. Jestem niewiele starszy od ciebie, ale mogę ci powiedzieć: nie widziałem jeszcze ludzi, którzy spotkaliby się w dobrym miejscu życia. Takiego miejsca w życiu nie ma i być nie może. Zawsze zdaje się, że jest zbyt późno czy zbyt wcześnie; że zbyt wiele doświadczenia albo że zbyt mało. Zawsze coś stoi na przeszkodzie. To nie może mieć znaczenia. — Po chwili zapytał: — Podobało ci się to?

— Nie. Nienawidzę smutku. Milczenie i czarny kolor. To dobre dla nieboszczyków.

— Już więcej nie będę pić, Agnieszka — powiedział Grzegorz. — Zdaje mi się, że bardzo cię kocham. Chciałbym, żebyś była choć troszeczkę inna.

Przystanęli. Niebo zrzedło: było brudne i pełne pustych chmur. Świt czepiał się wilgotnych dachów. Taksówkarze ziewali, wlokły się pierwsze wozy z mlekiem, ktoś szedł daleko za nimi klnąc w niebogłosy.

— Ja także bardzo cię kocham — powiedziała Agnieszka. — Ty przecież wiesz, jak bardzo.

IV

Liście były gęste i przysłaniały niebo; leżąc na wznak nie widzieli ponad swymi głowami nic prócz spiętrzonej zieleni; nie było także widać śpiewających ptaków. Nagrzana trawa pachniała gorzko, a tuż pod nią niski wiatr niósł woń żywicy i pierwszego wrzosu. Od czasu do czasu z gęstego podszycia drzew wyskakiwały wiewiórki; patrzyły uważnie koralikowymi ślepkami a po chwili wdrapywały się na konary z szybkością niepojętą.

— Wszystko, co pamiętam z dzieciństwa — rzekł Pietrek.

— Wiewiórkę?

— Tak. Była u nas w domu kiedyś wiewiórka. Dostałem ją, jak miałem dziesięć lat.

— Jak się nazywała?

— Joasia. Nie bała się wcale. Spałem z nią, skakała za mną jak piesek, a kiedy jadłem, wtykała pyszczek w mój talerz.

— I co? — spytała Agnieszka.

— Joasia umarła. Wiewiórkom zarastają zęby, jeśli nie jadają orzechów. Pewnego dnia nie mogła otworzyć pyszczka i nic na to nie można było poradzić.

— Dlaczego nie dawałeś jej orzechów?

— To było podczas okupacji. Odżywiałem się głównie chlebem z marmoladą. O ile mi wiadomo, marmoladę wyrabiano wówczas z buraków.

— To naprawdę wszystko?

— Co — wszystko?

— Co pamiętasz? Wiewiórkę?

— Czyż to nie wystarczy? Po cóż pamiętać o wszystkim?

— Powiedz.

Wzruszył ramionami.

— O innych rzeczach wolałbym raczej nie pamiętać.

— Wiele ich jest?

— Starczy.

— Dziwne.

— Co?

— Tak mało wiemy o sobie.

— Mało?

— Strasznie. Codziennie jesteś inny.

— Nigdy nie chcesz moich wspomnień przecież. Ile razy zaczynam mówić, prosisz, abym przestał.

— Chcę innych.

— Ale te są najważniejsze.

— Ja chcę, żebyś o tym już zapomniał. To pierwsza rzecz, jaką chciałabym dla ciebie zrobić. Nie pamiętaj o tamtym, Pietrek.

— Cóż więc chcesz o mnie wiedzieć?

— Na przykład: o czym myślisz w tej chwili?

— A jeśli to głupie?

— Niech sobie będzie. Z Einsteinem nie jeździ się przecież na Bielany. Mów.

Objął kolana rękami. Podniósł swoją twarz ku górze; miał czysty, spokojny w swej młodzieńczej surowości profil.

— Myślę o tym, kiedy skończy się ta udręka, to spotykanie w kawiarniach, w parkach, kinach... — Zamknął oczy i wokół ust jego utworzył się bolesny grymas. — Mury — powiedział. — Kawałek murów, Agnieszka. Być z tobą przez tydzień; dzień i noc razem a potem mógłbym chyba umrzeć. To straszne; każdy dzień, kiedy jestem bez ciebie, jest ukradziony z mego życia. Ile było już tych dni? Ile będzie ich jeszcze? Najpierw tamte lata, teraz to błąkanie się... Nikt tego nie zwróci, żaden dzień nie może powrócić. Ile moglibyśmy już mieć dobrych dni poza sobą? Czy długo jeszcze tak będzie?

— Nie mów o tym, Pietrek.

— Czasami wierzyć mi się nie chce w to wszystko — powiedział. — Jesteśmy sami, zupełnie sami, rozumiesz? I nikt nam nie pomoże, żebyśmy nie wiem jak błagali i nie wiem kogo prosili. Nikt chyba nie może dać nam kawałka muru. Musimy czekać — i to wszystko. Ciągle, długo czekać, a jeśli się w końcu doczekamy, nie będziemy mieli zapewne siły cieszyć się z tego. Wiele dni z życia ubędzie nam niepotrzebnie. To jest najgorsze.

— Wielu ludzi nie ma murów.

— Wielu ludzi niczego w ogóle nie ma. Ale to nie jest argument.

— To jest życie.

— Nie lubię tego słowa. Cóż ono w końcu oznacza?

— Wszystko.

— I nic.

— Może. Teraz jest lato. Powinieneś gdzieś wyjechać, Pietrek. Odpocząć.

— A kiedy wrócę, wszystko się zacznie od początku. Będziemy tęsknić do siebie i całować się wieczorami w bramie. A potem nie będziemy spali całymi nocami i będziemy myśleć o tym, w jaki sposób i kto nam może pomóc. I będziemy się ciągle rozstawać. Tęsknić, dręczyć, kłócić, wymyślać sobie. Nie dlatego, że się nie kochamy. Nie dlatego, że nie możemy się zrozumieć. Nie. Dlatego, że nie mamy kawałka murów. Gdyby w Warszawie żyli w pięćdziesiątym szóstym doku Romeo i Julia, zapewne by się w ogóle nie spotkali. A co najgorsze, nikt nie jest temu winien.

Umilkł. Patrzył w górę na zielone kopuły drzew, a po chwili rzekł:

— Najgorsze jest to, że cię kocham. Z innymi byłoby to wszystko takie łatwe.

— Co?

— Wszystko i nic.

Umilkł. Położył się na wznak, ręce założył pod głowę. Poprzez gęstwinę liści patrzył na spadające już, czerwone słońce. To trwało krótko, potem las począł wygasać i liście straciły swój kolor. Niedaleko stąd była strzelnica i żołnierze ukończywszy swój pracowity dzień wracali śpiewając: „Noc taka długa...” Ostatnią literę przeciągali kończąc ją nagle. „Trzy, cztery” — ryknął jakiś głos

i wszyscy zaśpiewali razem: „Szkoda jej marnować..." Od nagrzanej rzeki ciągnął senny podmuch.

— Piotr.

— Tak.

— Załatwiłeś ten pokój?

— Tak.

— Jutro?

— Tak.

— Jego nie będzie?

— Będziemy sami.

— Ty mu nie powiedziałeś, że przyjdziesz tam ze mną?

— Nie.

— Co mam powiedzieć w domu?

— Najlepiej nic nie mów.

— Muszę. Matka by się denerwowała.

— Powiedz, że wyjeżdżasz.

— Dokąd?

— Wszystko jedno.

— Po co?

— Wszystko jedno.

— Wymyśl coś.

— Do Podkowy Leśnej. Jedziesz do koleżanki. Będziecie się przygotowywać do egzaminu. Dlaczego tak mówisz? Ile ty masz lat, Agnieszka?

— Kiedy jestem z tobą, to tylko dwadzieścia dwa. A ty?

— Sto.

— Dlaczego tak mówisz?

— Czy ważna jest data w metryce? Są takie miejsca na ziemi, gdzie każdy dzień jest wiekiem. Trzeba tam tylko trafić.

— W którym roku cię aresztowano?

— Pięćdziesiątym drugim.

— To wszystko się już nie powtórzy, prawda?

— Gdyby raz jeszcze miało się powtórzyć to wszystko, gdyby to wszystko miało być jeszcze raz, nikt z ludzi by nie ocalał... Myślałem tam o tobie, wiesz?

— Gdzie?

— Mokotów.

— Nie znałeś mnie jeszcze wtedy.

— To nie ma znaczenia. Myślałem o tym, że jeśli w końcu wyjdę, to spotkam ciebie. I nigdy się już nie rozstaniemy, i nigdy już tam nie powrócę. Codziennie o świcie umierałem i codziennie powracałem do życia. Komendantem był tam taki pułkownik. Mówił nam: „Tu jest Mokotów. Stąd się wychodzi kwiatki wąchać od spodu". Na przesłuchaniach krzyczał: „My was po bolszewicku zabijemy. Strzałem w tył głowy..." Wtedy myślałem o tobie.

— Co się z nim teraz dzieje?

— Z komendantem?

— Tak.

— Aresztowany. Czytałem o tym gdzieś.

— Cieszy cię to?

— Za późno na radość.

— Nie będziesz myślał o tym już nigdy, prawda?

— Gdybym nie miał ciebie, myślałbym o tym stale. Teraz myślę, że ty jesteś tym człowiekiem, który jest nagrodą od losu za tamten zły, przeszły czas. Tylko ty. Ale ciężko zapomnieć, mówię ci, Agnieszka. Są takie historie, o których chyba nie da się zapomnieć. Pamiętam kiedyś...

— Teraz już będzie inaczej, prawda?

— Dlaczego to ciągle powtarzasz?

— Muszę.

— Więc musi być inaczej.

— Kiedy będziemy mieli dom, przez rok nie będziemy wpuszczali nikogo. Wywiesimy kartkę na drzwiach: „Nie ma nikogo. Wyjechaliśmy na rok".

— To zabawne.

— Dlaczego?

— Siedziałem kiedyś z takim jednym człowiekiem, który marzył o tym samym. „Kiedy wyjdę wreszcie z tej bombonierki — mówił — zamuruję się w domu i nosa nawet nie wystawię spoza drzwi. Do diabła z tą kochaną wolnością..." Więc po tej i po tamtej stronie krat marzenia są jednakowe?

— Jakie meble będziemy mieli?

— Czasami nikt nie mógł usnąć — powiedział Piotr i wiedziała już, że teraz nie usłyszy nic z tego, co chciałaby mu powiedzieć, i że będzie musiała tego wysłuchać, choć zna każde jego słowo i wspomnienie stamtąd. Piotr powiedział: — Rozmawialiśmy szeptem. Ludzie opowiadali sobie wszystko: bredni i fakty. Nie wiadomo po co, nie wiadomo na co, gdyż i tak nikt tego nie słuchał. Każdy miał w głowie własny film. Każdy myślał tylko o sobie i o swojej sprawie, której nie było...

— Nie mów już o tym — powiedziała. — Pomyśl o naszym domu. A twój syn? Ma się nazywać Teodor, tak jak Dostojewski...

— Przypomniałem sobie wszystko, całe życie: fakt po fakcie. Przypomniałem sobie wszystkich ludzi, z którymi w życiu rozmawiałem, wszystkie słowa, wszystkie dni, wszystkie noce; doszedłem wreszcie do tego, że starałem się przypomnieć sobie wszystkie swoje myśli. O czym myślałem rok temu, pięć lat temu, dziesięć lat. Co zrobiłem? W jakim miejscu życia popełniłem fatalny krok, o którym nic nie wiem, o którym nikt nic nie chce mi powiedzieć. Może ktoś z moich przyjaciół był szpiegiem? Może ktoś pracował dla wywiadu? Kim był ten człowiek, przez którego znalazłem się tutaj? Jak wyglądał? Stary był czy młody? Samotny czy żyjący z rodziną? Gdzie go poznałem? W knajpie, na studiach, na ulicy, na stadionie? Jak to się zaczęło? I o czym z nim wtedy rozmawiałem? Czasami przyczepiałem się myślą do jakiegoś człowieka; ktoś nagle wydawał mi się nim. I wtedy myślałem: to on, to nikt inny być nie może, tylko on. Co mu zrobiłem? Co on uczynił? W jaki sposób udało mu się doprowadzić do tego, abym znalazł się tutaj? Czy zrobił to specjalnie, czy też wpadłem razem z nim? Dławiłem się nienawiścią do niego, a potem przychodził mi na myśl kto inny. I znów usiłowałem przypomnieć sobie: gdzie go poznałem? jak wyglądał? o czym z nim wtedy rozmawiałem? co on takiego powiedział na mnie?

— Nie myśl o tym — powiedziała Agnieszka. — Nie mów już o tym. Pomyśl, jak to będzie jutro. Nie będzie nikogo prócz nas. Przytulisz się do mnie, obejmę cię i wtedy przestaniesz o tym myśleć. Nie będziesz już myślał ani

o mieszkaniu, ani o więzieniu, ani o niczym, co cię dręczy. Wszystko, co będzie ważne, to tylko my i nasze kilka godzin do świtu. Tak?

— Tak, Agnieszka. Ale kim on był? Czy nie dowiem się nigdy?

— Myśl raczej, że nie. Po cóż ci on? Chcesz się mścić?

— Nie, nie... Chciałbym tylko spojrzeć na niego, chociaż przez sekundę. Przez sekundę patrzeć mu w twarz. I nic więcej. Myślę, że jakbym mógł na niego popatrzeć, zrozumiałbym wiele rzeczy ze swego życia. Może nawet wszystko, tak mi się czasami zdaje. I oddałbym za to chyba wszystko.

— Nawet mnie?

— Nawet ciebie.

— To dobrze, że nie dowiesz się o nim nigdy. Teraz już musimy iść.

— Już?

— Chcę się jeszcze uczyć.

— Agnieszka.

— Co, kochanie?

— Gdybym nie miał ciebie, nie chciałoby mi się żyć. Ty jesteś teraz jedyną rzeczą, w którą wierzę naprawdę. Ty, nic więcej. Mam chyba prawo tak myśleć. Gdybym nie miał ciebie, zrobiłbym wszystko, aby się zgnoić do końca, tak, żeby już nigdy nie kochać, nigdy nie wierzyć i nigdy nie cierpieć. Bez ciebie ta strona krat nie ma dla mnie sensu, tak samo jak i tamta. Rozumiesz?

— Tak. Ale nie mów już o tym. Myśl o jutrze.

— Dobrze.

— Przyrzeknij mi. Przyrzeknij mi, że będziesz myślał tylko o jutrze, że nie wspomnisz nawet o tamtym wszystkim. Dobrze?

— Tak.

— Odprowadzisz mnie do domu?

— Po co pytasz?

Podnieśli się i poczęli iść w kierunku tramwaju. Las był teraz cichy, spęczniały od mroku. Kopuły drzew zrosły się w jeden masyw z ciemnym niebem.

V

Ulica Brzeska nie spała jeszcze. Był to piętnasty dzień miesiąca, dzień wypłaty i, jak zwykle wtedy, mężczyźni stali przed bramami. Mieli porozpinane koszule; ich piersi, ich włosy, ich twarze lśniące były od potu; dzień, który odszedł, przez wiele godzin dręczył domy, ciała, bruki i drzewa żelaznym niebem. Stojący i siedzący; ci, którzy chodzili z jednego końca ulicy w drugi, od jednej grupki do drugiej, od jednej latarni do drugiej; ci, którzy leżeli pod murami na strzępach wygniecionej trawy; ci, których rozkudłane głowy wychylały się z okien brudnych parterów — pili wprost z butelek piwo, wódkę i tanie wina; dławili się i płyn ściekał na ich pokancerowane ręce, na ich wilgotne koszule i rozprężone, miękkie ciała. Śmieli się głośno, krzyczeli i dogryzali sobie. Wiatr, który jak zmęczone zwierzę ciężko biegł nad brukami, przynosił zapach ich potu, ich tytoniu, ich oddechy — gorące i gorzkie od alkoholu. Wśród nich snuły się kobiety — niektóre w szlafrokach lub w paltach narzuconych wprost na koszulę, inne ubrane w jasnokolorowe sukienki, na których pot znaczył pod pachami ciemne półkola; jedne namawiały ich, aby

powrócili do domu; inne ciągnęły ich do śródmieścia na dalszą zabawę. Kłóciły się z nimi, odciągały ich od towarzyszy, wyrywały im butelki, których bronili; wymyślały mężczyznom niegorzej od nich samych.

Znała dni wypłat; znała sobotnie, niedzielne i przedświąteczne wieczory na tej ulicy. Ilekroć wkraczała w gwar wypełniający obdrapane mury tej ulicy, ogarniał ją strach; dławiący, ciężki i obrzydliwie bliski, gdyż żyła nim od wielu lat. Starała się przechodzić szybko, broniąc się przed pijanymi i odpychając — o ile nie potrafiła ich wyminąć — zalotników. Dziś liczyła na to, że ujdzie spojrzeniom ich zmętniałych oczu.

Przytuliła się do niego i przymknęła oczy. Weszli w jej ulicę objęci ramionami. Do domu mieli zaledwie kilkaset metrów i już odezwała się w niej nadzieja, że przejdą w ciszy, nie zauważeni. Wtedy z bramy, gdzie stało ich kilkunastu — w ciemności, skąd nie było widać ich twarzy — ktoś powiedział do Piotra:

— Puść to ciało, bo cię obsra.

Piotr szarpnął się. Agnieszka zawisła całym ciężarem na jego ramieniu.

— Stój! Błagam cię, stój!

— Puść!

— Oni cię zabiją!

Wbiła w przegub jego dłoni paznokcie i wbijała je za każdym krokiem głębiej, tak, iż czuła pulsowanie jego żył. Szeptała:

— Jeśli się ruszysz, nie chcę cię znać, nie chcę cię znać, nie chcę.

Szli dalej. Ktoś powiedział:

— Dlaczego oni ją zaczepili? Ja ją znam.

— To porządna dziewczyna?

— Na pewno.

— Odczep się od niej, łobuzie.

— Łobuz, to na wierzchu nosi.

— Byłeś kiedy cyckiem bity?

— Lala!

— But ci się rozchromala!

— Dzidzia: jeden raz, a dasz mi szczęście.

— Halo, mała.

— Nie bądź taka zarozumiała.

— Rysiek, zobacz, gejsza.

— Co z tego, kiedy nietutejsza.

— Próbowałeś?

— Ja, skąd? Ja nie do takich rzeczy. Człowiek skromny jestem.

— Z czego człowiek ma mieć siłę do tych rzeczy? Z tych kartofli?

— Bądź spokojny: jakby ci dobrze dała, to byś jeszcze zrobił te sześć numerów.

— Przez pół roku.

— Co byś zrobił, jak byś miał taką lalkę?

— Ja? Rżnąłbym i bym płakał.

— Święta dziewczyna.

— Leży na krzyżu i czeka na gwóźdź.

— Stój — szeptała Agnieszka. — Błagam cię, stój...

— Czy pani mieszka sama?

— Co cię to obchodzi?
— Z kutasiną po prośbie pójdziesz?
— Ja bym poszedł, ale on jej na pewno cały czas palec trzyma.
— Na ustach.
— I w te nogi.
— I w tą buźkę.
— Zdrowa dziewczyna, panie Zbyszku. Zamordowałaby pana.
— Bogdan, ten szoferek z Metra, to by jej dogodził. On miał zaganiacza, Boże ty mój drogi. Nie to, co człowiek: dziękuje Bogu, że ma się czym odlać.
— Tylko by brwiami ruszała.
— A twoja stara czym rusza?
— Szczotką do zamiatania. Ona nie lubi tej roboty.
— Z tobą nie. Z sąsiadem — tak.
— Boże, żeby ona mi dała.
— Powąchać?
— Potrzymać?
— Matki swojej poproś, niech ci da.
— Powiedz jej, może to dobra dziewczyna.
— Nikomu nie może odmówić.
— Ma dobre serce.
— Na takiej laleczce Michałowski w zeszłym roku całą orkiestrę złapał.
— Z syfuniem?
— Z szankrem syberyjskim.
— Stój — szeptała Agnieszka. — Stój, stój...
— Takie ciało to majątek.
— Takie nogi to wyjątek.
— Jak ci na imię, moje dziecko?
— Spermensita.
— Ładna.
— Tą buźkę ma taką, ach mój Boże. Raz sobie wrzucić i umrzeć.
— Całą noc bym chromolił.
— Ale głupstwa.
— Ja ją znam. Halo, proszę pani! Czy pamiętasz tę noc w Zakopanem?
— To wtedy, kiedy ci zegarek zginął?
— Kobieta jak lato.
— Cóż z tego?
— Nie przejmuj się pan. Sposobem wróbel kobyle dogodził.
— Nie opuszczaj pan głowy.
— Głowę, to ja mogę podnieść. Ale kto jego podniesie?
— Zmów pan nad nim trzy zdrowaśki a potem...
— Co potem?
— W szachy grać.
— To ten cwaniak ją pokrywa?
— Zwija się jak królik i chromoli jak cyrulik.
— Czy on jej dogodzi? Taki szczupły chłopaczek?
— Zapytaj się go.
— Panie młody: jak pan to robi?

— Pozwól pan tu, pożyczę panu swojego.

Ktoś rozpiął rozporek.

— Nie rób pan tego nigdy. Pożyczyłem raz koledze na wesele i patrz pan, co oddał.

— Patrzę i nic nie widzę.

— O to właśnie chodzi.

— Zapytaj się jej, ile ona chce.

— A ile ty masz?

— Dwadzieścia złotych.

— Za dwadzieścia złotych to wiesz, co możesz zrobić?

— Umyć rękę pachnącym mydłem i łubudu.

— I potem strząśnij. Jak ma zostać dziwką albo złodziejem, niech lepiej zginie z ręki ojca.

— Panie Czepkowski, co ich łączy?

— Szesnaście i pół centymetra.

Weszli do bramy. Było ciemno i błogosławili ciemność. Ulica ścichła i słyszeli tylko własne gorączkowe oddechy. Nie mogli złapać tchu: Agnieszka oparła się ciężko o ścianę. Jej twarz białą plamą odznaczała się od muru; widział, jak straszliwie błyszczą w niej oczy. Pachniało moczem i — gdzieś z górnych pięter — praniem. Z turkotem przejechał ciężki samochód, wrzeszczały koty. Pietrek powiedział ochryple:

— Nie było nic, nic. Był tylko las, jest tylko jutrzejszy dzień... Słyszysz?

Chciał ująć ją za rękę, lecz wyszarpnęła się. Milczała i w dalszym ciągu słyszał tylko jej przyspieszony oddech. U stróża radio chrypiało: „Pójdę srebrną ścieżką wśród ogrodów..." Ktoś przekręcił gwałtownie wyłącznik; i znów była tylko cisza i wrzask kotów.

— Nie było nic — powtórzył Piotr. — Jutro o tej porze będziemy razem, już jutro o tej porze.

Wyciągnął rękę w kierunku jej głowy. Wtedy z całej siły uderzyła go pięścią w twarz; zatoczył się, potknął o jakąś skrzynkę leżącą na ziemi i upadł. Głowa jego twardo zadzwoniła o beton.

— Odejdź — krzyknęła. — Odejdź, odejdź!

Nie oglądając się za siebie, szybko, po trzy schodki na raz, pobiegła na górę.

VI

Kiedy znalazła się już w domu, powiesiła płaszcz i weszła do pokoju, rozdygotana i prawie nieprzytomna. Ojciec chodził na rękach po podłodze. Koszula jego wysunęła się ze spodni. Twarz napęczniała mu z wysiłku, oczy nabiegły krwią; dyszał ciężko, po łysinie ściekały mu krople potu; wszystko to razem wyglądało dość obrzydliwie i Agnieszka odwróciła wzrok. Ta mania ojca była jej szczególnie wstrętna, choć litowała się nad nim trochę. Kiedy weszła i zobaczył ją, wykonał zręczne salto, potem stanął przed nią. Twarz jego jaśniała zadowoleniem.

— Mam jeszcze trochę siły, co? — zapytał.

— Chyba wiele.

— Wy, młodzi — powiedział — pojęcia nie macie, jak wspaniałą rzeczą jest

siła fizyczna. Patrzę czasami na tych chuchraków i żal mnie ogarnia; dzisiejsi mężczyźni są słabi jak rozgotowane pająki. — Wyjął ze szklanki sztuczną szczękę i umiejscowił ją zręcznie. Potem przysiadł obok Agnieszki na tapczanie. Wciąż jeszcze napinał mięśnie; twarde i okrągłe, biegające jak myszki pod zwiotczałą skórą. Zapalił papierosa i osadziwszy go w drewnianej cygarniczce zapytał: — Nie powinni mnie chyba prędko zwolnić, co?

Wzruszyła ramionami.

— Co ci przychodzi do głowy?

Uśmiechnął się ze smutkiem.

— Ty się śmiejesz — powiedział. — A to wcale nie jest takie śmieszne. Teraz bardzo chętnie zwalniają starych ludzi, a pracę wcale nie łatwo znaleźć. Niedawno miałem sprawę takiego starego człowieka, który już od kilku lat popełniał nadużycia, aby zabezpieczyć sobie starość. Jakoś tam się wykręcił i uznano go za niepoczytalnego. Takich wypadków było już zresztą wiele... — Przestał mówić i oglądał uważnie swoje ręce. Znienacka zajrzał jej w twarz. — Agnieszka — powiedział i w głosie jego wyczuła trwogę — czy ja wyglądam na swoje pięćdziesiąt pięć lat?

Przysunął bliżej swoją twarz, tak iż poczuła jego niezdrowy, kwaśny oddech. Wyglądał na o wiele więcej; był pomarszczony, łysy; cerę miał pełną wątrobianych plam, pod oczami duże worki. Był zniszczony, co się zowie zniszczony wojną, poniewierką i złym odżywianiem; jego umięśnione, zwierzęco silne ciało tworzyło kontrast z tą twarzą staruszka. Popatrzyła na niego przez chwilę — wyglądał jak biedny, stary pies; żadne inne porównanie nie przychodziło jej na myśl. Odwróciła wzrok i roześmiała się.

— Wyglądasz najwyżej na czterdzieści pięć — powiedziała. — Myślę, że w ogóle nie ma się nad czym zastanawiać. Wielu mężczyzn mogłoby ci pozazdrościć siły.

Odetchnął z ulgą.

— Powinnaś się gimnastykować — powiedział — to wiele daje. Grzegorz także... Zmienił nagle ton: — Gdzie jest Grzegorz?

— Nie wiem — powiedziała. — Wróciłam przecież przed chwilą. Czy do Grzegorza nikt nie przychodził?

— Nie. A ty nie wiesz, gdzie on może być?

Milcząca dotychczas matka odezwała się:

— Ty jej pytasz. Czy ją to obchodzi, co się w domu dzieje? Ona musi się szwendać ze swoim gachem i to jest dla niej najważniejsze. Ty możesz umrzeć, ja mogę umrzeć, ale ona musi się z nim puszczać.

— Chciałabyś, żebym się puszczała z tobą? — zapytała Agnieszka.

Podniosła się; patrzyły przez chwilę na siebie. Potem matka zamknęła oczy i twarz jej przybrała zwykły, męczeński wyraz. Agnieszka trzasnęła drzwiami i wyszła do kuchni. Nie zapalając światła postawiła herbatę na gazie. Dopiero teraz, kiedy podnosiła ciężki, napełniony wodą czajnik, zabolała ją ręka; podniosła dłoń do oczu, w świetle latarni z ulicy obejrzała ją — kostki miała stłuczone. Patrzyła w niebieski, syczący płomyk i myślała: „Ty już nie przyjdziesz jutro. Jutro klucz będzie leżał pod słomianką, tak jak umówiłeś się z Romanem, i nikt go nie podniesie. Widzisz. Gdyby istniała jakaś maszyna do odczytywania myśli, powinieneś wiedzieć, co teraz dzieje się ze mną. Wątpię, czy ja sama potrafię ci kiedykolwiek o tym powiedzieć. Ludzie nie potrafią

się porozumieć na ten temat. W jakich sprawach można porozumieć się z człowiekiem? Jeśli chodzi o pożyczenie dziesięciu złotych, butów czy wyżymaczki. I to już kres naszych możliwości. Ktoś kiedyś powiedział, że człowieka od człowieka dzieli ciemność; słyszeliśmy to kiedyś obydwoje. Widzisz. A tu jest gazowy płomyk. Daje trochę światła. Trochę ciepła. Można sobie ugotować herbaty. Albo płatków owsianych na śniadanie. Ale można zrobić więcej. Można wyrzucić ten czajnik do diabła, zamknąć drzwi na klucz, zdmuchnąć płomyk i spróbować nie myśleć już o niczym. Ani o tym, że ojciec pomału przekształca się w małpę; ani o tym, że za chwilę muszę wrócić tam do nich i położyć się spać; ani o tym, że na pewno nie spotkamy się jutro..."

Wszedł ojciec.

— Trzeba matce zaparzyć ziółek — powiedział. Zbliżył się do kontaktu i wyciągnął rękę.

— Nie zapalaj światła — powiedziała Agnieszka. Jej twarz wciąż jeszcze była mokra.

Zatrzymał się.

— Marzysz?

— Tak.

Usiadł; swoim zwyczajem splótł ręce na kolanach. Pochylił się cały w jej stronę.

— Chciałbym wiedzieć — o czym? — powiedział, starając się, aby wypadło to żartobliwie.

— Królewicz z bajki.

— Ma pałac?

— Chwilowo nie, ale przez kilka lat mieszkał w pałacu.

— Był zbudowany z kryształu?

— Tak. Z małą domieszką betonu i stali.

— Co widział ze swojego okna?

— To zależy. Przypuszczam, że niewiele. Tam zakładają na okna takie żelazne koszulki, żeby nie przychodziła ci ochota zwiać. W tym na pewno jest jakiś humanizm, ale jeśli ktoś ci zaśpiewa piosenkę o więźniu, który przez kraty ogląda błękit nieba, masz prawo w to nie wierzyć. W rzeczy samej nie widać nic.

— O czym ty mówisz, Agnieszka?

— W porządku — powiedziała. — Wszystko jest w porządku. Wyglądasz na czterdzieści pięć lat, za rok będziemy produkować o piętnaście procent więcej opon do traktorów niż obecnie, Zawadzki w końcu wyprowadzi się do wszystkich diabłów a nasze niebo nie jest puste: kilka tygodni temu wszystkie gazety zamieszczały fotografię polskich odrzutowców. Będziemy także eksportować polskie samochody do Pakistanu, a ilość górników, którzy są amatorami-pszczelarzami, wzrośnie czterokrotnie. Wszystko jest w porządku — krzyknęła — tylko nie każcie mi mówić tego, o czym myślę i jak myślę.

Wstał i zbliżył się ku niej.

— Matka cię rozdrażniła — powiedział cicho. Położył jej rękę na ramieniu. — Musisz być dla niej wyrozumiała. Zrozum, leży już od kilku miesięcy i nie chcą jej przyjąć do żadnego szpitala. Wiesz przecież o tym, że nie ma miejsc. Musisz być wyrozumiała.

— Matka jest nieuleczalnie chora — powiedziała Agnieszka. — Lekarze

o tym wiedzą jeszcze lepiej od ciebie. Nie przyjmą jej, bo trzeba ratować innych. Musi umrzeć tutaj.

Zwolnił uścisk i usiadł ciężko. Widziała, że uporczywie patrzy w jej twarz, i cofnęła się jeszcze bardziej w ciemność.

— Przyjmą ją wreszcie — powiedział po chwili.

— Nie — rzekła Agnieszka. — Nie ma się co łudzić. W tych warunkach, kiedy dla innych nie ma miejsc, nie powinni jej przyjmować. Musi zostać z nami.

— Ty nie kochasz matki?

Wzruszyła ramionami.

— Obchodzi mnie jej los — rzekła.

Przesunął ręką po czole. Zgarbił się nagle i był już tylko żałosnym, starym człowiekiem, któremu nie mogły pomóc silne mięśnie.

— Sam o tym często myślę — rzekł. — Tak by chyba było dla niej najlepiej. Po cóż ma się męczyć niepotrzebnie w tym domu, ze mną, z tobą, z tymi pijakami na ulicy? Koniec jest zawsze końcem. Powinniśmy rozumieć ten moment, kiedy wszystko jest już poza nami. Do mnie także zbliża się starość. Powinno się budować takie domy, gdzie bezboleśnie zgładzanoby starych ludzi. Kiedy już będę do niczego, poproszę Grzegorza, żeby mi dał coś na sen. Może na to mi się przyda jego chemia.

— Więc o co ci chodzi? — powiedziała Agnieszka. — Spotkacie się z matką w niebie i tam będziecie kontynuować swój wspaniały żywot. A teraz dość tych bzdur. Zapal światło, będziemy parzyć ziółka.

Na ulicy śpiewano. Zamknęła z trzaskiem okno. Podeszła do kuchni i patrząc w pokrywkę rondelka, myślała: „Dokąd teraz idziesz? Co czujesz, co myślisz? Gdzie cię znaleźć w tej gmatwaninie pijaństwa, betonu, bredni i wygłupów? Żebym chociaż mogła wiedzieć, jak wyglądasz w tej chwili? Czy spotkamy się jutro? A jeśli tak, to co powiemy sobie w pierwszej chwili? »Przepraszam« — nie. »Uniosłam się« — nie. »Sama nie wiem, dlaczego tak zrobiłam« — nie. Wiesz co? Zawrzyjmy taką umowę: nie powiemy nic. Nie powiemy nigdy ani słowa na ten temat. Pójdziemy prosto po klucz; otworzymy drzwi i nareszcie znajdziemy się sami w czterech ścianach, gdzie nie będzie nikogo ani żadnych złych wspomnień, gdzie wszystko, wszystko będzie można..."

— Kipi — zawołała z pokoju matka. — Czy nie słyszycie, że kipi?

Agnieszka drgnęła, ojciec także. Uśmiechnęli się do siebie.

— Wyjdę jeszcze na chwilę — rzekła. — Głowa mnie boli.

— Idź do Zawadzkiego — powiedział ojciec. — Będzie mu przyjemnie.

— On ciągle reperuje ten swój motocykl?

— Tak.

Znów się uśmiechnęła.

— Nie martw się — rzekła. — Wszystko będzie dobrze. W niedzielę pojedziesz sobie na ryby. To już coś jest.

Westchnął.

— Jeszcze dwa dni — powiedział. — Trzeba czekać.

— To fraszka. Potem ci będzie przyjemniej.

Narzuciła płaszcz i zbiegła po schodach. W kącie podwórza Zawadzki wybudował sobie z jakichś szczątków garaż, gdzie trzymał motocykl. Zastała go pochylonego nad silnikiem.

— Dobry wieczór — powiedziała. — Jeszcze tylko dwa konie i będziesz mógł jechać.

— Może byś tak poszła spać — zaproponował nie unosząc głowy. — Młode kobiety nie powinny się szwendać po nocy. Przychodzi ochota na głupstwa.

— Dlaczego? Mam ochotę z tobą porozmawiać. Jak narzeczona?

Przykucnęła obok niego. Zgrzytnął zębami.

— Jeśli ona myśli, że mnie obuja — rzekł — to spotka ją przykre rozczarowanie.

— Nie takich jak ty okłamują kobiety — powiedziała Agnieszka.

Wstał nagle. Podniósł przenośną lampę na długim kablu i oświecił nią swoją twarz.

— Agnieszka — powiedział głucho — przyjrzyj mi się dobrze i powiedz, czy ja wyglądam na takiego człowieka, z którego można zrobić kretyna?

Oświetlony od dołu, barczysty i wysoki, z ostrymi rysami twarzy, wyglądał groźnie. „Ja cię już gdzieś widziałam — pomyślała nagle Agnieszka. — Nie, nie ciebie. Kogoś, kto tak wyglądał, jak ty w tej chwili. Zupełnie tak samo. Nawet lewą rękę unosił do góry takim samym gestem. Gdzie to było i kto to był?"

— Nie — powiedziała. — Nie wyglądasz.

— Jeśli to wszystko prawda — rzekł — to ją tak stłukę po mordzie, jak chłopcy w wojsku tłuką dziwkę, która zaraziła.

— Czym ona cię zaraziła?

— Boję się, że trudno by mi było potem wierzyć ludziom — rzekł. — Widziałem w życiu wiele, ale nie chcę, żeby byle dziwka wyprała mnie do końca. — Podniósł ku niej umazaną smarami twarz. — Chcę wierzyć ludziom — powiedział. — To jest w końcu najważniejsze. Do jasnej cholery, czy ty tego nie rozumiesz?

— Nie oszukała cię jeszcze żadna?

Roześmiał się nieprzyjemnie.

— I nie oszuka. Na Boga Ojca: byłem i w obozie, i na froncie; czasem wydawało mi się, że trafiłem w sam środek piekła — to w końcu człowieka czegoś uczy, jak myślisz?

— Oczywiście — rzekła. Znów spojrzała na jego twarz. „Gdzie ja widziałam taką twarz — pomyślała. — Co to było? Ten człowiek tak jakoś rozpaczliwie wyciągnięty ku górze. Z tą skupioną twarzą wyrażającą niesłychane napięcie. Gdzie to było? kiedy?" — Niech cię licho weźmie — powiedziała do Zawadzkiego. — Widziałam kiedyś kogoś strasznie podobnego do ciebie. Nie mogę sobie przypomnieć kiedy i gdzie. Teraz całą noc nie będę spała. Trzymaj się.

Wróciła do domu. W przedpokoju natknęła się na ojca; był już w płaszczu i zdejmował z wieszaka kapelusz.

— Czy Grzegorz na pewno nie powiedział ci, dokąd idzie? — zapytał.

— Nie — powiedziała. — Nie mówił mi nic prócz tego, że już nie będzie więcej pić.

— Matka nie chce zasnąć — rzekł. — Denerwuje się o niego. Muszę go iść poszukać.

— Kładź się spać — powiedziała Agnieszka. — Po co ci ma ktoś wymyślać, kiedy jutro zaśpisz i spóźnisz się do pracy. Sama go poszukam.

Znów poszła podwórzem i myślała: „A ty gdzie jesteś? Może też poszedłeś gdzieś i upiłeś się tak jak Grzegorz? I teraz bredzisz; i łapiesz ludzi za guziki, i opowiadasz im naszą historię, która nikogo prócz ciebie i mnie nie obchodzi? Czy robisz tak? Może teraz leżysz z otwartymi oczyma i powtarzasz moje imię: »Agnieszka, Agnieszka«. Może boisz się jutra, tak jak i ja? Jeżeli w tej chwili potrafisz coś zrozumieć i domyślić się czegoś, to pamiętaj: jestem teraz z tobą. Jestem z tobą, nawet jeśli leżysz w rynsztoku. Nawet wtedy, jeśli zwariowałeś i poszedłeś do jakiejś dziwki. Jestem z tobą wszędzie, jeśli tylko myślisz o mnie".

W bramie natknęła się na Zawadzkiego; wyprowadzał motocykl.

— Przejadę się kawałek, aby go wypróbować — oświadczył. — Ty dokąd?

— Szukać Grzegorza.

— Pije?

— Nie przypuszczam, aby leżał krzyżem w kościele.

Byli już na ulicy. Zawadzki kopnął rozrusznik i silnik zaskoczył.

— Siadaj — rzekł. — Podrzucę cię do śródmieścia.

Ruszyli z hałasem. Przejechali około stu metrów i silnik począł się krztusić, po czym — po kilku gwałtownych szarpnięciach — motocykl przystanął. Agnieszka zeskoczyła z siodełka.

— Znów sprzęgło — powiedział Zawadzki.

Wyglądał na zupełnie zgnębionego. Stali w świetle latarni i blask z góry oświecał jego ostrą, nieruchomą w tej chwili twarz. Agnieszka drgnęła nagle.

— Już teraz wiem — powiedziała.

— Co?

— Gdzie widziałam taką twarz, jak twoja. Może nawet nie twarz, ale człowieka stojącego w tej pozie, z takim wyrazem.

— No?

— Był kiedyś taki film. Jakiś terrorysta zabija przypadkowo człowieka; musi uciekać, a sam jest ranny. Goni go całe miasto: policja, szpicle, jakieś małe hieny; wszyscy chcą go złapać i wyzyskać do jakichś brudnych celów. I szuka go także jego dziewczyna.

— To szlachetne z jej strony. Co dalej?

— Znajduje go w końcu — powiedziała Agnieszka. Uśmiechnęła się. — Znajduje go wtedy, kiedy jest już umierający i nie ma sił uciekać. Zbliża się już policja; pamiętam z tego filmu zbliżające się latarki policji. I ta dziewczyna postanowiła zginąć z nim razem. Nawet pamiętam ostatnie słowa tego filmu. Ten umierający pyta: „Czy daleko jeszcze?" Ona mu odpowiada: „To daleka droga, ale pójdziemy w nią razem".

Urwała.

— I co? — zapytał.

— I giną razem, Zawadzki. Giną od salwy policyjnej. Ale nie to jest ważne. Oni wierzyli sobie do końca. Że widocznie tak trzeba, że tak właśnie warto, a nie inaczej. Życie grozi rozstaniem, ale śmierć łączy na zawsze.

— Głupia jesteś, rozumiesz?

— Rozumiem. Dobranoc.

Odeszła.

VII

Szukała go we wszystkich knajpach śródmieścia i nie znalazła nigdzie; zaglądała do tych, gdzie bawi się elita; i do tych, do których urzędnicy przynoszą wódkę w teczkach i odbijają pod stołem. W „Kameralnej" ulubiony portier Grzegorza — potężny pan Miecio — przymrużywszy oko, szepnął: „Był, ale odpłynął w miasto. On ostatnio sercowy, tak?" „Tak" — powiedziała Agnieszka. Po obejrzeniu setek pijanych twarzy i targach z portierami była zupełnie wyczerpana; chwiała się na nogach i myślała bez przerwy: „Spać, spać..." Pan Miecio wziął ją za rękę i zaprowadził do garderoby; wlał jej w gardło szklankę wódki i powiedział: „Niech pani się pofatyguje na Zieleniak. On tam poszedł dojrzewać". Wsadził ją w taksówkę i zamknął drzwi.

— Chce pani tam jechać? — powiedział ze zdziwieniem kierowca taksówki, kiedy podała mu kurs. Gwizdnął: — To nie jest miejsce dla młodych kobiet.

— Skąd pan wie, do jasnej cholery — powiedziała z wściekłością Agnieszka — gdzie jest miejsce dla młodych kobiet?

Uniósł rękę i nakierował lusterko na odbicie jej twarzy; zwalniał specjalnie pod mijanymi latarniami. Długo milczał; taksówka z brzękiem wlokła się przez ciszę miasta. Potem kierowca roześmiał się.

— Nie wyglądasz — powiedział. — Naprawdę nie wyglądasz. — Westchnął, potem dodał: — Człowiek do końca życia jest głupi... — Położył rękę na taksometrze: — Koniec. Baw się zdrowo, dziewczyno.

Zapłaciła i wysiadła. Szła wśród stojących furmanek; konie spały, zwiesiwszy łby w torby z obrokiem. Nie lśniła na niebie ani jedna gwiazda; tylko światło na iglicy Pałacu krwawiło mętnie. Olbrzymi plac Zieleniaka był mroczny i wymarły, lecz wiedziała, że o wschodzie słońca zaczyna się tu życie pełne gorączkowego zgiełku, mętnych interesów, szelestu pogniecionych pieniędzy i szeptów. „Małe świństwa mówi się głośno — pomyślała przeskakując przez jakiegoś pijaka. — Wielkie szeptem. Prawdy natomiast nie mówi się w ogóle. Kto wie, czy każda prawda nie jest w gruncie rzeczy największym świństwem?" Koń zarżał jej tuż nad głową; zaklęła i uskoczyła w bok.

Knajpa mieściła się w olbrzymim baraku; przychodzili tu furmani przywożący warzywa do miasta. Kiedy weszła na salę, zobaczyła go od razu. Siedział obok bufetu, przy stoliku zalanym piwem; rysował palcem jakieś zawiłe wzory. Przy tym samym stoliku spał pijany człowiek, oparłszy czoło na blacie. Kiedy Agnieszka usiadła, Grzegorz nie podniósł nawet głowy.

— Zbawiasz ludzkość? — zapytała.

— Zgadza się.

— No i co?

— Siła bomb wodorowych. To jedyne, co dziś może napełniać optymizmem.

— Bardzo ładnie powiedziane. Nie miałbyś ochoty wrócić do domu?

— Jej nie było?

— Nie.

— Matka jeszcze nie umarła?

— Nie.

— Nic się nie zmieniło?

— Nic.

Teraz dopiero podniósł na nią oczy.

— Więc po co przyszłaś? — zapytał.
— Chcę, żebyś wrócił do domu.
— Dowcipu ci nie brak.
— Wiesz, że matka nie może spać, kiedy ciebie nie ma.
— Ja w ogóle nie mogę spać. I co z tego?
— Grzegorz.
— No?
— Szukałam cię pół nocy.
— Poszukiwania uwieńczył sukces, więc o co ci chodzi?
— Grzegorz, jestem strasznie zmęczona. Chciałabym spać. Nic więcej, tylko nareszcie spać. Którą to już noc łażę za tobą? Zrób to dla mnie i wróć. Upij się, zalej się, ale niech to nie trwa długo, i wróć.

Spojrzał na nią.

— Jesteś bardzo ładna — powiedział. — Masz naprawdę zielone oczy. Masz coś męczeńskiego w twarzy. Wzruszające kąciki ust; jakaś dziecinna bezradność pomieszana z goryczą. O takich kobietach jak ty marzy się na wygnaniach, w katorgach i tak dalej. Ten twój bubek musi za tobą szaleć, co? Nasi rodzice go nie lubią, bo gnił w kryminale. To dziwne. Mnie, ilekroć miałem jakąś dziewczynę, rodzice zawsze lubili. Do pierwszej skrobanki.
— Wrócimy już, Grzesiu.
— Posłuchaj mnie, Agnieszka. Lepiej będzie, jeśli wrócisz sama. Chcę swoje drogi przejść do końca. Chcę zobaczyć, do jakiego stopnia można się otępić. Ty nie musisz na to patrzeć. Odejdź i zostaw mnie.
— Chcesz się skończyć, Grzegorz?
— Możesz to nazwać, jak chcesz. Nazwa jest w tym wypadku obojętna. Żadna metafora nie zagra. Nie chcę już więcej kochać, cierpieć, czekać ani wierzyć w rzeczy, których nie potwierdza życie. Czy żądam od was wiele? Tylko tego, żebyście zapomnieli o mnie. Jakim prawem zaklinasz mnie na rodziców, których sama nie kochasz? Kto z nas może naprawdę kochać swoich rodziców? Ci głupi, obcy, zakłamani ludzie, z którymi wiąże mnie tylko adres na karcie meldunkowej — za co ich kochać?

Spojrzała na niego. Starzał się; wyglądał na wiele więcej niż miał w istocie. Kąciki ust z każdym dniem coraz bardziej opadały mu w dół, zmarszczki wokół oczu stawały się białe. Byłby nawet i ładny, gdyby nie wiecznie opuchnięta twarz i przekrwione, mętniejące oczy — tak samo zielone jak i u niej. „Ty kretynie — pomyślała. — Żebyś wiedział, jak cię naprawdę kocham. Może nawet najwięcej ze wszystkich. Żebym miała choć trochę pewności, że się wygłupiasz — nie siedziałabym w tej chwili z tobą. Wiem, że mówisz to, co czujesz naprawdę. A ja, kość z kości, krew z krwi, twoja siostra, siedzę tutaj, naprzeciw twojej skacowanej gęby i nie mogę dla ciebie nic zrobić; nawet tego, aby cię zataszczyć do domu. Chciałabym, abyś mógł się w tej chwili domyślić, że naprawdę nic dla ciebie nie mogę zrobić."

Przy bufecie powstał jakiś rumor. Dwóch kelnerów wyciągnęło za kołnierz jakiegoś jegomościa; jeden z nich w drzwiach pchnął go kolanem. Agnieszka pochyliła się do Grzegorza.

— Czy ja dla ciebie także nic nie znaczę?
— To demagogia — powiedział. — Metoda zupełnie już skompromitowana. Stalinowi się nie powiodło; jakim prawem sądzisz, że powiedzie się tobie?

— Nic nie sądzę. Jestem po prostu zmęczona.

— Wszyscy są zmęczeni. Dwie rzeczy, które w Polsce wiążą ludzi: wódka i zmęczenie.

— Grzegorz, ty przecież wiesz, że w końcu będzie lepiej.

— Na pewno. Ale powiedz mi, w jaki sposób zapomnieć o tym, co było, czym się żyło, jak postępowało się z ludźmi? Kapepowców zrehabilitowano po śmierci, kto mnie zrehabilituje za życia?

— Nie uczyniłeś przecież nic złego.

— Nie miałem władzy. Miałem tylko fanatyzm. Byłem świnią we własnym zakresie. Starałem się, jak mogłem. To też coś znaczy. Łatwiej oczyścić się z wielkich omyłek niż z drobnych świństw, przysięgam ci. Byłem sekretarzem na swojej uczelni. Wyrzucałem facetów ze studiów tylko dlatego, że mieli ciotkę w Pernambuko lub że pradziadek był carskim szpiclem. Starałem się, jak mogłem, wierz mi. A teraz chcę wiedzieć: w którym miejscu życia jestem? Czy jestem świnią, czy bohaterem? To zresztą nieistotne: byle świnia może stać się bohaterem, kiedy zajdzie ku temu potrzeba. Chcę wiedzieć: z czym mam wrócić do życia? I chcę gwarancji, że będę miał czyste ręce w przyszłości.

— Tutaj, na Zieleniaku, nie dowiesz się tego. Poza tym jest jeszcze idea. Mądra i sprawiedliwa.

— To prawda. Ale słabością każdej mądrej idei jest to, że starają się realizować ją głupcy.

— Towszystko słowa – powiedziała Agnieszka. Oczy zamykały się jej ze zmęczenia. — Szukasz pretekstów do picia, Grzegorz. O to zawsze można się postarać.

— Sam fakt, że żyję — powiedział Grzegorz — jest wystarczającym pretekstem, aby czynić wszystko. Ale ja chcę wiedzieć: co dalej? Mówisz — pretekst. Dobrze. Opowiem ci coś. Kiedyś spotkaliśmy się z kolegą, którego nie widziałem parę lat. Poszliśmy do knajpy, wypiliśmy po parę kieliszków. Na takich facetów jak on mówiło się wtedy „czarna reakcja". W sensie terminu oficjalnego. Porozmawialiśmy sobie tak po duszy. I mnie się wtedy już wiele rzeczy nie podobało, i jemu. Potem rozstaliśmy się. Facet — wróg. Najgorszy. Nie ma pistoletu, ale szepcze. Sieje zamęt. Przez takiego człowieka trudniej przejść jak przez zasieki. Krótko mówiąc: powinno mu się zamknąć w jakiś sposób mordę. I spotkaliśmy się z nim za trzy godziny — w bezpiece. Ponieważ i on, i ja wkraczaliśmy jednocześnie do gmachu, tym razem historia żadnemu z nas nie przyznała racji. Ja broniłem swojej wiary, swojej sprawy przed wrogiem; on swojej wolności. Na Boga, który z nas jest łotrem, a który człowiekiem? Do dziś tego nie wiem.

Pochylił się ku niej.

— Załóżmy nawet, że ona przyjdzie — powiedział. — Że ona w końcu przyjdzie. W ostatnią sekundę niedzieli. Odejdzie od męża, od dzieci i zostanie ze mną. Z jaką twarzą stanę przed nią? Z jakim sercem? Czym mam ją kochać, jeśli sam sobie przestałem wierzyć i sam sobą pogardzam? Czy świat, w którym żyjemy, jest miejscem, gdzie może rozwinąć się miłość? Dzisiaj nie śpi się z kobietami dla przyjemności, ale dlatego, żeby opowiadać o tym kolegom. Nie chcę stwarzać sobie iluzji życia. Nie chcę się chować ze swoją miłością przed innymi. I w pierwszym rzędzie chcę wiedzieć: co się stanie z Polską? Z tymi, których skrzywdzono? Z partią? Z wolnością? Chcę wiedzieć, co się stanie z tymi, którzy zawiedli moje zaufanie? Z tymi, którzy wmawiali mi, że walczę

i zwyciężam, podczas gdy cofałem się do tyłu, przeciw ludziom, przegrywałem swoją wiarę i swoje sumienie. Własny głos słyszy się gardłem, lecz własne życie można usłyszeć tylko własnym sumieniem. Chcę znaleźć wodę, w której mógłbym umyć ręce. Czy jest sens w takich warunkach mówić o miłości? Wszyscy słyszeli, że coś takiego istnieje, ale — dalibóg — jak to wygląda? Jak to ma wyglądać? Jak godzić czyste uczucia z brudnymi rękami? To jest problem. Niejeden. Dzisiaj Hamlet ze swoim „być albo nie być" mógłby zostać chłopcem na posyłki u pierwszego lepszego sekretarza powiatu. Życie rozsadziło narzucone schematy jak gliniane skorupki: co stworzyć na to miejsce? Być albo nie być. Ludzie są zmęczeni, upadają na mordę, czym ich podnieść? Być albo nie być. Cynizm w szybkim tempie staje się jedyną moralnością. Być albo nie być. Czy w ogóle może powstać coś wartościowego na świecie, który swą równowagę utrzymuje szantażem? Być albo nie być. Stworzono już sztuczne księżyce, ale człowiek ze swoimi prawdziwymi uczuciami i pragnieniami cofa się do świątyni. Być albo... Szefie, ćwiartkę proszę.

Kelner zabrał butelkę w przelocie i pobiegł dalej. Światło; okna wypełniły się brudnym światłem. Na salę z hałasem weszło jakieś pijane towarzystwo. Agnieszka obrzuciła ich wzrokiem: wszyscy byli świetnie ubrani i rozbawieni.

— Zamykają już nocne lokale — powiedział Grzegorz. Wskazał głową na tych, którzy weszli. — Architekci. Przychodzą tutaj, aby się dopić. Trzeba utrzymać więź z masami.

Kelner podszedł, postawił butelkę: — Kiedy pan płaci?

— Za parę dni — powiedział Grzegorz. Kelner odszedł. — Popatrz na nich — powiedział Grzegorz. — Może ci się zrobi lżej.

Agnieszka odwróciła głowę. Przy bufecie tłoczono się; panował nastrój radosnego poranka. Wysoki, szpakowaty pan o wzniosłej twarzy, ubrany w świetnie uszyty garnitur z angielskiej wełny, klepał po ramieniu jakiegoś chłopaka o wyglądzie początkującego rzezimieszka i mówił głośno:

— Ja jestem swój, zwyczajny chłopak. Z Woli. Przed wojną latałem do kina „Roxy". Lubiłem kowbojskie filmy. Na Woli takie dawali. Staśka Malinowskiego z Woli znasz?

— Nie — odparł zagadnięty marszcząc niskie czółko.

Szpakowaty pan rozpromienił się.

— Widzisz, widzisz. Boże, co to były za straszne czasy! Był głód, była nędza. O robocie — ani marzyć... — Wspaniałym gestem uniósł dłoń do góry. — Szefowa! — powiedział do bufetowej. — Królewno! Kolejka dla wszystkich. Na mój szczot! Napijemy się za robotniczą Wolę. — Zwrócił się do chłopaka. — Na imię mi Andrzej, a ty?

— Kazik.

Szpakowaty pan klasnął w dłonie.

— No, to buźka. — Wręczył chłopakowi kieliszek. — Twoje zdrowie, Kazik. I za Wolę.

Grzegorz wstał. Nalał całą zawartość ćwiartki do kufla i podszedł do bufetu. Skłonił się przed jakąś wydekoltowaną panią.

— Państwo pozwolą — zapytał — że przyłączę się do toastu?

— Prosimy, prosimy — odezwały się głosy.

— Za robotniczą Wolę — powiedział Grzegorz. Chlusnął szpakowatemu panu wódką w twarz i odskoczył w tył. W ręku chłopaka o niskim czółku błysnął

nóż. Grzegorz wyciągnął pistolet. Uniósł lewą dłoń do góry. — Spokojnie — powiedział. — Stać na miejscach. Nie będę się bił po chamsku. Strzelam.

Wyszli. Na dworze Agnieszka powiedziała:

— Ulżyło ci?

— Trochę — rzekł. Schował pistolet. Popatrzyła na niego z boku.

— Nie można powiedzieć, żeby ci brakowało polskich cech.

Wzruszył ramionami, potem uśmiechnął się skąpo.

— Sam powiedział, że lubi kowbojskie filmy — rzekł. — Trzeba wnikać w marzenia i pragnienia klasy pracującej, rozumieć jej dążenia... — Zamilkł, po jakimś czasie zapytał: — Czy ona przyjdzie w niedzielę?

— Na pewno — apatycznie powiedziała Agnieszka; nie wierzyła ani sobie, ani własnym słowom, ani blednącemu niebu.

VIII

Duża wskazówka zegara zbliżała się już do cyfry dwanaście. „Siódma — pomyślała Agnieszka. — Już nie przyjdzie. Na pewno nie przyjdzie." Ogarnęła ją ulga i to na chwilę przytłumiło żal. Stała pod zegarem Dworca—Śródmieście. Była sobota; ludzie, ogarnięci szałem niedzieli, wbiegali w pośpiechu na peron; tłoczyli się i wymyślali sobie, objuczeni paczkami i walizkami. Chrypiał co chwila głośnik, oznajmiający odjazdy pociągów; w dole zapalały się czerwone i zielone światła. Znów spojrzała na zegar: wskazówka przeskoczyła już dwunastą o trzy minuty. „Koniec — pomyślała. — Więc to tak wygląda: światła, wrzask i tłok. I nic z tych uczuć, które inni zwą cierpieniem. Po prostu otępienie." Wskazówka znów przeskoczyła o jedną podziałkę; kiedy opuściła wzrok, Piotr stał przed nią.

— Nie mogłem się dostać do tramwaju — powiedział. — Sobota, opętanie. Trzy razy milicja zdejmowała mnie z buforów.

Uśmiechnęła się.

— Mogli się przecież domyślić, że jedziesz do mnie.

— Oni nie są od myślenia — powiedział. — Oni są z milicji. Chodźmy już stąd. Nie lubię dworców kolejowych. To mi zawsze pachnie rozstaniem.

Wciąż jeszcze nie ruszali się z miejsca. Patrzyli na siebie; Piotr był blady, oczy miał zmęczone. Chrypiały głośniki: „Pociąg do Mińska Mazowieckiego odjeżdża..." Galopem przebiegały tabuny ludzi. Agnieszka zapytała:

— Gniewasz się?

Pokręcił głową.

— Do wszystkiego można się przyzwyczaić — powiedział. — Inni robili to jeszcze lepiej od ciebie. Zakładali gumowe, grube rękawiczki, takie, jakich używają hutnicy. Taką rękawiczką można człowieka walić przez czterdzieści osiem godzin po mordzie i nie ma śladu. Tylko dziąsła trochę puchną, tak jak niemowlakom przy pierwszych zębach. Pamiętam, którejś nocy...

— Chodźmy! — powiedziała Agnieszka. — O której ten klucz miał być?

— Od szóstej. Już tam czeka.

— Więc na cóż my czekamy?

Wstąpili po drodze do małej kawiarenki. Ludzie, pochyleni ku sobie przy okrągłych stolikach, brzęczeli jak muchy. Przy staroświeckim pianinie o kolorze jasnego orzecha kiwał się łysy jegomość; rąbał melodię grubymi pal-

cami, oczy cały czas miał przymknięte. „Drzemie, łobuz" — pomyślała Agnieszka i ku swemu własnemu zdumieniu rozzłościło ją to. Tęga kelnerka po długiej chwili przyniosła im kawę i ciastka; kawa była prawie zupełnie zimna, a ciastka obrzydliwe. Piotr milczał; zwiesiwszy głowę, bezmyślnie poruszał w swej filiżance łyżeczką.

— Wyglądasz w tej chwili jak cymbał — powiedziała ze wściekłością Agnieszka. Narastał w niej niepokój.

— Cieszy mnie to — mruknął.

— Może byś tak coś powiedział?

— Boję się — powiedział. — Zawsze się bałem. Zawsze to nie wychodziło tak, jak pragnąłem. A teraz boję się jak jasna cholera.

Agnieszka kopnęła go pod stołem w kostkę. Podskoczył.

— A ja? — powiedziała histerycznie rozedrganym głosem. — Cóż ja mam powiedzieć?

— Spałaś już chyba z kimś, nie?

Popatrzyła na niego z nienawiścią.

— Teraz będę spać z tobą — warknęła. — I tylko chyba to jest ważne, nie?

Poderwała się nagle i chwyciła go za rękę.

— Idziemy.

— A rachunek, na miłość boską?

— Zostaw jej wszystko co masz, ale chodź już.

Wyszli z takim pośpiechem, że szatniarz obrzucił ich zdumionym spojrzeniem. Ulica biegła w ciemność. Rzadkie latarnie rozpraszały się w mroku. Szli szybko obok siebie, w milczeniu. Piotr chciał objąć Agnieszkę: odtrąciła go.

— Co ci jest? — krzyknął.

Przystanęła. Patrzyła z natężeniem w jego twarz. Musiał przymknąć oczy.

— Pietrek — szepnęła.

— Tak.

— Co czułeś, kiedy pierwszy raz spałeś z kobietą?

— Pewnego rodzaju radość.

— Że jesteś już mężczyzną?

Zaśmiał się sucho.

— Nic podobnego — rzekł. — Że nigdy nie będę kobietą.

— Po co my tam idziemy?

— Możemy wrócić.

Widział na jej twarzy chwilę wahania.

— Nie — rzekła. — Chodźmy. Tylko to chciałam wiedzieć.

Znów szli w milczeniu. Kiedy mijali latarnie, cienie ich splatały się z sobą i odpływały w bok. Na dachach wrzeszczały koty. Agnieszka uśmiechnęła się nieprzyjemnie. Od Wisły ciągnął chłód, lecz zrobiło jej się tak duszno, że odpięła górne guziki bluzki.

— To pierwszy raz od czasów więzienia — powiedział nagle Piotr.

— Co?

— Z tobą.

— Naprawdę? — powiedziała bezmyślnie.

— Tak. Prawdziwa wolność nie następuje od razu.

— Daleko jeszcze? — spytała po pewnym czasie.

Blisko. Parę kroków. Sto metrów. Pięćdziesiąt metrów. Dwadzieścia. Już tutaj.

Weszli do bramy. Szli w górę ciemnymi schodami; gdzieś wysoko siedział niewidoczny kot i miauczał; Agnieszka odczuła nagle chęć, aby go zamordować. Schody pachniały praniem, kiszoną kapustą, smażonymi kartoflami i Agnieszka pomyślała nagle: „To było. To wszystko gdzieś już było. Te schody, kot..." Jakiś pan schodził z góry i spojrzał na nich z roztargnieniem; Agnieszka z trudem powstrzymała się, aby nie krzyknąć: „Czego tak patrzysz, półgłówku?" Potem zatrzymali się przed jakimiś drzwiami: tu właśnie siedział mały kotek. Kiedy zobaczył ich, prychnął i uciekł. Piotr schylił się i sięgnął pod słomiankę. Szukał. Trwało to długo, potem wstał.

— Nie ma — wybełkotał. — Nie zostawił.

— Pukaj — rzekła krótko.

Zawahał się.

— Może on nie mógł... — zaczął.

Przerwała mu:

— Pukaj.

Zapukał cicho. Nikt nie odpowiedział. Agnieszka podeszła do drzwi i kopnęła je z całej siły; kotek przyczajony na schodach miauknął rozpaczliwie. W korytarzu rozległo się człapanie, potem zgrzyt klucza. W drzwiach stanął młody człowiek o dziewczęcej twarzy. Ubrany był w zieloną pidżamę; poczuli od niego alkohol.

— Ach, stary — wybełkotał zobaczywszy Piotra. — Cholera, co za roztargnienie. Istotnie, zapomniałem. Strasznie mi przykro. No nic, pomieścimy się jakoś. Proszę.

Wyciągnął rękę w ciemność korytarza. Chwiał się trochę na nogach, lecz widać było, że usiłuje zachować trzeźwość. Piotr powiedział:

— Nie, dziękujemy ci.

— Wchodź — powiedziała Agnieszka. Pchnęła go z całej siły w plecy. Szli długim, staroświeckim korytarzem, obijając się o szafy i kufry. Pachniało naftaliną i jakimś dziwnym zapachem pożółkłego papieru i lawendy. Młody człowiek w pidżamie szedł przodem balansując zręcznie.

— Tu — powiedział.

Weszli do pokoju. Paliła się tylko mała lampka. Pierwszą rzeczą, którą Agnieszka zobaczyła, była zupełnie naga dziewczyna śpiąca na tapczanie. Kiedy weszli, nie otworzyła oczu i nie drgnęła nawet. „Pijana" — pomyślała Agnieszka. Młody człowiek wyjaśnił z zakłopotanym uśmiechem:

— Poznałem ją w pociągu, jechała tu do kogoś. Do męża czy do narzeczonego, diabli to w końcu wiedzą... Rozłożył ręce i zmrużył oko do Agnieszki. — No, cóż — powiedział. — Życie jest małe. Koniec końców wszyscy się spotykamy w łóżku. Ale jest drugi tapczan. Możecie to sobie załatwić, zdejmcie tylko narzutę. Nie będziemy sobie wzajemnie przeszkadzać.

— Dziękujemy panu uprzejmie — powiedziała Agnieszka. — Załatwimy to sobie przy okazji w prewecie. Czy to pana kotek miauczy na schodach?

— Kotek? — powtórzył właściciel mieszkania. — Kocina? Istotnie, moja.

Agnieszka zwróciła się do Piotra:

— Daj mu w mordę. Szybko!

Piotr podszedł do właściciela mieszkania i huknął go pięścią w skroń. Młody człowiek padł jak kłoda.

— To za karę, że głodzi pan zwierzęta — powiedziała Agnieszka.

— Idziemy — rzekł Piotr.

— Chwilkę.

Podeszła do kontaktu i przekręciła go. W pokoju zrobiło się bardzo jasno. Agnieszka przykucnęła obok dziewczyny i poczęła ją oglądać.

— Zwariowałaś? — syknął Piotr. Szarpnął ją za rękę: — Chodźże!

— Muszę ją sobie obejrzeć — powiedziała cicho. — Chodź tutaj. Widzisz? Takie ma śliczne usta, nos... Szkoda, że jest zalana, bo obejrzelibyśmy sobie jej oczy. Piwne? Niebieskie? Czarne? Ciekawe: kto na nią czeka? Widzisz, jakie ma ładne piersi? Nie może mieć więcej jak dwadzieścia lat, mówię ci.

— Oszalałaś — powiedział.

— Nie — rzekła. Przykryła śpiącą dziewczynę i podsunęła jej poduszkę pod głowę. — Ale chciałabym oszaleć. Tak by było najlepiej.

Wyprostowała się. Podeszła do okna; zobaczył, że usiłuje opanować płacz. Nie podchodził do niej. Położyła dłoń na doniczce; widział bielejące jej palce.

Właściciel mieszkania ocknął się. Wstał, patrząc mętnie.

— Coś takiego... — wybełkotał.

Agnieszka odwróciła się.

— Daj mu w mordę, Pietrek — powiedziała prędko.

Piotr zamachnął się. Młody człowiek znów upadł przewracając sobą krzesło.

— To dlatego, że nie podlewa pan kwiatów — powiedziała Agnieszka i uśmiechnęła się do niego. — Nie postępuje pan godnie ani z florą, ani z fauną. Dobranoc. Co złego, to nie my.

Na ulicy zaczęła się śmiać. Złapał ją za ramię.

— Czego? — warknął.

Przystanęli.

— O tej sytuacji nie możesz już nic powiedzieć — rzekła. — Coś takiego nie zdarzyło ci się chyba w więzieniu, prawda?

Cofnął się.

— Lepiej się rozstać — powiedział. — Mówię ci, Agnieszka, lepiej się rozstać. W każdej sprawie ludzkiej istnieje krąg, którego nie powinno się przekraczać. Lepiej odejść i ocalić chociażby wspomnienia. Szacunek. Godność. To mimo wszystko nie są takie głupie sprawy, jakby się zdawało.

Znów się uśmiechnęła.

— Tylko tego nauczyło cię życie? Odchodzić? Twoje więzienie, o którym ciągle mówisz?

— Tak — powiedział. — Lepiej odejść niż patrzeć, jak wszystko wali się w błoto. Nie mam ochoty umierać. Muszę z czymś żyć. Muszę o czymś pamiętać. O czymś, co nie było gównem.

— Kocham cię — powiedziała. — I zostanę z tobą. Chcę spać dzisiaj z tobą. Wszystko mi jedno w końcu gdzie i jak.

Minęła ich jakaś rozbawiona grupa: szli przez całą szerokość chodnika zataczając się z fantazją. Piotr i Agnieszka odsunęli się w bok. Piotr powiedział:

— Chodź do mnie.

— Do ciebie? Przecież mieszkasz z czterema kolegami.

— Może ich jeszcze nie ma — powiedział z rozpaczą. — Jest sobota, wcześnie, może gdzieś poszli. Zamkniemy się i nie wpuścimy ich, choćby mnie mieli jutro wyrzucić na zbity łeb... — Krzyknął na całą ulicę: — Chodź na chwilę! Choćby na chwilę!

Zawrócili. Znów kroczyli obok siebie. Nic nie mówiąc wsłuchiwali się w odgłos swoich kroków. Przechodzili obok barów, nocnych sklepów, mijali kina; Agnieszka patrzyła w oświetlone okna i myślała: „Ściany. Cztery ściany. Może trzy? Czy może być pokój zbudowany z trzech ścian? Czy można by było żyć w takim pokoju? Czy jest gdzieś taki pokój?" Starała się myśleć o wielu różnych rzeczach, lecz w rzeczywistości przez wszystkie jej myśli przebijała się jedna: usnąć, nareszcie usnąć. Nie poznawała ulic, przez które prowadził ją Piotr. Ocknęła się dopiero wtedy, kiedy przeprowadził ją przez jakąś bramę i znaleźli się w ciemnym zupełnie podwórku. Rozejrzała się ze zdziwieniem: ani w jednym oknie nie płonęło światło.

— Dlaczego tu tak ciemno? — zapytała.

— Nie widzisz? — Roześmiał się. — Przecież to ruiny.

Teraz dopiero zobaczyła, że wszystkie okna były puste. Nie mogła tego dojrzeć od razu; ledwo się odcinały na tle ciemnego nieba.

— Tu mieszkasz?

— Jesteśmy jedynymi lokatorami — powiedział. — Sami żeśmy tę klitkę wyremontowali. Wchodzi się do nas po drabinie. Lepsze od cyrku. Ale to nieważne, rozumiesz? Nie ma ich. Jesteśmy sami, Agnieszka.

— Sami — powtórzyła. Objęła go nagle i przyciągnęła do siebie; zaczęła nieprzytomnie całować jego oczy i usta. — Sami, sami — bełkotała. — Ty rozumiesz, rozumiesz? — Przytuliła się do niego z całej siły. Wtedy właśnie padł na nich z góry prostokąt światła. Zamknęła oczy. Piotr odsunął ją delikatnie.

— Wrócili — powiedział. — Tu tylko jedno okno świeci. Moje.

Unieśli głowy i patrzyli w górę. Wysoko nad nimi, nad oknem, podwórkiem i ruinami, świeciły zamglone gwiazdy. Jakieś stworzenie przebiegło koło nich, waląc miękkimi łapami o bruk.

— Jutro niedziela — powiedziała ochryple Agnieszka. — Pojedziemy za miasto, słyszysz? Weźmiemy koc i pojedziemy za miasto. Do lasu, gdzie chcesz. Przyjdź do mnie jutro przed południem.

Wyrwała mu się i uciekła; nie chciała, aby widział ściekające po jej twarzy łzy. Biegła jak szalona, roztrącając przechodniów. Potem dopiero, kiedy zobaczyła, że ludzie oglądają się za nią, zwolniła kroku. I szła już bardzo wolno.

Przystanęła przed swoim domem; nie miała odwagi wejść. „Aby jeszcze nie tam — myślała. — Aby jeszcze nie tam." Kiedy wreszcie zdecydowała się wrócić, napotkała w bramie Zawadzkiego: wyprowadzał swój motocykl.

— Założyłem na łożysko nową tuleję — oświadczył z dumą. — Teraz powinno być dobrze. Chcesz się ze mną przejechać?

— Dziękuję ci bardzo — powiedziała. — Nie jestem ubezpieczona na życie.

— Jesteś za to antypatyczna — powiedział. — Jeżeli cię to interesuje, to twój braciszek pije w knajpie o trzy domy dalej. Widziałem go tam przed chwilą. Idź po niego, póki ci nie pofrunie w miasto.

Zapalił motor i odjechał. „Iść po niego? — pomyślała z rozpaczą. — Czy zostawić go, niech robi, co chce?..." Usłyszała nagle potworny hałas i brzęk, odwróciła się. Na rogu Zawadzki wpadł na jakiegoś człowieka, który wyprowadzał swój wózek z bazaru; cała ulica zasypana była jabłkami. Zawadzki i handlarze wymyślali sobie, aż się wszystko trzęsło dookoła.

— Też dobrze — pomyślała.

Weszła do restauracji. Kiedyś miał tu knajpę potężny marynarz, który wa-

żył ponad dwieście kilo; z tamtych czasów zostały tu tylko jego karykatury — olbrzymi mężczyzna trzymający w ręku krążownik. Stali bywalcy tego baru rozleźli się po świecie; zachodził tu jeszcze od czasu do czasu Antoni Kolczyński, ulubieniec Pragi; pił wódkę i opowiadał o swoich walkach.

Agnieszka podeszła do Grzegorza.

— Grzegorz — powiedziała. — Tym razem nie szukałam cię. Możesz mi wierzyć, że to przypadek.

— Wierzę ci — powiedział. — Siadaj.

— Grzegorz — powiedziała. — Pierwszy raz w życiu proszę cię o litość: wróć do domu. Nie spałam już tyle nocy, ledwo się trzymam na nogach. Matka nie uśnie, znów będzie histeryzować, znów będę musiała cię szukać.

— Ona nie przyszła — rzekł.

— Nie — powiedziała Agnieszka. Milczała chwilę, potem rzekła: — Grzegorz, masz przecież pistolet. Zabij mnie, zabij matkę, zabij kogo chcesz, ale wróć do domu.

— Jeszcze jeden dzień — powiedział. — Jeśli jutro nie przyjdzie, to znaczy, że nie ma sensu czekać na nią dłużej.

Umilkli. Widziała, że mówi coś do niej; patrzyła na poruszające się jego usta, lecz nie rozumiała już nic. Opadała jej głowa, wszystkie myśli splatały się w jedną: spać. Szarpnęła się nagle.

— Grzegorz — powiedziała. — Napij się za moje zdrowie. Za moją miłość. Za niedzielę.

Nalała mu pełną szklankę. I kiedy chciał podnieść ją do ust, chwyciła jego rękę dwiema dłońmi i zacisnęła je z całej siły. Szkło chrupnęło; Agnieszka zaciskała swoje palce coraz silniej i czuła, jak odłamki wbijają się w jego ciało. Nie krzyknął; zbladł tylko i na czoło momentalnie wystąpił mu gruby pot. Oboje patrzyli, jak krew jego ścieka na poplamiony obrus. Ściskała ręce tak mocno, że aż chrupało jej w obojczykach.

— Wychodź — powiedziała.

Podniósł się; trzymając go za rękę i nie zwalniając ani na chwilę siły uścisku, wyprowadziła go przez salę na ulicę. Tam dopiero puściła jego dłoń. Zatoczyła się ciężko i oparła o mur.

— Bij — szepnęła.

Uśmiechnął się.

— To było ładnie zrobione — powiedział. — Myślałem, że ludzi już całkowicie wykastrowano z fantazji. Siła człowieka zawsze wypływa z okrucieństwa. To jest podstawa. Szkoda, że objawiłaś mi się tak późno; mógłbym ci się przedtem wystarać o odpowiednią pracę... — Podszedł do niej i uniósł jej twarz do góry. — Chodź, mała — powiedział. — Wrócimy rzeczywiście do domu. Zaczynasz mi się podobać od początku.

IX

Obudziła się wtedy, gdy ojciec chodził już po pokoju szurając pantoflami. Była jeszcze pełna snu, przychodziła z bardzo daleka, kiedy już usłyszała szum, i szum ten — monotonny i jednostajny — spędził jej resztki snu z powiek. Leżała bez ruchu, zamknięta jakby w sobie, nie mając odwagi otworzyć oczu

i przekonać się. Otworzyła je dopiero wtedy, gdy usłyszała, że ojciec podchodzi do okna.

Odsunął firankę i stał bezsilnie zgarbiony. Oparty ręką o framugę, wyglądał w ulicę.

— Deszcz pada — powiedział po chwili. Zabębnił palcami po szybie. — Niskie chmury — rzekł. — Będzie padać przez cały dzień.

Agnieszka narzuciła szlafrok i podeszła do okna. Stanęła obok ojca. Dachy lśniły wilgocią, woda bulgotała w rynsztokach; ludzie przebiegali śpiesznie, podciągając ubrania.

— Śnieg — powiedziała Agnieszka. Dotknęła ręką szyby. — Deszcz ze śniegiem. Takie rzeczy zdarzają się nawet w maju. Tydzień był parny...

— Ale dlaczego akurat w niedzielę? — z rozpaczą zapytał ojciec. — Dlaczego musi padać w niedzielę?

— Podstęp komunistów. Żeby ludziom utrudnić pójście do kościoła.

Ubrała się spiesznie i przeszła do kuchni. Zawadzki golił się gwiżdżąc fałszywie jakąś melodię.

— Dzień dobry — powiedziała. — Gdzie Grzegorz?

— Wyniósł się gdzieś.

— Jedziesz?

— Gdzie?

— Do Julii?

— Ona się nie nazywa Julia, tylko Maria — powiedział ze złością. — Skąd ci to przyszło do głowy?

— Wszystko jedno. Jedziesz?

— W taką pogodę? Oszalałaś chyba.

— Cóż to jest dla ciebie? Założyłeś nową tuleję do sprzęgła...

— Pojadę w następną niedzielę — powiedział. — Możesz być spokojna, że zrobię porządek z tą sprawą. Jeszcze się nie znalazła taka, która ze mnie zrobiła półgłówka... — Zwrócił się nagle ku niej: — Dlaczego ci, u diabła, tak na tym wszystkim zależy?

— Zaciąłeś się — powiedziała Agnieszka. — Przy goleniu trzeba uważać. A nie zależy mi na tym zupełnie. Po prostu towarzyska rozmowa.

Do kuchni wszedł Grzegorz. Zrzucił z siebie przemoczony płaszcz. Usiadł na łóżku i począł zdejmować buty.

— Chory jesteś? — zapytała Agnieszka.

— Dlaczego?

— Kładziesz się.

Podniósł na nią przekrwione oczy. Potem wskazał ręką na okno.

— Znajdź mi lepsze zajęcie.

— Mógłbyś pójść na wódkę teraz — powiedziała. — Do wieczora byłbyś już pijany i szedłbyś spać bez komplikacji.

Zawadzki wyszedł, mówiąc: — Bawcie się sami. — Agnieszka usiadła na łóżku obok Grzegorza.

— Idź teraz — powiedziała. — Czy ci nie wszystko jedno? Jeśli się zachlasz teraz, to jest szansa, że wpadniesz gdzieś pod tramwaj albo pod samochód i będzie trochę spokoju. Wieczorem miasto jest puste.

— Nie zaczynam nigdy pić przed szóstą po południu — powiedział. — Świat bankrutuje. Trzeba zachować swoje morale.

— Grzegorz — powiedziała Agnieszka — chcę skorzystać z wyjątkowej chwili trzeźwości. Jeśli od dzisiaj nie przestaniesz chlać, pójdę do twojego sekretarza i powiem mu, co wyrabiasz. Nie powinieneś być w partii. Tacy jak ty są tam chyba niepotrzebni.

Spojrzał na nią uważnie.

— Spóźniłaś się, siostrzyczko — powiedział. Poklepał ją po policzku. — Wczoraj właśnie odebrano mi legitymację... — Uśmiechnął się. — Nieszczęsny naród. Nieszczęśliwi ludzie. Koniecznie chcieliby coś zrobić, a wszystko już, niestety, było. Z moim sekretarzem możesz najwyżej iść do łóżka. Między zebraniem a zebraniem. Co masz mi jeszcze do zakomunikowania?

Agnieszka milczała. Patrzyła w szybę obmywaną deszczem. Drugiej strony ulicy nie było w ogóle widać.

— Grzegorz — powiedziała po chwili — do jakiego stopnia można być świnią?

— Mnie to też interesuje — odrzekł. — Poświęciłem się temu bez reszty. Kiedy dojdę do wniosków ostatecznych, zakomunikuję ci.

— Czy ona o tym wie?

— Kto — ona?

— Twoja kobieta.

— O ile mi wiadomo, nie mam żadnej kobiety.

— Czekasz na nią.

— Czekałem i na inne rzeczy. Nic z tego nie wyszło. — Podniósł się nagle: — Czego ty chcesz ode mnie? Jeśli żądasz odpowiedzi na aktualne zagadnienia, to poczytaj sobie *„Sztandar Młodych"*. Tam prowadzono kiedyś dyskusję, jak powinna wyglądać miłość zetempowca. Bardzo pouczająca rzecz. Gówniarze mieli do powiedzenia na temat kobiety więcej od Balzaka. A teraz daj mi spać.

Wszedł ojciec.

— Matka się fatalnie czuje — powiedział. — Narzeka, że ją serce boli. Zupełnie nie wiem co zrobić.

— Najlepiej nic nie robić — powiedział Grzegorz. — Przynajmniej będzie się miało czyste sumienie, że się w niczym nie uczestniczyło. Czy możecie z waszymi wielkimi sprawami krasnoludków wyjść do przedpokoju?

Agnieszka wypiła herbatę i zeszła na dół. Piotr czekał na nią w bramie.

— Chodźmy na kawę — powiedziała. Podniosła kaptur płaszcza. — Najlepiej dziś nie mówmy w ogóle na tamten temat.

Skinął głową.

W kawiarni panował ścisk: nie dostali stolika. Wsiedli do tramwaju; chcieli dostać się do śródmieścia. Na przedniej platformie wygłupiało się paru pijaków; musieli już wypić dzisiejszego ranka, gdyż wszyscy ubrani byli w świąteczne garnitury.

— Wiesz co? — powiedział Piotr. — Czy zastanawiałaś się kiedy, jak wygląda Polska?

Cóż to znaczy?

— Marianna jest wyobrażeniem Francji — powiedział Piotr. — Amerykanie chcieliby, by statua wolności była symbolem ich demokracji. Rosję wyobrażano sobie kiedyś jako niedźwiedzia. A Polska?

— Nie wiem.

— Myślę często na ten temat — powiedział. — Wiesz co? — Wskazał ręką

na pijanych. — Taki właśnie facet w tenisowym garniturze za sześćset złotych. Z lekka pijany. I w jakiejś ogromnej poczekalni. Bez rozkładu jazdy. Żeby już obraz był pełny, w lewym ręku mógłby trzymać *Króla Ducha*. W prawym butelkę, więc dla równowagi. Bardzo głupie?

— Nie wiem. Może głupie, może mądre. Deszcz pada, to jest ważne.

W kawiarniach śródmieścia również panował tłok. Chodzili od jednej do drugiej, przemoknięci i zziębnięci. Spróbowali iść do kina, lecz mimo deszczu ludzie ustawili się już w długie kolejki, głowy nakrywano gazetami i teczkami. W teatrze, na kasie, przeczytali wywieszkę o braku biletów.

— Możemy iść na obiad — powiedziała Agnieszka.

— Przykro mi, ale nie mam pieniędzy. Ty?

— Też nie mam. Całe stypendium wydałam na poszukiwania Grzegorza.

— Możemy jeszcze iść do kościoła — powiedział Piotr. — Nic nie kosztuje i dość luźno. Ludzie wciąż się jeszcze modlą z entuzjazmem. Myślę, że te sprawy mają z sobą jakiś związek. Poważniejszy, niżby sam Pan Bóg tego pragnął.

— Gdzie mamy iść, Pietrek? — zapytała tępo.

— Nie wiem. Nie ma ziemi dla zakochanych.

Stali naprzeciw siebie w jakimś punkcie mokrego miasta. Ociekali wodą. Gnane wiatrem fale deszczu napływały ciągle. Opryskiwały ich przejeżdżające samochody, potrącali przechodnie. Z wielkich głośników wydzierał się kobiecy głos.

— Nie mów tak — powiedziała z rozpaczą.

— Przeczytałem gdzieś, że największym, podświadowym pragnieniem człowieka jest, aby zostać niewolnikiem — powiedział Piotr. — Zaczynam w to wierzyć. Łapię się na tym, że chciałbym tam wrócić. Nie myśleć, nie troszczyć się o nic. Nie warto żyć, kiedy przed każdym miejscem na ziemi jest postawiona tablica „Wzbronione". Jedynej rzeczy, której bym pragnął, to wyroku. Paragraf i lata są mi obojętne.

Złapał ją za ręce.

— Ja tam wrócę, słyszysz? Zrobię coś takiego, że wsadzą mnie na lata. Wrócę tam i będzie koniec. Nie będziemy się pętać, nikt nas nie przegna...

— Chodź — powiedziała.

Wzięła go za rękę i prawie siłą ciągnęła za sobą. Wpadli w jakieś ruiny; poczęła biec nie wypuszczając jego dłoni; potykali się o cegły i dziury, wstawali, aby biec dalej. W końcu upadła na ziemię, wśród puszek, skorup po butelkach i rozmiękłej gliny. Pociągnęła go za sobą: upadł na nią. Z całej siły złapała za włosy jego głowę i przycisnęła do piersi. Prawą ręką poczęła zdzierać mu spodnie.

— Niech to się wszystko skończy, słyszysz? — krzyczała mu do ucha. — Proszę cię, nie rozmyśl się tylko. To wszystko jedno, mówię ci. Ludzie nie są lepsi od zwierząt. Nie trzeba myśleć, że można inaczej. Niczego nie można. Jedyne, co można, to skończyć z tą udręką. Nie myśl, co będzie dalej. Chodź już, proszę cię! Chodź, nie uciekaj!

— Odejdź! — krzyknął. — Odejdź, bo cię zabiję!

— Zabij mnie — powiedziała. — Zabij mnie, ale po tym. Po tym, co się stanie, nie będziemy mogli patrzeć na siebie. I będzie spokój. Nareszcie spokój. Bez tęsknoty. Bez miłości. Bez niedzieli. Bez twojego gadania o wię-

zieniu. Będziemy pluć w swoją stronę. Czy to wszystko ważne? Nie uciekaj, nie puszczę cię. Chodź. Potem zapomnimy o sobie. I nie będzie nic. A teraz już chodź...

Wyszarpnął się i odskoczył w tył. Osunęły się jakieś cegły i z hukiem poleciały w dół. Chwilę stał nad nią, z ciemną twarzą i ręką wzniesioną do uderzenia.

— Agnieszka... — wybełkotał ochryple. — Agnieszka...

Potem zbiegł na dół; waliły się za nim cegły i gruz. Leżała bez ruchu i woda spływała po jej włosach, twarzy i obnażonych udach. Kiedy po chwili znalazła się na ulicy, nie było już Piotra. W bramie grupka ludzi chroniła się przed deszczem; wychylali co chwila głowy i patrzyli w ołowiane niebo. Jakiś chłopak powtarzał co chwila: „Cholera, cholera"... „To wszystko z tych bomb — mówił ktoś. — Wszystko z tych bomb. Gdyby ich nie puszczali, pogoda byłaby inna..." Cały świat pełen był wody; odnosiło się wrażenie, że wszystko rozmięka.

W domu, tak jak i rano, ojciec stał przy oknie. Grzegorz spał w kuchni. Agnieszka zdjęła płaszcz i usiadła na tapczanie. Matka leżała z przymkniętymi oczami.

— Nic z moich ryb — powiedział ojciec. — Jechać na taki deszcz? Mój Boże... Pożyczyłem od Lipińskiego pięćdziesiąt złotych na żyłki i wszystko na nic...

I nagle zobaczyła blisko swojej jego wykrzywioną wściekłością twarz. Szarpnęła się do tyłu, gdyż wykonał taki gest, jakby chciał ją złapać za gardło.

— Gdyby nie ty — powiedział łamiącym się głosem — gdyby nie ten pijak w kuchni, mógłbym żyć jak człowiek Mógłbym dzisiaj, w niedzielę, pójść na dziwki albo się upić. Byle deszcz człowiekowi krzyżuje życie. Muszę siedzieć w domu i pilnować matki. Nie pojechałem na ryby, a jutro będę tłoczyć się w tramwaju...

Skoczył nagle do tapczanu, gdzie leżała matka.

— Wstawaj, ścierwo! — zawył piskliwie. — Wstawaj, zdechnij, rób co chcesz, ale niech się nareszcie coś zmieni, niech się nareszcie zmieni...

Agnieszka znów znalazła się na ulicy. Jakiś wyrostek zapytał: „Czy mogę pani służyć parasolem?" Ciemne chmury leżały nisko: tuż nad dachami.

X

— Skąd pani zna Elżbietę? — zapytał mężczyzna.

— Studiowałyśmy razem — powiedziała Agnieszka. — Nawet razem robiłyśmy maturę. Po drugim roku ona rzuciła studia. Od tego czasu jej nie widziałam.

— I spotkałyście się dopiero dzisiaj? — zapytał. Podsunął Agnieszce papierośnicę; była już nieco wstawiona i nie mogła wyłuskać papierosa spośród innych. Mężczyzna uśmiechnął się. Wyjął papierosa i podał jej wprost do ust. Ręce miał mocne, ogorzałe, przeguby pokryte ciemnym zarostem.

— Dzisiaj — powiedziała Agnieszka. — Stałam w bramie, czekałam, aż minie ulewa. Ona też tam jakoś trafiła. Wzruszające, prawda? Był kiedyś taki przebój *Burzliwa pogoda*. Pamięta pan?

Pochylił głowę. Włosy miał ciemne, krótko przystrzyżone, bez połysku. Kosmyk opadał mu na czoło.

— Nie — powiedział po chwili. — Proszę zaśpiewać. Może sobie przypomnę.
— Tutaj? W tej knajpie?
Przysunął się do niej. Poczuła na szyi jego oddech; gorący, przesycony nikotyną i alkoholem.
— Możemy zmienić lokal — powiedział.
— To znaczy: knajpę na knajpę.
— Tego nie mówiłem.
— Szkoda. Zresztą deszcz pada.
— Spróbujemy zaczarować niebo.
— Szkoda, że nie poznałam pana wcześniej.
— Dlaczego?
— Poprosiłabym pana o to dzisiaj rano.
— A teraz?
— Teraz? Wszystko jedno.
— Jak komu.
— Czy nie uważa pan, że prowadzimy piekielnie głupią rozmowę?
Uśmiechnął się szeroko, lecz oczy jego nie zmieniły wyrazu. Patrzył spokojnie i chłodno; Agnieszka z trudem wytrzymywała jego wzrok.
— Niech się pani nie przejmuje — powiedział. Większość ludzi rozmawia z sobą w ten sposób.
— A pozostali?
— Nie wiem. Prawdopodobnie jeszcze głupiej.
— Tak — powiedziała Agnieszka. — Szkoda, że nie doszłam do tego wcześniej. Z kim tańczy Elżbieta?
— Z jakimś bubkiem.
— To zdaje się pański znajomy.
— Nawet bliski — rodzony brat.
Skinął na barmana. Ten podszedł jak zaczarowany. Agnieszka patrzyła w kieliszki napełniające się ciemnym płynem. Pochyliła się nieco i zobaczyła w nich zdeformowane odbicie własnej twarzy. Szarpnęła głową w tył.
— Napijmy się — powiedział mężczyzna.
Ujęła kieliszek, był bardzo zimny, pokryty rosą.
— Za czyją pomyślność?
— Za zdrowie deszczu — powiedział mężczyzna. — Gdyby nie deszcz, nie spotkałaby pani Elżbiety. Gdyby nie deszcz, Elżbieta nie przyprowadziłaby pani tutaj. W końcu, gdyby nie deszcz, nie poznałbym pani. Dlaczego pani nie chce pić?
— Już piję — rzekła. Uniosła jeszcze wyżej kieliszek. — Zdrowie deszczu.
Wypili. Znów mignął barman z butelką. Coraz więcej ludzi tłoczyło się wokół nich.
— Gdzie pani wyjeżdża latem? — zapytał.
— Nie wiem, czy w ogóle będę mogła wyjechać. Muszę napisać pracę magisterską. W tym roku kończę studia.
— Magister?
— Filozofii. Zawód polegający na bezbłędnym wyjaśnianiu zjawisk życia. Komiczne, co? Kim pan jest?
— Dziennikarz. Zawód polegający na pisaniu całkowitej i rzetelnej prawdy. Komiczne, co? Z nas trojga, o ile się orientuję, najlepiej ustawiona jest Elżbieta. Po prostu dziwka. Zawód bez cudów i złudzeń.

— To nie zawód — powiedziała Agnieszka. Uśmiechnęła się: — To moralność. — Nie zakamuflowana dziwka to najwyższa moralność, jaką może dziś osiągnąć kobieta.

Spojrzał na nią z boku.

— To świeże, co pani mówi — powiedział. — Na ogół słyszy się co innego. „Kiedy byłam młoda, spotkałam człowieka, którego pokochałam i który..." i tak dalej.

— Ba — powiedziała Agnieszka. — Można mówić, ale po co? Ideał, to życie bez złudzeń, bez mitów.

— Nie pragnie pani złudzeń?

— Nie.

— Więc?

— Zapomnieć — powiedziała. — Boże, gdyby dało się zapomnieć. O ojcu, o knajpach, o naszym przedmieściu...

Położył jej rękę na ramieniu i przyciągnął do siebie. Zamknęła oczy i poddała się temu biernie.

— Zapomnij — powiedział cicho. — Zapomnij... na jeden dzień.

XI

— Idiotka — powiedział mężczyzna; był purpurowy z pasji. Uniósł jej głowę za włosy i dwa razy uderzył ją w twarz; momentalnie uczuła smak soli. — Nie mogłaś sobie znaleźć kogoś innego, kto by cię rozprawiczył? Za te pieniądze, które z tobą przepiłem, miałbym przyzwoitą dziwkę. Bydlęta. Nawet w tych sprawach nie można wam zaufać.

Wciągnął pidżamę i wyskoczył z łóżka. Zerwał z niej kołdrę.

— Ładnie to wszystko wygląda — powiedział. — Zupełnie, jakbym zamordował człowieka. Ja też będę ładnie wyglądał. Żona wraca za trzy godziny ze Stalinogrodu. Nie ma, psiakrew, zapasowej bielizny. Co ja jej powiem? — Odetchnął głęboko: — Co ci w ogóle strzeliło do głowy? Sądząc z urody, powinnaś być doświadczoną dziwką. Na co ty czekałaś?

— Na deszcz i na ciebie.

— Przykro mi, że się uniosłem — powiedział. — Trudno, przepraszam. Musisz mi jakoś pomóc. W łazience jest gorąca woda... Jak myślisz, da się to sprać?

— Bez trudu — rzekła. — Nie takie rzeczy można sprać. Zgaś światło, ubiorę się.

— Nie chcę wcale na to patrzyć — powiedział z wściekłością. Zapalił papierosa i odwrócił się. — Żeby tylko zdążyło wyschnąć. To bydlę przyjedzie i będzie mi robić awantury do rana. Chciałbym się jeszcze wyspać, mam tyle roboty jutro... — Odwrócił się ku niej gwałtownie: — I na co ty czekałaś, u diabła? Czy nie miałaś jakiegoś chłopaka? Wprost w głowie nie chce się pomieścić...

— Powiedziałam ci już: czekałam na ciebie.

— Teraz zrobisz mi scenę, że cię uwiodłem, prawda? Jak ty się w ogóle, do cholery, nazywasz?

Roześmiała się.

— Żadnych scen — rzekła. Podeszła do niego i pocałowała go. — Jestem ci bardzo wdzięczna.

— Jak ty się nazywasz? Jak mam do ciebie mówić?

— Jak chcesz. Najlepiej: Kochanie. Nie ma żadnej treści i można podłożyć pod każdą twarz. Możesz mówić kotku. Skarbie. Serce. Kurwo. Kurwiątko. Słoneczko. To też dobre, co? Najlepiej słoneczko. Poznaliśmy się w deszcz, więc na zasadzie tęsknoty. Wszystko, co czyni człowiek, czyni z tęsknoty za lepszym życiem. Albo z protestu moralnego. Tak. Najlepiej: słoneczko. Pomóż mi ściągnąć tę poszwę, będzie prędzej.

— Słuchaj — powiedział. — Teraz mi naprawdę przykro. Mam otępiałe nerwy, wybacz mi. Musimy się jakoś zobaczyć. To wprost w głowie się nie mieści.

— Drobnostka. Nie przejmuj się.

— Jak się zobaczymy?

— W ogóle się nie zobaczymy. Będziemy myśleć o sobie. Wystarczy.

Kiedy uprała już pościel, wyciągnęła do niego rękę.

— Serwus — powiedziała. — Nazywam się Agnieszka. Agnieszka Walicka. Możesz o mnie opowiadać swoim kolegom. A teraz daj mi dwadzieścia złotych.

— Co?

— Dwadzieścia złotych. Na taksówkę. No, tak, tak. Powinno się każdą sprawę rozegrać do końca.

Wyciągnął portfel.

— Może ci więcej potrzeba.

Pokręciła głową.

— Wystarczy, jak na początek. Dobranoc. Pozdrowienia dla żony.

Deszcz padał ciągle. Nie mogła nigdzie znaleźć taksówki; szła pustym miastem. Rzadko świeciły okna. „Która to może być godzina? — pomyślała. — Dwunasta? Pierwsza, druga?“ Bolała ją głowa; szła z rękami w kieszeniach płaszcza, mokre włosy opadały jej na czoło. Przyklęknęła nad kałużą i obmyła w niej dłonie. Potem podniosła się; chwilę trwało, nim setki latarni zbiegły się z powrotem w jeden sznur. Uśmiechnęła się. „Już — pomyślała. — Już po wszystkim. Nawet bolało mniej, niż mówią. Nie rozumiem tylko, skąd ta krew nosem... Witaj, życie. Jutro pewno będzie jeszcze padać, ale za parę dni się wypogodzi. Mężczyzni będą chodzić bez marynarek. Będzie można włożyć lekką sukienkę. Pójść na lody. Albo nad Wisłę. Można będzie pojechać za miasto. Teraz jest obrzydliwie. Nawet cienie są lepkie...“

Po długim czasie doszła do domu. Z bramy wyszedł jakiś mężczyzna i stanął przed nią. Był to Piotr. Wyciągnął ku niej rękę. W mętnym świetle ulicznej latarni, błysnął metalowy przedmiot.

— Klucz — powiedział cicho. — Mamy jeszcze cztery godziny do świtu.

Oparła się o mur.

— Dawno na mnie czekasz?

— Całą noc — powiedział. — Ale wiedziałem, że wrócisz.

— Która jest teraz?

Spojrzał na zegarek.

— Trzecia.

— Co to za klucz?

— Zdobyłem mieszkanie — powiedział. Nie pytaj jak. — Cudem. Facet wyjeżdża za granicę, możemy mieszkać przez jakiś czas.

— Dlaczego nie śpisz?

— Nie — powiedział. — Za długo czekałem. Powiedziałem sobie, że pierwszą noc muszę tam spędzić z tobą. Chodź już.

— O siódmej będzie już jasno — powiedziała. — Może nawet wcześniej. — Może już o szóstej... — Chwyciła go za ramię. — Słuchaj, powiem ci coś. To może być przykre, ale to lepsze od klamstwa. Jestem z kimś innym, już od dawna. Kocham go. Kłóciliśmy się kiedyś; wtedy akurat poznałam ciebie... Musisz mi wybaczyć. Jeśli ci to sprawi ulgę, możesz mi dać w twarz. Chcę wrócić do tamtego... — Odtrąciła nagle jego rękę: — Weź ten klucz i odejdź.

Patrzyła za nim, jak odchodzi; mgła i deszcz tłumiły jego kroki; zdawało jej się, że pragnie je słyszeć sercem, lecz nie słyszała nic. Szedł sam pustą ulicą — wysoki i szczupły, z pochyloną głową; latarnie wydłużały jego cień i zdawało jej się, że to tylko sam cień sunie przez wilgotną pustkę. Trzymał ciągle — ruchem ślepca — wyciągniętą rękę; kiedy mijał latarnię, zapalał się w niej błysk. Wsadziła sobie palce aż do gardła i gryzła je, aby nie krzyknąć; w ustach miała pełno krwi. Trzymała się bramy, gdyż świat naraz począł huśtać się pod nią. Zniknął za rogiem, lecz za chwilę wychylił się z powrotem i szedł ku niej. Patrzyła rozszerzonymi oczyma, lecz kiedy był już blisko, zobaczyła, że idzie ku niej Grzegorz.

— Co tu robisz? —wybełkotał. Łamały się pod nim nogi; musiał chwycić się bramy.

— Przyszła? — zapytała Agnieszka.

— I poszła.

— Dlaczego?

— Ludzie jej powiedzieli, że piłem, że piję. Ja od siebie dodałem, że pić będę. Wróciła na łono męża, aby obdarzać go czystymi pieszczotami. Z cnotą lekko przechodzoną. Teraz już nie ma na co czekać. Można pić bez złudzeń.

Umilkł.

— Płaczesz jednak.

— Przecież kocham ją — powiedział. — Będę ją kochał zawsze.

Znów umilkł.

— Grzegorz — powiedziała nagle Agnieszka. — Masz przy sobie broń?

— Bo?

— Masz?

— Mam.

— Chodź ze mną — powiedziała.

— Dokąd?

— Blisko, Grzegorz. Tym razem, naprawdę już blisko. Chodź, Ale najpierw daj mi pistolet.

Podał jej. Schowała ciężkie żelazo do kieszeni.

— Idziemy — rzekła.

Poszedł za nią. Przeszli kilkadziesiąt metrów; skręcili w lewo i znaleźli się na pustym Bazarze. Szli wśród skrzynek i stert gnijących warzyw. Gdzieś szczekał pies.

— Siadaj — powiedziała Agnieszka. Podsunęła mu skrzynkę, usiadła. Przysiadła obok niego i objęła go. — Grzegorz — powiedziała cicho, tak jak mówi

się do małego dziecka — mówiłeś tyle nocy, posłuchaj teraz mnie. W tym kraju nieprędko będzie dobrze. Wszyscy czekaliśmy na dzień, który jeszcze nie nadszedł. I nie nadejdzie prędko. Jest poza tygodniem, poza miesiącem i rokiem. Trzeba czekać. Trzeba mieć siłę. A najważniejsze: trzeba żyć mądrze, o wiele mądrzej, niż żyło się dotychczas. Nie dać się oszukać, walczyć, bronić się przed świństwem. Może potem będzie dobrze. Czy masz siłę czekać. Grzegorzu?

Milczał.

— Może ona wróci — rzekł.

Uśmiechnęła się.

— Cóż z tego — powiedziała. Twoja powieść, o której mi kiedyś opowiadałeś, to głupia bajka dla przedszkolaków. A ta kobieta? — Wróci albo nie. A jeśli nawet? Ludzie zaplują drogę między wami. Nigdy nie powiecie sobie tego, co was łączy, a co dzieli. Będziesz myśleć ciągle o niej, o jej mężu, co dzieje się między nimi w tej chwili...

— Dość — przerwał.

Nie mówili nic.

— Widzisz — powiedziała po chwili Agnieszka. Wyciągnęła pistolet; chwilę mocowała się z zamkiem, potem nabój z chrzęstem wskoczył do komory. — Ale ty już tego nie doczekasz — rzekła. — I kiedy wszyscy już będziemy żyć lepiej, ty — będziesz już niczym. Żebrzącą, zapijaczoną szmatą, która w nic nie wierzy i której nikt nie wierzy. Twój czas już się zamknął. Będziesz umarłym wśród nas...

— Kończ — powiedział. — Polska skonała od przemówień.

— Kończę — rzekła. — I chcę już spać od jutra. Chcę, żeby matka umarła w spokoju. Weź ten pistolet — jest odbezpieczony. Teraz ja odejdę, a ty to zrobisz. Nie będziesz już więcej czekał na nią ani dręczył się klęskami. Nie zapiszesz się już nigdzie, nikomu nie będziesz potrzebował wierzyć. Nikt cię nie oszuka. Ani władza, ani kobieta. Wszysko zgaśnie. Trzymaj.

Podała mu broń. Wziął bezwolnie.

— Jeszcze jedno — powiedziała. — Wiesz, że cię kocham. Pocałuj mnie.

Pochylił się ku niej i pocałował ją w policzek; usta jego były zimne i twarde. Potrząsnęła głową.

— Nie tak — powiedziała cicho. — Pocałuj mnie tak, jakbym nie była twoją siostrą... Czekaj, pocałuję cię sama.

Pocałowała go.

— Grzesiu — rzekła. — Nie myśl o tym, że wszystko się kończy. Myśl, że wszystko się dopiero zaczyna. To, co powinno być życiem: spokój, wolność i cisza.

Odeszła i biegła przez plac. Potem, na ulicy, zatrzymała się. Przyszedł po paru minutach.

— Wiedziałaś przecież, że tego nie zrobię — rzekł.

Wzruszyła ramionami.

— Oczywiście — rzekła. — Chciałam ci tylko pokazać, że wszyscy jesteśmy komiczni z naszymi historyjkami. Po prostu komiczni... — Zaczęła się śmiać. — Teraz już nie ma ciebie — powiedziała — ani Pietrka. Jest tylko tamten, ze swoją żoną ze Stalinogrodu. Jak ona wygląda? Jak wygląda człowiek oszukiwany? Jak my wszyscy wyglądamy? Nie było nic. Ani ciebie, ani niedzieli,

ani nikogo. Po prostu nie było nic. Tak najlepiej myśleć.A teraz jest już wolność. Zasrana, przeklęta wolność.

Zaczęła się śmiać i śmiała się ciągle: jeszcze wtedy, kiedy leżała już w łóżku nasłuchując oddechu ojca i matki. I zdawało jej się, że ten pokój, to miasto, ten świat, wszystko wypełnione jest jej śmiechem, którego nikt poza nią nie słyszy. Potem przyszedł świt.

XII

Ubierała się spiesznie: o ósmej zaczynała wykłady. Chciała wejść do kuchni, lecz wyszedł naprzeciw niej Zawadzki. Twarz miał uroczystą; położył palec na ustach.

— Cicho — rzekł. Ona jeszcze śpi.

— Co za ona?

— Maria, moja narzeczona, no...

— Przyjechała?

— Rodzice ci nie powiedzieli?

— Nie — powiedziała. — Wróciłam wczoraj bardzo późno.

Spojrzał w jej zmęczone oczy i uśmiechnął się szyderczo.

— Wczoraj — powiedział. — Wczoraj wieczorem... — Uśmiechnął się szczęśliwie. — To wszystko, co ludzie opowiadali, to bujda. O ile życie byłoby znośniejsze, gdyby nie życzliwi. Cicho, zdaje się, że już wstała. Myśmy z Grzegorzem spali tu, na korytarzu.

Weszli do kuchni; dziewczyna siedziała tyłem do nich i rozczesywała włosy.

— Marysiu — powiedział Zawadzki — to jest właśnie Agnieszka.

Dziewczyna odwróciła się i Agnieszka drgnęła. Była to ta sama dziewczyna, którą zastała z Piotrem u młodego człowieka w pidżamie. „Wtedy wyglądałaś jeszcze niewinniej — pomyślała Agnieszka. — A oczy masz brązowe, tak jak się tego domyślałam."

— Dzień dobry, koleżanko — rzekła.

Maria uniosła brwi.

— Nie znamy się przecież — powiedziała.

— Nie szkodzi — rzekła Agnieszka. — Poznamy się bliżej, będziemy sobie jakoś pomagać.

— W tym tygodniu bierzemy ślub — powiedział Zawadzki; twarz jego jaśniała szczęściem. — Idę teraz załatwiać te wszystkie historie. Mam dosyć rozłąki. Powinszuj nam.

— Winszuję wam — powiedziała. — Zwłaszcza tobie. Tyle się niepokoiłeś, widzisz? Dobre uczucia zawsze zostają wynagradzane. Na tym przecież polega rytm świata. Do widzenia, muszę iść na wykłady.

Zawadzki i Maria uśmiechnęli się do niej. Skinęła głową. Wróciła jeszcze po torebkę do pokoju. Ojciec stał przy oknie i wyglądał na ulicę.

— Niskie chmury — powiedział. — Teraz będzie padać przez cały tydzień... — Odwrócił się do niej. — Boże — powiedział — Boże, żeby już była następna niedziela.

Marek Hłasko

Krzysztof Kąkolewski

NAD BRZEGIEM NIEBA

Lubię tego chłopaka, którym byłem wtedy. Może zbyt wielką wagę przywiązuję do tamtego okresu. Ale ponieważ wszystkie moje myśli, które teraz snuję, zaczynają się tam — często wędruję w górę życia, ku tym źródłom. Przewracam w kuferku ze wspomnieniami, jakby nic nie miało już w nim przybyć.

I. ZNIEBOZSTĄPIENIE

Krystyna ukazała mi się niespodziewanie. Odkryła ją nagle fala ludzka, cofający się przed hostią, klękający tłum. Ołowiane dudy organów pieśń rozsadzała jak podłużne pociski. Gołąb, który wleciał w czasie nabożeństwa, przerażony hukiem organów — miotał się pod sklepieniem, gdzie tkwiła jego siostrzyca, ogromna, nieruchoma: boska gołębica. Dwa nieba: namalowane na plafonie i prawdziwe, farbkowe, widoczne przez okna, nakrywały od góry modlących się. Krystyna klęczała w miejscu, które zwyczaj dzielący małe kościółki parafialne według płci, wieku i majątku wyznacza młodym dziewczętom. Mogła mieć najwyżej trzynaście lat, była ubrana po wielkomiejsku, w króciutką, kraciastą spódniczkę i białe skarpetki. Jej główka, okręcona warkoczem, wyłaniała się z mroku między głowami świętej Teresy i świętego Józefa, wkomponowana w scenę z ciemnawego obrazu. Nie widziałem jej nigdy przedtem w naszej małej osadzie ani między dziewczętami w kościele. W półcieniu wielkiego filaru nabierały one cech niezwykłych, łatwo poddawały się modelowaniu mojej fantazji i kolejno uczestniczyły w moich miłościach. Uwodziłem je, rozkochiwałem, szalałem za nimi, syciłem się ich oddaniem — i wszystko to przemijało w ciągu jednej mszy. Te miniaturowe, rozmodlone miłości ginęły w oślepiającym, wybielonym przez słońce krajobrazie lata, gdy po rozpalonym piachu biegłem przeganiając ludzi wracających z kościoła. I potem, za tydzień, znów szukałem wybranki na czas, który inni poświęcali modlitwom o ocalenie.

Ale tej mszy pochwyciłem spojrzenie nowej wybranki: wzięła w moich marzeniach udział osobiście — i z jej zjawieniem się — wszystko przeszło w inny wymiar — zaczęło istnieć naprawdę.

Jeszcze tego samego dnia spotkałem ją w Dzikim Lesie. Był przetkany siwiejącą już jesiennie olchą, w zasieki ostrężyn wplątane były czerwone blaszki

liści. Biegłem wzdłuż moczaru, otaczającego Dziki Las, ku wąwozowi, który wyprowadzał na szczyty pagórków uwieńczonych sosnowym, ciemnozielonym, klarownym lasem.

Ujrzałem ją za zakrętem, w środku wielkiej, rozjarzonej rafy jarzębin. Wydawała się o wiele mniejsza, szczupłymi, drobnymi rączkami napinała łuki gałęzi. Rzuciłem się, aby jej pomóc. Dostrzegła mnie i wypuściła gałąź, która śmignęła w górę. Krążyliśmy chwilę wokół siebie zwyczajem dzieci, które się zapoznają. Wreszcie wgłębiłem się w siatkę gałęzi i wspinając się na palce nagiąłem jej drzewko jarzębiny, które, napięte w moich rękach, trzeszczało, i pomyślałem, że mogłoby unieść mnie w powietrze. Nałamaliśmy ogromny bukiet.

— To dla mojej mamy — powiedziała dziewczynka i zamilkła. Sparaliżowani przez nieśmiałość, milczeliśmy cały czas, wracając od jaru wzdłuż bagna ku rzece, za którą zaczynały się pierwsze domy M. Niosłem bukiet, który płonął jak pochodnia.

Krystyna była dla mnie istotą tajemniczą, wszystko, co jej dotyczyło, było niezwykłe, onieśmielało mnie. Jej dom wydawał mi się niedosiężnym, jakby położonym na górze zamkiem, jej bliscy — mędrcami, jej ubranka — strojami księżniczki. Przypominam sobie, jak wszedłem po raz pierwszy do jej mieszkania, wynajętego w parterowym domu, otoczonym ogrodem, z werandą jak z butelkowego szkła: światło zabarwiały na zielono liście bzów i jaśminów. Matka Krystyny słyszała o mnie i powitała mnie życzliwie, patrząc z zaciekawieniem:

— O, jest ten mały mężczyzna. Czy wie pan, Mieczyku, że Krystyna ma już narzeczonego? — powiedziała do kogoś, kto był w drugim pokoju.

Matka Krysi miała modą lat trzydziestych podczernione oczy, nad czołem smolistą grzywkę, nieco za proste, grubawe nogi; podała mi rękę, która pachniała perfumami. Wtedy wyszedł pan Mieczysław, aby mnie obejrzeć. Rzuciły mi się w oczy wąsiki, wygolone równo nad wargą. Uścisnął mi mocno rękę, patrząc porozumiewawczo, jakby żartem podkreślając uznanie mojej męskości, podobieństwo naszej roli w tym domu. Później dopiero zrozumiałem, jak bardzo na rękę matce Krystyny było moje zjawienie się. Wysyłanie dziewczynki po bukiety, drobne zakupy, do nielicznych w nowym miejscu koleżanek, nieustanny problem pozbywania się jej — był rozwiązany.

— Kto to jest pan Mieczysław? — zapytałem, gdy tylko Krysia zaprowadziła mnie do drugiego pokoju.

— Pan Mieczysław się nami opiekuje — wyjaśniła moja przyjaciółka.

Najpierw odkryła mi swoje skarby. Listy tatusia z oflagu, fotografię tęgiego, wtłoczonego w mundur podporucznika rezerwy, zamożnego przed wojną inżyniera, lalkę Rozalię, jednooką, w białym wózeczku, przyniosła też kotka Pumę. Kotek, maleńki, miękki, był żywą zabawką, stał na granicy pomiędzy żywymi a sztucznymi zwierzątkami, przewyższał pluszowe misie, w których życie trudno już było wierzyć.

Usiedliśmy po turecku na podłodze tego pokoju o wiejskich oknach, bielonego wapnem, z metalowymi, obitymi czerwoną skórą meblami, wspaniałymi na tle drewnianego prowincjonalnego domku. Krysia objęła mnie za szyję i zaczęła czytać mi po cichu listy ojca. Te listy ojciec pisał wyłącznie do niej,

na jej nazwisko, jak do kogoś zupełnie dorosłego. Co drugi list poświęcał córce. W jednym pisał:

> Kiedyś, kiedy jeszcze byłaś maleńka, marzyłem, że ja, Twój ojciec, wprowadzę Cię w świat, świat roślin, zwierząt i ludzi, ostrzegę, co jest złe. Niestety ten okres przeżywamy w rozłące, w czasach tak ciężkich, że i ojcowskie rady ani opieka nie ustrzegłyby Cię przed niebezpieczeństwem.

— Wiesz — przerwała czytanie Krysia — kiedy byłam całkiem mała, myślałam sobie, że rodzice są władcami całego świata i wszyscy to wiedzą, tylko ukrywają przede mną, bo chcą, żebym wychowywała się jak inne dzieci, i po to sami udają zwykłych ludzi.

W innym liście ojciec pytał, czy Krysia pamięta smak bananów. A mandarynek? Krysia przestała czytać, wspomnieniem kształtu i barwy owocu staraliśmy się wywołać wspomnienie smaku, trwające między podniebieniem a językiem.

Właściwie czas kakao i mandarynek minął się z nami bezpowrotnie, niedługo nie one miały być naszym największym pragnieniem.

Moja wizyta przeciągnęła się, a mimo to matka pozwoliła, żeby Krysia odprowadziła mnie do domu. Przechodziliśmy mnie tylko znanymi przejściami, przez ogrody, które ciągnęły się na tyłach domów. Zmierzchało. Na sinym grzbiecie ziemi wjeżdżaliśmy w noc. Rechotały żaby. Napływał chłód.

Matka Krysi przyjechała do M. w okresie, kiedy zjeżdżało tu dużo nowych ludzi. Nigdy nie było tu tylu przybyszów, uciekinierów z miast, konspiratorów, poznaniaków, ludzi zza Buga. Ale nikt nie znalazł spokoju nawet w tej otoczonej pierścieniem lasów osadzie. Przeciwnie, M. stanowił dręczące tło dla nastroju, który panował w osadzie. Za trzema kolorami lasów widać było w soczewce nieba wyolbrzymione, samotne góry. W zakolu rzeki, zsypany pomiędzy góry, wtopiony w kryształ jesiennego nieba — M. wyglądał zbyt pięknie, aby nie potęgować grozy.

Ściśnięci w dwóch obawach, pomiędzy strachem przed ostatnimi dniami Niemców i frontem — a dniem wyzwolenia z tego, słowem astronomicznym: mgławicą rewolucji. Stłoczeni w tej maleńkiej osadzie jak w piwnicy w czasie nalotu, czekaliśmy, aż po naszych plecach przetoczy się front. Poznawano geografię studiując ruchy armii. Czyż może być bowiem lepsza wróżba niż to, że Niemcy sprzedają buty i konserwy?

Wtedy, jak w czasie wielkich mrozów czy epidemii, miałem wakacje. Byłem jeszcze małą rybką, która mogła przeciskać się przez oczka sieci. Spędzaliśmy z Krystyną całe dnie na wysepce, zarośniętej złotawą czupryną trzcin, odwróceni do nieba, w trawie, która wydawała się wysokopiennym lasem, gdy się leżało twarzą do ziemi. Pasł się tu czasem koń i tylko z daleka, z szosy słychać było buczenie jadących na front kolumn samochodów. Moja matka, która wiedziała, że dzieci i starzy są równi wobec śmierci, postanowiła nie bronić mi niczego. Czyż mogła mieć pewność, że odbiorę sobie wszystko należne? Trzynaście lat mogło być całym moim życiem.

Ale matka Krystyny od chwili przyjazdu pragnęła, aby córka nie traciła czasu. Mówiono potem, że chciała, by nie zabierała go matce. Szukała dla Krysi nauczyciela, który przerabiałby z nią kurs gimnazjum. Pomógł jej w tym przypadek. Pan Mieczysław, który prawie nie wychodził z domu, po całych

dniach czytając na głos książki matce Krysi, spotkał kiedyś swojego dawnego znajomego, który zgodził się uczyć Krysię.

Matka Krysi oświadczyła:

— Nie możesz tracić roku. Twój kawaler będzie rzadziej randkował, a ty zabierzesz się do roboty, żeby, jak ojciec wróci, nie powiedział, że byłaś leniwa.

Zostałem więc sam. Przebiegałem stare szlaki do Dzikiego Lasu, brodziłem przez rzekę i samotnie czytałem na naszej wysepce książki. Przechodziłem dziurami w płotach przez ogrody rozprute jesiennie, ziemia bowiem odwróciła się ku tej porze roku. Pożar jesieni szerzył się niepokojąco, zajęły się drzewa, wiatr niósł spadające liście jak iskry i rozniecał na ziemi płomień, który pełgał i żarzył się. Buchał od płonących krzaków. Każdy z nich był jak osobne słońce. W ogrodach i rowach, wysłanych grubo sprężystym listowiem, pachniało jesienią, był to zapach burzący się, winny, fermentujący, brunatny. W rozkopanych ogrodach pachniała ostro, mocno, budząc głód, podeptana i pocięta nać selera i marchwi. Kolorowe jarzyny piętrzyły się, zbrudzone ziemią. Wykopywano z sypkiej ziemi kartofle, które miały być naszym zapasem na niewiadomą zimę. Piekłem je z chłopakami przy ogniskach, na zrudziałym pastwisku koło Dzikiego Lasu.

Wracałem stamtąd, żeby czyhać na Krystynę, wracającą z kompletu. Chodziła zawsze wąziutką ścieżynką, wydeptaną za rowem, co dzień w innej sukience, w czerwonych sandałkach i białych pończoszkach, z szerokimi kokardami we włosach. Powietrze przestało się gotować, ustało się, sklarowało. Niebo było seledynowe i choć słońce oddalało się od nas coraz wyraźniej — popołudnia były jeszcze gorące. W czasie spacerów Krystyna, nie krępując się, przy mnie odpinała dziecinne podwiązki na tasiemce i zwijała pończoszki; wtedy braliśmy się za ręce i mogliśmy biec pędem z samej góry prosto w kłębowisko kalin, jeżyn i malin u stóp Dzikiego Lasu. Jak dwa zwierzątka o trójkątnych, chudych pyszczkach przebijaliśmy się dnem lasu. Potem siadaliśmy na ziemi czując kłucie igieł, Krystyna obejmowała mnie za szyję i opowiadała mi jedną ze swoich niemożliwych historii: „Pewna młoda staruszka płynęła dnem rzeki. Kiedy dopłynęła do celu, od którego się nie ruszyła, znalazła się w domu, którego wcale nie było, a był zbudowany z pnia żelaznego drzewa. Drzwi z wiatru otwarte były na klamkę wykutą z dziurki od klucza..."

Aż wreszcie pewnego dnia, objęci za szyję i przytuleni, znaleźliśmy nowy smak. Łakomie, jak słodyczami, objadaliśmy się tego wieczora pocałunkami.

Przy pożegnaniu przed jej furtką, Krysia powiedziała:

— Wtedy, w kościele, modliłam się za ciebie.

II. W POGONI ZA WIELKIM WOZEM

Matka niepokoiła się teraz moim włóczęgostwem: przez osadę przejeżdżały samochody pełne ludzi w tygrysich pałatkach i hełmach okręconych ochronną siatką. Niektóre samochody, schlastane błotem, pogięte, nosiły ślady kul. Matka kazała mi więcej siedzieć w domu. Poradziła mi, żebym zaczął pisać od dawna zamierzoną powieść. Siadywałem więc pod słoneczną ścianą domu, trzymając na kolanach zeszyt. Moja powieść była powieścią fantastyczną: dwoje dzieci ucieka z ziemi pociskiem międzyplanetarnym, ukradzionym ojcu dziewczynki,

uczonemu — prosto w niebo, przekraczając jedyną otwartą granicę. Tam odkrywają niezwykłą planetę i zakładają państwo. Skały tej planety zbudowane są z czekolady, morza są pomarańczowe, wypełnione oranżadą, bąbelki gazu nieustannie podnoszą się z dna, fale wyrzucają na brzeg kamyczki-cukierki, drzewa, jak w Boże Narodzenie — rodzą tylko pierniki i cukrowe gwiazdki.

Po przeczytaniu pierwszych kartek mojego zeszytu matce stanęły łzy w oczach i dała mi ostatnie pieniądze na landrynki. Puściłem się biegiem do sklepiku. Na drugi dzień dowiedziałem się od matki, że w M. jest pewien młody człowiek, student fizyki i, o dziwo, podobno poeta, ukrywający się przed Niemcami, który podejmie ze mną lekcje.

Był to pan Bruno, znajomy pana Mieczysława z Warszawy, który zjawił się w M. jeszcze przed przybyciem mojej przyjaciółki. Nie pasował ze swoimi krótkimi spodenkami i hasaniem na rowerze ani do nastroju grozy, ani do małej mieściny. W czasach, gdy inni z konieczności tylko wychodzili na główną ulicę i zamiast defilować tamtędy przed posterunkiem żandarmerii woleli obchodzić miedzami, przez ogrody i ukryte furtki, on w pędzie, naciskając pedały, mijał otoczony drutem budynek. „Niemiec jak pies, nie zwraca uwagi na powolnych, rzuca się za zbyt ruchliwymi" — ostrzegał go pan Mieczysław, jeszcze gdy omawiali sprawę nauki Krystyny.

Matka wiedziała już o mojej miłości, ale była dyskretna. Zaprosiła moją nową koleżankę z kompletów do ogrodu na śliwki. W ten sposób przebywałem z Krystyną przez całe dnie. Pochylając się nad zeszytem zastępującym tablicę — czułem dotknięcie jej włosów, czasem próbowałem leciutko dotknąć policzkiem jej policzka. Pisząc zadania przy okrągłym stole, przez cały czas dotykaliśmy się kolanami.

Pan Bruno miał własny program nauczania. Nie tylko pomijał zupełnie historię, geografię, chemię, języki, ale nawet nauka dwóch przedmiotów: polskiego i matematyki, była osobliwa. Na polskim czytaliśmy na głos książki wyjęte z jego walizki, o stronicach startych od czytania jak karty do gry. Na odwrocie starej księgi buchalteryjnej, ewidencjonującej drobne ilości przedniego tytoniu fajkowego, machorki, bibułek „Solali" w książeczkach, pan Bruno wykładał trzynastoletnim uczniom matematykę, która obejmowała wyłącznie teorię Einsteina. Tylko jego wykład utrzymywał nas cudem w zrozumieniu, tylko nadążając za jego słowami, za jego myślą jak za przewodnikiem — cudem przechodziliśmy nad przepaściami obszarów niezrozumiałych. Chwila nieuwagi, a wszystko by przepadło, prysło. Przeszliśmy raz przez tę teorię i nigdy nie udało się nam wrócić czy też przebyć samodzielnie ani kawałeczka drogi. W pamięci zostało nam tylko tyle, że gdyby rakieta z mojej powieści leciała z szybkością światła, w kilka miesięcy objechalibyśmy niezmierne przestrzenie, ale na ziemi minęłyby w tym czasie setki lat i wróciwszy — nie zastalibyśmy już nikogo z bliskich: ani tatusia Krysi, ani mojej matki, ani pana Brunona. Tak dowiedzieliśmy się o czasie, w którym w minutach przeżywa się całe lata.

Rozmawialiśmy na ten temat z Krystyną, kiedy opowiedziałem jej swoją powieść o rakiecie i o ucieczce z ziemi. Nie przyznałem się, że to ja wymyśliłem taką powieść. Opowiadając Krystynie, dopiero w miarę opowiadania rozszerzyłem ją znacznie: należymy do tajnej organizacji. Goni nas gestapo, depcą nam po piętach, w ostatniej chwili, gdy świszczą nam już kule koło uszu, dopadamy ukrytej rakiety. Zapuszczam motor. Niemcy czepiają się zatrzaśniętych wła-

zów, a ja naciskam dźwignię. Wybuch gazów zmiata gestapowców. Rakieta unosi się w górę. Pod nami pożary ziemi.

Tymczasem siedzimy na stojącej w podwórzu bryczuszce naszego gospodarza, zwanego Dziadziem-Trumienką, pachnącej sianem, skórą i końskim moczem. Kiwamy się lekko, a koła bryczki skrzypią. Na kolanach w sukience Krysi pełno śliwek z przyjęcia, wydanego przez moją matkę na jej cześć. Zapada zmierzch. Przed nami otwiera się mapa nieba. Patrzymy na szlaki niebieskie, na drogi, wysypane kruszywem gwiazd, na jasne drogowskazy, płonące spirytusowym, błękitnym płomieniem.

Dziadzi-Trumienki, mojego gospodarza, nienawidziliśmy. Dzieci uważał za istoty stojące na najniższym szczeblu przyrody: nic nie robiły, były głupie, kradły jabłka. Najważniejsze były zwierzęta: dawały mleko, swoją siłę, a nawet żywot. Dziadio-Trumienka poza gospodarstwem — pracował na kolei, był torowym i w M. mówiono, że nawet pomiędzy podkładami robiłby grządki, na torze siałby marchew. Kpił sobie z całego niepokoju, był stary, wychodziło mu na swoje, znał zapasy życia w sobie i obliczył widać, że straty byłyby nieduże, że starczało mu życia już nie na długo. Po drodze do kościoła odczytywał jednak nekrologi, czarne bilety do miejsc, w których się zostaje. Rozpierała go duma, że przegonił innych, którzy drżeli o życie: „Najlepsze lekarstwo — przygotować sobie trumienkę" — mawiał, gdy wdawał się w rozmowy z moją matką, pracując za płotem w ogrodzie. Z mojej nauki śmiał się: „Bolszewicy zagonią nareszcie białoruczki do roboty, tam nauka jest jaśniepańskim wymysłem. Taki jest Ruski..."

Pan Mieczysław, który zdradzał ostatnio coraz większy niepokój, udzielający się i matce Krysi, też mówił: „Po co męczyć dzieci, i tak czeka ich przejście do następnej klasy... wie pan, co mam na myśli" — te słowa były skierowane do pana Brunona, który, odprowadzając nas po lekcji, dojechał wolniutko aż do domku, gdzie mieszkała Krystyna. Pan Bruno zatrzymał się wtedy przy płocie, nie zsiadając z roweru, chwyciwszy się ręką sztachet. Szorty odkrywały grube, mocno zbudowane kolana. Na próżno pan Mieczysław namawiał go, żeby odeszli od płotu i nie rzucali się w oczy. Pan Bruno nie zwracał na to uwagi. Poprawiał czuprynę, skręconą w pierścionki, sterczącą ku górze. Odpowiedział:

— Może im się przydać nauka. W Warszawie na Szucha jest oficer, podobno w czasach pokoju nauczyciel matematyki, który swoim ofiarom daje zadania z algebry i godzinę czasu. Kto nie rozwiąże...

— Pan żartuje — odpowiada pan Mieczysław i zerka na leżak z wielbłądzim pledem, stojący w słonecznikach — ale ja czuję w powietrzu wielki swąd, jakby gdzieś paliły się lasy... Po Żydach — kolej na Polaków. Ten teren musi być oczyszczony. Po prostu czuć już swąd, to będzie coś większego niż się spodziewamy, stare środki zabijania już się przeżyły. Zawsze technika nadążała za potrzebą mordowania coraz większych mas ludzi. Teraz trzeba wysyłać miliony. Oczekujmy rewelacji... Tutejszy Dziadzio-Trumienka może nie wykorzystać swojej trumienki, spali się jak papierek...

— Ach, znowu Dziadzio-Trumienka, w tym miasteczku nastrój jest niesamowity — powiedziała matka Krysi, która, idąc od ganku powitać nauczyciela córki, usłyszała ostatnie słowa rozmowy — czujemy się tu jak przed końcem świata.

— Kiedy umrzemy, wszystko się dla nas zatrzyma — powiedział pan Bruno. — Dla każdego śmierć jest końcem świata, katastrofą kosmiczną: nie umiemy wyobrazić sobie niebytu.

— Niech panowie przy dzieciach nie mówią o śmierci. One nie powinny nic wiedzieć. One, aniołki, pójdą chociaż do nieba — odpowiedziała matka Krysi.

A przecież od dwóch dni pan Bruno poprowadził nas dalej, niż mogła to sobie wyobrazić matka Krystyny. Zarzuciliśmy i teorię Einsteina. Pan Bruno kazał mi czytać książkę o motylach, ale nie słuchał, nieobecny, wydzierał kartki z owych ksiąg buchalteryjnych i robił notatki. Czasem przerywał mi i sam odczytywał jakąś myśl, zanotowaną na karteluszku. Nie rozumieliśmy wiele z tego, ale od myśli pana Brunona zajęły się nasze. Kiedy wracaliśmy z Dzikiego Lasu, przytuleni, wpatrywaliśmy się w dno wszechświata odsłonięte przez światło, uciekające szczeliną między niebem i ziemią. Zaczynała się dla nas wielka lekcja: noc. Odkrywała się przed nami tablica, na której tkwiło, jak drgający neon, wielkie zdanie: Czy tędy dążą, z węzełkami dobrych uczynków i grzechów, dusze? Czyżby tam gdzieś, może widzialny gołym okiem, miał być raj ze złoconymi świętymi? Jedyna droga do nich prowadziła przez rozwartą przepaść wszechświata, otchłań nieba, nad którą staliśmy, bojąc się w nią runąć...

Pan Bruno pisał swoją rzecz przez dwa tygodnie. Aż wreszcie w dzień po wizycie w domu Krystyny zaczął wszystko przepisywać. I najdziwniejsze było, że przepisywał to w wielu egzemplarzach, z zatrważającą dokładnością dbając o identyczne rozmieszczenie tekstu. Tak „wydał" na kartkach starych ksiąg buchalteryjnych swoją rozprawkę:

„GDZIE JESTEŚMY?"

Budzimy się po śnie niebytu, rodzimy się z pytaniem: gdzie jesteśmy? Gdzież to znaleźliśmy się? Zadajemy w życiu wiele pytań, wymagamy odpowiedzi od rodziców, nauczycieli, mędrców — ale z tym jednym nie mamy się do kogo udać. Wszyscy bowiem jesteśmy rozbitkami wyrzuconymi na nieznanym brzegu. Cała robinsonada ludzkości odbywa się w nieznanym, nie oznaczonym na mapie miejscu. Nie znamy nawet nazwy czegoś, czego stanowimy cząstkę, sami nazwaliśmy sobie nasz krąg — bo któż miał go nazwać? Ten bezimienny i niewiadomy, istniejący bez świadków i komentatorów — nieznany nam kształt, którego może jesteśmy jedynymi, samotnymi świadkami? Komu zapisujemy naszą historię? Składamy się z cząsteczek, z których zbudowany jest obojętny, rozpędzony i istniejący dotąd bez wspomnień wszechświat, a przecież nasza myśl jest bezmiernie samotna. Już nasz „praszczur" wirus, gdy rozeszły się jego drogi z martwą przyrodą — był samotny, ale samotność swoją uświadomił sobie dopiero człowiek. Wychylił się za burtę pędzącego statku ziemskiego i ujrzał milczący ocean, „oblewający ze wszech stron ziemię", i siebie, który bynajmniej nie jest sternikiem.

Jesteśmy bezpieczni w tej podróży bez celu tylko dlatego, że nasz czas jest tak mały, tak nieskończenie mały: podobnie jak bezpieczne są bakterie pod kołami lokomotywy. Nie starczyłoby nam życia nawet na najbliższą podróż ku wyjaśnieniu zagadki!

Ale sami niszczymy nasze cudy istnienia, zakłócamy przedziwną równowagę

materii, w której z ciemności tworzy się na tak krótko niepowtarzalna możność oglądania — tracimy jedyną szansę miażdżąc kruche człowiecze naczynie, z którego wykwitł duch! Ileż miliardów gatunków wyginęło, nim „udał się“ człowiek! Jedna na miliard szansa naszego istnienia spełniła się: patrzymy na niesamowite, dziwne piękno naszej planety. Z czasem przyzwyczajamy się do niej i do życia. Coraz rzadziej dziwią nas wytryśnięte, zaplątane kształty drzew, blada maska księżyca zawieszona na niewidzialnych sznurkach, pojawianie się słońca. Przyzwyczajamy się do tego jak do czegoś zwykłego i dlatego łatwiej popychać nas ku śmierci. Nie potrafimy wyobrazić sobie świata bez siebie, świata nie oglądanego naszymi oczyma — i dlatego tym łatwiej nas oszukać, wydając nam kwit do odbioru w nieskończoności. Dzięki temu łatwiej popchnąć nas, abyśmy dążyli do stanu, w którym przestaniemy wiedzieć, pamiętać o istnieniu tego CZEGOŚ a także o istnieniu własnym. Zwrócimy tylko pożyczkę, zaciągniętą od ziemi.

Kapłani, znachorzy chorób świata, podają nam gotowy lek na nasze pytanie. Chętnie się ofiarowują z tym lekiem, który ich nic nie kosztuje. Ale my o bogu wiemy więcej niż on sam o sobie — że jest rozbitkiem takim jak my, bo ziemia jest jego ojczyzną i ani jeden jego składnik nie jest pozaziemski.

A jakże mało może ofiarować pytającym i samemu sobie człowiek pytający!

Dość obszerna praca kończyła się takim zdaniem: „wierzę w jedynego boga: w życie. Ale i temu bogu trzeba składać ofiary“.

III. WYPOLEROWANY BUT

Następnej nocy po wizycie pana Brunona u pana Mieczysława matka obudziła mnie i kazała włożyć buty, kupione na wypadek jakiejś „rajzy“, czyli ucieczki — od niemieckiego żołnierza, natłuszczone według wskazówek Dziadzia-Trumienki. Włożyłem je najpierw, nie zdążywszy jeszcze zdjąć nocnej koszuli. Zęby dzwoniły mi metalicznie. Pod powiekami trwał jeszcze kontur snu.

Ale na jasnym ekranie bielonej wapnem ściany wyświetlał się powiększony cień paproci, obraz przesuwał się od lewej do prawej, w środku osiągając najwyraźniejszy, niesamowity kształt. Kosmate łapy paproci jak nogi pająka wędrowały na tle siatki firanki. Potem pająk sunął szybko, malał i zwężony, zniekształcony, zgnieciony — nikł wreszcie w rogu, ale natychmiast pojawiał się na srebrzystej ścianie następny, aby przedefilowawszy, przepełznąwszy przez całą ścianę uciec w mrok. To reflektory jadących jeden za drugim samochodów wyświetlały ten obraz. W czasie naszych lekcji jesień zdążyła dokonać spustoszeń, drzewa stały prawie nagie, jak ości rybie, i przez nasz ogród ogołocony, bezbronny przebijały się miecze reflektorów, tnąc ciemność. Najgorsze było to, że samochody podjeżdżały i kolejno zatrzymywały się, gasiły motory i światła. Dlatego matka zdecydowała się obudzić mnie. W zupełnej ciszy słychać było z szosy podniecony szwargot. Zapach spalin i kurzu napłynął falą i przedostał się do pokoju.

Siedzieliśmy w ciemnym, zamkniętym drewnianym domu jak muchy w pudełku od zapałek. Pobiegłem do sionki, żeby wyjrzeć przez małe okienko na szosę. Musiałem zdjąć buty: cisza, w jakiej po zatrzymaniu się kolumny aut pogrążone było osiedle, była tak natężona, że moje stąpania mogliby usłyszeć

stojący na szosie. Szybka, jak mały wizjer, ukazała mi koniec drewnianego mostku, który był przerzucony przez rów od naszej furtki. Na ostatniej desce stał nieruchomo wyczyszczony, lśniący w poświacie księżyca długi but o grubej, wysokiej cholewie. Nic więcej przez okienko nie można było zobaczyć. Istniał tylko but! Nagle poczułem, że ktoś, macając ścianę, zbliża się ku mnie w ciemności przez sionkę. Był to Dziadzio-Trumienka, który przyszedł ze swego pokoju. Miał na sobie tylko kalesony i swoją kolejarską czapkę.

Wróciłem do pokoju i znów włożyłem buty. Tam przez uchylone okno słychać było lepiej, co się dzieje na szosie. Niemcy się naradzali. Matka modliła się półgłosem. Prosiła:

— Klęknij przy mnie i mów za mną: „Kto się w opiekę odda panu swemu, a całym sercem szczerze ufa jemu, śmiele rzec może — mam obrońcę Boga...".

Myślałem: „Boże, gdzie jesteś, w jakim kierunku mam cię szukać, dokąd kierować swoje błaganie?". I oto nagle zza tego wypłynęła myśl, której uświadomienia teraz właśnie, przed śmiercią, najbardziej się bałem: „Boże, czy ty jesteś, daj znak, wysłuchaj..." Przewrażliwione sumienie dziecka zaczęło ucieczkę przed tą myślą. Ale im szybciej uciekało w inne rejony, ku modlitwie — tym szybsza była ta myśl, tym natrętniejsza, coraz bliższa, aż wreszcie obecna pod samą powierzchnią.

A matka modliła się za mnie przez cały czas. Jej modlitwa błądziła bez adresu przez ogromne światy, w ciągu sekund obiegała, okrążała wszechświat i wracała — nie przyjęta. Nikt nie odbierał naszego rozpaczliwego sygnału. Znów wysyłamy go, nasze serca wystukują go nadaremnie w skrzącą się pustkę, jeszcze raz nadajemy wołanie, ale ratunek się nie zjawia. Słyszymy natomiast głuche dudnienie kroków na mostku. A więc już. A więc jesteśmy bezbronni, żaden anioł stróż nie pochyla się nad naszymi łóżkami.

„Boże, jeśli jesteś, to sam widzisz, że nie mogę w ciebie uwierzyć, i przebaczysz mi" — pomyślałem jeszcze. Teraz powinno nastąpić walenie w drzwi. Ale zamiast tego skrzypnęła ławka na ganku. Widocznie Niemiec, którego but oglądałem przed chwilą, znużony nocną wyprawą, chciał sobie na chwilę przysiąść. Dobrze zrobił, bo zaraz czekała go dalsza droga. Za chwilę usłyszeliśmy warkot zapuszczanych silników. Odjeżdżali!

Usnąłem natychmiast, w butach położywszy się na łóżku.

Czułem ich uwieranie, gruby twardy jucht, krocząc w tłumie uciekających ludzi. Srebrne trawy płynęły naprzeciw wielkiemu wichrowi. Nagle z wielką gromadą ludzką wstąpiliśmy w pagórkowatą okolicę, w której trawa była wypalona. Niebo pędziło nad naszymi głowami z szaloną szybkością. Wtem przypomniałem sobie, że przecież pcham wózek, w którym mam coś, co muszę ocalić. Ze zdziwieniem zauważyłem, że wózek — to biały wózeczek lalki Rozalii, a w nim leży Krysia, martwa, sztywna i maleńka jak lalka.

Trud wytworzenia tej wizji przerywa mój lekki sen. Matka jeszcze nie położyła się. Siedzi na łóżku i wpatruje się w okno. Nie wie, że obudziłem się i obserwuję ją: twarz matki ma wyraz grozy. Okno było naświetlone różowym światłem. Musiało już świtać. Ale dlaczegóż to — świtało od zachodu? Tak jakby słońce zawracało ze swej drogi.

Niebo jak wielkie zwierciadło odbijało ogień płonący na ziemi. Zajmowało się coraz bardziej, coraz czerwieniej, jakby było z łatwopalnego materiału. To była łuna nad Krzyżami! Przed pół godziną w kierunku wsi Krzyże — odje-

chała kolumna samochodów spod naszego domu. Bóg odwrócił cios. Bóg nas wysłuchał! Bóg nam odpowiedział!

Cały dzień nad Krzyżami stał słup dymu jak ogromny obelisk, pomnik męczeństwa. Przepowiednie pana Mieczysława zaczęły się spełniać; były przeczuciami jego losu: matka, która rano przeszła do sąsiadów furtką w płocie, zakazała mi wychodzić, a pod żadnym pozorem nie wolno mi było odwiedzać Krystyny.

Tej samej nocy bowiem, kiedy jedni dążyli ku Krzyżom — inna grupa gestapowców aresztowała pana Mieczysława. Był to cios nagły, niespodziewany. Nikogo poza nim nie zabrano. Skąd dowiedziano się, że był Żydem? Musiał zdradę przywlec za sobą jak zarazę. Nikt w M. nigdy nie zdradził nikogo. Teraz dopiero miasteczko, zwracając wzrok w kierunku zakrzywiającej się pod kulistym kloszem pogodnego nieba rudej kolumny dymu — zastygło w przerażeniu. Biedni ludzie: zablokowali furtki, niektórzy zamknęli okiennice swoich domów. Wpadali na siebie w ciemnych pokojach.

Front cofał się tyłem, najpierw pojawiły się warsztaty naprawcze, magazyny, urzędy zaopatrzenia. Mapy stały się zbędne. Ziemia zabulgotała wewnątrz, jak sejsmografy czuliśmy te drgnienia ziemi, nadciągające trzęsienie. Mało pamiętam z tych słonecznych dni listopada. Wiem, że matka Krystyny wyjechała na drugi dzień po aresztowaniu pana Mieczysława — ratować go. Zostawiła córkę samą w opuszczonym mieszkaniu na opiece gospodyni, zabierając wszystkie pieniądze i kosztowności, które jeszcze zostały po mężu.

— To dlatego, że trzeba ratować człowieka — tłumaczyła roztrzęsiona. Krysia nie miała z czego żyć. Po raz pierwszy była sama, drżała ze strachu, płakała całe dnie. Stała się obojętna na moją obecność. Czasem tylko mocno, bardzo mocno ściskała moją rękę. Siedziała w pełnej much kuchence ich gospodyni, przepojonej zapachem kwasu, potu, niewietrzonego pomieszczenia, i pytała:

— Nie wiesz, co się stało z mamusią?

Pobiegłem wreszcie do pana Brunona. Pod domem sklepikarza stał samochód. Otoczyłem go szerokim półkolem. Ulica wokoło była zupełnie pusta. Było zbyt cicho.

Nagle ujrzałem, że z galeryjki pana Brunona schodzi drewnianymi schodami dwóch cywilów w kapeluszach o wąskich zawiniętych rondach, w pilśniowych, myśliwskich kapeluszach zgniłego koloru.

Pan Bruno szedł między nimi przygładzając swoje rozwichrzone włosy, jakby zakłopotany. Nie zauważył mnie. Nie zdążyłem dać mu znaku — auto ruszyło, rzucając mi w twarz kłąb spalin i kurzu.

Po chwili matka przyciskała moją głowę do fartucha, który pachniał kuchnią. Kwasiła kapustę na zimę, tak jakbyśmy mogli mieć nadzieję dotrzeć do dolnych warstw pociętych, ubitych liści.

O ile pamiętam, matka Krystyny wróciła po dwóch tygodniach. Jej fokowe futro wyleniało, nabrało czerwonawej barwy. Jej smoliste włosy odrosły: były przetkane grubym srebrem, ujęte starczo w aksamitkę. Znikła, tknięta wojną, cała sztuczna jej przedwojenność. Nocowała na dworcach i w pokątnych hotelikach w Kielcach, Radomiu, Krakowie. Wpadła w ręce oszustów, którzy wyciągnęli od niej całą resztę dobytku, powstałego z całych lat ciężkiej pracy

i zapobiegliwości ojca Krysi. Łudzili ją przyrzeczeniami, później dopiero wyszło na jaw, że pan Mieczysław po trzech dniach został rozstrzelany pod Kielcami, nigdy nie był wywieziony poza Kielce — ani do Radomia, ani do Krakowa.

Matka Krystyny zaczęła myśleć o ekshumacji. Dziadzio-Trumienka, który zapomniał już o chwili słabości w noc pacyfikacji Krzyży — gdy się dowiedział, był temu przeciwny: „Po cóż rozdzielać go z ziemią, gdy już się z nią pogodził..."

Ale już nie czas było na umarłych. Pewnego dnia drogi leśne zaroiły się czołgami, które przebijały się z chrzęstem przez krzaki. Jak nakręcane, mechaniczne żółwie-zabawki o skorupach nakrapianych żółtymi cętkami — pojawiły się nagle wielkimi stadami.

Tylko kilka przeraźliwie jasnych pocisków pękło w górze, wszystko stało się błyskawicznie. Całymi dniami staliśmy teraz na brzegu szosy, patrząc na czołgi Czerwonej Armii, rozmaszczające drogę, obalające płoty, zadymiające osadę błękitnym, ciężkim dymem. Śledziliśmy zgrzytliwe obroty gąsienic.

Po kilku dniach Krystyna z matką wyjechała do miasta wojewódzkiego. Nie widziałem ich więcej. Tylko po upływie pewnego czasu starszy, tęgi pan w okularach, angielskim dresie wojskowym w kolorze khaki, przyjechał do M. Wagonem wywiózł na Ziemie Odzyskane meble z domku, w którym obie mieszkały.

Ślad po panu Brunonie zaginął. Poza panem Mieczysławem nikt go nie znał, nie wiedzieliśmy nawet, jak się nazywa. Dobrze, że wydał swój poemacik i że gestapowcy nie zabrali razem z nim jego myśli. Nie wiem nawet, jakby go odszukać, żeby oddać mu jego dziełko. Zresztą, gdzie go szukać, jeśli nie żyje?

W wojnie bowiem wszystko staje się śmiertelne. Po ojcu — z trójcy, która roztaczała opiekę nad moim dziecinnym łóżeczkiem — przyszła kolej na boga. Ojciec leży pod małą mogiłką. Ale prochy boga, zabitego przez wojnę — rozwiały późniejsze burze myśli: niebo nie może być ani niczyim mieszkaniem, ani nie może być niczyim grobem.

Został mi więc ten poemacik. Nie wiem, czy wtedy rozumiałem go. Ale dziś już trudno mi oddzielić od siebie tamtego chłopca, który był kiedyś mną.

Pozostała mi też z tamtego czasu nie dokończona powieść. Myślę do niej wrócić. Tęsknię jak dawniej za ucieczką nowoczesną arką od grożących nam potopów, które pozostawiłyby różową pustkę, od spełnienia przepowiedni pana Mieczysława, od krajobrazów, zepsutych sztucznym, niespokojnym światem człowieczym — za krajobrazem przejmującej, kojącej ciszy. Cierpię, że marnujemy życie w prowincjonalnym zakątku Ziemi, że umrzemy nie wiedząc, gdzie byliśmy, bez nadziei znalezienia odpowiedzi na pytania, których szukać należy w obie strony nieskończoności, bez nadziei wyparcia z nieba przez ekspedycję ludzką boga, dzierżawcy śmierci i wszystkich obszarów, które się za nią znajdują.

Może tam, po przekroczeniu brzegu nieba, gdzieś, przy osiągnięciu jakiejś szybkości — jest właśnie nieśmiertelność, czyli dogonienie czasu?

Krzysztof Kąkolewski

Sławomir Mrożek

KRONIKA OBLĘŻONEGO MIASTA

Miasto jest oblężone. Okoliczni chłopi nie mogą się przedostać przez rogatki, dzięki czemu ceny nabiału niepomiernie wzrosły. Przed ratuszem stoi armata. Woźni magistratu odkurzają ją starannie przy pomocy zajęczych łapek i pęków piór. Ktoś radzi ścierać kurze na mokro. Ale kto by tam słuchał rad w zamieszaniu wojennym. Każdemu, kto spiesząc się przez miasto zobaczył tę armatę — serce ścisnęło się niepokojem. Niejeden wzruszył ramionami. Ludzie butów dziś nie czyszczą, a tu... Ale w obawie przed donosicielami udał, że to swędzą go plecy i podnosząc barki drapie się między łopatkami. Że to niby nigdy nic.

Co do mnie — o nic nie mam żalu. Przykuty do swojej izdebki i do swojego miasta ograniczonością mojego losu, wiem, że tak samo nie zostanę marszałkiem, jak nie jestem hrabią. Staruszek, który mieszka pod schodami, ogromnie się cieszy. Przez całe życie przedstawiał się jako strzelec wyborowy. Będzie mógł się pokazać. Od rana przeciera swoje okulary w drucianej oprawie. Ma zapalenie spojówek.

Po południu przez otwarte okno na przedmieściu wpadł mały pocisk i zabił dwie rybki w akwarium. Mimo to postanowiono urządzić pogrzeb pokazowy Przez całą noc w katedrze wokół czarnego katafalku paliły się świece. W trumnie na katafalku leżały dwie srebrne rybki, trzeba się było dobrze nachylić, żeby je zobaczyć w tym czarnym pudle, głębokim jak przepaść. Później szóstka koni od karawanu, nie czując ciężaru, co chwila ponosiła. Pełnomocnik odpowiedzialny za pogrzeb usiłował im wytłumaczyć, że dobro miasta wymaga od nich dostojnego, żałobnego kroku. Stangreci bili je ukradkiem po chrapach i to odnosiło skutek. Stojąc nad grobem arcybiskup wygłosił płomienne przemówienie, ale potknął się o albę i wpadł do dołu. Przysypano go przez pomyłkę, ponieważ nikt nie zauważył jego zniknięcia, mimo że wszyscy mieli twarze pełne skupienia. Odkopano go zresztą natychmiast i grabarze musieli go przepraszać. Był w dostatecznie złym humorze. Jednak po tym pogrzebie powszechna nienawiść do wroga znacznie wzrosła.

Tego dnia staruszek postrzelił o zmierzchu dozorcę zapalającego lampy gazowe. Tłumaczył się, że to na skutek skąpego światła, ponieważ mierzył dokładnie wprost we wroga. Przysięgał, że zapalenie spojówek zaraz mu przejdzie.

W nocy — w piwnicy naszego domu rozległ się głośny huk. To eskplodowały

butelki z fermentującym winem domowym, nieprawidłowo zakorkowane. Postawiliśmy straż.

Kiedy na skutek tego wypadku zbiegaliśmy wszyscy do piwnicy, żeby się przekonać, co tam się dzieje — zobaczyłem, że sąsiadka ma koszulę nocną we wzorek żywo przypominający drobne, jesienne listki. Powiedziałem jej to. Od razu nasunęła nam się jesień i zrobiło się tak smutno, że gdy wszyscy poszli z powrotem spać, usiedliśmy we dwoje na tylnych schodach, prowadzących na podwórze i do ogródka. Tam wyrzekaliśmy na tę nieprzyjemną porę roku. Ale przypomniałem sobie, że mam kołdrę w proste, ale miłe, wiosenne kwiatki. Przyniosłem kołdrę i okryłem nią sąsiadkę. Od razu zrobiło się nam weselej.

Rano sensacja. Jeden z patriotów znalazł przy śniadaniu, w kawie, torpedę. Natychmiast zawiadomił. Kawę wylano. Jest zalecenie, żeby kawę pić tylko przez rurkę. Zwłaszcza, odkąd kefir jest zaminowany. Podobno są to nasze kontrminy.

Gazeta nawołuje do wytężenia sił. Nawołuje także do czynów, które przynoszą chwałę i awans. „Generał w każdym domu!" — takie jest hasło dnia. Wytężyłem siły, ale szelki mi pękły. Moja gosposia zrzędzi: „Na co mi generał! Ani to butów porządnie nie wytrze, ani czapki nie zdejmie..." Na wystawie, trzy ulice od nas, jest pokazany wzorcowy generał. Podobno można tam też dostać piklingi. Ale nie mogę wyjść z domu, przez te szelki.

Próbowałem czytać, ale naprzeciw mojego okna ulokował się ów staruszek, który tak się cieszył, że nareszcie może dać z siebie wszystko. Pierwszym pociskiem rozbił mi lampę. Zapędził mnie za kanapę, gdzie względnie bezpiecznie mogę oddawać się lekturze. Czytam *Przygody Sindbada żeglarza*. Jednak w pewnej chwili pomyślałem, że to nie jest tekst godny czasów, jakie przeżywamy. Czołgając się wyjąłem z półki nieco już pożółkły tom *Tryumfalny pochód pompy ssąco-tłoczącej w instalacjach użytkowych*. Kule brzęczą o sprężyny w kanapie. Sprężyny wydają długi, wibrujący ton.

Około południa staruszkowi wyczerpała się amunicja, a może poszedł do okulisty. Gosposia wróciła z wiadomością, że w zakładach fotograficznych skonfiskowano wszystkie zdjęcia przedstawiające mężczyzn z brodą. Na pytanie „dlaczego" nie umiała dać odpowiedzi. Naprawiła mi szelki. Ale wiadomość nie dawała mi spokoju. Świeża lektura o pompach uczyniła mój umysł badawczym. Przyprawiłem sobie sztuczną brodę i wyszedłem na ulicę. Już na rogu zatrzymali mnie dwaj z żandarmerii polowej. Zaprowadzili mnie do fotografa, zrobili zdjęcie, wywołali je i natychmiast skonfiskowali.

Tej nocy znowu nie mogliśmy zasnąć, bo po dachu jeździło auto pancerne i legitymowało koty, które tam o tej porze się włóczą. Podobno tylko jeden miał legitymację, ale jego też zabrano. Zwykły kot, który ni stąd, ni zowąd posiada prawdziwą legitymację — to musiało wzbudzić zrozumiałe podejrzenia.

Sąsiadka wyszła dziś do miasta w sukni w zielone groszki.

Trzydziestu ludzi od rana zamalowuje na czarno błyszczącą dotąd kopułę ratuszową. Kopuła iskrzyła się w dni nawet niezbyt słoneczne, ale jak oblężenie, to oblężenie. Jeden z malarzy na moich oczach zsunął się z pochyłej powierzchni i spadł na ulicę. Miał złamaną nogę. „Za ojczyznę!" — krzyknął, gdy go podnieśli. Słysząc to i widząc, jakiś przechodzący tamtędy obywatel wyrwał innemu przechodniowi laskę i jednym uderzeniem złamał sobie nogę. „Ja też

chcę! — wołał. — Nie mogę pozostać w tyle!". Ten krzyk podniecił jego samego jeszcze bardziej, tak że dodatkowo stłukł sobie również okulary.

W cyrku grają od dzisiaj tylko patriotyczne numery i to nie wszystkie.

W rodzinie dozorcy domu, w którym mieszkam, zaczynają się już typowe objawy związane z trudnościami żywnościowymi oblężenia. Wracając do domu przechodziłem koło otwartego okna sutereny i słyszałem, jak dozorca mówił do swojego synka: „Jak będziesz niegrzeczny, to ci tatuś zje obiad". Głos pełen był źle tłumionego łakomstwa. Wzruszyłem ramionami. Dlaczego ojciec nie przyzna się po prostu, że jest głodny. Dziecko na pewno by zrozumiało. Ta hipokryzja oburzyła mnie do głębi.

Gospodyni przywitała mnie nową wiadomością: „Czy pan wie — powiedziała — że w tym roku nie będzie Bożego Narodzenia? Choinki mają być przeznaczone na barykady". — „Ach, z tymi choinkami to niech się pani nie martwi — przerwałem jej — powiesi się bańki na asparagusie." — „Na asparagusie! Jezus kochany! — zawodziła. — Widział to kto kiedy!" — „Trudno, proszę pani, lepiej na asparagusie niż na niczym." — Zastanawiała się chwilę. — „Tak, ma pan rację — powiedziała. — Ale jak asparagusy też wezmą na barykady?" Na to nie umiałem jej odpowiedzieć. Ulicami pędzą w charakterze gońców pocztowe jamniki. Widocznie znowu coś się stało.

Pierwsze posiedzenie sztabu generalnego. Podobno zarysowała się różnica zdań co do użycia armaty, którą widziałem przed ratuszem. Zgadzając się ogólnie z tym, że trzeba strzelić z niej do wroga, jedni chcą jednak strzelić w dniu święta państwowego, inni w dniu święta kościelnego. Wyłoniło się centrum, które uważa, że najlepszym wyjściem jest ustanowienie nowego święta państwowego, które by nieznacznie przypadło na jakieś święto kościelne. Lewica natychmiast rozpadła się na dwie grupy. Jedna proponuje więc przyjąć poprawkę centrum pod rozwagę, druga ustosunkowała się od razu do tej poprawki nieprzychylnie, traktując ją jako przejaw oportunizmu. Wkrótce i ultralewica rozpadła się na dwa dalsze ugrupowania. Jedno domagało się wydania rezolucji potępiającej i odcinającej się, drugie zalecało ograniczenie do ogólnikowego zastrzeżenia w nieobowiązującej formie na użytek wewnętrzny. Analogicznie zresztą jak i w obozie obstającym za strzeleniem w święto kościelne, który rozwarstwił się wnet według stanowiska zajmowanego przez poszczególne odłamy wobec propozycji centrum. Po południu znowu mi pękły szelki. Wstyd mi już prosić gospodynię, żeby je naprawiła. Ta kobieta ma w końcu prawo do osobistego życia. Siedzę więc w domu i robię notatki z *Tryumfalnego pochodu.*

Wieczorem poczułem się zmęczony. Pomyślałem, że po wytężonej pracy umysłowej należy mi się jakaś rozrywka. Ośmielił mnie mrok na ulicy, ponieważ zapalacz lamp znajduje się nadal w szpitalu. Na pięć kroków nie widać, że mam pęknięte szelki. Wymknąłem się do gospody, gdzie przy kontuarze poznałem bardzo miłego człowieka, który okazał się kanonierem od naszej armaty. Zwierzył mi się, że nie ma pojęcia, jak się z niej strzela, ponieważ jest z zawodu hodowcą jedwabników, a do obsługi działa przydzielono go przez pomyłkę w kartotekach. Co do mnie, podnosząc szklankę do ust przytrzymywałem spodnie lewą ręką.

Czas płynął nam szybko. Wkrótce obejmowaliśmy się serdecznie. Niestety, nie mogłem go ściskać oburącz, jak on mnie. Bałem się więc, że weźmie mnie

za naturę oschłą i skrytą. Wracałem, pełznąc pod murami, ponieważ w pustych ulicach gwizdały kule krótkowzrocznego staruszka.

Okazało się, że gospodyni zamknęła drzwi od wewnątrz na haczyk. Niezdecydowany snułem się po ogrodzie, zaglądając do okien. W niektórych jeszcze paliło się światło, między innymi w oknie mojej sąsiadki. Widziałem ją, była tak lekko ubrana, że drżała z zimna. Omal się nie rozpłakałem z żalu. Zresztą, jak można tak nie uważać na siebie.

Ponieważ późno poszedłem spać — spałem do południa. W południe dwie ważne nowiny. Pierwsza: z drugiego posiedzenia sztabu generalnego, na którym z kolei zaczęło się rozpadać centrum, zależnie od poglądu jego członków na stosunek do stanowisk zajętych zarówno przez oba ugrupowania ultralewicy, jak i lewicy, jak i trzech wyłaniających się grup z prawego skrzydła. I druga nowina: w ratuszu odbyła się uroczystość. Nasz staruszek, w uznaniu za jego ochotniczą, czujną walkę z wrogiem, otrzymał order i nowy karabin z lunetą. Natychmiast pobiegłem do apteki i zaopatrzyłem się w jodynę i szarpie, które odtąd będę stale nosił przy sobie. Natomiast nie obyło się bez małego skandalu. Na skutek krótkowzroczności staruszek przypiął sobie medal do góry nogami. Na zwróconą mu uwagę — odpowiedział ogniem. Z krzykiem, że nie przepuści ani jednemu wrogowi, pobiegł na miasto. Wyróżnienie wzmogło jego ofiarność. Jaka pełnia szlachetnych chęci w tym człowieku, jaki zapał!

Jednak życie w mieście męczy mnie. Sądzę, że czas by pójść na majówkę. Poleżeć gdzieś w trawie, mając nad sobą tylko wolno płynące obłoki. Czy pogoda wytrzyma? Mój Boże, w moim mieście jest tyle pięknych katedr i pomników. Pory roku zmieniają się tak cudownie, jakby przyroda sama dbała o nieustający teatr dla nas, tak subtelnie zmieniający dekoracje. Jestem pewien, że wyszedłszy na mury, gdzieś na krańcach obwarowań, można patrzeć na południe, zobaczyć świat niczym nie ograniczony. Czy jest coś piękniejszego niż stanąć nad brzegiem morza, o godzinie piątej rano, w letni dzionek — morza, którym popłyniemy za chwilę na południe i wciąż na południe? Na pewno jest — i właśnie ta pewność nas skłania, żebyśmy wesoło szukali, wędrując coraz to dalej i dalej. Oczywiście, tak sobie tylko myślałem. Brak porządnych szelek dokuczał mi coraz bardziej. Moja nieznajomość życia praktycznego nie pozwalała mi na zaradzenie temu osobiście, wstyd powstrzymywał przed prośbą o pomoc. Zresztą co chwila następowały nowe wypadki. Wydano oficjalny komunikat o tym, że strzelenie z armaty do wroga odbędzie się ostatecznie nazajutrz.

Pociągało to za sobą mnóstwo zabiegów, krzątaniny. Jedna z instrukcji przewidywała, że każdy powinien postarać się we własnym zakresie o hełm, w którym by można chodzić w dalszym ciągu oblężenia, a w szczególności wystąpić w nim w dniu Strzelenia. Było z tym wiele zamętu, moja gospodyni długo coś pruła i szyła, a potem weszła do mojego pokoju w filcowym hełmie skrojonym ze starego beretu, w którym chodziła jeszcze do szkoły, kiedy była mała. Berecik ten wyjęła z kufra na strychu. Pachniał jeszcze naftaliną. „Czy dobrze?“ — zapytała niepewnie, jakby wstydząc się. Byłem zaskoczony, ponieważ wszystkich przygotowań dokonała w cichości, nie zrzędząc i nie narzekając głośno, jak to miała w zwyczaju, ilekroć wykonywała jakieś zarządzenia władzy, a co by mnie uprzedziło. „Dobrze — rzekłem. — Wygląda w tym pani, powiedziałbym, zupełnie młodo. Tylko, wie pani, trochę za mało sztywne.

Hełm powinien być twardy." „Co ja zrobię — zmartwiła się. — Pocerowałam, jak mogłam."

„Nie o to chodzi — próbowałem jej łagodnie zwrócić uwagę. — Wie pani, to na wypadek, gdyby... zresztą, ma pani chyba kawałek jakiejś blachy, choćby brytfannę, może jaki stary, niepotrzebny czajnik..."

Jeśli chodzi o mnie, poradziłem sobie najprościej. Gdy wyszła, wyrzuciłem asparagus z doniczki i doniczkę nałożyłem na głowę. Nie zapewniało to wprawdzie bezpieczeństwa nawet przed odłamkami, ale nie dbałem o to, chciałem mieć spokój na wypadek kontroli. Przez chwilę tylko trapiła mnie myśl, co będzie, jeżeli asparagus istotnie będzie nam potrzebny na Boże Narodzenie.

Wieczorem, pragnąc się nieco odprężyć po dniu pełnym przygotowań, udałem się na przechadzkę po cmentarzu. Rzeczywiście, znalazłem to, czego się spodziewałem: spokój, ciszę — tak kojącą po wędrówce ulicami napełnionymi rozgorączkowanym tłumem, przeważnie już w hełmach. Wszyscy spieszyli się, pragnąc załatwić na czas sprawunki przed jutrzejszym świętem, kiedy sklepy będą zamknięte. Posuwając się wolno aleją, natknąłem się na nie dokończony obelisk wznoszony na reprezentacyjnym grobie dwóch rybek, poległych w pierwszym dniu oblężenia. Mówię z przyzwyczajenia: „rybek", choć to jest sprzeczne z treścią tablicy nagrobkowej. Ku mojemu zdziwieniu spotkałem tam sąsiadkę, która widocznie tak jak i ja wymknęła się na chwilę z rozgwaru i zamieszania. Spod ładnego hełmeczka z blachy falistej wymykały się włosy. Ogarnęła mnie nieśmiałość.

— Jak cicho — powiedziałem, stojąc naprzeciw niej.

— Jak cicho — potwierdziła.

— Jutro strzelają.

— Tak, podobno.

Wyjęła lusterko i poprawiła sobie hełm.

Strzelenie z armaty nie udało się. Doniosła mi o tym moja gospodyni, ponieważ oficjalnego komunikatu nie wydano. Pomyślałem, że mój znajomy kanonier mówił prawdę, zresztą podobno nie było w tym żadnej jego winy, zupełnie możliwe, że były inne powody, ludzie mówili o tym dość dużo. W końcu zaprzątnięty byłem czym innym, ponieważ chciałem wreszcie udać się na majówkę — jak wiadomo, w tym czasie nie wychodziłem na ulicę w dzień, z powodu szelek. Przed gospodynią tłumaczyłem się, że bolą mnie nogi i że mam dużo pracy, wskazywałem na rozłożone na stole studium o *Tryumfalnym pochodzie pompy ssąco-tłoczącej w instalacjach użytkowych* i notatki. Co się tyczy samej majówki, liczyłem na to, że na peryferiach i tak się nikogo nie spotyka, poza tym miałem zamiar wyruszyć późnym popołudniem. Wieczorem, w dniu Strzelenia, też nie wychodziłem z domu, bo oddawałem się planom i marzeniom o wycieczce. Zgasiwszy światło, długo stałem w oknie.

Kiedy obudziłem się nazajutrz rano, usłyszałem, że moja gospodyni płacze w kuchni. Leżałem przez chwilę zaskoczony, na próżno starając się domyślić, co mogło jej sprawić taką przykrość. Dopiero razem ze śniadaniem przyniosła mi, obok kanapek, które miałem ze sobą zabrać, gazetę. Zostawiła to wszystko na stole i uciekła, szlochając. Na pierwszej stronie gazety była moja fotografia oraz zawiadomienie, że w ogóle wszystkiemu zawsze byłem i jestem winien ja.

Mniej mnie to wszystko zdziwiło, niż sam się spodziewałem. Ostatecznie, skąd można wiedzieć na pewno, czy to naprawdę nie ja jestem wszystkiemu

winien? Nie wychodziłem z domu, ale tym razem cieszyłem się skrycie z defektu szelek, który był tego powodem. Byłoby mi nieprzyjemnie pokazywać się ludziom, jeżeli to ja jestem wszystkiemu winien, a oni są o tym przekonani.

Szkoda, że przyjemność majówki miałem zakłóconą. Kiedy wychodziłem z domu, jedną ręką jak zwykle przytrzymywałem spodnie, drugą podałem dozorcy. Wszystkie moje książki, zarówno *Przygody Sindbada żeglarza,* jak *Tryumfalny pochód pompy ssąco-tłoczącej w instalacjach użytkowych* podarowałem gospodyni. Prosiła, żebym pisywał do niej od czasu do czasu. Cieszyłem się, że było już szaro. Zapalacz lamp jeszcze nie wyzdrowiał. Zaszedłem na podwórko w tej nadziei, że zobaczę sąsiadkę przez okno. Nie zobaczyłem jej, słyszałem tylko, jak z kimś rozmawiała. Po głosie poznałem mojego znajomego kanoniera. Skierowałem się na południe. Naprawdę kochałem moje miasto. Mury tchnęły łagodnym, głębokim ciepłem, jakie wydają kamienie u schyłku upalnego dnia. Zawsze miałem podziw dla prawdziwej architektury, dla wszystkiego, co jest mądre i proste, co naturalnie wynika, a co jest wielkie i piękne dzięki jakby naturalnemu odruchowi. Toteż z przyjemnością żyję, o ile to jest możliwe.

Upatrzyłem sobie okolice starej cytadeli, dawno opuszczonej. Zmierzałem ku jej starożytnym, ale jeszcze wyniosłym wałom, zieleniącym się bujną, tuż przed drugim sianokosem, trawą. Rozgwar ulic cichł znacznie poza mną, zapuszczałem się między milczące bastiony, które z wiekiem przybrały postać okrągłych garbów. Uleciała z nich cała wojownicza treść, zostawiając sielankowe, acz nie pozbawione pewnego niepokoju, pagóry. Radowało mnie, że moje przewidywania okazały się słuszne. Mało kto mnie widział, po drodze bez skrępowania mogłem przytrzymywać spodnie jedną ręką. W drugiej niosłem kanapki.

Zmęczony trochę szybkim marszem, usiadłem na chwilę w dolinie między dwoma bardzo wysokimi, równoległymi wałami, ciągnącymi się aż w daleką perspektywę. Już od długiego czasu szedłem wzdłuż tego wąwozu, jego dnem, teraz widziałem nad sobą tylko pas ciemniejącego nieba. Wpatrując się weń dostrzegłem niezwykle ostro odcinającą się na jego tle sylwetkę czyszczącą karabin, ozdobioną małym, błyszczącym kółkiem medalu na piersi. Tam, w górze, było jeszcze słonecznie, podczas gdy w mojej bruździe leżał już granatowy cień.

Był to oczywiście staruszek z zapaleniem spojówek, tak zacięty w ściganiu nieprzyjaciela. I teraz najwidoczniej krążył po krańcach miasta, bez spoczynku w swej dobrowolnej służbie. Przejęty podziwem dla jego wytrwałej pasji, niemniej bałem się, że — choć ożywiony najszlachetniejszymi intencjami — ułomny poczciwina może się pomylić.

Na szczęście nie dostrzegł mnie. Starając się nie czynić żadnego szelestu, na palcach ruszyłem wzdłuż doliny. Wkrótce już miałem go za plecami. Mógłbym poruszać się znacznie szybciej, ale przeszkadzały mi opadające spodnie, które stale przytrzymywałem. Gdybym miał nieuszkodzone szelki! Śmieszne skrupuły nie opuszczały mnie i teraz. Przecież w tej dolinie byłem sam, kogo więc miałbym się wstydzić.

A potem on jednak strzelił. Leżąc już w trawie, twarzą do ziemi, czułem, że serce boli mnie tępo, głucho i głupio.

Sławomir Mrożek

Antoni Isaković

PO RAZ TRZECI

Antoni Isaković należy do grupy najlepszych pisarzy serbskich. Obok Ranka Marinkovića i Vladana Desnicy uważany jest za najwybitniejszego współczesnego nowelistę jugosłowiańskiego. A. Isaković jest redaktorem naczelnym jednego z najpoważniejszych jugosłowiańskich czasopism literackich — „Delo". Poniżej dajemy jedno z jego opowiadań, które ukaże się niebawem w wyborze nowel partyzanckich.

Trzech żołnierzy weszło do miasteczka.

Od mostu ciągnęła się stara, turecka droga, stanowiąca główną ulicę. Deszcz lał przez całą noc i ranek. Domy jakby się skurczyły, a krzywe parkany i okiennice poczerniały od wilgoci. Popękany tynk na wypukłych ścianach przybrał kolor zsiadłego mleka. Całe miasteczko zabazgrane było hasłami. Na ścianie szkoły, już od mostu, widać było węglem narysowane olbrzymie głowy Stalina, Roosevelta i Churchilla; deszcz prawie zupełnie je zdeformował. W większych oknach wystawowych sklepów i kawiarenek wisiały ręcznie malowane plakaty i zawiadomienia o różnych zebraniach i konferencjach.

Dowódca Zekavica i jego dwaj żołnierze szli powoli prawą stroną ulicy.

Większość sklepów stanowiła obecnie składy miejscowej komendantury. W paru pozostałych sklepach za zamglonymi szybami okien wystawowych leżały okrągłe brytfanny rzadkiego, podobnego do chałwy „sudżuka", kostki miękkiego mydła własnego wyrobu, pigwy i ułożone w stosy orzechy.

Przechodzili obok piekarni.

— Patrzcie, są placki! — rzekł jeden z żołnierzy.

Kupili sobie po jednym placku i wyszli ponownie na ulicę. Jedli szybko.

— Spekulanci! Więcej wody niż mąki!

— Po prostu śmierdzi wodą!

— Spekulant!

Cała trójka z nienawiścią odwróciła się w stronę sklepu.

Zekavicę wzywali do sztabu brygady. Po co go wzywali, nie wiedział, ale przeczuwał coś. Nie lubił tych wezwań. Miał pewne doświadczenie: dotychczas już dwa razy usuwali go ze stanowiska dowódcy kompanii.

Jeden z żołnierzy miał skórzaną czapkę. Zekavica spojrzał na nią. „Skąd on ją wziął?" Chciał wyrzucić kawałek placka, lecz w końcu wpakował go do ust. Przeszli przez ulicę i pod okapem starej kuźni usiedli na pustych skrzyniach.

— Nie spóźnimy się? — spytał Sima.
— Bądź spokojny.
— Przyjemnie jest tak sobie tutaj posiedzieć!
— To siedź i milcz! — Zekavica ponownie spojrzał na skórzaną czapkę. „Skąd on ją wziął?"
— Mitar, czy ta czapka jest ciepła?
— Ciepła, towarzyszu dowódco!
— Zamienisz ją w lecie?
— Nie, towarzyszu dowódco!
Mitar zaczął powoli uderzać obcasami o skrzynię. Obojętnie kiwały się porwane buciska. Zekavica pomyślał sobie, że najlepiej być zwyczajnym żołnierzem.
Rynsztokiem płynęła brudna woda.
— Po raz trzeci usunięty ze stanowiska. No... ale nic. — Zekavica pięściami uderza o kolana.
— Kto? — spytał Sima.
Dowódca milczał. Kiedy się zaczną ofensywy, znów wróci na swoje miejsce. Był dowódcą czy nie? Drugą kompanię piątego batalionu nazywali wszyscy kompanią Zekavicy.
„Co ja o tym sądzę? Może jakieś specjalne zadanie?" Zekavica wciągnął szyję głęboko w ramiona. „Po co mnie wzywają?"
Na ogół biorąc, kompanie nie miały jucznych koni. Były one tylko przy plutonach roboczych i batalionie. Ale Zekavicy udało się tak zrobić, że jego kompania miała swego konia. Na kompanijnego konia ładowano dwie skrzyneczki amunicji, mały włoski miotacz min, który w innych kompaniach nieśli żołnierze na plecach, zapasowe granaty, kilka min przeciw piechocie oraz parę kilogramów dynamitu. Oprócz tych oficjalnych przedmiotów ładowano również nieoficjalne, o których wiedziała tylko kompania: czapkę i biały kitel lekarski, szkła laboratoryjne, olbrzymią austro-węgierską lunetę, dwie księgi kościelne, stułę i żelazny krzyż.
Stara lorneta używana była do specjalnych celów.
Zekavica, ustaliwszy przy jej pomocy, który dom we wsi wygląda najbogaciej, prowadził tam swój oddział. Posyłał partyzanta, aby zawołał gospodarza, a on sam z założonymi na piersi rękami stał pogrążony w myślach. Chłop wychodził powoli z domu, a partyzant wbrew zwyczajom, stojąc na baczność, służbiście raportował.
— Towarzyszu dowódco, rozkaz wykonałem. Przed wami stoi obywatel taki a taki, ze wsi takiej a takiej.
Tego rodzaju raport jeszcze bardziej wytrącał chłopa z równowagi.
— Przyjacielu, widzisz, masz przed sobą wojsko! Trzeba je wyżywić — zaczynał Zekavica. — Żołądków jest niemało, a żołnierski żołądek jest zawsze głodny.
— Widzę.
— Możesz coś zrobić do jedzenia? Partyzanckie wojsko jest najskromniejsze na świecie.
— Tylko was jest sporo.
— Co sporo?
— No tego skromnego wojska!

— Dzięki Bogu! Tym prędzej przyjdzie wyzwolenie.

— Wiem. Tylko gdybyście to wy jedni byli... Jest was dużo... i to rozmaitych! — I chłop cofając się i chowając głowę w ramiona powtarzał: — Nie mam! Nie mam! Nic nie poradzę!

— Poszukamy! — surowo mówił Zekavica.

— Szukajcie.

— Aha, ojczulku, takiś przygotowany do rewizji! To znaczy, że wszystko, co było nad ziemią, teraz jest pod ziemią. Tak, musisz chować! Ale nie przed nami.

— Ni diabła nie znajdziecie, nic nie mam.

— Ni diabła, diabłem to ty jesteś, ojczulku! Uważaj, bo my robimy rewizję aparatami, a nie gołym okiem.

Zekavica wydawał rozkaz, aby przyniesiono lunetę, która „przeziera na wylot", a sam wyciągał kompas i kładł go na rękę.

— Więc mówisz, że nie masz nawet ziarnka. Wobec tego, że nie masz — powtarzał Zekavica — wszystko, co znajdziemy, zabieramy, bo to nie twoje. Jak widzisz, ojczulku, sprawa jest bardzo prosta i nieskomplikowana! Technika. Kiedy ty walczyłeś — takich rzeczy nie było.

— A musicie koniecznie robić rewizję?!

— Nie musimy.

— Tych, którzy będą u mnie na kwaterze, nakarmię — mówił wreszcie chłop.

— To dlaczego od razu tak nie mówisz, po co ta cała dyskusja?

W ten sposób Zekavica kończył zwykle rozmowy z chłopem.

— Pamiętajcie, chłopcy — Zekavica lubił popisywać się pewnymi swoimi zasadami — na ile chłopi są mądrzy i rozsądni, na tyle też są i głupi. Szanuj rozsądek, ale wykorzystaj również głupotę.

Zekavica prztyknął palcem w czapkę Mitara:

— Mitar, czy ta czapka skórzana jest z zasadzki?

— Z zasadzki, z tamtego czołgu.

— Aha, rozumiem... Czołg czuje się pewnie na równinie. Pyszni się i panoszy, a wtedy dajesz mu szczutka. A jak się wycofujemy? Tam, gdzie się nieprzyjaciel nie spodziewa! Czołgu nie bij z przodu! Jest jak byk, czoło ma najmocniejsze. Tylko go w zad, żeby mu się ogon zapalił. Jak strzela, leż spokojnie. Nie uciekaj. To są, chłopcy, blaszane pudełka! — Zekavica zaśmiał się złośliwie i głośno.

Mitar przestał stukać obcasami. Wyciągnął nóż i zaczął na skrzyni wycinać gwiazdę pięcioramienną.

Naprzeciw nich, na ścianie domu, na całą szerokość rozciągało się hasło wypisane niebieskimi literami: „Wesz może zniweczyć rewolucję". Pod hasłem nakreślone było czerwonymi literami: Lenin.

— Czerwoną farbą napisali nasze hasła, a niebieską o czystości! — powiedział Sima.

— Taka brudna mieścina, a walczy o czystość! Jak myślisz, ile jest w niej pluskiew? — zapytał Zekavica.

— Pełny dom — rzekł Sima.

— Trochę przesadziłeś, ale chyba tyle.

— Ja bym ją spalił!

— Spalił? — powtórzył Zekavica. — Może to i najlepsze. Jak już mają coś budować, niech budują porządnie.

— Towarzyszu dowódco, mówią, że są ładne muzułmanki — powiedział Mitar.

— Tego jeszcze nie sprawdziłem. Tylko więcej się mówi, niż jest naprawdę. Mają syfilis!

— Co to jest?

— Będziesz miał na twarzy taką ranę jak burak.

— To obrzydliwe!

Szary piesek wbiegł pod okap i zwinął się obok skrzyni.

„Czy aby nie z powodu Grgelja?“ — zastanawiał się Zekavica, myśląc znów o swojej sprawie.

Grgelj przez dłuższy czas ukrywał, że był w seminarium duchownym. U innego dowódcy może by mu się to udało, ale nie u Zekavicy. W dniu, w którym Zekavica nie miał już wątpliwości, że Grgelj umie czytać ojczenasze jak pop — do białego kitla i lekarskiej czapki dołączyły się rekwizyty kościelne. W latach zawieruchy wojennej wiele dzieci było nie ochrzczonych, chłopi urządzali święta rodzinne — „slawy“ — w nie poświęconych domach i chowali umarłych bez egzekwii. W Bośni nawet na lekarstwo nie można było znaleźć popa.

Zekavica miał z komisarzem kompanii dłuższą dyskusję.

— Dlaczego nie pójść chłopom na rękę? — mówił Zekavica. — Czy będzie to robić prawdziwy pop, czy człowiek, który miał być popem, to wszystko jedno. Przy sztabie dywizji jest pop Velja. Fakt, że pop może być również u nas — należy tylko uważać za szczęśliwy zbieg okoliczności.

Zekavica umiał przekonać swego komisarza. I Grgelj, który nosił wąsy, zapuścił teraz jeszcze czarną bródkę.

We wsi Pepeljevo, w której się zakwaterowała kompania, Grgelj szeroko rozwinął swoją działalność: chrzcił, odprawiał egzekwie nad grobami zmarłych, święcił wodę i udzielał ślubów parom nie związanym sakramentem małżeńskim. Przyjeżdżali chłopi i z innych wsi, hojnie obdarowywali kompanię i prosili, aby pop do nich przyszedł. Wieść o tym, że razem z partyzanckim wojskiem przybył prawdziwy pop, szybko rozeszła się w okolicy i chłopi tak tłumnie zaczęli ściągać do wsi, że Zekavica przestraszył się. Kazał Grgeljowi zgolić brodę, a ludziom oznajmił, że pop został przeniesiony...

Teraz więc sądził, że został wezwany do sztabu w sprawie Grgelja.

„Znowu się wszystko zwali na moją głowę! Będą mi mówić, że kpię sobie z ludzi, a ja tylko wykorzystuję ich głupotę. I nie tylko to: we wsi, w której byliśmy ostatnio, przy pomocy Grgelja rozwinęliśmy doskonałą agitację. Pięciu nowych ochotników zgłosiło się do kompanii.”

Zekavica wstał.

— Chłopcy, dość tego siedzenia!

Szybko podeszli do szkoły. Mitar zwrócił uwagę, że Churchill na ścianie zbytnio się nadął, że prawy wąs Stalina sięga gdzieś aż pod kieszeń na bluzie i że to tak nie może zostać. Zekavica nie zwrócił uwagi na jego słowa i kazał im obu czekać.

A sam spokojnie wszedł do sztabu.

*

Po dwóch godzinach cała trójka wracała główną ulicą.

— Już zdjąłeś? — odezwał się Sima.

— Ślepy jesteś czy co, przecie widzisz! — Zekavica spojrzał na swój prawy rękaw, na którym zostały ślady po odznakach dowódcy.

— Nie szkodzi...

— Wojna potrwa jeszcze i znowu dostaniesz nominację!

— Ze mną zawsze tak — krótko.

Zekavica przeklinał i skarżył się na swój żołnierski los; rozumiał go, ale równocześnie nie mógł się pogodzić, że zawsze jest taki sam. Obaj partyzanci potakiwali.

Przed gospodą Zekavica zatrzymał się.

— Napijmy się czegoś — powiedział. — W takim dniu muszę się upić. Po raz trzeci już mnie usuwają ze stanowiska, po raz trzeci będę pijany w partyzantce. A sześć razy ranny. Podwójnie... Chłopcy, czemu stoicie? Wchodźcie.

Zekavica pierwszy wszedł do piwiarni. Traktiernia była pusta i cała trójka usiadła przy stole, obok którego leżała próżna beczka od piwa. Zekavica kopnął ją nogą.

— Piwa, szynkarzu! Zapomnieliśmy już, jak smakuje.

Chudy karczmarz podszedł do nich, dziwnie przechylając się w prawo, jakby miał uszkodzoną kość biodrową.

— Zapomniało się już o nim, towarzysze. Przed wojną otrzymywaliśmy z Travnika!

— Lubisz piwo?

Szynkarz zdziwiony pytaniem ukazał w uśmiechu żółte zęby. Głos miał piszczący i przenikliwy:

— Lubię.

— A widzisz, bo my lubimy rakiję! Przynieś nam dużo rakiji!

Szynkarz stał w dalszym ciągu wycierając ręcznikiem chude ręce.

— Czego stoisz? — zawołał Zekavica. — Myślisz, że nie mamy pieniędzy? Które przyjmujesz: kuny, liry, marki? Odpowiadaj.

— Wszystkie, wszystkie kursują — szybko odpowiedział szynkarz.

— Jeszcze potrzebne są tylko do tego tureckie — krzyknął Zekavica. — Nie bój się, mamy wszystkie trzy rodzaje pieniędzy. Kiedy zaczną partyzanckie kursować, to te inne znikną. W naszym państwie mamy teraz sto państw.

Szynkarz wyszedł i przyniósł wódkę.

— Sima, zdejm ten koc — powiedział Zekavica.

— Czy on ci przeszkadza?

— Przeszkadza.

— Mnie też. Ale lubię go nosić. — Sima powiesił koc na krześle.

Zekavica pił szybko rakiję. Przyglądał się mętnej barwie i palcami dotykał brzegów kieliszka.

— Wiedziałem... Nie pomogło nawet to, że Grgelj ogolił brodę. Powiadają: „robisz awantury". A ja tylko awanturniczo wojuję. — Awantura — to przecież partyzancka wojna. Mówią: „łamiesz linię". Zgoda. Czasami to też dobra rzecz. — Zekavica przerwał i ściskał ręką ostry brzeg kieliszka. „Po co ja im to mówię?" — Rozumiecie coś z tego? Sima?

— Rozumiem! — odpowiedział Sima.

Mitar zdjął skórzaną czapkę i zaproponował, aby coś zjeść. Zawołali ponownie szynkarza.

— No, co masz? — zapytał Zekavica.

— Fasolę z wołowymi kiszkami.

— Co to za kombinacja?

— Z braku laku — rzekł szynkarz.

— Z braku laku? Bierzecie kiszki wyrzucane przez komendę miasta i pakujecie do fasoli, co?...

— Czyściutkie są — odrzekł szynkarz. — Weźcie, spróbujcie.

— Nie jadam kiszek. Jeśli któryś z was chce, bierzcie — rzucił ostro.

Zekavica ponownie nalał sobie rakiji. Wypił szybko — w ustach pozostał wstrętny smak. Jego dwaj przyjaciele mlaskając zajadali fasolę. Poczuł do nich odrazę. Cóż innego żołnierz robi oprócz jedzenia i spania? Wieczna żołnierska troska, aby nie być głodnym i niewyspanym. Dlatego właśnie Zekavica wozi ze sobą doktorską czapkę i rekwizyty kościelne.

— Czapkę masz z czołgu?

— Z czołgu.

— A tak — Zekavica kiwnął głową. Znowu się zamyślił.

Sima został „przeciwczołgistą"; kiedy otrzymali dostateczną ilość karabinów, przy sztabie brygady utworzono pluton przeciwczołgowy i Sima odszedł z kompanii. Szybko jednak wrócił. Zekavica uśmiechnął się. Przywykli do siebie.

Wychylił ponownie kieliszek... Człowiek lubi wspomnienia... Ale dlaczego?

Piąta rana była najcięższa. Stało się to pod Konicem. Zapamiętał tylko zimne, lepkie błoto na czole. Myślał, że będzie mógł krzyknąć, ale nie mógł ruszać szczękami. Ciepło wyciekało z niego i zdawało mu się, że nie ma nogi. Siłę miał tylko w czole. I przyciskał je do błota.

Zekavica nachmurzył się. W szpitalu powiedziano mu, że wyciągnął go Sima, żołnierz z kocem.

Przed nim — pusty kieliszek. Sima i Mitar jeszcze jedzą. Szynkarz stoi przy bufecie.

— O czym myślisz? — zapytał go nagle Zekavica.

— Nic. Kiepskie czasy.

— To widzę. Ale poza tym co myślisz? Kto my jesteśmy?

— Partyzanci.

— A czego chcemy?

— Wyzwolenia.

— Właśnie, ty jesteś dobre „wyzwolenie"! Co ty robisz dla wyzwolenia? Sprzedajesz rakiję!

Szynkarz milczał.

— Uważasz, że dość jest głupich!

Sima uspokajał Zekavicę.

— Daj spokój! Chcę im powiedzieć, aby nie myśleli, że nas nabijają w butelkę. Ile masz lat?

— Ponad czterdzieści.

— Mógłbyś walczyć! Co ci z tego przyjdzie, że zostaniesz żywy? No powiedz!

— Chory jestem. Choruję na wątrobę.

— Dlatego krzywo chodzisz. Widzisz, jestem lekarzem, ale mierzi mnie myśl, że miałbym cię badać. Zabieraj te talerze i przynieś jeszcze rakiji.

Szynkarz zbliżył się do stołu.

— Masz coś kwaśnego? — spytał Zekavica.

— Mam paprykę.

— To przynieś miskę.

Na zawołanie szynkarza zjawiła się blada dziewczynka, której wydał polecenie.

— Patrzysz i myślisz, że się upijemy. Nie bój się! Wiesz, do kogo jesteś podobny?

Szynkarz odszedł od bufetu, zbliżył się do pieca, odpędził kota i wystraszony spojrzał na Zekavicę.

— Do wianka cebuli. Jesteś wianek i wisisz. Ile was takich na świecie? Boisz się? Mamy broń. Dajemy drapaka... A ty wisisz.

Zekavica wstał i podszedł do szynkarza.

— Drżysz. Jestem bezczelny. Daj, niech cię pocałuję, w każdym razie jesteś nasz wianuszek.

Mitar odsunął talerz i powiedział:

— Towarzyszu dowódco, możemy iść!

— Po pierwsze, nie jestem już twoim dowódcą, więc jeśli chcesz — idź!

Zekavica stał na środku piwiarni.

— Ściany są ciemne, a tam są jakieś białe plamy. — Zekavica wskazał ręką na prawo. — Pewnie wisiały obrazy. Z pewnością król i królowa. We wszystkich fryzjerniach i knajpach. Co zrobić, my jeszcze nie produkujemy naszych obrazów.

Do piwiarni wszedł wysoki partyzant w gumowej pelerynie. Pod spodem miał mundur skrojony z angielskiego szynelu, a na nogach żółte, nowe buty. Zatrzymał się, spojrzał na Zekavicę i powoli podszedł bliżej.

— Cześć, towarzysze!

— Cześć! — Zekavica ponuro skierował się do stołu. Partyzant cicho zaczął rozmawiać z szynkarzem.

— Nowoprzybyły towarzysz, jeśli nie ma nic przeciw temu, może usiąść z nami — powiedział Zekavica.

Przybysz zbliżył się, rzucił pelerynę na drugi stół i przysiadł się do nich.

— Widzę, że popijacie, a to nie jest dobry zwyczaj — rzekł wyciągając z kieszeni żółte blaszane pudełko.

— Być usuniętym ze stanowiska, to też nie jest dobry zwyczaj — odpowiedział Zekavica.

— Owszem. — Z żółtego pudełka wziął trochę tytoniu i posunął je na środek stołu.

— Kto pali, proszę!

Sima i Mitar zaczęli sobie skręcać papierosa.

— Wasza jednostka pewnie nie kwateruje w mieście?

„On tak mówi chyba dlatego, że jestem pijany" — pomyślał Zekavica i spojrzał na cienkie, czarne wąsiki.

— Nie, my stoimy w Pepeljevie — odpowiedział Sima. — Tylko sztab brygady wezwał tutaj naszego dowódcę.

— Zapamiętajcie sobie raz na zawsze, że nie jestem waszym dowódcą. —

Zekavica przyjrzał się uważniej czarnym wąsikom. — Nowoprzybyły towarzysz może z nami wypić. Przepraszam, jak się nazywasz?

— Pijani są zawsze gościnni!

Zekavica drgnął.

— Nazywają mnie Ika.

— Ika... towarzysz Ika... Wszystko jedno. Masz bardzo krótkie imię. Moje jest zawiłe: Zekavica. Nie jesteś z naszej brygady?

— Pracuję w komendanturze.

— Pracujesz... Dobrze mówisz... A ja walczę. Krupy liczycie. Jesteś liczykrupa! — zawołał Zekavica. — Liczykrupów nie szanuję... Na terytorium wyzwolonym jesteście jak u Pana Boga za piecem. Macie ładne notesy, skórzane raportówki... w ogóle, do skóry czujecie słabość. Zawsze ogoleni... Pachniecie mydłem. Wałęsacie się po terytorium wyzwolonym, organizujecie, zdobywacie ładną kobiecą bieliznę... przedwojenną. Jesteście zarodkiem... Jakim zarodkiem? Mój komisarz kompanii twierdzi w swoich odczytach, że jesteście zarodkiem swego rodzaju władz gospodarczych! Kiedy zaczynają się ofensywy, wtedy idziecie z nami... na tyłach.

— Nieprawda — odezwał się urażony Ika.

— Jak to nieprawda? Wolnego... Znam ja wasze wymówki. Macie zawsze poważne zadanie: zaopatrywać wojsko. Organizujecie warsztaty i przede wszystkim ubrania szyjecie sobie.

— Przed paru dniami posłaliśmy Brygadzie Krajiszskiej pięćdziesiąt par butów i przeszło sto par kierpców.

— A sobie buty z cholewami. Wszedłeś do piwiarni jak dowódca dywizji. Powiedz: po co ci buty z cholewami? Przecież nie wojujesz.

— Nie obrażaj mnie! Nie na twoje życzenie jestem w intendenturze.

— I jesteś z tego niezadowolony, co?! Wszyscy macie jakieś wytłumaczenie i nosy jak myśliwskie psy. Zdobywamy miasto... nie ma was nigdzie! Jak już po wszystkim, zaraz się zjawiacie. Obrona przed „rabunkiem". Organizujecie wywózkę trofeów wojennych!

— Jesteś pijany wariat.

— Słuchaj, liczykrupo. Bo jak cię rąbnę...

— Patrzcie go, znalazł się, będzie bić.

Zekavica podniósłszy się z miejsca palnął go w twarz. Nowa czapka żołnierska spadła na podłogę. Ika sięgnął po pistolet. Sima zerwał się i chwycił go za rękę.

— Puść go! — zawołał Zekavica. — Tacy to chyba już zapomnieli, jak się strzela! — Śmiał się na całe gardło. Spod odrzuconej do tyłu czapki wystawała jasna, rozwichrzona czupryna.

Sima chwycił czapkę, owinął Ikę peleryną i popychając go do wyjścia tłumaczył mu coś zaciekle.

Zekavica wypił ostatni kieliszek.

— Pierwszy policzek partyzantowi. I to liczykrupie. Nie żałuję. Kelner, płacić! — Zekavica wywrócił kieszenie i wysypał na stół zmięte liry i kuny.

— Chłopcy, idziemy. W tym brudnym miasteczku nie mamy nic do roboty. Ale się urżnąłem, psia jego mać!

*

Czterdzieści noszy posuwało się po bezdrożu.

Niemcy bez przerwy deptali całej dywizji po piętach. Z jednego okrążenia wchodzili w drugie. Nieśli rannych. Ośmiu zdrowych żołnierzy stale zmieniało się przy nieociosanych bukowych gałęziach. Była to cała partyzancka drużyna. Gdy w czasie marszu dywizji powstała kolumna rannych, odpowiednio wzrósł oddział sanitarny. Dywizja szła coraz wolniej. Dowódca dywizji, dowódcy poszczególnych oddziałów i żołnierze wciąż zastanawiali się, jak wyzwolić się z pęt, które przeszkadzają im w szybkich operacjach. A pętami tymi byli ich towarzysze.

W pobliżu schroniska górskiego powzięto decyzję: ciężko rannych należy ukryć w górach. I tak jak ptak, który pisklęta swe chce uchronić od prześladowców coraz dalej uciekając od swoich młodych, tak też dywizja zostawiła rannych i pewnego dnia o zmroku oddaliła się górskimi wierchami. Ściągając na siebie uwagę niemieckich oddziałów wyprowadziła ich na zupełnie inne terytorium.

Gdy Zekavicy powiedziano o tym przy schronisku górskim, ledwie dostrzegalny uśmiech ukazał się na jego ustach. Jemu wraz z drużyną żołnierzy powierzono ochronę rannych. Dowódca wskazał ręką kamieniste zbocze Zeca, porosłe niskim sosnowym lasem. Zekavica, będąc zdyscyplinowanym żołnierzem, patrzał uważnie w tamtą stronę. Odludne miejsce w górach było zbyt dobrze ukryte i to mu się nie podobało. Na jego prośbę stary dowódca partyzanckich zasadzek zmienił decyzję: rannych umieścił w odległości trzystu metrów od muzułmańskiej wioski, w pobliżu źródeł Vrbasu.

Cały niemiecki pułk zatrzymał się na Zecu. Przez cztery dni Zekavica i jego towarzysze słyszeli niemieckie gwizdki, ostre szczekanie tresowanych owczarków i krótkie serie z automatów. Niemcy przeszukiwali górę. Piątego dnia góra oniemiała.

Prostując się Zekavica zapiął szynel i nie wiadomo już po raz który zaczął przyglądać się wsi. Od ostatniej degradacji minęły już dwa miesiące.

Z drugiej strony Vrbasu czasami przemykały przez podwórza szerokie szarawary. Słychać było trzask zamykanych furtek. W górskiej wsi szybko zapadała noc.

„Przez pięć dni przyglądamy się tej wsi... Ranni już umierają. Zaczęło się... Pijemy tylko wodę. Chłopi trawą się żywią... Człowiek, patrząc tak w jedno miejsce, może zwariować!"

Zekavica odsunął się od buka. Przed nim stał partyzant, w ręku trzymał okrągły kamień.

— Towarzyszu!

Żołnierz się chwiał. Spod skórzanej czapki wystawał opatrunek. Wszyscy ranni leżeli na noszach.

— Towarzyszu dowódco! — niepewnie powtórzył żołnierz.

Nawet po głosie nie mógł go poznać. Głosy wszystkich się zmieniły. Zekavica podszedł do niego bliżej, chwycił go za rękę.

— To ty, Mitar?

— Tak... to ja jestem. Przyniosłem ci chleb, dowódco.

— Nie jestem dowódcą.

— Prawdziwy chleb. Jadłem go. Podzielmy się.

Mitar podał Zekavicy kamień.

— Mitar, to nie jest chleb.

— No, tak... — Mitar zaśmiał się cicho. Skórzaną czapkę naciągnął na czoło. Nagle spoważniał.

— Nie mam noża — rzekł głucho. — Ile to razy sobie mówiłem, że trzeba w pierwszej akcji zdobyć nóż. I znowu go nie mam. Wszyscy mają noże.

— Idź, połóż się spać — powiedział cicho Zekavica.

— Las... jęczy...

— Idź spać, Mitar.

— Twardy jest. Dlaczego jest taki twardy? Zęby sobie połamałem. Zrobię sobie jutro sztuczne. Dowódco, jak ja będę wyglądał ze sztucznymi zębami? — Mitar ścisnął szczęki i odsłonił wargi. Teraz dopiero Zekavica zauważył, że usta jego zamieniły się w krwawą jamę.

Wiatr powiał z góry. W kotlinie skrzypnęło złamane drzewo.

— Gdy oddycham, boli mnie. Wchodzi powietrze... Nie dam ci chleba. Co tak na mnie patrzysz? To mój... ja go znalazłem. — Mitar przycisnął kamień do piersi. — Tylko jest twardy, wszystko jest w tych górach twarde... Gdybym miał nóż... — Mitar rozpłakał się. — Dowódco, ty się mnie boisz.

Mitar uderzył się w czoło. Usiadł zmęczony na ziemi. Kamień położył między nogami.

— Dowódco, ja nie jestem muzułmanką... Usta mam jak burak... Nie jestem... — Mitar drgnął i gwałtownie się zaśmiał. Jego załamujący się, przeraźliwy głos ginął daleko w lesie. Zekavica podbiegł do niego, chwycił za głowę chcąc mu zatkać usta.

— Milcz! Milcz! Nie wolno krzyczeć... Mitar!

Mitar wyrywał się Zekavicy i wściekle kąsał jego ręce.

Dowódca zawołał dwóch towarzyszy. Z trudem związali go i położyli obok ciężko rannych.

Zekavica odszedł zmęczony i położył się pod drzewem z dala od pozostałych. Czuł się złamany. Nie przychodziło mu nic do głowy. Schudł i skurczył się jak żelazna partyzancka porcja.

Ktoś znów się do niego zbliżył.

— Kto tam?

— Sima! — odpowiedział krótko, siadając obok niego. — Mitar zwariował. Leży związany i bez przerwy płacze. Przyciskał do siebie kamień.

— Nie mów mi o tym!

— Nie mówić? Właśnie, że będę mówić! Myślisz, że durnie jesteśmy. Żądasz posłuchu! Widzisz, do czego nas doprowadziłeś... Zaczynamy kamienie gryźć. Dlaczego?

— Słuchaj, z tego...

— Co mam słuchać? Pięciu już umarło! Co stoi na przeszkodzie, aby dziś w nocy zejść do tych domów?

— Nie chcę jeszcze, żeby nas wykryli. Wieś nie jest nam przyjazna.

— Wieś... no to co z tego! Mamy karabiny, nie wszyscy jesteśmy ranni!

— Mogą przyjść Niemcy.

— Niemcy zeszli z góry. Dzisiaj chodziłem na zwiad: namiotów koło Krivej Kosy już nie ma.

— Zaczekajmy jeszcze dziś i jutro.

— Po co to? — krzyknął Sima.

— Nie drzyj się! Ja rozkazuję! — przytłumionym głosem rzekł Zekavica.

Policzki Simy drgnęły. Znał dobrze Zekavicę. Podobnie jak wszyscy dowódcy, nie łatwo zmieniał decyzję.

Zekavica spojrzał pogardliwie na Simę, który siedział skurczony obok jego nóg. Wszyscy się bali niemieckich gwizdków. On jeden pozostał spokojny. Te gwizdki utwierdzały go w przekonaniu, że miał rację umieszczając rannych tutaj. I czy iść teraz do wsi? Wahał się. Wyczuwał, że trzeba jeszcze siedzieć.

— Pięciu umarło — powtórzył Sima. — Jutro może umrzeć jeszcze pięciu. Woń trupów nas zdradzi.

— Chce mi się palić — powiedział Zekavica.

— Mam jakieś paprochy... Zapalimy razem. — Sima zaczął grzebać w kieszeniach.

— Zekavica, ja ciebie bardzo lubię. Z tobą czuję się dobrze. — Sima przerwał. Niepewnie skręcał papierosa. Paprochy tytoniu przesypywały mu się między palcami. — Zekavica, powiedz, co będzie? Teraz mamy trzydziestu pięciu żywych. Jeszcze ktoś umrze. Ty myślisz, że choć jeden z nich będzie mógł nosić karabin? Mitar był zdatny do walki. Teraz się tylko nadaje do szpitala wariatów. — Sima wytężał wzrok, by dojrzeć Zekavicę.

— Milczysz! Wszyscy zwariujemy. Po co, dlaczego?

— Dość, durniu!

— Słuchaj, Zekavica! Nie boję się już ciebie. Przyszedłem, aby ci powiedzieć... Ty wiesz, nie jestem tchórzem, ale to nie ma sensu... Postanowiłem... Idę... To nie jest wojna!

Zekavica się poruszył.

— Chwytasz nóż. Puść go!

Zekavica znowu się poruszył. — Uspokój się, Sima!

Sima ciężko dyszał. Mówił powoli.

— Myślałem... Chciałem odejść. — Garściami zbierał suche liście. — Gdyby nie ty, nie żyłbym... Ty też. Nie mówię ci o tym... Sam wiesz, jesteśmy ze sobą związani... Chodźmy razem. Kto może, niech z nami idzie. Na wojnie nikt nie ma aktu hipotecznego na życie. Znowu chwytasz za nóż! Czy ty byś mnie naprawdę zabił?

— Czyś ty zwariował?

— Nie jestem Mitar.

— Słuchaj, ja cię zabiję!

— Nie wierzę.

Księżyca nie było widać. Tonął prawie zupełnie w ciemnym sosnowym lesie. Cicho bulgotał Vrbas. Ktoś z rannych jęknął.

— Gdy człowiek widzi umierających, od razu mu się odechciewa wojny.

— Przestań! — krzyknął Zekavica.

— Dziwne. I ty o tym myślisz!

— Zdezerterować nie możesz.

— Nie. Ja idę. Myśl sobie, jak chcesz. Nie mogę już więcej na to patrzeć.

— To w takim razie stale siedź na punkcie obserwacyjnym.

— Nie chcę. Postanowiłem i idę.

— Dezerterować nie możesz! — powtórzył Zekavica.

— Odszukam ponownie naszą jednostkę.

— Sima!

Sima wstał i podszedł do Zekavicy. Chciał podać mu rękę. Stał niezdecydowany. Wszystkie mięśnie były rozluźnione.

— No, to cześć! — machnął ręką w powietrzu. — Rób jak chcesz... ja odchodzę. — Sima ruszył przed siebie, suche liście buków zaszeleściły pod nogami. Wąskie plecy malały coraz bardziej. Krok stawał się jakby powolniejszy, ucichał.

Zekavica trzymał nóż w ręku. Stojąc w rozkroku ściskał go. Bolały palce. Cisnął czapkę o ziemię. Sima oddalał się. Nóż wypadł z ręki. Zekawica rzucił się na ziemię, podniósł czapkę i przycisnął ją do oczu. Chude ramiona drżały. Kroków Simy nie było już słychać. Zekavica chwycił nóż z ziemi i pobiegł za nim. Raptem stanął. Doleciał go szmer kroków Simy przy źródle. Zekavica z całej siły wbił nóż w pień buka.

Zbudził wszystkich żołnierzy siedzących przy rannych. Mówił chrapliwym głosem:

— Towarzysze, zabiłem dezertera. Kto będzie usiłował tak zrobić — spotka go to samo! Wszyscy mogliśmy się znaleźć na noszach.

Jeden z rannych powiedział sennie:

— Musi ktoś pójść do wsi po żywność.

Zekavica w roztargnieniu patrzał w mrok, na nosze, z których padły te słowa.

Wstrząsnęło nim szczekanie psów. Dolatywało z dolnego skraju wsi.

„Czy to możliwe, aby już doszedł?"

Przez całą noc Zekavica ogryzał sosnowe gałązki, znajdował na nich drobne grudki żywicy, długo żuł je w zębach.

Z rana partyzanci ujrzeli rozlokowany we wsi oddział niemieckiej artylerii. Na łąkach nad Vrbasem pasły się konie. Hitlerowscy żołnierze kąpali się, wielu z nich przechodziło na prawy brzeg rzeki i na pół nadzy, jasnowłosi bielili się w słońcu jak ryby wyciągnięte z wody. Śpiewali i gwizdali przez cały dzień.

Siedzący w paprociach Zekavica obserwował wieś. Dyszał szybko jak zwierz widzący bliską zdobycz. Piegi na jego chudych i muskularnych policzkach sięgały aż do oczu. Jasne jak len włosy spadały na twarz.

Zekavica przygryzł wargę. Trzech na pół rozebranych Niemców ruszyło w jego kierunku. Byli bez broni. Szli zupełnie swobodnie, dwaj zbierali kwiaty. Potem zawrócili.

Zekavica otarł spocone czoło. Pomału wycofał się z ukrycia.

Ranni, otępiali z bólu i głodu, zachowywali się spokojnie, nieczuli na żaden strach. Wygląd mieli opłakany. Zekavica zebrał wszystkich ludzi wokół rannych. Pokrótce zapoznał ich z sytuacją: Niemcy pozostaną we wsi ze dwa, do trzech dni; ich pewność siebie świadczy o tym, że czują się zupełnie bezpieczni, że w pobliżu znajduje się przypuszczalnie niemiecka piechota i że przybyli tutaj na krótki odpoczynek.

— Nic nam nie grozi, jeśli się nie będziemy ruszać. Ale to znaczy... — Zekavica spojrzał na rannych. Oderwał bukową gałązkę i odrzucając do tyłu głowę ciągnął dalej:

— Musimy znaleźć wyjście. Chciałbym znać wasze zdanie.

— Ja nie mam żadnego zdania! — ozwał się jeden z rannych. — Wszystko mi się, towarzysze, wydaje zielone. Odnoszę wrażenie, że od stu lat patrzę na zielone drzewa. Od jak dawna leżę pod tym drzewem — nie wiem. Znam już każdą jego gałązkę... Policzyłem je... Jest ich sto pięćdziesiąt osiem. Zacząłem liczyć sęczki. Nie chcę jeszcze umierać. Mówię jeszcze do rzeczy, rozsądnie. Kiedy poczuję... przesuńcie mnie trochę... Dokuczyło mi to miejsce.

Wszyscy długo milczeli. Jakie myśli kłębiły się w głowach tych rannych? Od sześciu dni leżą pod bukami, bez ruchu. Ośmiu rannych umarło. Zekavica spojrzał na wielki pagórek suchych liści, paproci i gałęzi znajdujący się w odległości dwudziestu kroków od nich.

— Ja nie liczę sęków. Chociaż co prawda czasami wyglądają jak ślimaki — rzekł chłopiec ze złamaną kością kulszową. — Myślę... przykro by mi było, towarzysze, zostawić swoje kości w lesie. Poświęciłem się rewolucji po to, aby zginąć. Ale się ci Niemcy drą! Małpy jedne! — chłopiec urwał. — Przykro mi jest, towarzysze, że się o wszystkim zapomina. Nikt o nas nie będzie pamiętał... — przerwał znowu, jakby chwytał powietrze. — Co mi z tego, że będą o mnie pamiętać. W najlepszym wypadku wzniosą nam tutaj jakąś piramidę. A po co mi piramida? Potrzebna mi jest cała noga albo nic. Złośliwy jestem, prawda? Tak, jestem. Ludzie i bez nas będą dobrze żyć. Myśmy im — młodzieniec wykrzywił usta w uśmiechu — jak mówi mój komisarz: „stworzyli warunki historyczne"... A co się kryje za tymi „warunkami historycznymi" — ludzie nie będą wiedzieć. A kryje się za nimi również moja złamana kość biodrowa. — Ranny otarł oczy. — Ilu to w moich stronach zostało takich młodych jak ja?

— No więc co teraz robimy? — spytał Zekavica.

— Nic — odpowiedział młodzieniec. — Wydaje mi się, że takie już jest życie: niektórzy go ledwie skosztują, a inni mają więcej szczęścia... Ech, piramidy. One tak wyglądają, towarzysze!... — powiedział młodzieniec pokazując ich kształt rękami.

Przez dłuższy czas wszyscy milczeli. Wreszcie Zekavica przerwał ciszę. Zaproponował, aby nawiązać łączność z oddziałem, może tą drogą zdobędą jakąś żywność.

— Wtedy byłoby już łatwiej! Trzeba wyznaczyć kogoś do nawiązania łączności. Proponuję małego Savę. On jest teraz na punkcie obserwacyjnym. W ostatnim czasie dał się poznać jako dobry i wytrwały towarzysz.

Nikt się nie odezwał. Zekavicy wcale to nie speszyło.

— Dajcie swoje propozycje.

Znowu wszyscy milczeli.

— A może Pavlo albo Artem... Cóż to? Nie wierzycie nikomu?

— Tak jest, towarzyszu dowódco — odezwał się młodzieniec ze złamanym biodrem — nie wierzymy nikomu.

— A mnie wierzycie? — spytał Zekavica.

— Ty nawiążesz łączność.

— Jestem za tym.

— Wszyscy jesteśmy za tym.

Zekavica drgnął.

— To dobrze, powinniście wierzyć swemu dowódcy!

Wszyscy gwałtownie odwrócili się w stronę punktu obserwacyjnego... Mały Sava prowadził jakiegoś chłopa. Popychał go i wskazywał gdzie ma iść. Chłop stąpał niezgrabnie, na czubku głowy kołysał się fez. Gdy ujrzał grupę partyzantów skupionych wokół rannych, oblał go zimny pot.

— Gdzie ja jestem? — zapytał przerażony.

— Między ludźmi — odpowiedział chłopiec ze złamaną kością kulszową.

— Siadaj! — rozkazał Zekavica. — Chłop zdjął fez i nałożył go na kolano. Jasne włosy lepiły się na jego skroniach. Gniótł w rękach frędzlę fezu.

— Niemcy są we wsi.

— Wiemy. Gdzie szedłeś?

— Skąd wyście się tutaj wzięli?

— Ja zadaję pytania, a nie ty! — Zekavica powtórzył pytanie.

— Wieś posłała mnie w góry. Tam jest nasze bydło i pasterze. Ale po tej strzelaninie nie można znaleźć ani bydła, ani pasterzy.

— Co masz w torbie?

— Chleb.

— Zabierzemy ci. Przez jakiś czas zostaniesz u nas! — Zekavica zaczął się powoli rozbierać...

*

Zdawało mu się, że idzie długo. W pierwszym strumieniu umył się i napił wody. Patrząc na swój pomarszczony cień w wodzie, uśmiechnął się. Pokiwał głową i frędzla przeskoczyła z prawej strony na lewą. Chłop miał długie ręce — rękawy zakrywały Zekavicy niemal całe dłonie. Otarł twarz rękawem i ostrożnie znowu wyszedł na drogę. Parabellum uciskało mu biodro, przesunął je nieco w lewo.

Uszedłszy ze trzysta kroków znów się zatrzymał. Po prawej stronie rósł jęczmień. Zerwał kilka kłosów i roztarł je w dłoniach.

W Serbii już pewnie dojrzało. Wytarł ręce o obwisłe portki i ruszył szybko naprzód.

Droga rozchodziła się w dwie strony. Prawa ścieżka schodziła ku Vrbasovi, lewa wiodła przez rzadki las. Przez chwilę wahał się. Bardziej pociągała go droga przez las. Zdawało mu się, że w tym kierunku znajduje się Prozor. A potrzebny mu był prozorski oddział partyzancki.

Zatrzymywał się często i pilnie nasłuchiwał. Nigdzie nie widział nic podejrzanego. Zszedł z drogi i wdrapał się na wzgórze. Przyglądał się bośniackim wioskom, ogrodom, zagajniczkom przechodzącym w duże lasy, rzadko rozsianym pólkom i łąkom, na których można było dostrzec postacie chłopów i gromadki bydła... Szedł odludnym zboczem. Nie chciał schodzić w dół nad strumienie. Od patrzenia na zalane słońcem pola bolały go oczy.

Na drodze ukazały się ślady końskich kopyt. Zekavica cofnął się. Ciągnęły się dalej obok rzepaku i dzikich gruszek. Podbiegł kawałek.

„Gdzie one giną?" Zekavica zatrzymał się. Postanowił znowu iść naprzód. Zaczął żałować, że wracał i tracił czas. Ponownie puścił się pędem.

Ślady były stare, co najmniej wczorajsze. Przyjrzał się im uważniej: po wielkości i odbiciu podkutej podeszwy doszedł do wniosku, że drogą przechodził oddział Niemców.

„To pewnie ci, którzy są w naszej wsi."

— Stój!

„Stój!" — powtórzył w myślach Zekavica. Strasznie go zmęczyły te ślady.

— Stój!

Zekavica drgnął. Sięgnął ręką do biodra. Ujrzawszy jednak czerwone znaczki na czapkach zbliżył się śmiało.

— Jesteście z prozorskiego oddziału partyzanckiego?

— Co nas wypytujesz? Ręce do góry!

— Jestem partyzantem, dowódcą z Proletariackiej — rzekł Zekavica.

— Dowódca w fezie!

— Rade, zrewiduj go.

Było ich trzech. Zekavica cofnął się, chciał się bronić, ale trzej partyzanci w dalszym ciągu byli obcesowi i nieufni.

— Parabellum?! Wszyscy szpiedzy noszą parabellum — powiedział najwyższy chłop.

— Niemiecka broń!

— Durnie! Będziecie za to odpowiadać! — Zekavica skoczył i najwyższego z nich pchnął w pierś. — Baczność! Na moją komendę! — Fez odrzucił w bok. Jasne jak len włosy zajaśniały w słońcu. Czerwone policzki poruszyły się. Piegi na twarzy zblakły. Muskularne ciało Zekavicy wyprężyło się jak struna. Trzej chłopi stali przez chwilę zmieszani. Ale trwało to tylko ułamek sekundy. Najwyższy chłop nabrał odwagi i uderzył Zekavicę kolbą. Zekavica zatoczył się.

— Nie ruszaj się, bo strzelam! — partyzant wprowadził nabój do lufy.

— Siadaj przy drodze! — rozkazał Zekavicy.

Zekavica zastanawiał się: biała brew opuściła się — usłuchał.

— Rade, widzisz, co robią szpiedzy!

— Wszyscy oni są tacy!

Trzej partyzanci stali niezdecydowani. Nie wiedzieli, co mają dalej robić. Zekavica zauważył to i zawołał:

— Dość tego! Prowadźcie mnie do sztabu, ranni umierają!

Najwyższy partyzant, dowódca patrolu, zapytał:

— Skąd idziesz?

Zekavica powiedział.

— Kłamiesz! Już pół godziny obserwujemy ciebie. Idziesz, badasz drogę... Nie jesteśmy naiwni. Niepewny teren, co?

— Jeszcze raz wam powtarzam, prowadźcie mnie do sztabu!

— Ładne historyjki wymyśla. Gdzie jest ten twój szpital?

— W bukowym lesie, obok wsi Milino.

— Nad źródłami?

— Tak, zaraz nad źródłami! — rzekł Zekavica.

— Rade, to szpieg! A Niemcy, którzy są we wsi, to nic? Ach, jak łże! Nie jesteś taki sprytny, na jakiego wyglądasz. — Chłop kopnął go.

— Blondyn, cały piegowaty! Diabli go wiedzą, co za jeden — powiedział Rade.

Zekavica gryzł końce wąsów. Jak ich namówić, aby go zaprowadzili do sztabu? Nie miał odwagi na nich krzyczeć. Podniósł głowę.

— Co wy chcecie ode mnie?

— Do szpiegów strzelamy! Jak go będziesz prowadzić, to ci jeszcze może po drodze uciec.

— Tacy to mają specjalne przeszkolenie.

— To nie ma sensu — powiedział spokojnie Zekavica.

— Nie ma sensu? Ale, żeby połowa oddziału przyszła z żywnością do lasu nad wsią — to miałoby sens! Dlaczego nie chcesz, aby cały oddział szedł, zrobiliby z nas tam jatki. Nie opowiadaj bajek o rannych!

— Dobrze. Jeśli ja jestem szpieg, to czego wyście się ode mnie dowiedzieli? W sztabie by mnie wybadali.

— My cię wybadamy!

— Wam nic nie powiem.

— O, widzicie, nie chce nic mówić! A chce, żeby go zaprowadzić do sztabu. Po drodze ucieknie. Nie inaczej. Wstań!

Zekavica w dalszym ciągu siedział.

— Wstań! — Wszyscy trzej partyzanci przygotowali broń do strzału.

Zekavica wstał.

— Odwróć głowę! — powiedział dowódca patrolu.

— Durnie! Chłopska wasza mać, i wy w rewolucji! — Patrząc na ich czapki, Zekavica wyszeptał: — Usunięty po raz ostatni...

Słońce zanurzyło swe promienie w suche gałęzie gruszy. Na zielonej murawie jasny jak len kosmyk włosów przybrał barwę czerwoną.

*

Obok buka stoi partyzant. Zamyślony spogląda na drzewo.

Niemcy opuszczali wieś. Partyzanci, których przyprowadził, byli przy rannych.

Sima ostrożnie wyciągnął z drzewa nóż Zekavicy. Na ostrzu zakrzepła biała plamka bukowego soku. Powoli starł ją rękawem.

Z serbochorwackiego przełożył
Zygmunt Stoberski

Edward Bagricki

HYMN DLA MAJAKOWSKIEGO

Żubr zezwierzony w błyszczącym cylindrze,
Ty zwolna wodzisz zeszklonymi źrenicami
Po kominach łowiących jak ręce obłoki,
Po bruku brudnym, zapaćkanym plugastwami.

Wszechświatowy sportsmen w pomarańczowym garniturze,
Tyś uderzył o ziemię podkutym obcasem,
A ona uleciała w ogniste przestworza
I płynie coraz szybciej, coraz szybciej, szybciej...

Ty boski sybaryto o brązowym ciele,
Który śledzisz, jak w czarze ziemi szmaragdowej
Zawieszonej nad wieków ogniskami
Podnoszą się i upadają w dół narody.

Dowódco Miast obszczekujących dziko Słońce,
Ty, kiedy dumnie przechodzisz ulicą,
Domy na baczność prężą się w szeregu,
Na prawo patrz zwracając linie dachów.

Ja, zniewieściały w piernatach stuleci,
Podaję tobie wypieszczoną rękę,
A ty ją ściskasz energiczną dłonią,
Że ślad niebieski zostaje na skórze.

Ja, który nienawidzę Współczesności
I szukam zapomnienia w matematyce i historii,
Widzę wyraźnie, mając jednak natchnione spojrzenie,
Że wkrótce, wkrótce już zginiemy jako dymy.

I schodząc z drogi ja z uszanowaniem mówię:
„Pozdrawiam ciebie, Majakowski!"

PTASZNIK

Trudna jest sprawa ptasznika,
Wyśledzić ptasie nawyki,
Pamiętać pory przelotów,
Różnym świegotem świegotać.

Lecz choć się włóczy po drogach,
Choć pod płotami nocuje,
Wesół jest Didel, bo może
Snuć pieśni i łowić ptaki.

Wśród bzów wilgotnych i krągłych
Słowicza ozwała się fletnia,
Na sośnie dzwonią sikory,
Na brzozie zięba gardłuje.

I wydobywa Didel
Ze swojej sakwy tajemnej
Kuwieki trzy, bo ptak każdy
Na inny zwodzi się kuwiek.

Zaduje on w kuwiek bzowy,
I dźwięczy mu kuwiek bzowy,
Jemu z bzowego poszycia
Trelem odpowie słowik.

Zaduje w kuwiek sosnowy,
I świszcze kuwiek sosnowy,
Na sośnie w odzew sikory
Rozsypią swoje brzęczyki.

I wydobywa Didel
Ze swojej sakwy tajemnej
Najlżejszy i najdźwięczniejszy
Ze wszystkich — kuwiek brzozowy.

Tkliwie spróbuje on tonów,
Szczelinę śpiewną przedmucha —
I głosem donośnym brzoza
Na ludzkim oddechu zaśpiewa.

A usłyszawszy głos taki,
Wspólny głos ptaka i drzewa,
Nagle na brzozie przydrożnej
Zięba odegrzmi na odzew.

Za drogą do wsi wiodącą,
Gdzie ścichły wozów turkoty,
Nad stawem pokrytym rzęsą
Didel rozpina swe sidła.

A przed nim — spodem zielony,
Po wierzchu błękitny i modry,
Świat wstaje ptakiem olbrzymim,
Świszcze, świegoce i dzwoni.

Tak idzie Didel wesoły
Z laską swą, ptakiem i sakwą,
Przez Harc lasami porosły,
Idzie reńskimi brzegami.

I po Turyngii dębowej,
I po Saksonii sosnowej,
I po Westfalii bzem wonnej,
I po Bawarii chmielinnej.

Marto, a nie płaczże, Marto,
Gdy Didel chodzi po polu,
Gdy Didel wabi grą ptaki,
Kiedy się śmieje znienacka.

SPOTKANIE

Mnie jadło ciasną pętlą okrążyło.
I oto wstaje w swej epickiej grozie
Ten krąg nierozerwalny i straszliwy.
I piana potu silniej go zaciska.
Więc tego dnia w Odessie na bazarze
Zbłądziłem w stromych zwałach pomidorów,
Pośród arbuzów zagubiłem drogę,
Od czereśniowych osłupiałem stosów.
Ściana twarogu nagle mnie zamknęła.
Ściekała z niej na bruk serwatka,
I porowate wkrąg urwiska sera
Groziły, że mnie zmiażdżą zawaleniem.
Jeszcze o stopień w górę — a już runie
Gorącą falą masło z wielkich beczek
I odymając żółtymi pryszczami
Obszar kamienia — z głową mnie zatopi.
Tępa niebieskomorda brukiew

I szczurza marchew wąskoryja,
Kapusta w puklach i rzepa, nad którą
Wznosi się kitą sterczącą boćwina,
Naładowane w kosze, wory, wozy,
Porozrzucane wśród śmieci i błota...
I niby wodze pokarmowych armij,
Niby pomniki picia i obżarstwa,
Tak — umazani gęstą ropą słońca
Stoją dostojni gospodarze jadła.
A ja tu sam — w tym nieprzyjaznym stadzie,
Od stóp do głów w pokarmy uzbrojonym
I potniejącym w słońcu chadżi-beja
Najczystszym tłuszczem gorącym jak smoła.
Ja tu się miotam wśród ogromnych brzuchów,
I pośród piersi krągłych jak baryły,
Wśród źrenic szklanych, w których się odbiła
Kapusta, brukiew, rzepa i pietruszka.
Samotny jestem. A odeskie gęste,
Olbrzymie słońce stanęło nade mną,
Wbijając w ziemię, w trawy, ludzi, wozy,
Kolące, prostopadłe swe promienie.
Gwiżdżę na rozpacz, a moja piosenka
Troistym trelem i podwójnym gwizdem
Krąży nad tłumem bezdomnym skowronkiem.
Aż nagle kogut — zapalczywy, dźwięczny
Ozwał się ku mnie spoza kupy jadła,
Kogut — ten nigdy niepoprawny wrzaskun,
Krzyczący w dni powstania i potyczek.
Oglądam się, to on, a jakże,
Przyjaciel stary, Lamme, mój towarzysz.
On tu, z pewnością stąd mnie wyprowadzi
Ku dawno utraconym przyjaciołom.
Jakiż on tłusty! Spotniały jak inni,
Przemokła cała pasiasta koszula,
A brzuch sterczący groźnie się kołysze
I chwieje się nad zapylonym brukiem.
Twarz purpurową ma jak samo słońce,
Umalowaną różami komina,
I młodość, dawna młodość jeszcze błyska
Na niedokładnie zgolonych policzkach.
Mój przyjacielu, mój klocu, mój Lamme,
Tak samo tłusty, tak samo beztroski,
Z tym samym zawsze poczwórnym podbródkiem,
Który jak dawniej zdobi twoje lica.
Więc przechodzimy na wskos plac rynkowy
I wymijamy bokiem ryb szeregi.
Idziemy do piwnicy, gdzie na odrzwiach
Napis zrobiony pędzlem przy liniale:

„Piwiarnia Zakład P. Gastronomicznych".
Nad marmurowym siedzimy kwadratem,
Nad piwem i rakami — a rak każdy
Pąsowy niby rycerz w swym puklerzu
Jak Don Kichot bezradny leży i wąsaty.
Mówię. Żalę się długo. Na to Lamme
Kiwa mi tylko głową, mlaska, wyłamuje
Kleszcze rakowe, cmoka pełnymi wargami,
To znowu chłepcze piwo i spogląda
W okno, w którym po szkle przepływa
Odeskie, mocno przesolone słońce,
A wiatr znad morza wznosi w górę śmiecie
I kręci je słupami środkiem jezdni.
Zjedliśmy i wypili wszystko. Na półmisku
Leży rycerska porzucona zbroja
I kardynalska świetna tiara raka.
I mówi Lamme: — Dawno przyszedł czas już
Pomówić z tobą! Tyś osłabły w sobie
I żółć ci się wylała z bezczynności.
Spojrzenie twoje ciemne, język — cierpki.
Szukałeś nas — a my jesteśmy wszędzie.
Nas wielkie mnóstwo. Chodzimy po lasach,
My powozimy szkapą włościanina,
Rozdmuchujemy w kuźniach wiejskich miechy,
Dukamy w szkole razem z uczniakami.
Nas — mnóstwo. Myśmy rozproszeni wszędzie.
A jeśli nie pieśniarzom — komuż mamy
Prawić o dawnej radości minionej
I do radości przyszłej nawoływać?
Dopóki płynie ponad ulic brukiem
To ciężkie, mocno przesolone słońce,
Dopóki woda rześka jest rankami,
Dopóki kipi krew, nie zmilkły ptaki —
Tyl Ulenspiegel wędruje po ziemi.

Nagle zza drzwi nas dobiegło gwizdnięcie
I sypkie trele polnego skowronka.
I Lamme nagłym ruchem stół wywraca,
Wyciąga szyję — i przeciągłym krzykiem
Ogłasza pieśń koguta tryumfalną.
I drzwi się uchylają z lekka,
Zagląda przez nie młoda twarz do wnętrza,
Piegami osypana, a jej wargi
W uśmiechu rozchylają się — i ku nam
Z chytrym uśmieszkiem swoim spoglądają
Jasne, błyszczące łobuzersko oczy.

. . . . . .

Tyl Ulenspiegel celem mojej pieśni.

NOC

Skończył się dzień i oto noc
Nadciąga już dachami...
I szewc odkłada trzewik
Wbiwszy ostatni gwóźdź.
Pijacy gdzieś po knajpach
Klną, śpiewają i chrypią,
I sklerotyczne raki, piwna gorycz
Kończy ich dzień...
Kupiec rozpycha się przy żonie
I grzęźnie w duszny puch,
Symbol swej wiary — nocnik
Wsuwa nogą pod łóżko...
Moskwa wita dziesiątą
Rozdzwonionymi przewodami,
Randkami kotów za kominem,
Początkiem nocnej krzątaniny...
I oto, kaszkiet wcisnąwszy na czoło,
Idzie uprawiać swe rzemiosło złodziej...
I Underwoodów marsz żałobny
Do jutra rana porzuciwszy,
Śpieszą się karmelkowe donny
Do swych kinowych bohaterów.
Anteny raz po razie drgają
Od chłodu obcych słów.
Na cyferblacie zegara kąt ostry
Wskazuje: jest dziesiąta...
Nad biurkiem wodza omdlał już telefon.
Zielone sukno jak bagno
Wsysa w swoją głąb
Suszkę i pióra...
I tylko mnie dziesiąta
Nic nie przyniesie w podarunku.
Ani herbaty pachnącej kobietą,
Ni paczki papierosów,
I tylko mnie jednemu o dziesiątej
Nie dano nagle usłyszeć —
W cieniu pod bramą ani pod latarnią
Stuku miłego obcasika...
A sen obwija twarz mi
Swą grubą orengburską chustką,
A noc mi sypie w oczy
Błękitnych gwiazdozbiorów pył.
Prosto z ich gęstwy płynie ku mnie, płynie
Rząd rozpalonych wystaw:

Potwornym żarciem płonie noc,
Szklanymi warstwicami dań...
Tam wschodzi szynka gigantyczna
Pąsowa niby zachód,
A tłuszcz wilgotny pierzastym obłokiem
Otacza ją dokoła.
Tam jabłek pięści zrumienione
Wyłażą z koszów,
Tam pestki pomarańczy, pełne
Wybuchowego kwasu.
Tam miecze ryb pokryte łuską
Goreją: „Spróbuj nie zapłacić!
My — głowę precz a ręce — won!
Rzucimy głodnym psom!"
Tam krągłe torty stoją niby Moskwa
W kremlach cukierków i śliwek,
Tam tysiąc tysięcy pierożków
Rumianych jak przedszkola
Cukrowa osypała zamieć,
Ućkał rodzynków deszcz...
Nagle w drzwiach — stoi atleta
Pośród niebiesko-purpurowych mięs!
Krew byków i zabitych cieląt
Jaskrawo lśni mu na policzkach...
Wyciągnie rękę — i waga zachwiana
Ciężarem odważników zachybocze.
A nóż odrzynający płat słoniny
Leci jak pawie pióro.
I gorejące litery
„M S P O"
Same się zapalają
Ponad tym rozpasanym żarciem
(Rycz, żołądkowy soku!)...
Głód skurczem ściska moje mięśnie
I mrowiem w zębach śpiewa,
I namydloną myszą w dół po gardle
Zsuwa się w przełyk...
A ja się wzdragam od zgrzytu pazurów,
Od mysiej skrobaniny — i ogona,
Od miedzianego smaku śliny
Zalewającej krtań...
I w całym świecie pozostały tylko, tylko —
Tylko jak drogi planet
Otwarte wrota i obręcze miedzianych liter
Płomieniem oczyszczone!
Cztery litery
„M S P O"
Cztery płaty ognia:

Czyli —
Morze Szaleństwa, Płoń Ogniem!
Czyli —
Muzyko Sfer, Polataj
Objawieniem nowym!
Czyli — Marzenie,
Słodycz pożądania, Pokój, Oszukaństwo!
Na cóż mi język, który słowa umie
Smakować niby sok owoców?
Na cóż mi oczy, którym pozwolono
Podziwiać każdą gwiazdę?
Na cóż mi boski słuch sowy
Rozróżniający ton krwi?
Na cóż mi serce, bijące do taktu
Krokom moim i wierszom?
Tylko nędza śpiewa u mych drzwi,
Tylko huczy ogień w piecyku,
Tylko świeca gaśnie — i księżyc płynie
Po zamarzniętym szkle...

Przełożyła
Anna Kamieńska

Andrzej Piwowarczyk

TRĄBIENIE DWU SŁONI*

Kiedy zwierzyłem się dawnym, dobrym przyjaciołom, że mam zamiar napisać o „ludziach kamiennego domu“ **, przysłali mi — cudem chyba ocaloną — skrzynkę z listami i kopiami listów, z notatnikami i brulionami, fotografiami i rysunkami. Prawie wszystkie one dotyczą lat 1935—1938, dokumentują czas mojego osobistego pobytu w Gorzeniu, pokazują to, co absorbowało w tamtym okresie — poza twórczością własną — umysły dwu głównych postaci tych wspomnień: Zegadłowicza i Ruzamskiego.

Pasjonujące listy — niestety niepełne — to przede wszystkim dialog ich dwu; jedyny w swoim rodzaju, tym bardziej, gdy zważy się, że pisanie listów dawno w Polsce wyszło z mody.

Fakt, iż jeden i drugi — Zegadłowicz i Ruzamski — mieszkali poza ośrodkami miejskimi, na głuchej i zabitej deskami prowincji — Zegadłowicz na wsi beskidzkiej, a Ruzamski w Tarnobrzegu — dodaje smaku i uroku tej obopólnej wymianie myśli, temu, jak pisze w jednym z listów Zegadłowicz: „otrąbianiu się dwu starych słoni-samotników w dżungli”.

Komunikują sobie wzajemnie o swoich perypetiach osobistych, o perypetiach znajomych i członków rodzin, o swoich domach, o wydarzeniach krajowych i zagranicznych, polityce, malarstwie, literaturze. Plotkują i obgadują bliźnich, nie szczędząc wcale dosadnych zwrotów... Aż nazbyt często znajduje tu odbicie typowa dla radykalizującej się w tamtym okresie w szybkim tempie inteligencji — mentalność uczciwych, lecz pozbawionych busoli inteligentów. Tak to wygląda dziś, z perspektywy czasu.

Ale przystąpmy do lektury.

Zaczyna się ta wymiana listów gdzieś pod koniec 1935 roku. Kto pierwszy do kogo napisał i z jakiego powodu — to trudno stwierdzić. Brak dokumentu, który by inaugurował korespondencję, przeradzającą się szybko z obopólnego „panowania” w „tykanie”; mamy za to wypowiedzi pozwalające mówić o okresie początkowym.

Obydwa „stare słonie” zwąchały się. Jeszcze mało o sobie wiedzą. I zdaje się dlatego następuje wzajemne przedstawianie się, nieraz tak szczegółowe, jakby to była ankieta personalna.

* Fragment dłuższej całości dla *Księgi Wspomnień*, przygotowywanej przez „Czytelnik“.
** Tak nazywano dom Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym.

O Zegadłowiczu mniej więcej wiadomo „kto zacz“, ale Ruzamski ma wszelkie dane po temu, by przypuszczać, że tamten o nim wszystkiego nie wie. Nie pisze więc wprost swojego *curriculum vitae*, a tylko przesyła do Gorzenia Górnego artykuł o sobie z... paryskiej *„La Revue Moderne“* (rok może 1932?).

Jest w tym artykule napisane, że pradziad polskiego malarza, Plassiard, żołnierz Napoleona, osiadł po rozbiciu Wielkiej Armii w Polsce, był portrecistą i miniaturzystą na pańskich dworach, a sam artysta (Ruzamski) ukończył ze złotym medalem Akademię Krakowską. Wybuch I Wojny Światowej zastał go w Paryżu. W Rosji przeżył Rewolucję. Asystentował potem na Politechnice Lwowskiej, miał ponad 30 własnych wystaw w kraju i jedną za granicą, w Pradze. Jest w sztuce amatorem. Turner, Daumier, Carrière, Zorn — należą do jego mistrzów. Z polskich malarzy są mu najbliżsi: Ślewiński, Krzyżanowski, Pankiewicz, Boznańska... „Uprawia“ akwarelę i pastel, ale „najlepsze obrazy nie nadają się do reprodukcji czarno-białej...”

To staje się już punktem zaczepienia dla „drugiego słonia”, dla Zegadłowicza, który uważnie przeczytał, że właśnie Turner — i odpisuje *stante pede:*

> ...nie bez niejakiej rzewności wyciągnąłem sobie z pamięci Ruskina i Morrisa (interesowali mnie i wzruszali, pomagali budować światopogląd lat temu trzydzieści...). Turner! — to był przecież ulubiony malarz Ruskina; Ruskin napisał o nim 5 tomów, a poza tym usystematyzował rysunki tego malarza w ilości (jeśli się nie mylę) osiemnastu tysięcy!

W ten sposób nieraz jeszcze będą powracały u obydwu „słoni” wspominki młodości, wspominki dawnych czasów, tamtych, sięgających jeszcze Młodej Polski, którą obydwaj oglądali własnymi oczyma, studiując w Krakowie.

Wiadomo, że mistrzem, generalnym sprawozdawcą Młodej Polski, jest — Boy. Po nitce do kłębka „słonie” ciągną więc przez kilka listów swoje uwagi o twórczości Boya, swoje wspomnienia ze spotkań z tym, jak pisze Ruzamski, „najpotrzebniejszym pisarzem w Polsce“. („Co by działo się w Polsce, gdyby nie Boy i Słonimski“ — oto uwaga Ruzamskiego!)

Kiedyś, przy okazji przekładu *Fausta* (r. 1926), Boy napadł „samotnika z Gorzenia”. „Ale mu odpowiedziałem” — pisze Zegadłowicz i załącza dokument w postaci pięknego listu wierszem. List do „najpotrzebniejszego pisarza w Polsce” kończy się strofą:

> Żyję pod szumnym lasem, a ty w gwarnym mieście,
> Tobie śpiewa ulica, mnie płacząca socha.
> Pragnę, byś ukochanej rzekł kiedyś niewieście,
> Że w cieniu gór jest serce, które ciebie kocha.

Równie interesujące jest spotkanie Ruzamskiego z Boyem. Spotkanie to wynikło *ex re* sprawy z fałszerstwem *Macierzyństwa* Wyspiańskiego. Ktoś ten obraz sfałszował i sprzedał teraz (chyba lata trzydzieste?) jako oryginalny.

Ruzamski załącza Zegadłowiczowi dokumenty tej sprawy. Pisze do Boya:

W 1907 i 1908 roku chodziłem do Muzeum Narodowego i do kościoła Franciszkanów, gdzie szczególną przyjemność sprawiało mi kopiowanie Wyspiańskiego. Była to, przypuszczam, przyjemność zbliżona do tej, jaką pan odczuwał przy własnych tłumaczeniach... Kopie poginęły, ale jedna po latach wypłynęła, jako autentyk Wyspiańskiego, uznany przez znawców.

Nie ma w tym liście ani słowa o *Macierzyństwie*. Niemniej Boy (dowiadujemy się o tym z kopii listu Boya) odpisuje:

Kopia *Macierzyństwa* jest niezwykle udatna i wierna; w takim razie jest to rzecz rzadka w stosunku do bardzo trudnego, niemożliwego prawie do podrobienia, za jakiego uchodzi Wyspiański. Kto zdolnym jest do wykonania tak trudnej kopii, to stać go na pewno na oryginalną, własną twórczość. Więc jeżeli to zrobił, to chyba z nędzy, nie mając uznania i powodzenia, może spychany przez klikę, od jakich się roi na terenie malarstwa...

Po takim *dictum acerbum*, Ruzamski nie ma powodów, żeby się nie przyznać. Spotkał się już raz z tym swoim *Macierzyństwem* we Lwowie, na ulicy Akademickiej.

Poznałem od razu moją kopię. Wchodzę do sklepu i pytam, czy ten obraz jest na sprzedaż. Tak — odpowiada księgarz — cena tysiąc złotych. Może pan być pewny autentyczności oryginału Wyspiańskiego, gdyż na odwrocie są zaświadczenia osób zupełnie wiarygodnych. A czy można wiedzieć, kto sprzedaje ten obraz?... Odnalazłem tego, któremu podarowałem kiedyś kopię. Wtedy i dwu szóstek nie dostałbym za nią...

Tak więc kopia, jak się okazało, wypłynęła powtórnie jako oryginał, bo poprzednim razem autor kopii zmusił wystawcę do jej wycofania z obiegu... Teraz, skoro już się stało, autor (Ruzamski) dekonspiruje sprawcę oszustwa. Ale obydwaj — i autor kopii, tak uhonorowany przez Boya, i Boy, „najpotrzebniejszy w Polsce" — dochodzą do wniosku, żeby ze zwykłych, ludzkich powodów (czyjaś choroba i nędza) dać spokój.

„Tym bardziej, że Boy był mocno zajęty Fredrą, a tu w czasie pisania siadały mu na karku dwa komary: Braun i Irzykowski" — dodaje od siebie Ruzamski...

Wracajmy jednak do bezpośredniej korespondencji Tarnobrzeg — Gorzeń.

Obydwa słonie, jak wspomniano na początku, żyją w tamtych gorących latach nie tylko sprawami sztuki. Oto właśnie opinia o czasie, w którym żyją, o dojmujących zjawiskach społecznych tego okresu. Zegadłowicz pisze:

...wszystko, co się teraz w życiu społecznym i osobistym dzieje, jest z głębi, do gruntu fałszywe, podłe nie do zniesienia; nie to droga właściwa; cała ludzkość jest w ulicy ślepej... Nie do zniesienia jest choćby myśl, iż ten uśmiecha się, ów kocha, ów bawi, ów poluje — a równocześnie feruje się wyroki śmierci, morduje za ideały, o które się kiedyś samym walczyło, pochwala się milczkiem lub głośno pola krwi, hekeldamy, wstyd wieków, popełnia

szubrawstwa polityczne, które się srogo pomszczą, wyznacza się jakieś krucjaty tępe i kaliguliczne przeciw jedynie żywej, ludzkiej, autentycznej fermie bytowania, nie opartego na wyzysku, niewoli, pysze — cichcem i podstępnie przygotowuje się nad wszystkimi granicami krwiożercze, otumanione hasłami i przemocą bandy niewolnych zbrodniarzy...

Wiadomo, że „fermą", o którą chodzi w tych wypowiedziach — jest Związek Radziecki. Zegadłowicz, zastanawiając się w pewnej chwili nad rolą Polski w tym, co się dzieje, pisze, że

zamiast rozpalać przy ognisku europejskiej makabry faszystowskiej własne zarzewie wojen, lepiej by było i jedynie dobrze, abyśmy weszli w krąg rad republikańskich, jako awangarda wyrównań sprawiedliwości dziejowej; można to było zrobić przed piętnastu laty bez zbytniej grozy i okrucieństw — opóźniliśmy bieg historii i to się straszliwie pomści! — winę tu poniesie pycha ludzka — winę za idący rozlew krwi i za to maruderskie wtłoczenie nas w szeregi umierającego porządku...

Swoiste odbicie w jednym z listów słonia gorzeńskiego znajduje (aktualna podówczas) sprawa abisyńska:

...przecież zdarzyło się niedawno, że pewien bufon i ignorant podszywający się pod zaszczytną nazwę poety — przemawiał wietrznie i chorągwianie — a ręce nad głową wyrzucał jak Skarga, krzyczał i chrypił... Zapamiętałem te słowa ponurego zdrajcy poezji, karierowicza i błazna — i, sądzę, pamiętać mu je będą pokolenia — to jedyne słowa, które po nim zostaną!

Nie trudno domyślić się, że chodzi tu o Marinettiego, ojca futuryzmu. W ślad za tym idą takie zdania:

Scypionek afrykański (Mussolini) postanowił wypruć flaki Etiopom, że to banda bez kultury, a on tam właśnie kulturę wniesie i nawiezie tankami, gazami, mitraliezami — już tak kiedyś miłość chrześcijańską krzewili zbrojni mnichowie — dzika zabójcza wojna się kroi — a my co? — zabór Etiopii to sprawa daleka — no i: racja stanu, cholera! — klęski własne zapomina się łatwo... P. Ratti, oficjalnie zwany Ojcem Świętym, nie umiał się zdobyć na protest — nie umiał powiedzieć kabotyńskiemu zbrodniarzowi: nie zabijaj! — mgr. Freidici z Bresci, zwrócił się z listem pasterskim do duchowieństwa swojej diecezji, by wezwali wiernych do specjalnych modłów publicznych i prosili Boga, ażeby pozwolił zrealizować sprawiedliwe aspiracje Włoch z minimalnymi stratami. — Wzruszające!

Ruzamski posyła na to Zegadłowiczowi następującą fraszkę:

„Pax vobiscum" — rzekł od ołtarza biskup,
a kiedy mszę odprawił — działa i czołgi krzyżem błogosławił.

To są rozważania bardzo ogólne i raczej nieosobiste... Bo jeśli chodzi o sprawy osobiste — to właśnie w tym samym czasie Zegadłowicz opisuje

Ruzamskiemu-malarzowi swoje zainteresowania malarskie (wszak studiował kiedyś historię sztuki w Krakowie, Wiedniu, Dreźnie). Zwierza się, że posiada ciekawe zbiory malarskie: dwadzieścia kilka Noakowskich, parę Stanisławskich *, Dolabella i in. — to ozdoba „gorzeńskiej galerii".

Mam też 16 litografii Wyczóła — pisze — w tym trzy rysunki do litografii, wśród nich sławny *Matecznik*... Zetknąłem się z Wyczółem kilka razy. Bywał u mnie, ja u niego. Wrażenie? Zawsze czułem się przy nim starszy — a miał wtedy akurat 79—80. Mówił tylko malarsko, np. pamiętam porównanie (lewa ręka podniesiona, kciuk i palec wskazujący wykonują ruch przekazywania proszku; pomaga duży palec): — „wie pan, taki kolor jak cynamon zanurzony w wodzie". Świetne!...

Skoro mowa o Wyczółkowskim, Ruzamski informuje z kolei Zegadłowicza:

I ja spotykałem się z nim niejednokrotnie. Między innymi spotkaniami także w Tarnobrzegu, gdzie Wyczół spędził parę tygodni (rok 1924), wyjeżdżając ze mną i Józefem Pieniążkiem do Baranowa i Sandomierza. Rozkoszne wspomnienia utrwalone akwarelami wszystkich nas trzech... A opowiadał nie gorzej, niż rysował. Pod starymi lipami „starostówki" ciągnąłem go za język. I chętnie, i dużo opowiadał, a będąc notorycznym analfabetą (niech mi kto pokaże listy lub rękopisy Wyczóła!) zatracał swój talent narracyjny u przygodnego słuchacza. — Razu jednego pytam go: „Kiedy pan profesor zaczął malować?" — Odpowiada: „Aby panu ściśle odpowiedzieć, to w piątym roku życia. A było to tak: mój ojciec dzierżawił wtedy mały folwarczek. Przy domu, pod ścianą, stała duża beczka z pośladem. Obok stała maźnica z mazią. Wyjąłem kwacz z tej maźnicy i wymalowałem całą beczkę mazią. Dzieło nie spodobało się memu ojcu i krytyka była ostra, bo cielesna". We wspomnieniu tym kojarzy się humor ze skromnością i filuternością. Albo to: „malowałem pastelami portret jednego ziemianina. Nagle do salonu, gdzie malowałem, wchodzi brat portretowanego i od progu odzywa się: »O, Wacław!« — po czym szybko zbliża się do portretu i kończy — »Ale wcale niepodobny...« Poczciwy brat Wacława zobaczył z bliska różnokolorowe kreski pastelowe, których jako żywo na twarzy swego brata nie widział..."

Wyczół, przyjaciel obydwu słoni, raz jeszcze wróci w listach Ruzamskiego, kiedy ten zwierzy się, że wielki malarz opowiadał mu „jeszcze takie":

Jechaliśmy bryczką z Chmielowskim (słowa Wyczółkowskiego), wówczas już Bratem Albertem, na Bielany. W drodze nachyla się do mnie i mówi: „Leonie — mówiono mi, że malujesz teraz bardzo dobre obrazy". Odpowiedziałem: „Wiesz, Adamie, że jeżeli coś w życiu mym namalowałem, co zasługuje na nazwę dobrego — to zawdzięczam to tylko tobie."

Takie i podobne anegdoty, od których roi się — szczególnie w listach Ruzamskiego (może chciał pisać w ten sposób pamiętnik?) dotyczą nie tylko

* Plansze Noakowskiego i dwa obrazy Stanisławskiego, o których tu mowa, znajdują się obecnie w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Wyczółkowskiego, Stanisławskiego, Fałata, Jacka Malczewskiego i innych wielkich okresu Młodej Polski... Przy okazji „słoń tarnobrzeski" snuje sobie rozważania filozoficzne na temat sztuki i o sztuce. Była mowa w jednym z listów o Bracie Albercie, tej niezwykle charakterystycznej postaci dla swojego czasu. Interesuje Zegadłowicza, co Ruzamski poza tym wie o Bracie Albercie — i właśnie Ruzamski pisze:

> Stanisław Witkiewicz opowiadał: „Był małomówny. Ale gdy odezwał się, milkliśmy wszyscy. Gdy zapalony teorią Taine'a o środowisku rozwodziłem się nad nią, Chmielowski słuchał, aż w pewnej chwili się odezwał: »Teraz więc już rozumiem, że zasługą krawców, szewców, rzeźników florenckich było to, iż zjawił się Michał Anioł«. — Cała moja teoria rozsypała się w gruz... W ten sposób odnosili się do Chmielowskiego takiej miary ludzie, a co o nim wie przeciętny uwielbiacz gazeciarskich wielkości? Tyle co nic. Ja sam niewiele więcej, ale to, co mnie doszło (ciągnąłem za język jego nieżyjących obecnie kolegów), jest majestatyczne...

Kończy się ten list Ruzamskiego tuż po anegdocie słowami:

> Właśnie wyszedł przed chwilą egzekutor podatkowy ode mnie, nie zabrawszy nic...

Codzienność prowincjonalnego wegetowania miesza się w listach obydwu słoni z interesującymi uwagami o sztuce i polityce, które przetykane są myślami o przyszłości i przeszłości; a właściwie każdy list jest mieszaniną wszystkiego, jak groch z kapustą.

Odpowiedź ze strony Zegadłowicza (data 8.IV.1936), kwitująca odbiór anegdot o Wyczółkowskim, zawiera m. in. bardzo interesującą informację:

> ...jeśli gdzieś setkę wydobędę — pojadę do Lwowa na zjazd, który Jampolski organizuje...

I nic więcej prócz pytania, czy Tarnobrzeg... daleko od Lwowa, bo może słoń złożyłby słoniowi wizytę.

25.IV.1936 następna, lakoniczna, wciśnięta między inne — informacja ze strony Zegadłowicza:

> ...gdzieś około 20-go maja mam być we Lwowie...

I znowu nic więcej.

Ale za to mamy obopólną wymianę poglądów w związku z wystąpieniami Ferdynanda Goetla:

Ruzamski:

> Goetel pisze w *Podróży do Indii* o tubylcach, skubiących trawę... Wyrzucani na bruk urzędnicy u nas robią to samo; nie trzeba podróży do Indii, żeby zobaczyć takich ludzi...

Zegadłowicz odpowiada (nawiązując do tego, że Słonimski nazwał Goetla „totalniakiem"):

...co do słowa „totalniak" — nader trafnie użyte w zespole z baciarzeniem Goetla — to właśnie wyraźnie *à la* Goetel! — On-że Ferdek! — połączenie wygodnego globtrottera z andrusem — plus szczypta talentu i pierwszorzędna ograniczoność myślowa... Słonimski to heros w stosunku do tego pigmeja... Czy jest konfidentem w sprawach literackich — nie wiem; nawet niepotrzebne mi to; tamte zalety wystarczą zupełnie. Ferdzio to makulatura kultury!

Ruzamski (z powodu wynurzeń Goetla):

Czy faszyzm jest postępem? Czy wykoszlawianie natury ludzkiej przymusem sobie lub drugim narzuconym jest postępem? — Co innego, gdy pobudką dla przymusu narzuconego sobie jest wewnętrzna potrzeba ze zrozumienia płynąca...

A dalej:

Miałem dziś (pierwszy dzień świąt) nieoczekiwaną wizytę. Odwiedził mnie komunista. Przegadaliśmy dwie godziny. Mówiłem szczerze i otwarcie, uzyskawszy też szczerość i otwartość. Kwintesencję zamknę w stwierdzeniu: siła i niezachwianość, trwałość i niezmienność przekonań. Uwielbienie dla Sowietów.

Jak zaznaczyliśmy — listy jednej, jak i drugiej strony nie są pełne. Brakuje wiele... Widocznie słoń gorzeński od słonia tarnobrzeskiego po Zjeździe Lwowskim (nie mamy ani słowa o tym zjeździe w listach, prócz wzmianek. K o n s p i r a c j a !) usłyszał pytanie: „Jak tam było i o co chodzi?". Oto odpowiedź (Zegadłowicza):

Dlaczego stoję po stronie F. L.? * — Dlatego, że jest to jedyna droga do wyrównania sprawiedliwości; i to się stać musi. Idzie o r a m y s p o ł e c z n e mniej lub więcej dogodne dla: a. unormowania współżycia ludzi i narodów, b. udogodnienia wzwyżeń etycznych, c. maksymalny rozwój jednostki...

Ruzamski zapatruje się na to sceptycznie:

Nie ma form stałych dobrych i złych dla życia, bo życie jest zmienne, co w jednym wypadku dobre i pożyteczne, to w drugim złe i szkodliwe. Nawet dobroć z życzliwości płynąca może być szkodliwa.

I zaraz potem:

Wartość człowieka da się wyrazić stosunkiem tego, co daje, do tego, co bierze w swym życiu. Przeciętny człowiek jest pożyteczny społecznie, o ile istnieje u niego nadwyżka w tym, co daje ponad to, co bierze. Obliczenie

* Front Ludowy.

może się odbywać tylko w sumieniu danego człowieka. Tak co do siebie, jak i drugich bynajmniej nie jest ono łatwe...

Ale nie to decyduje o charakterze i właściwej treści dysputy społecznej między obydwoma słoniami, a tylko wypowiedzi takie, jak poniższa, konkretnie oceniająca aktualną sytuację w Polsce (19.VI.1936):

To, co wygadują te matoły: Miedziński — Koc doprowadza mnie (pisze Zegadłowicz) do białej gorączki; to nie tylko matoły, lecz ludzie źli i mali — bardzo przy tym szkodliwi... Moment ogłoszenia przez Koca tej deklaracji spóźnionego faszyzmu typu korporacyjnego — jest początkiem nowego rozbioru Polski. Tylko ślepy nie widzi, że po Abisynii — Hiszpania — po Hiszpanii — Czechosłowacja — po Cz. — Polska... Taki np. przyjazd Goeringa do Polski strważa, jak przyjazd kata...*

Zdaje się, że właśnie pod wpływem dyskusji na tematy polityki sanacyjnej powstały dwie fraszki Ruzamskiego:

1. O ZMIANACH BARDZO DONIOSŁYCH

Z filozofią sanacji to się zgadza całkiem;
Kordian jest policjantem — Car został marszałkiem.

2. O PRZEMÓWIENIU KOCA

Nonsensów moc
powiedział pułkownik Koc:
„Sztuka i literatura
z polskiego ducha wypływać muszą.
Bez tego ani ruszą."
— Wziął zaduch za ducha.

Nie mamy wprawdzie listu na ten temat, ale widać Ruzamski wystąpił z jakimiś zastrzeżeniami co do poglądów Zegadłowicza. Te zastrzeżenia będą później ustępowały. Ruzamski otrzymuje tymczasem od Zegadłowicza odpowiedź tej treści:

Na świecie jest coraz mroczniej; z dnia na dzień ciemnieje — draństwo i obłęd — oto co zaczyna zgodnie panować na terenach coraz szerszych. Ta szerokość zaczyna mnie przerażać. Młodość skradła nam wojna i starość (!) też nam wojna pożre — to niby tak indywidualnie — lecz ta indywidualność

* Skądinąd znana jest fraszka Ruzamskiego o prezencie, jaki otrzymał od Goeringa prez. Mościcki:

Goering podarował psa, co czerwoną farbę tropi wszędzie.
Pies ten na polowaniach ma oddać usługi.
U nas to doskonale robi Oddział II.
W Polsce Goeringa pies nie pierwszym będzie.

dotyczy dziesiątków milionów egzystencji. Zamierające średniowiecze ma straszną agonię; fałszyzm to nie jest zjawisko społeczne — faszyzm to choroba śmiertelna, równa czarnej ospie i dżumie... Pan nie lubi Marksa. Szanuję myśl pańską i wierzę w pańską intencję i rację: po prostu pan tego nie potrzebuje! — Sam stwierdzić w sobie musiałem, że nie ma innej drogi (komunizm nie jest celem, tylko dążeniem), ratunku dla ginącego świata; to jest pewnik. Że mógłby być inny ratunek? — oczywiście, mógłby — tylko, że go nie ma.

Pogadawszy sobie w ten sposób i widocznie uzgodniwszy coś tam pomiędzy sobą obydwaj wracają do wspomnień.

Ruzamski:

Rzekł mi raz ojciec: „Musisz się do świata przystosować, bo ty świata nie zmienisz". Odpowiedziałem: „Gdyby się wszyscy ludzie chcieli przystosować, jak świat wtedy wyglądałby?". „Ty nie jesteś Mickiewiczem ani Kościuszką". Odpowiedziałem: „No tak, ale czy im nie mogliby ojcowie tego samego powiedzieć, powołując się na przykład na Kopernika?".

Zegadłowicz ma inne zmartwienia. Wraca do malarstwa. Wiadomo: jeśli się koresponduje z malarzem, to należy pisać o malarstwie.

Gdybym wygrał dużo na loterii, to bym cię skłonił do podróży do Drezna (bardzo lubię to miasto!) i tam poprosił (listem wypisanym na czeku) o kopię *Wenus* Giorgionego; ton oryginału jest złoty, stłumiony, jak na przykład czasem pnie drzew o zachodzie słońca — obraz promieniuje... Tam na blejtramie jest napis po dziś dzień: „Przyjdź, miła, o 5-ej. Twój Giorgio". (Ponoć tło malował Tycjan, bo boski Giorgione umarł z tej swojej cudnej miłości i z wielkiego malowania; zaledwie 32 lata żył.)

Obydwa słonie opisując codzienne zmartwienia i troski oraz nadzwyczajne zdarzenia prowincjonalne, takie jak śmierć samobójcza nauczyciela-zboczeńca w małym miasteczku i zamordowanie naczelnika sądu w tymże miasteczku („co za radość dla drobnych mieszczan w nudzie i czczości prowincjonalnej!"), dzielą się ze sobą również anegdotami z własnego życia.

Pisze Ruzamski:

Zaszedł do mnie stary druciarz. Spodobał mi się: mówię do niego: „Może by pan zasiadł na chwilę — to bym pana namalował". „Mnie namalować? Ale skoro pan chce, to już siedzę". — Wziąłem się do malowania. Po pięciu minutach mój cierpliwiec mówi do mnie: „Czy pan mnie już namalował?" „Jeszcze nie" — odpowiadam. „A długo jeszcze?" — „No, jeszcze jakiś czas". — Maluję dalej. Druciarz po drugich pięciu minutach odzywa się: „No, już?" — „Jeszcze nie!" — odpowiadam. — „To niech pan sobie weźmie nieboszczyka do malowania, a nie żywego człowieka! Cóż pan myśli, że ja tak po próżnicy będę siedział? Ja zwyczajny coś robić...".

A oto portrety małomiasteczkowe w wydaniu Ruzamskiego (słoń tarnobrzeski ma przecież swoich przyjaciół, prowadzi jakieś tam życie towarzyskie):

Jest tu ksiądz, dominikanin, poczciwy człowiek. Tak go wziąłem, że nazywa mnie przyjacielem. Ale jak każdy ksiądz jest moralistą. A ja jak tylko spotkam moralistę, to największą dla mnie przyjemnością jest zdemoralizować go. Maluję teraz portret młodej, przystojnej kobiety. Wie o tym ów ksiądz. Gdy ją spotkał, powiada do niej: „Niech pani unika rozmów z tym malarzem, bo z pani zrobi się niedowiarek. On tak przekonywająco mówi, że mnie, księdza, potrafi przekonać, a co dopiero panią". Na to mu owa niewiasta: „Kiedy ja już dawno straciłam wiarę obcując z księżmi i dopiero odzyskałam ją w rozmowach z Ruzamskim".

Tenże Ruzamski opowiada przy innej okazji o rozmowie towarzyskiej, jaka toczyła się pewnej niedzieli przy stole. Tematem były nieślubne dzieci. Wysłuchawszy w skupieniu wywodów małomiasteczkowych notabli i ich połowic — słoń tarnobrzeski stwierdził z przekonaniem:

Wszystkie dzieci Adama i Ewy były nieślubne. Bo kto mógł dać ślub Adamowi i Ewie? Wnuki mogły już być ślubne, jeżeli jeden z synów poszedł na księdza. Może Kain?...

Rzecz prosta, że ten „Kain" spowodował później dalekosiężne następstwa. Zanim do nich dojdziemy, warto zapoznać się z powodami, dla których ksiądz dominikanin przestaje nawiedzać Ruzamskiego:

„Boy nie jest oryginalny, bo tylko tłumaczy" — powiedział mi ksiądz. Odpowiedziałem: „A wy co? Nie tłumaczycie? Tylko, że jednego Chrystusa. I to w dodatku fałszywie". — Poza tym: Ksiądz widząc nagą postać w obrazie nazwał to pornografią. Tak jakby widząc narysowane usta — nazwać to obżarstwem. Powiedziałem mu, że zależy, o czym kto myśli, patrząc na obraz...

A oto historia tych dalekosiężnych następstw, List z Tarnobrzega do Gorzenia jest ogromniasty. Jego treść w istotnym skrócie przedstawia się następująco:

...Istnieją przecież w Tarnobrzegu władze miejscowe, na których czele stoi starosta, „młody, 30-letni, b. energiczny, brutalny; stanowisko uderzyło mu do głowy". I docierają do starosty wieści o nieprawomyślnych praktykach malarza. Krążą po mieście jego fraszki o tym, że „Na pałac Watykanu cały świat się łoży, a Syn Człowieczy nie miał, gdzieby głowę złożył", o tym, że „Chociaż działają różne komitety, nie każdy w Polsce sytym jest niestety" (pani starościna stoi na czele komitetu „Pomocy Zimowej"). Możliwe, iż znana jest również panu staroście fraszka o tym, że „Goering podarował psa..." Starosta przygląda się, ale nie miał dotąd bezpośrednich powodów do interwencji, nie ma też całkowitej pewności co do osoby autora.

Malarz otrzymuje więc „na wszelki wypadek" wezwanie, ażeby stawił się do starosty na godzinę 15-tą. „Nie stawiłem się, wobec czego pan starosta przysłał mi sekretarza, ażebym przyszedł, bo jak nie, to mnie każe doprowadzić przez policję. Odpowiedziałem sekretarzowi w powołaniu na artykuł 22 rozporządzenia prezydenta z dn. 22.III.1928 nr 36, poz. 341, o postępowaniu admi-

nistracyjnym, że na wezwaniu musi być podany cel tego wezwania. I oświadczyłem: „Bez tego nie pójdę".

Była to obraza starosty... Ażeby jakoś wybrnąć z sytuacji — takie rzeczy roznoszą się w małym miasteczku — starosta zażądał teraz od lekarza miejskiego (jeden i drugi pieniacz!) wystawienia świadectwa... choroby umysłowej malarza. Lekarz miejski odmówił, ale za to wystawił takie świadectwo zrażony jakąś fraszką lekarz powiatowy...

Wydawałoby się, że sprawa jest załatwiona. Może nawet i byłaby załatwiona, gdyby malarz nie podjął akcji przeciw staroście w związku z tym, że nad Wisłą obok Sandomierza zaczęto za jego (starosty) zezwoleniem wycinać stare drzewa, broniące przed powodzią i urozmaicające krajobraz. Malarz zebrał podpisy kilkunastu obywateli i wysłał protest do województwa. Dowiedziawszy się o tym starosta rozpoczyna kontrakcję... Zawezwał sędziego grodzkiego i zmusił go, by wycofał w imieniu żony podpis pod protestem, wezwał profesora gimnazjum i zaczął terroryzować innych, którzy również podpisali. „Przybiegł do mnie pewien reemigrant, który właśnie stara się o obywatelstwo; niemal na klęczkach zaczął błagać, że on się wycofuje. Dotąd widzę przerażone oczy poczciwca" — wspomina Ruzamski... Z chwilą kiedy już większość podpisów została unieważniona, a starosta zebrał w powiecie dostateczną ilość „podpisów uznania" do województwa — następuje akt końcowy, którym jest... wezwanie malarza do poboru, w 57 roku życia!

Wezwanie jest natychmiastowe i malarz winien stawić się w Nisku. Jedzie więc nocnym pociągiem do Niska. Ale niestety pociąg spóźnił się i w Rozwadowie nie można złapać połączenia. Wobec tego malarz wraca do Tarnobrzega, zaopatrzony w poświadczenie z posterunku policji w Rozwadowie, że pociąg istotnie spóźnił się... Starosta postanawia jednak dopilnować wykonania poboru. Skoro świt dwu policjantów, sprawdziwszy, że malarz znajduje się w łóżku, a nie w koszarach, otrzymuje rozkaz odwiezienia go na jego koszt; trzeba jechać pod eskortą... „Postarałem się zgubić po drodze te pluskwy. Przybiegły za mną do RKU w Nisku z wywieszonymi ozorami w chwili, gdy miałem już w ręku papierek, że jestem raz na zawsze wolny od służby wojskowej, a urzędnik rzeczywiście wziął mnie za... wariata. Wróciłem z tym papierkiem, trzymając go przed sobą, do domu. I trzymam go w portfelu na wszelki wypadek..."

Tak kończy się ta nieprawdopodobna, ale udokumentowana wszelkimi paragrafami historia, uwieczniona skądinąd rysunkiem przebywającego w tym czasie w Tarnobrzegu innego malarza, Stefana Żechowskiego. Na rysunku dwu policjantów prowadzi właśnie tarnobrzeskiego słonia, który tu został przedstawiony pod postacią satyra, z instrumentem muzycznym w ręku. Sensacja w miasteczku. Ludzie gromadzą się na trotuarach. Malarz, słoń czy satyr — wszystko jedno, jak go nazwiemy — jest już według opinii mściwego starosty kompletnie pogrzebany, skompromitowany całkowicie w opinii publicznej...

...Bardzo znajoma nam ta postać starosty z opisu sprawy! Z tą samą postacią po wielu, wielu latach spotkamy się na scenach teatrów w... *Domku z kart!*

Ponieważ przeszliśmy znowu od malarstwa do literatury, oddajmy głos Zegadłowiczowi. Możemy się tu doszukać innego z elementów wspomnianej

sztuki teatralnej. Obydwa słonie, czytając, dzielą się ze sobą wrażeniami z lektury.

Pisze Zegadłowicz:

> *Strzępy meldunków* — to arcydzieło — tego żaden geniusz nie podrobi; to są pamiętniki karakona albo stonogi. Celebralne brednie! rzadki typ obłędu. Szpara w podłodze, jako wszechświat!! — Najpierw się książką rzuca o piec, a potem zstępuje na człowieka olśnienie, że to dane mu jest czytać memuary owada. Ja jestem szczerze zakochany w tej tępocie... Czy można żyć bez mózgu? — można! I można też pisać strzępy meldunków. Żołnierska Iłła proponowała *Strzępy* do nagrody literackiej. Popieram ją w tym gwałtownie; one są warte pokojowej Nobla; kto je przeczyta, tego odrzuci na tysiąc lat świetlnych od wszelkiego militaryzmu... Takimi typami „wywalczona ojczyzna" jest karakonim partykularzem... Świat widziany oczami muchy-gnojki!

Tyle o pamiętniku premiera przedwrześniowej Polski, który wsławił się przemówieniem na temat, że za dużo u nas dziewiczych piersi, a przecież w każdej gminie są ludzie godni tego, żeby nosili krzyże zasługi — o premierze, który wsławił się „sławojkami", malowaniem płotów i sloganem „mów coś, rób coś, ruszaj się".

Wielokrotnie obydwa słonie będą jeszcze do jego postaci powracać, przy różnych okazjach. Ruzamski prześle Zegadłowiczowi osobną fraszkę:

NA „STRZĘPY MELDUNKÓW"

Nie orzeł pisał, ale lis,
patentowany drań w mundurze.
Tłusty mu z tego skapnie zysk,
Po lewatywie i po piórze.

Wielokrotnie przyczepiają się obydwaj do znienawidzonej sanacji: słoń z Tarnobrzega, wyśmiewając i chłoszcząc biczem swoich fraszek załączanych przy listach, słoń z Gorzenia — w bardziej konkretny sposób: swoją twórczością:

Na karanie złodziei wyznam pogląd szczery:
mali siedzą, większych zwolnią,
najwięksi dostają ordery

— pisze Ruzamski, Zegadłowicz natomiast uzasadniając swoją nienawiść do sanacji usiłuje dać obraz współczesnej mu prowincji polskiej:

Z listu z 11.X.1936 dowiadujemy się m. in., że przystąpił do pisania *Egzystencji (Martwe morze)*, „15-go zacznie wychodzić *„Dziennik Popularny"*, w którym *pars sum* — będzie i dodatek niedzielny... dobrze, że się odrywamy od wydawców; to pewniejsze i rzetelniejsze".

Z listu z 15.XII.1936 dowiadujemy się, że „oczy bolą od pisania", a w ogóle chodzi o powieść, „by poprzeć imprezę".

* Sławoj był z zawodu lekarzem.

23.I.1937 Zegadłowicz pisze do Ruzamskiego: „Styl pamiętników Zydla pochodzi z twoich listów... *„Dziennik Popularny”* dzisiaj już bije 60.000 egzemplarzy”.

Rzecz jasna, że Ruzamski czyta skrupulatnie *„Dziennik Popularny“* i mimo swoich skromnych dochodów — jest właścicielem małego domku po rodzicach i czasem sprzeda jakiś obraz — znajduje fundusz na prenumeratę.

Korespondują sobie Zegadłowicz z Ruzamskim o ówczesnej prasie w ogóle, a swoich perypetiach prasowych w szczególności.

Ruzamski:

> Miałem zamiar pisywać w jednym z czasopism warszawskich (recenzje malarskie). W tym celu umówiłem się z naczelnym redaktorem, który z własnej inicjatywy naznaczył mi spotkanie. Terminu jednak nie dotrzymał. Gdy go zapytałem telefonicznie, dlaczego nie przyszedł lub nie zadzwonił do mnie — objaśnił jako powód, że pies mu zdechł. Pomyślałem sobie, że sprawa mojego pisania będzie pod zdechłym psem. Tak też i stało się!

Jaka to była redakcja i o którego redaktora chodziło, nie wiadomo... Może właśnie redakcja *„Pionu“*, skoro gdzie indziej w liście Ruzamskiego znajduje się następujący opis:

> Schody, marmury, lustra, fagas, palto na kołek, bilet; wreszcie przyjmuje mnie sam pan zastępca redaktora, p. Pomirowski. Nie spojrzawszy na treść powiada z góry: „czy nie dałoby się skreślić połowę?“...

Nic z tych pomysłów Ruzamskiego co do współpracy w jakimś czasopiśmie nie wyszło. A przeto pociesza się współudziałem w redagowaniu... *„Kuriera Metampsychicznego”* przy *„Ilustrowanym Kurierze Codziennym”* w Krakowie!... Nie należy jednak krzyczeć hop, póki się nie przeskoczy. Trzeba spytać, jak ta współpraca wyglądała? Otóż Ruzamski posłał Ludwikowi Szczepańskiemu *, upewniwszy się wprzódy, że ten „nie rozmawia z Marianem Dąbrowskim”* — jakiś stary rękopis. Rękopis został opublikowany wraz z opinią Rafała Schermanna, słynnego grafologa, który właśnie zamieszkał w Krakowie. Schermann wydał bardzo druzgocącą opinię co do cech charakteru autora rękopisu... I w ten sposób skończyła się również współpraca słonia z Tarnobrzega z *„I. K. C.“* „Człowiekiem bardzo ograniczonym“, jak twierdził grafolog, był nikt inny, jak tylko... Rydz-Śmigły. (Chodziło o jakiś jego stary list.)

Przejdźmy teraz do spraw dowcipu, który mógł wszystkich biorących w nim udział wiele kosztować — do bardziej poważnych zagadnień, związanych z ówczesną prasą.

Wśród różnych komunikatów Zegadłowicza znajduje się również wzmianka o *„Sygnałach”*:

> ...właśnie zmartwychwstały, a to przezabawna historia! Zawieszono je z § pra-

---

* Pierwszy: redaktor *„Kuriera Metampsychicznego“*, drugi: wydawca *„I.K.C.“*.

sowego z r. 1862, który to § niwelowała tzw. „liberalna konstytucja“ austriacka z r. 1867. Tymczasem władze lwowskie tej konstytucji nie uznały w r....1936.

Zegadłowicz powołuje się często na swoją korespondencję z Karolem Kurylukiem, redaktorem *„Sygnałów”*, dzięki któremu „to pismo ciągle jeszcze wychodzi”. Kuryluk albo nie skreśla, albo nie drukuje. Podczas gdy Grydzewski *(„Wiadomości Literackie”)* ma inne obyczaje. Kiedy Ruzamski, jak można się domyślić, pisze o jakichś chropowatościach w jednym z artykułów Zegadłowicza, wydrukowanym przez Grydzewskiego — słoń gorzeński wyjaśnia:

...cały ten artykuł jest skandaliczny, okrojony; bezpośrednio po przymiotniku następuje zdanie: „Jest jeszcze Śląsk drugi; pod ziemią; zwie się Asturia... To i wiele innych zdań Grydz wykreślił.

Ten sam Grydz, kiedy jednak potrzeba pieniędzy, a konkretnie zaszła konieczność wykupienia chorego pisarza z „Hotelu Polskiego” w Krakowie — finansuje przedsięwzięcie, posyłając 200 zł przekazem telegraficznym; wierzy mimo wszystko nie bardzo wypłacalnemu i niezbyt punktualnie wywiązującemu się ze swoich zobowiązań autorowi...

Znajdujemy też w korespondencji dwu słoni komentarze do innych artykułów Zegadłowicza, drukowanych w *„Wiadomościach Literackich”*. Oto na przykład artykuł *Poza dyskusją*. Ruzamski zarzuca mu przesadę. Zegadłowicz broni się:

Mój artykuł o kwestii żydowskiej? Trzeba, gdy na jednej szali jest głupota, draństwo, kastety, żyletki i ławki „ośle“ — na drugą szalę rzucić nie umiarową dedukcję, lecz pasję uczucia; nie pomyliłem się w rachunku; artykuł spełnił swoją rolę, odświnił trochę Polskę. A słowo to ma fatalny dźwięk „na szerokim świecie“. Jednej tylko Rumunii możemy imponować. Ale Rumunia to wiek XV — sam widziałem chłopów rumuńskich klękających przed bojarem...

Skoro wspomniano już... Rumunię — warto przytoczyć dalsze wypowiedzi o przedwojennej Polsce, znajdujące się w listach.

Zegadłowicz:

...Polska to więzienia, koszary, przerażające szkolnictwo, nędza i głód, a na tym tle kilka saskich figur... Deklaracja Koca była na poziomie liberalnej konstytucji carskiej, za którą kryje się gwałt i chytrość...

Rośnie we mnie pewność — zauważa z autoironią słoń z Gorzenia — pewność, że nasze pisanie rehabilituje epokę ciemną i durną. Doprowadzili mnie do pychy...

Rękopisy Zegadłowicza są niezbyt wyraźne, skrobie jak kura pazurem. Odczytywanie listów sprawia znakomitemu kaligrafiście, jakim jest Ruzamski, niemałe kłopoty.

Na to Zegadłowicz:

Niech cię pocieszy zapewnienie, że Dostojewski pisał jeszcze niewyraźniej: rękopisy jego są pełne skreśleń, nadpisów, wkładek, marginalii i rysunków fantastycznych.

Nie tylko jednak o Dostojewskim znajdziemy wzmianki w listach gorzeńskich i tarnobrzeskich. Z wielkich — wystąpią tu uwagi o Tołstoju i o Tomaszu Mannie („Przeczytałem na nowo *Der Zauberberg* — przerażająca, genialna powieść! — Nuży partiami, partiami dosięga wyżyn niebywałych... Nieprawdopodobnie piękne!"). Dalej idą zachwyty nad Szołochowem (*Cichy Don* — ulubiona lektura Zegadłowicza), uwagi o bardzo wielu powieściach współczesnych. Jakimś sposobem muszą się te pozycje w Gorzeniu znaleźć, jeśli nie od autorów, to z zakupu; z ostatnich groszy. Słoń gorzeński ma zresztą dużo zastrzeżeń do nowych powieści. Recenzuje na przykład *Bank Chrystusa* Ulanowskiego w następujących słowach:

(legioniści)... byli to apostołowie z menażkami, zgarniający łyżką egipską kaszę ze skwarkiem z Apisa (str. 33, w. 12, od dołu). Śmiać się? Płakać? Bić? Oto głębie mesjanizmu polskiego — rozmazanej tępoty i sieczki we łbie!

Ruzamski również czyta. Ale w pierwszym rzędzie interesuje go malarstwo; pisze więc na tematy malarskie: stanowczo odrzuca Picassa... Zachwyca się kolejno Cybisem i Szancerem; w polemikach Czapskiego z T. Pruszkowskim bierze stronę tego ostatniego („Pruszkowski ma rację przestrzegając w *„Wiadomościach Literackich"* przed modą francuską". — Zważmy, że pisze to malarz znający Paryż i malarz, o którym było w *„La Revue Moderne"*, czego inni „paryżanie" chyba nie doczekali się) *. Nie podoba się Ruzamskiemu Witkacy ze swoją książką *Nowe formy w sztuce i wynikające z nich nieporozumienia.* O „kapistach" czytamy, że „wyspecjalizowali się w intrygach" i „co też z nich wyrośnie?".

A w ogóle zdaniem Ruzamskiego:

Opinie autorytetów wprowadzają ostateczny zamęt do głów niezorientowanego czytelnika. Niezorientowanego? Pan Czapski zaraz by go zorientował i zrobił się autorytetem. Wyczół nazywał takich „orientalistami", bo się orientują. Hasłem pana Czapskiego jest sztuka dla sztuki, malarstwo dla malowania... i gadanie dla gadania.

Ruzamski:

Tytusowi Czyżewskiemu powiedziałem raz: „wyście, bracie, mocny w gębie".

Dobrze notowani są u Ruzamskiego Cieślewski-syn i Lam. Zachwyty nad Dunikowskim. Znajdujemy w listach Ruzamskiego nazwiska: Laszczka, Pankiewicz, nazwiska „trzech hucułów" (Sichulski, Pautsch, Jarocki), uwagi

* Akwarele Ruzamskiego znajdują się obecnie również w Galerii „Karaska" w Pradze (por. *„Trybuna Ludu"* z 19.XI.1955).

o Aleksandrze Gierymskim, Kossakach, Matissie, Bonnardzie, Ropsie, Bourdellu, Zaku, Rodakowskim, który jest „największym polskim portrecistą. Delacroix nazywał jego portrety arcydziełami".

Nazwiska malarzy, rzeźbiarzy, grafików powtarzają się w korespondencji obydwu słoni szczególnie wtedy, gdy kłócą się o sprawę Stanisława Szukalskiego. Kłócą się tak, że aż pierze leci. Jeden drugiego raz za razem przeprasza.

Ale o co tu chodzi — i czemu sprawa Szukalskiego wywołuje tyle szumu? Ruzamski jest wielbicielem jego talentu. Zegadłowicz wrogiem, choć przyznaje mu „niezaprzeczalne wartości".

Oddajmy głos listom. Ruzamski wspomina:

> Poznałem Szukalskiego w Krakowie jako 16-letniego chłopca, ucznia Akademii. Byłem od niego prawie 10 lat starszy. Zwrócił moją uwagę niezwykłym wyglądem, strojem składającym się z aksamitnej kurtki z wyciętym głębokim dekoltem, z krótkich spodni, pończoch i płytkich trzewików. Figura zgrabna o głowie ślicznego pazia, z włosami jasnoblond i jasnoniebieskimi oczyma. Radośnie uśmiechnięty spacerował po Plantach szerokim, zdecydowanym krokiem. W tym czasie roiło się w Akademii Krakowskiej od kabotynów, pozujących na różne sposoby... Podejrzewałem, obserwując powierzchowność Szukalskiego, że jest jednym z tych kabotynów, starających się o zwrócenie na siebie uwagi. Naraz Szukalski otworzył pierwszą wystawę swych prac w Towarzystwie Sztuk Pięknych (r. 1911). Zobaczywszy ją, byłem porażony siłą, doskonałością formy i głęboką treścią duchową rysunków i rzeźb...

Tyle o pierwszym spotkaniu z Szukalskim. Gdzie indziej Ruzamski będzie podawał dalsze informacje, dotyczące tej ciekawej postaci:

> W roku 1912 powiedział raz: „Mam już dosyć tej nędzy, jaką tu cierpię. Jadę do Ameryki".
>
> Po wojnie — pisze dalej Ruzamski — doszły mnie wiadomości o olbrzymich sukcesach wystaw Szukalskiego w Ameryce i dziwactwie artysty, który nie chce nic sprzedać i odrzuca najbardziej kuszące oferty. Żeni się z Amerykanką, córką milionera, nie przyjmuje jednak posagu od rodziców swojej żony, którą poślubia bez ich zgody. Wreszcie w roku 1824 powraca do wolnej ojczyzny i przewozi z wielkim mozołem wszystkie prace artystyczne, aby je ofiarować państwu, które w osobie kierownika zbiorów państwowych królewski dar Szukalskiego odrzuca.

Powodem, jak twierdzi Ruzamski, ma być nieszlachetny materiał, bo Szukalski żyjąc w niedostatku nie miał pieniędzy na wykonanie dzieł w brązie... „Ci panowie nie wiedzą — mówił mi — że szlachetność wyraża się w formie, nie w materiale."

Streszczamy dalej listy Ruzamskiego, opisujące dzieje Szukalskiego:

Otóż: „Stach z Warty" wystawia swoje prace w „Zachęcie". Wystawa budzi ogólne zainteresowanie. Zachwycają się artyści tacy, jak Stanisław Noakowski i Jacek Malczewski. Rozpoczyna się jednak nagonka „różnych spryciarzy, obawiających się konkurencji i plajty swej reklamowanej, a nędznej »twórczości«..."

W konkursie ogłoszonym na pomnik Mickiewicza dla Wilna Szukalski otrzymuje pierwszą nagrodę spośród 67 zgłoszonych projektów. Komitet zaznacza, że „nagrodzony projekt przewyższa w sposób wybitny wszystkie pozostałe projekty". I w rezultacie wykonanie pomnika powierzono... Henrykowi Kunie. Podobnie stało się z nagrodzonymi (I nagroda) projektami monet polskich — i z wielu innymi.

W tym czasie (1926—1927?) Rabindranath Tagore powierza Szukalskiemu zorganizowanie Instytutu Sztuk Pięknych w Kalkucie, z zasięgiem na całe Indie. Szukalski zgadza się, ale poselstwo angielskie odmawia mu wizy za rzekomą obrazę Imperium poprzez jedną z rzeźb, broniącą Indii.

Oddajmy dalej głos bezpośredniej relacji Ruzamskiego:

> W r. 1929 Szukalski otwiera wystawę w Krakowie. Zawrzało... Prasa postanowiła „skandal" przemilczeć, nie zamieszczając żadnej recenzji. Ale milczenie zostało przełamane... Publiczność urządzała owacje Szukalskiemu, znoszono kwiaty i wieńce, przychodziły delegacje szkół artystycznych. Liczba zwiedzających rosła. Wreszcie doszła do rozmiarów nigdy nie notowanych w Krakowie: 4.200 płatnych biletów, nie licząc wolnych wstępów w jedną tylko niedzielę. Ogonki przy kasie ciągnęły się aż na Planty. Zbrakło katalogów, wydrukowanych w ilości 10.000... Zjawili się i recenzenci z gazet. Szukalski przystępował i mówił do każdego z nich: „Pan jest recenzentem gazety (wymieniał tytuł). Oświadczam panu, że na sztuce pan się nie zna i nie ma z nią nic wspólnego, więc proszę o mojej wystawie nie pisać..." Marian Dąbrowski z „*IKC*" nie chcąc narazić się na stratę popularności — wysłał wreszcie współpracownika swojego pisma, byłego redaktora „*Życia*" — Ludwika Szczepańskiego. Ten opisał swe wrażenia w reportażu i wyraził zachwyt... Na wystawie zjawili się uczniowie Akademii Sztuk Pięknych, składając wieniec pod rzeźbą *Krak*. Zostali za to relegowani z Akademii. Powstał z nich pierwszy zawiązek przyszłego „Szczepu Rogate Serce".

Szukalski utrzymuje przez cały czas kontakt ze Stanami Zjednoczonymi, gdzie ukazały się trzy wielkie, kosztowne, wspaniale ilustrowane monografie o jego twórczości. „*IKC*" donosi, że proponują mu otworzenie tzw. „Twórcowni" w Stanach Zjednoczonych, kiedy nie zgadza się — proponują mu 6 milionów na założenie takiej „Twórcowni" w Polsce, pod warunkiem, że część prac będzie własnością donatora. Odpowiedź brzmi: „Twórcownia powstanie, ale za pieniądze Polaków".

Szukalski wyjeżdża do Ameryki, ażeby pozałatwiać jakieś sprawy rodzinne. Przed wyjazdem założył pismo pt. „*Krak*". Powierza to pismo opiece Ruzamskiego, który — co jest widoczne — nie bardzo umie sobie poradzić. Wdaje się w kłótnie i „rozróbki", polemizuje nawet ze Słonimskim, który uważa go za „ciekawego", ale wyraża zdanie, w jednej z kronik, że Ruzamski jest „zbyt ograniczony w szlachetnym uporze".

Historia współpracy Ruzamskiego z Szukalskim kończy się olbrzymią awanturą. „Stach z Warty" obrzuca, po powrocie z Ameryki, swojego zastępcę stekiem niewybrednych obelg za to, że „położył mu pismo", że dopuścił do głosu „Żydów i komunistów..." „Czarnym mafiom masońsko-żydowsko-komunistycznym" — zawdzięcza rzekomo swoje niepowodzenie...

Okres, w którym odbywa się korespondencja Zegadłowicza z Ruzamskim — jest okresem nieprawdopodobnych głupstw Szukalskiego. Szukalski, zżarty przez kliki, staje się sztandarowym faszystą, z uwielbieniem dla Mussoliniego i przemilczaniem Hitlera.

Zegadłowicz pieni się z powodu wystąpień Szukalskiego, któremu usiłuje pomagać, dając mu jakieś zamówienia, „ten harcerz-kurdupel Grażyński" (wojewoda śląski). Ruzamski nazywa koncepcje polityczne Szukalskiego kretynizmami. Wysunięty przez Szukalskiego plan przebudowy Europy pod nazwą „Neuropa" — uważa za „poronione brednie maniaka". Twierdzi jednak, że:

> W dziedzinie sztuk plastycznych Szukalski jest odkrywcą nowych terenów i wyrąbuje drogi do nich. Po raz pierwszy walory przypisywane wyłącznie literaturze zostały szczęśliwie uplastycznione w jego sztuce. Szukalski zrywa z dotychczasowymi kanonami o konieczności zamkniętej bryły w rzeźbie, dając nowe wartości formie. Dowolność zmian proporcji ciała ludzkiego, przy zachowaniu jego organiczności, posunął dalej, poza Michała Anioła.
>
> I nie myśl, że Szukalski nie popełnia błędów. Popełniał je i Mickiewicz (towianizm), ale wielkości nie stanowi unikanie błędów, lecz duch twórczy. Szukalski jest postacią historyczną, jednym z największych ludzi twórców, jakich Polska wydała... Tylko dwu Polaków wstrząsnęło mną do samego dna mej duszy. To Mickiewicz i Szukalski...

Spotykają się te słowa z jak najgorętszym sprzeciwem Zegadłowicza, który reprezentuje pogląd, że wielkość sztuki musi się łączyć z wielkością charakteru twórcy.

„Dobrze by tak było, żeby było" — zauważa sceptycznie Ruzamski.

Nigdy też — jak wynika z listów, które znamy — nie doszło na ten temat do zgodnego „strąbienia się" obydwu słoni.

Ruzamski, podobnie jak Szukalski, chronicznie nie znosi recenzentów:

> Takiemu, co pisze monografię, zawsze chodzi o zwrócenie uwagi czytelnika na piszącego... I taki np. Szukiewicz wykazuje dowodnie swoją wyższość nad Matejką. A niech go ciężka kopera...

Nie jest to żaden specjalny uraz w stosunku do krytyków. Nie. Bo obchodzą się z Ruzamskim jak z jajkiem. W recenzjach ze *„Świata"* i *„Sztuk Pięknych"*, załączonych przy jednym z listów, możemy przeczytać, że wystawione właśnie w „Zachęcie" prace Ruzamskiego „są mocne w formie i jasne, pogodne w barwie. Ruzamski jest słoneczny i rozbawiony naturą".

Nie przeszkadza to pochwalonemu malarzowi stwierdzać w listach do Zegadłowicza:

> Krytyka literacka stoi wyżej od plastycznej. Dowód: spróbuj np. powiesić Utrilla w „Zachęcie" bez podpisu.

W tejże „Zachęcie“ przy okazji wystawy Ruzamskiego pojawia się kartka następującej treści:

> Dla ułatwienia orientacji Panom Krytykom zaznaczam, że wystawa moja jest przykładem wstrętnego naturalizmu, ręcznej fotografii, braku indywidualności, braku paryskiej kultury; nieznajomości: formy, koloru, deformacji, materiału, konstrukcji, unizmu, Cézanne'a, Picassa, Utrilla i innych obowiązujących rzeczy — natomiast jest lichym naśladownictwem prowincjonalizmu...

I właśnie wtedy, kiedy zaczyna pokazywać rogi, kiedy zaczyna otwarcie mówić to, co myśli, i wyrażać otwarcie swoje opinie — zaczynają słonia z Tarnobrzega „zeżerać“. Sezony 1936—1937 to, jak wynika z listów do słonia w Gorzeniu, okres wykańczania Ruzamskiego-malarza. „Odwalają” go z „Zachęty” i „IPS-u” bez apelacji. „Gra“ tu jeszcze w pewnym stopniu awantura z Szukalskim, w której Ruzamski sekundował Szukalskiemu, ale przede wszystkim „grają” listy do różnych ludzi.

Ruzamski — nie mając możliwości wyrażania się w prasie — robi swoją robotę przy pomocy listów. Nie podobają mu się kliki i kapliczki, które owładnęły, jego zdaniem, życiem plastycznym. Walczy o młode talenty (ma podziw dla Bractwa Św. Łukasza). Pisze:

> Jak kto ma talent, to z pewnością się wybije. Bzdura! To jest to samo, co powiedzieć, że nasienie kwiatu rzucone na asfalt czy beton zakwitnie...

Polemizuje z „czapszczyzną” w *„Wiadomościach Literackich”*. Nie rozumie takich sformułowań krytyka Czapskiego, jak: „Matejko jest malarzem nieczystym“, „nieautentyczni plastycy: Kotsis i Maurycy Gottlieb“, „liche słodycze Andriollego”.

Nie lubi Ruzamski Tretera:

> Wykwintny, kulturalny, uorderzony pan, autor dzieła *Salon i kobieta*. Gdzie mnie do niego — ja cham, który nie miał w życiu na sobie fraka, nie pił nigdy szampańskiego i nie zna się dobrze na manierach.

Ruzamski cieszy się, kiedy Treterowi przydarza się gaffa. Właśnie wystawiła swoje obrazy Zofia Stankiewicz — t a d r u g a. Treter pisze recenzję o wystawie i miesza obydwie Zofie Stankiewicz. Jest przekonany, że to jedna i ta sama osoba. Widzi linię rozwojową, całokształt itp. Ale na tę „sumienność krytyczną“ nikt nie zwraca uwagi (jedynie Adam Breza w *„Rzeczypospolitej“)*.

Wittig jest zdaniem Ruzamskiego „najzdolniejszym rzeźbiarzem w staraniu się o nowe zamówienia”. Treść obrazów Weissa: „jatki z mięsem”. (To ironiczne stwierdzenie nie ma jednak pokrycia w poglądach Ruzamskiego; bardzo ceni gdzie indziej Wojciecha Weissa.) Poza tym jeśli chodzi o malarstwo — to: „każdy konkurs w Polsce powinien się nazywać skandal!“

Na tle uwag o malarstwie i uwag o literaturze obydwa słonie formułują sobie pewne tezy teoretyczne:

Jednostronność w twórczości jest zaletą, w poglądach ciasnotą i ograniczeniem (Ruzamski).

Każda twórczość, choćby najdokładniej przygotowana, musi się w pewnej chwili stać improwizacją (Ruzamski).

Prawda to dążenie, kierunek, a nie pozycja stała (tenże).

Wtóruje Zegadłowicz:

Zawsze dogmat jest wyrazem zastałości myślowej — jest dowodem otępienia.

Kto wierzy, że jakakolwiek teoria jest ostateczna — ten nie ma przyrodniczego spojrzenia na świat...

Powiedzielibyśmy dziś, zdaje się, nie przyrodniczego, ale... materialistycznego. Mieszają się te uwagi, głębsze i płytsze myśli, z aktualnymi wydarzeniami politycznymi.

„Jaki związek ma podarowany przez „Zachętę" Mościckiemu obraz — *Tatry* — w związku z jego jubileuszem działalności naukowej?" — zapytuje Ruzamski. I nie czekając na odpowiedź mówi: „W tym obrazie jest także sztuczne powietrze".

„Rydz-Śmigły pisze, że wszystko, co zdrowe w społeczeństwie, wychodzi z wojska... Prus nigdy w wojsku nie był — zauważa Ruzamski — a więc nie był zdrowy społecznie."

Takie i podobne pogwarki odbywają się przy akompaniamencie natężonej akcji „czarnej sotni" przeciw Zegadłowiczowi. Cenzura sanacyjna raz po raz konfiskuje mu artykuły. Pod tym względem Ruzamski jest spokojniejszy; w ogóle go nie drukują; „ani chcą gadać!"

Począwszy od przekładu *Fausta* — pisze Zegadłowicz — poprzez każde przemówienie, artykuł, wiersz — snuje się za mną widmo skandalu, przeciwności, rozgłosu, wyzwisk, zachwytów, odsądzania od czci i wiary; nic nie robię, tylko te świętości szargam; od świtu do zmierzchu — od zmierzchu zaś gwałcę dziewice w biało-amarantowych spódnicach, które z nich zdzieram z gestem Kuby Rozpruwacza.

W innym z listów czytamy:

Wydałbym jako druk bibliofilski *Ojcze Nasz* — lękam się jednak, czy zdanie „ale nas zbaw ode złego" — nie zostanie skreślone. Powiedzą, że mam na myśli Hlonda, Rydza czy kogoś z tej branży.

Sprawy cenzury wrócą także w listach z Gorzenia, kiedy Zegadłowicz będzie komunikował Ruzamskiemu o żywo komentowanym zresztą w całej Polsce wypadku skonfiskowania pierwszej książki Rudnickiego.

Czytałem niedawno fragment z życia żołnierzy i wydał mi się prawie blady

i nieśmiały, miałem nawet żal do autora — tymczasem — buch! — dowiaduję się, że to zostało skonfiskowane...

Obydwa słonie usiłują przy okazji ustalić, choćby tylko na własny użytek, co jest, a co nie jest cenzuralne. Zegadłowicz odpowiada widocznie na pytania Ruzamskiego, pisząc:

...czy istnieje w Polsce ustawa, urząd, instytucja do zwalczania demoralizacji, szerzonej choćby nawet przez znanych literatów? (pytanie cyniczne i surowe)... Nie wiem, ale mógłby odpowiedzieć specjalista od spraw autorskich, dr Lesman. Jego zapytaj; on to będzie wiedział; on wie wszystko.

Gdzie indziej przypomina się Zegadłowiczowi „asocjacyjne" zdanie znakomitego malarza niemieckiego Liebermanna: „nie jest rzeczą niemoralną malowanie prostytutki, jest natomiast wysoce niemoralną rzeczą malowanie źle prostytutki".

Ale oto zaczyna się coś dziać:

II Oddział posiadł ostatnio pokaźny zbiór moich listów; przeszło sto — pisze słoń z Gorzenia... Oto jak rośnie popularność i sława... Zapobiegliwym zbieraczom ponoć bardzo przykro, że obok moich autografów, stwierdzających zresztą niezbicie mój negatywny stosunek do głupoty, draństwa, mendalności... nie znalazły się autografy Stalina czy choćby krajana Radka, których to znacznych mężów jestem złym duchem i doradcą — które to czynności wykonuję za pokaźną ilość złota w sztabach, kulach i bryłach. Niestety na razie kontentuję się zatruwaniem „dusz" i zamiast złota wystarcza mi pozłota zbierana (jak śmietanka) z głów wysoko postawionych...

Podobne wypowiedzi mają zresztą znacznie poważniejszy podkład. Bo oto znajdujemy w następnym liście zdania:

Samotność w koło nas coraz większa.
Ciemna noc zapada nad Europą.
Ciężar obskurnej głupoty przesuwa się z wszystkich lądów i mórz nad tę biedną Europę.

A oto zdanie tłumaczące okresową zwłokę w korespondencji:

...zaszła tego rodzaju okoliczność, że autorka *Oblicza dnia* i *Ojczyzny* musiała zmienić miejsce pobytu dla zdrowia. Teraz po jej wyjeździe nie mogę się pozbierać. Tyle było rozmów, wytrącających z równowagi... *

Prawdopodobnie więc gdzieś coś zaszło. Nie wiadomo, czy to po wyjeździe Wasilewskiej, czy w związku z tymi listami, zabranymi przez defensywę (o czym było wyżej). Coś zaszło, skoro Zegadłowicz prosi Ruzamskiego, ażeby pisał doń na obce adresy w Wadowicach.

* W. Wasilewska była w Gorzeniu w lutym 1937 r.

Dom w Gorzeniu inwigilowany; jest wesoło; zawsze się tu kupa złodziei włóczyła — to powinno teraz wobec takiej pilnej ochrony ustać.

Zegadłowicz traktuje przykrości inwigilacji na ogół z humorem. Kiedy indziej jednak, tknięty do żywego, napisze:

...na cały głos krzyczeć, napełniać uszy obywateli we dnie, niepokoić i po nocach straszyć: że stan obecny jest nie do wytrzymania, że żyjemy w załganiu, mącą się myśli, paczą i parszywieją charaktery... mówimy szeptem, we własnym domu lękamy się — podejrzewamy — węszymy donos... wtłoczono nas w resztki radości, uśmiechu i pogody... stajemy się z dnia na dzień społeczeństwem nędzarzy i karawaniarzy... pod spodem, pod czaszką wre i kipi — lub jest bezmyślnie — dzisiejszość nasza: obłuda i głupota — ekranem: strach, ucisk, szalbierstwo...

Następne listy są bardzo lakoniczne i lapidarne. Możemy tu wyczytać zaledwie, że Ruzamskiemu „nalepiono na płocie afisz: dryblas z karabinem, i powyżej napis: 10 strzałów ku chwale ojczyzny". Niewiele trzeba, by chwalić ojczyznę!" — zauważa bardzo zgryźliwie.

Zegadłowicz również osłabł w pisaniu. Milczą obydwaj. I tak będzie aż do początków marca 1937. Wtedy to słoń z Gorzenia napisze (list z datą 7.III.):

...któryś już dzień z rzędu leżę w łóżku. I jakoś bym się pewnie podleczył, gdyby nie te psie denerwacje ciągłe. No to tam już chyba wiesz z gazet, że *„Dziennik Popularny"* zamknięto, a wraz z nim redaktorów i bliskich współpracowników. Akurat przeszłej niedzieli odwiedził mnie Kubicki, a już go w środę capnięto; okropność! — chorowity; latami niedożywiony, bez obiadów miesiącami łażący... Zejdziemy teraz na społeczność wychowywaną Ikacjuszem i *„Małym Dziennikiem"* — to znaczy zejdziemy na świnie i durniów.

Niebawem Ruzamski zda Zegadłowiczowi relację z tego, co dzieje się w Tarnobrzegu:

Wczoraj miałem nieoczekiwaną wizytę. Przyszedł policjant i powiada, że ma do mnie „państwowe polecenie z Warszawy" spisać protokół w sprawie *„Dziennika Popularnego"*. Imię, nazwisko, rok i dzień urodzenia, imiona ojca, matki. Odcisk wielkiego palca. „Co łączyło pana z redakcją *«Dziennika Popularnego»*?" — „Prenumerata." — „A dlaczego pan to pismo prenumerował?" — „Bo chciałem wiedzieć, co się dzieje w świecie i w Polsce..." Ciężko mu szło. Zapisał i poszedł.

Tyle Ruzamski. Zegadłowicz otrzyma niebawem z prokuratury warszawskiej odpis aktu oskarżenia. Oskarżono go o usiłowanie zmiany przemocą ustroju państwa polskiego poprzez redagowanie i wydawanie *„Dziennika Popularnego"*, ze szczególnym uwzględnieniem powieści pt. *Egzystencje* (dalszy ciąg tej powieści — rękopis, zabrany przez prokuraturę z redakcji w Warszawie — przepadł).

Reszta listów z tego okresu jest więc i musi być bardzo ostrożna. Dopiero po upływie kilku tygodni korespondencja ich dwu będzie znowu zaczepna i prawdomówna. Znowu piszą obydwa słonie o malarstwie i literaturze.

Ruzamski:

> Miłość Matejki stworzyła jego pracowitość; pomyśl tylko, co by to była za potworność ta pracowitość bez miłości!

Zabawny portret Alfonsa Karpińskiego. Ruzamski przedstawia go Zegadłowiczowi w sposób następujący:

> Włóż na twarz Brunona Winawera maskę Frycza, posyp trochę Fałatem, a otrzymasz Karpińskiego.

Przy okazji można się dowiedzieć, że słoń tarnobrzeski bardzo pilnie koresponduje z wieloma ludźmi, skoro zauważa: „dostałem za pół roku 120 listów". (Tu mamy więc rozwiązanie zagadki: skąd on, siedzący na skraju świata, w małym, zapomnianym miasteczku — tak dobrze wie o tym, co dzieje się w Polsce i w Warszawie...)

Na fali korespondencyjnej, w ramach tych 120 listów, rozkwita m. in. przyjaźń Ruzamskiego z... Tuwimem. Tuwim posyła mu *Biblię cygańską*, a w zamian otrzymuje akwarele. W tym celu udał się do zamieszkującego w Warszawie brata Ruzamskiego. Brat pisze (Ruzamski powtarza jego zdanie): „b. sympatyczny i inteligentny" (sic!).

Znowu Treter... który „toczy w *„Wiadomościach Literackich"* walkę o światło z Rembrandtem (skromne sformułowanie Tretera!)".

Powtarzają się w listach Ruzamskiego uwagi o Boucherze i Fragonardzie, o Ropsie, Boecklinie, Tadeuszu i Witoldzie Pruszkowskich, o Lentzu („któż był jego ojcem, jak nie Hals?").

Słoń tarnobrzeski posyła słoniowi z Gorzenia parę fraszek. Wśród nich znajdują się pisane „lo śpasu" *:

ZWIERZAKI

1. Czapla
   dawniej za swe pióro z głowy
   dochód miała wcale zdrowy.
   By to pióro było zbyte,
   Musiała odwalić kitę.
   Dochód z pióra jak poecie
   płatny był na tamtym świecie.
2. Zając
   gdy śrutem dostanie, zajęczy.
   Drgając machnie koziołka
   i nie wstanie więcej.

---

* lo śpasu — dla dowcipu. Tuwim umieścił niektóre fraszki Ruzamskiego w *Czterech wiekach*.

I myśliwy, gdyby dostał śrutem,
Byłby nieżywy.
3. Ku grdyce na łapkach, napięta jak struna,
rzuca się i wysysa krew z gardziołka Kuna.
Krwią i duszeniem żyje, bo mięsa nie strawi.
— Ale za to Mickiewiczowi pomniczek postawi.

(Ostatnia fraszka — w związku z powierzeniem rzeźbiarzowi Kunie wykonania projektu pomnika Mickiewicza w Wilnie.)

Frywolny słoń z Tarnobrzega pisze również o obyczajach moralnych w swoim miasteczku:

Gdy się kobieta z swym kochankiem puszcza,
nie potrzebna kobiecie pustynia ni puszcza.

(W rzeczywistości zamiast kobieta mamy w oryginale słowo oznaczające zawód, jak np. aptekarzowa, doktorowa czy sędzina. Właściwego słowa sprawozdawca nie powtarza, by nikogo nie urazić.)

Trzymają się też Ruzamskiego kalambury takie, jak:

By ścian mu mchem utkanych deszcz wodą nie zalał,
gospodarz oszalował dom, wdział szal i oszalał.

W pewnym liście Ruzamski bierze swojego, rzekomo bardziej pryncypialnego, przyjaciela „na fundusz". Posyła mu zagadkę:

Był młody, trwał przy wierze swoich ojców, zachowywał ich zwyczaje, miał poszanowanie dla tradycji i nie chciał słyszeć o narzuconych mu nowinkach... Za przywiązanie do ojczystych obyczajów poniósł męczeńską śmierć... Kto to taki?

Zegadłowicz odpowiada: „Chyba bohater".

Ruzamski pisze: „Nie, bo to Papuas rozstrzelany za ludożerstwo..."

Wspominają o książkach a raczej reportażach Ksawerego Pruszyńskiego, o *Śmierci na kredyt* Céline'a (Ruzamski negatywnie, Zegadłowicz z aplauzem). Pisze Ruzamski o książce Carrela *Człowiek istota nieznana:* „kuń się uśmiał, a czytelnik dał się złapać na tytuł".

Co do Freuda, którym zachwyca się Zegadłowicz — Ruzamski uważa, że jest we Freudzie „tyle prawdy, ile prawdy tkwiło w środowisku wiedeńskich burżujów, stanowiących jego klientelę...".

Smutkiem tchną załączone przy listach obydwu słoni dwa utwory poetyckie: pierwszy napisany przez Ruzamskiego na wiadomość, że zmarł Leon Wyczółkowski — przyjaciel przyjaciół — i drugi utwór, napisany przez Zegadłowicza, opiewający odejście malarza Ludwika Misky'ego*. Był on bardzo ceniony i przez Ruzamskiego, i przez Zegadłowicza. W Gorzeniu znajdowało się wiele jego

* Obrazy Misky'ego są obecnie w Sukiennicach (Muz. Narodowe).

obrazów; przyjaźnił się z poetą od lat dziecinnych i często go odwiedzał. Upodobał sobie szczególnie wspomniany w wierszu zakątek parku, zwany „jasną polaną".

Ruzamski:

PAMIĘCI LEONA WYCZÓŁKOWSKIEGO

Padł dąb, ale światu widoczna korona
zielonych, mięsistych liści.
Dzieło żywioła się ziści,
gdy praca ducha skończona.
Z zielonych tworzą się złote,
z dębiny wawrzyn wyrasta.
Ogniwa wykute młotem
zawiodły Cię prosto ad astra.

Zegadłowicz:

NA ŚMIERĆ PRZYJACIELA

Za Twoją „jasną polaną"
zachodzi słońce czerwono —
za łąką ledwie wiośnianą
świerki jak świece płoną —

Tak bardzo kochałeś barwy,
malarskim chwaliłeś je głosem—
— wiosną pierwiosnków Ci narwę
i na Twój grób zaniosę —

Piszę to w tym pokoju,
gdzieś bywał tyle razy —
— w ciężkim poczęte znoju
przetrwały Cię Twoje obrazy —

W sad patrzę — widzę Cię wszędzie —
chłopcami biegaliśmy po nim —
— dziś wiem, że „było" czy „będzie"
jednako w czasie się trwoni —

O, jakże uwierzyć trudno,
że czarna noc Cię zasłania —
— i coraz bardziej bezludno
w wieczystym kręgu mijania.

Oddajmy jeszcze głos przed końcem tej relacji Zegadłowiczowi. Tym razem słoń z Gorzenia wypowiada się przy jakiejś okazji na temat historii w ogóle, a historii literatury w szczególności:

Całą historię Polski trzeba od nowa napisać — po pierwsze od myśli, tworzywa i twórczości, po drugie od nędzy, od chłopa, od pańszczyzny, po trzecie od głupoty, psich figlów i nonsensów szlachty, bęcwałów, królów, wodzów, czyli jeden procent istotnych dziejów, a w tym jednym procencie jest znów jeden tylko procent prawdy — czyli w sumie jeden promil! — To samo zresztą odnosi się do historii literatury — cóż za obskurantyzm, arogancja i dowolność panów historyków! — to małe, nic przecież w dziejach rozwoju ludzkości nie znaczące piśmiennictwo tzw. staropolskie — rozdmuchuje się do jakichś wartości czcigodnych; no — kształtowało język — to cała (niemała zresztą) wartość. Właściwa literatura nasza, choć niestety bez zasięgu, rozpoczyna się w pierwszej połowie ubiegłego wieku, rozległa i górna, lecz zapaćkana nieznośnie troskami patriotycznymi; i tak aż po dziś dzień; spójrzmy tylko we współczesną literaturę oficjalną; dzisiejsze jej pseudoaktualne rozgrywki staromieszczańskie (oficjalne) z neomieszczańskimi (awangarda) psu na budę zdatne; rację miał tylko ten, który rzekł, że „okoliczności, które by mogły podnieść poziom współczesnej poezji polskiej, przewidziane są w całości w kodeksie karnym".

Na tle... pojmowania dziejów ludzkich dochodzi między obydwu słoniami do jakiegoś bliżej nieokreślonego, z braku odnośnych listów, sporu. Świadczy o sporze ton wypowiedzi Ruzamskiego:

Czy będziesz zarzucał Sokratesowi, że godził się z niewolnictwem? Szekspirowi, że nie był socjalistą? A Homerowi, że nie wprowadził Ligi Narodów do wojny trojańskiej?... Czy prawda w ich dziełach ma być przeznaczona na szmelc? Dlatego, że ktoś powłoki czasu nie umie z nich zdjąć?... Nie mam zmartwienia o złą sztukę i nie znam złej sztuki. Znam tylko lichą, która sztuką nie jest...

Poucza m. in. Ruzamski Zegadłowicza o pewnej bardzo ważnej sprawie, której tamten nie widzi:

W ciemnicy ślepiec i doskonale widzący jednako nie widzą, lecz ślepiec zorientuje się szybciej.

Jest w tym optymizm Ruzamskiego; wiara w prostych ludzi, której widocznie w jakimś paplaniu (znowu brak podstawowego listu) Zegadłowiczowi nie starczyło; jest w tym — jakbyśmy dziś powiedzieli — wiara w instynkt klasowy proletariatu!

Bardzo ciekawe swoją drogą są te dialektyczne, raz za razem wyłażące na wierzch, choć poplątane i pomotane, myśli obydwu słoni. Widać, że klucząc, czasem jednak sami z siebie do czegoś dochodzą.

I wreszcie na zakończenie dwie wypowiedzi:

Ruzamski:

Chyba ani jedna sylaba z tych listów nie zostanie... Za lat 100.000, kiedy Fidiasz i Szukalski będą uchodzić za współczesnych sobie dwu najstarożyt-

niejszych — na ślad istnienia Ruzamskiego nawet najznakomitsi archeologowie nie będą w stanie natrafić...*

Zegadłowicz:

Przewieją przez Europę wojny i rewolucje — ludzkość zacznie o sobie myśleć nie w granicach, ekskluzywnościach narodowych, pułapkach, wilczych dołach, gazach i tankach — wyzbędzie się strachu (wyznaniowego, militarystycznego, strachu przed bliźnim) — wtedy może i nasze myśli będą zrozumiałe, będą pospólną zrozumiałością.

Tyle o „otrąbianiu się dwu słoni samotników w dżungli lat 1935—1938..."

Żałować należy, że nie wszystkie echa tego pasjonującego otrąbiania się przetrwały. Ale to, co jest, starczy. W tym, co jest, mamy przecież zwierciadło tamtego czasu. Portret wspólny dwu sympatyków, jeśli nie działaczy Frontu Ludowego. Bardzo to charakterystyczna historia: radykalizowanie się ówczesnej inteligencji.

I jeszcze jedna uwaga: zważmy, ile tu nazwisk i zainteresowań kulturalnych. Wcale nie jest przypadkiem, że właśnie tacy ludzie, właśnie ludzie z wyżyn kultury polskiej, znaleźli swoje miejsce po tej stronie, której przewodziła KPP. Wszak komuniści są nie tylko kontynuatorami, ale i spadkobiercami najlepszych tradycji kulturalnych. Tkwią te tradycje w wypowiedziach, które przytoczyliśmy, w listach Ruzamskiego i Zegadłowicza — i to ich właśnie zbliżyło, to ich „włączyło" w nurt „F.L." (posługiwali się raz po raz tym symbolem)...

* Ruzamski zginął w obozie koncentracyjnym Belsen-Bergen 8. V. 1945 r.

Andrzej Piwowarczyk

Zdzisław Najder

POLSKIE LATA CONRADA*

Apollo (herbu Nałęcz, co lubił dodawać) Korzeniowski był postacią bardzo charakterystyczną. Życiowo nieporadny poeta, żywiołowy demokrata i szyderczy romantyk w jednej osobie — reprezentował zarówno tradycyjne cechy swego zawodu, jak wyraziste rysy epoki. Naśladowca Krasińskiego i zarazem autor płomiennych wierszy o buncie chłopskim na Ukrainie! Wielką plastyczność swej postaci wyczuł doskonale, umieszczając autoportret w *Komedii* — dramacie, który wywołał wiele zgorszenia ostrością antyarystokratycznej satyry.

Urodził się 21 lutego 1820 roku we wsi Honoratce, guberni kijowskiej, w średniozamożnej rodzinie ziemiańskiej. Ojciec jego, Teodor, był dzielnym żołnierzem (służył w armii Księstwa Warszawskiego w latach 1807—1812 i brał udział w powstaniu 1830 r.), odznaczonym dwoma krzyżami i stopniem kapitana. Tadeusz Bobrowski określa Teodora Korzeniowskiego jako poczciwca i łgarza, zarazem dobrego i pracowitego rolnika — i nieobliczalnego fantastę. Skłonność do poddawania się iluzjom sprawiała, że mimo pilnego gospodarowania raczej umniejszał niż pomnażał majątek.

Apollo miał dwóch braci. Niewiele o nich wiemy; z uwag Bobrowskiego wynika, że obaj, przy niewątpliwych zdolnościach, mieli nieszczęście odziedziczyć po ojcu lekkomyślność i inklinację do rojeń. Starszy, Robert, był ponoć nawet karciarzem i pijakiem — zginął w powstaniu 1863 r. Młodszy, Hilary, w tymże roku, tuż przed wybuchem, został aresztowany i wywieziony na zesłanie do Tomska, gdzie w r. 1843 zmarł. Wiemy skądinąd, że parał się poezją i czynił zabiegi około utworzenia szkoły rolniczo-technicznej pod Żytomierzem.

Kształcił się Apollo kolejno w Kamieńcu, Niemirowie i Winnicy, by wreszcie ukończyć gimnazjum żytomierskie. Bliski jego przyjaciel i biograf, Stefan Buszczyński, pisze: „Bujny umysł młodzieńca, gorąca dusza i niepodległy charakter o ile zjednywały mu serca towarzyszów, o tyle przyczyniły się do kilkakrotnej przemiany szkół. Moskiewskie władze szkolne prześladowały go zawsze za wolnomyślność".

W roku 1840 wyjechał do Petersburga i tam studiował rok orientalistykę, a pięć lat prawo i literaturę. Czy i co ostatecznie skończył — nie wiadomo.

---

* Pierwszy rozdział biografii. Oparty jest głównie na nie ogłoszonych materiałach archiwalnych (większość przypisów opuszczono).

Zdobył w każdym razie znaczne oczytanie i kulturę artystyczną, spotęgował wykazywane od najmłodszych lat zamiłowanie do literatury.

W roku 1847 powrócił do administrowanej przez ojca Korytny i poświęcił się pracy literackiej, a po trosze gospodarce i — konkurom. Wkrótce bowiem po przybyciu z Petersburga poznał Apollo szesnastoletnią Ewę Bobrowską, siostrę dawnego swego znajomego, Tadeusza. Panna znana już była z urody i poeta zakochał się z miejsca.

Tadeusz Bobrowski, wybitnie zdolny prawnik i, jak się wówczas mawiało, statysta, znakomity pamiętnikarz, zwykł był zawsze przeciwstawiać rozważnych i solidnych Bobrowskich lekkomyślnym i marnotrawnym Nałęczom. W istocie, atmosfera obu rodzin była zupełnie odmienna, ale różnice nie wyczerpywały się na skłonnościach psychicznych. Teodorowi Korzeniowskiemu skonfiskowano majątek za udział w powstaniu 1830 roku. Ojciec rodzeństwa Bobrowskich (było ich sześcioro, obok Ewy i Tadeusza — Stanisław, Kazimierz, Stefan i Teofila) nazywał powstanie „szczytnym szaleństwem", nie stronił też od protekcji kuzynów Poradowskich, generałów rosyjskich, z których jeden brał również udział w wojnie 1830—31 — przy boku W. Ks. Konstantego. Praktyczny i „trzeźwy" stosunek do życia starał się wpoić w synów. Niezupełnie mu się to udało, ale przynajmniej Tadeusz wypadł całkiem chyba po myśli ojca. Inteligentny doktryner, polityk-„realista", co wówczas oznaczało ugodowca, zwolennik uwłaszczenia chłopów, ale ostrożnie dokonywanego, marzący o wielkiej karierze naukowo-urzędniczej w Rosji — oto jak nam się przedstawia na kartach wybornych *Pamiętników*.

Apolla Korzeniowskiego poznał już w żytomierskim gimnazjum, spotykał go w czasie studiów uniwersyteckich, ale, mimo że łączyła ich pewna zażyłość a Apollo uważał nawet Tadeusza za przyjaciela, ten ostatni z wyraźną rezerwą odnosił się do przyszłego szwagra. Razić go musiał praktyczny — to znaczy wcielany w życie — romantyzm Apolla, żywiołowy patriotyzm i demokratyzm.

Dodać trzeba od razu, że konformizm nie był w rodzinie Bobrowskich powszechny. Wprawdzie najstarszy z braci, Stanisław, był cenionym oficerem huzarów gwardii (i gdyby nie przedwczesna śmierć w roku 1859, doszedłby pewnie szybko generalskiej rangi), ale najmłodszy, Stefan, reprezentował wręcz przeciwną linię polityczną. W roku 1857 miał jednak dopiero siedem lat. Patriotkami były także niewątpliwie i żona Józefa. Teofila z Biberstein-Pilichowskich, i sama Ewa, od początku sprzyjająca Apollowi.

Duch antyromantyczny i politycznie „realny" był mimo to w rodzinie Bobrowskich urzędowy — i konkury Korzeniowskiego nie miały powodzenia. Przyczyną nie była zapewne nierówność majątków — bo ta nie zaznaczyła się zbyt wyraźnie w owych latach; później dopiero niepewna gospodarka kapitana Teodora i hulanki Roberta Korzeniowskiego nadszarpnęły mocno fortunkę. Apollo był jednak politycznie niepewny — i nie zapowiadał się na dorobkiewicza — a pomnażanie majątku było pasją Józefa Bobrowskiego. Woził więc ojciec Ewy nieszczęsnego adoratora po okolicznych dworach, by go gdzieś wyswatać, ale, jak z przekąśliwym żalem pisze Tadeusz Bobrowski, „on się zawsze tak sprytnie urządzał, że albo pannie, albo rodzicom potrafił się nie podobać."

Zachodziła zresztą jedna jeszcze, przez tradycję literacką z dawna uświęcona

przyczyna niechęci Bobrowskich do starań Apolla: był on poetą. „Niby u ojca swego gospodarując, więcej czytał, pisał i jeździł niż pracował."

Wiersze pisał już zdaje się na ławie szkolnej, debiutował w druku w „*Roczniku Literackim*" Romualda Podbereskiego w roku 1844, ale szerzej rozwinął skrzydła dopiero po powrocie z Petersburga. Miłość i Wiosna Ludów (a potem jej upadek) były zapewne najsilniejszymi pobudkami twórczymi, ponieważ najliczniejsze — przeważnie nie drukowane i krążące w odpisach — utwory są treści patriotyczno-religijnej (jak u Krasińskiego splatają się u niego te sfery) albo miłosnej, o nastroju elegijnym. Tłumaczy też ulubionego Wiktora Hugo, między innymi *Hernaniego*.[1]

Czy i druga część zdania Bobrowskiego, zarzucająca Apollowi nieróbstwo, jest równie słuszna jak oskarżenie o podejrzaną czynność pisania wierszy — trudno stwierdzić. Więcej wiemy o życiu towarzyskim poety: sporo bywał w sąsiedztwie — między innymi właśnie wożony w przymusowe zaloty przez chytrego Bobrowskiego; był ozdobą i zarazem postrachem salonów. „Miał na wsi ustaloną reputację bardzo brzydkiego i niezmiernie złośliwego. Rzeczywiście piękny nie był, ba, nawet przystojny, ale miał bardzo miły wyraz oczu, a złośliwość jego była tylko słowna i salonowa, bo ani w uczuciach, ani w czynach nigdy jej nie dostrzegłem" (Bobrowski). Pełen kurtuazji dla kobiet, skłonny do wzruszeń i uniesień, był jednocześnie wcieleniem sarkazmu wobec pysznych i bogaczy. Jeśli nawet prawdą byłoby, że jego złośliwość miała źródło w typowo szlacheckich fumach (jak chce Bobrowski), to nawet uszczypliwy szwagier musiał przyznać, że obiekty szyderstwa były dobrze wybrane.

Właściwe stanowisko polityczno-społeczne Apolla ujawniło się podczas wojny krymskiej. Wśród bardziej bojowego odłamu szlachty polskiej na Wołyniu powstał wówczas projekt zorganizowania akcji powstańczej, współdziałającej z wojskami sprzymierzonych na Krymie. Powstańcy mieli odciąć armię rosyjską od rezerw krajowych. Wydelegowano nawet do Paryża specjalnego wysłannika, Ryszarda Bielickiego, który miał porozumieć się z rządem francuskim. Wobec niechętnego stanowiska Anglii i Francji projekt upadł.

Apollo Korzeniowski był jednym z najgorliwszych zwolenników powstania, a co ciekawsze, pragnął oprzeć je na rewolucyjnym ruchu ludowym. Widać to wyraźnie w najlepszym jego utworze z tych lat pt. *Przedgrom:*

Macie wszystko!... Wolę bożą.
długie krzywdy do pomszczenia
i dług L u d u do spłacenia!...

Z słońcem, bracia! Z słońcem! Z zorzą!
Z L u d e m, w L u d z i e wasza siła!...
Z L u d e m, w L u d z i e zbawień słowo!
P o l s k a winna być L u d o w ą,
by na wieki wieków żyła!

Miał zresztą wkrótce okazję do zamanifestowania swoich poglądów. Na wiosnę roku 1855 wybuchł w powiecie skwirskim na Ukrainie bunt chłopski, skierowany przeciw władzom rządowym. Jak notuje w pamiętnikach sam Korzeniowski, chłopi wzywali nawet na pomoc szlachtę polską w celu zorganizowa-

nia i dowodzenia ruchem: „My ręce mamy, głowy tylko nie mamy. Ej! panowie, dajcie nam głowę!“ Apollo pospieszył na miejsce buntu, ale było już za późno. Przerażone ziemiaństwo polskie schroniło się po miastach, szukając pomocy u władz rosyjskich, zaś wezwane wojsko przy użyciu dział z łatwością rozbiło bezbronne i bezładne masy. Wypadki te — które stały się m. in. treścią ciekawej powieści T. T. Jeża *Hryhor Serdeczny* — wstrząsnęły poetą. Rzucił wówczas na papier strofy o wyjątkowej jak na siebie mocy i o wyjątkowym radykalizmie:

W Ukrainie jęczą spiże,
A niewiasty całe w kirze.
Górą pany — donosczyki!
Lud im dany znów w jasyrze
Do pańszczyzny, do fabryki!
Powstanie ludu czyste i godne
Rozkrzyżowuje plemię wyrodne.
Car, jako szatan, się śmieje,
Przygotowane już mary...

Klęska politycznych i społecznych nadziei poety zbiegła się z sukcesem życiowym: 28 kwietnia 1856 roku odbył się w Oratowie ślub Apolla z Ewą Bobrowską. Główny przeciwnik tego małżeństwa, Józef Bobrowski, zmarł już w r. 1850. Głową rodziny stał się Tadeusz. Pod wpływem próśb i perswazji Ewy, przymuszony jej uporem a wdzięczny za pomoc we własnych zabiegach matrymonialnych, wyraził wreszcie zgodę na ślub.

Oczywiście nie obyło się bez komplikacji: stryja panny młodej z trudem namówiono do wzięcia udziału w uroczystości, ciotka nie przybyła w ogóle. Podczas ceremonii doszło do zatargu pomiędzy panem młodym a proboszczem na temat brzmienia imienia Apollo (ksiądz nazywał go Apollinem). Poeta cenił widać wysoko boski patronat władcy muz.

Pierwszy rok po ślubie spędzili Korzeniowscy w Łuczyńcu, dzierżawionym przez Apolla od r. 1852 majątku Melanii Sobańskiej. W Łuczyńcu powstała *Komedia,* sygnowana — jak wiele utworów z tego okresu — „pisałem w Nieruszku“. Nieruszek ów — to lasek, należący do sąsiada i dozgonnego przyjaciela poety, Buszczyńskiego. W roku 1857, po odebraniu posagu Ewy (który wyniósł 9000 rubli srebrem) Apollo objął w dzierżawę wieś Derebczynkę w powiecie mohylowskim.

Dnia 3 grudnia 1857 roku urodził się Korzeniowskim w Berdyczowie synjedynak, ochrzczony imionami Józef Teodor Konrad.[2] Dobór imion szczególny, choć oparty na prostej zasadzie: naprzód imiona dziadków, następnie (jako główne, jak z aktu chrztu wynika) imię Mickiewiczowskiego bohatera. Trzy tradycje obejmowały patronat nad dzieckiem: dwie rodzinne, tak różne i tak polskie w swej odmienności, i tradycja wielkiej poezji romantycznej.

Tę też tradycję przywołał Apollo Korzeniowski w wierszu *Synowi urodzonemu w 85 roku niewoli moskiewskiej, piosenka w dzień chrztu Św.* Nie o rodzinnym cieple tu mowa, ale o okrucieństwie niewoli, nie o szczęściu, a o cierpieniu, nie o spokojnej pracy i nauce — ale o nieugiętej walce i wierności.

Dziecię — synu, śpij spokojny.
Tyś pod obcych duchów cieniem.
Dwoje serc tylko twym mieniem.
Jeno krzyżem jesteś zbrojny.
Ale skarby te nie giną.
Świat — rdza krzyża nie roztoczy,
Serca wierne. — Zamknij oczy.
Luli, synu mój, dziecino!
. . . . . .
Dziecię — synu, gdy wróg przyzna,
Żeś ty szlachcic i chrześćjanin,
Powiedz sobie, żeś poganin.
A szlachectwo twe — zgnilizna.
Gdy łask wroga złotą śliną
Ja się skalam wobec świata,
Zrzecz się ojca renegata...
Luli, synu mój, dziecino!

Dziecię — synu, powiedz sobie:
Żeś bez ziemi, bez miłości,
Bez Ojczyzny, bez ludzkości,
Póki Polska-Matka w grobie...

Prace literackie i namiętności polityczne nie sprzyjały gospodarowaniu. Utopiwszy w dzierżawie całą gotowiznę przenieśli się Korzeniowscy z początkiem roku 1859 do Żytomierza. Tutaj Apollo nie tylko sporo pisze i tłumaczy, ale bierze czynny udział w życiu kulturalnym i politycznym stolicy Wołynia. Jest między innymi współdyrektorem tamtejszego teatru (wraz z J. I. Kraszewskim) oraz sekretarzem krótkotrwałej zresztą spółki wydawniczej, powstałej z inicjatywy Aleksandra Grozy. Jego komedia *Dla miłego grosza* wystawiana jest z sukcesem na scenach żytomierskiej, wileńskiej i kijowskiej. Ale polityka bierze szybko górę nad poezją. Kraj rozbrzmiewa już echem manifestacji warszawskich: listopadowej 1860 r. (której Apollo poświęcił wiersz) i kwietniowej 1861 r., a później słynnego pogrzebu pięciu poległych. Jednym z przywódców ruchu niepodległościowego staje się genialnie zdolny Stefan Bobrowski, najmłodszy z braci Ewy.

W maju Apollo przenosi się do Warszawy — oficjalnie po to, by założyć tu dwutygodnik, wzorowany na paryskim „*Revue des Deux Mondes*". W istocie zaś pilnie współdziała piórem przy przygotowaniu powstania, wydaje broszury agitacyjne, wyrażające poglądy obozu Czerwonych, wreszcie — jest założycielem Komitetu Miejskiego, który stał się później Centralnym. Słowem — toruje drogi przyszłemu Rządowi Narodowemu.

Tymczasem mały Konrad wraz z matką bawi w Terechowej, majątku prababki Pilichowskiej. Co dni parę pisze Ewa listy do męża — nie wiedząc, że jej dokładne informacje o prześladowaniach rosyjskich i nastrojach na Wołyniu posłużą za materiał obciążający w przyszłym procesie Apolla. Liczne są w tej korespondencji wzmianki o Konradzie: „Konradek grzeczny: dziwnie mu Pan Bóg jednać sobie serca daje. (...) O Tobie co dzień wspomina, prosi, że-

byśmy do Ciebie jechali" (30 maja). „Konrad nam wyrasta ślicznie. Serce ma złote, a z sumieniem i umysłem łatwo będzie, gdy mu takie pole przygotujesz" (17 lipca) „...doprawdy nie ma pióra, aby określić i pochwycić mogło wszystkie odcienia dobroci serca tego dziecka." I wreszcie fragment, brzmiący dziś jak proroctwo: „Przeczuwam, że Konradzio nasz drogi będzie niezwykłym człowiekiem serca" (20 lipca).

W listach Ewy jest również pierwszy „utwór" przyszłego wielkiego pisarza — list do ojca, pisany prowadzoną przez matkę rączką: „Tatunciu. Mnie tu dobrze, biegam po ogrodzie, ale nie lubię, że komary kąsają. Jak deszczyk przestanie padać, to ja do Tatunia przyjadę. Olutek mnie ślicznego batożka przysłał, pożycz mnie, Tatuniu miły, grosz i kup co dla Olutka w Warszawie. Czy Ty był u tej Basi, co Babunia? Konrad."

W początkach października Korzeniowska z synem przeniosła się również do Warszawy. 17 tegoż miesiąca powstał wspomniany już Komitet Miejski, a zaledwie cztery dni później Apollo znalazł się za murami X Pawilonu warszawskiej Cytadeli. Po siedmiomiesięcznym więzieniu, w czasie którego chorował na reumatyzm i szkorbut, skazano go wraz z żoną na zesłanie do Permu. Syn pojechał z rodzicami. [3]

Gubernatorem permskim był szkolny kolega Korzeniowskiego, gen. Łaszkariew. Dowiedziawszy się o wyroku, zwrócił się do władz wyższych o skierowanie skazańca gdzie indziej. Z Niżnego Nowgorodu cofnięto więc Korzeniowskiego do głośnej z niezdrowego klimatu Wołogdy. Warunki podróży, odbywanej pod eskortą, były ciężkie i tylko spotykanym dość często oficerom — znajomym Stanisława Bobrowskiego — zawdzięczali zesłańcy pewne drobne udogodnienia. Po przybyciu na miejsce (16 czerwca 1862 r.) pisał Apollo do kuzynów: „W Białokamiennej malec dostaje zapalenia płuc; lekarz ostawia go pijawkami i kalomelem karmi — dobrze. Ale wtem konie zaprzęgają. Naturalnie ja sprzeciwiam się jechać, zwłaszcza że doktor wyraźnie objawia, iż w takim razie dziecko umrzeć może. Bierny mój opór zwleka podróż, ale doprowadza mego opiekuna do udania się do wyroczni miejscowych. Wyrocznia cywilizowana, wysłuchawszy raportu, objawia, aby zaraz jechać, gdyż dzieci na to się rodzą, aby umierać *(sic)*. (...) W Niżnym grodzie Ewusia zachorowała. Jak zaczął chodzić telegraf, czy można ją kurować, czy nie można, przeszło dni parę i choć nie pozwolono kurować, ale z tego powodu dowiedzieliśmy się o zmianie celu podróży."

Białorusin Chomiński, gubernator Wołogdy, starał się nie utrudniać życia zesłanym (przebywało tam już dwudziestu paru Polaków). Klimat wszakże był fatalny: „Wołogda jest to wielkie, trzywiorstowe błoto, na którym w równoległych i krzyżujących się liniach rzucone są kładki z drzewa; wszystkie zgniłe, chwiejące się pod nogami; jest to jedyny środek komunikacji tuziemców. (...) Klimat dzieli się na dwie pory roku: białą zimę i zieloną zimę. Biała zima trwa dziewięć i pół miesięcy, zielona dwa i pół. Jesteśmy na początku zielonej zimy; deszcz już pada 21 dni ciągle i tak do końca będzie."

Z okresu pobytu Korzeniowskich w Wołogdzie pozostała osobliwa pamiątka: fotografia małego Konradka, dedykowana babci (Teofili Bobrowskiej) słowami: „Mojej kochanej Babuni, która pomagała mi posyłać ciasto biednemu Tatusiowi w więzieniu — Polak, katolik, szlachcic, Konrad".

Zimno, choroby i nostalgia za krajem nękały wygnańców. Pierwsze wieści

o wybuchu i niepowodzeniach powstania, o śmierci Stefana Bobrowskiego, przygnębiły ich jeszcze bardziej. Szczęśliwie dzięki staraniom gubernatora wołogodzkiego i pułkownika żandarmów Zorina (jeszcze jednego kolegi Stanisława Bobrowskiego) uzyskali Korzeniowscy w lecie 1863 roku pozwolenie na wyjazd i osiedlenie się w Czernihowie, a więc i bliżej stron rodzinnych, i znacznie bardziej na południe. Ewie z synem udzielono nawet trzymiesięcznego „urlopu" dla odwiedzenia rodziny w Kazimierówce, majątku Tadeusza Bobrowskiego.

Tadeusz cieszył się pewnymi względami u pułkownika kijowskiej żandarmerii, Iwensena, i nie podejrzewano go nawet o sprzyjanie powstańcom (co sam w pamiętnikach nie bez satysfakcji zaznacza). Pomimo to po upływie owych trzech miesięcy chorej właśnie Ewie Korzeniowskiej nakazał generał-gubernator kijowski, Bezak, natychmiast jechać do Czernihowa, grożąc umieszczeniem w szpitalu więziennym, jeśli będzie się zastawiała chorobą. Tylko dzięki uprzejmości miejscowego sprawnika groźba nie została wykonana i matka Konrada powróciła sama do Czernihowa.

„W owym czasie — pisze Conrad w książce *Ze wspomnień* — nie rozumiałem tragizmu tego wszystkiego, choć pamiętam, że doktorzy także nas odwiedzali. (...) Dla mnie owe czasy wydają się najszczęliwszym okresem życia. Była tam moja kuzynka, rozkoszne, żywe dziewczątko, o kilka miesięcy młodsze ode mnie; jej życie — nad którym czuwano z miłością jakby była księżniczką krwi — skończyło się z piętnastym jej rokiem. (...) Nad wszystkim wisiał gnębiący cień wielkiego rosyjskiego cesarstwa, cień mroczniejący jeszcze od świeżo powstałej nienawiści do Polaków, wyhodowanej przez moskiewską szkołę dziennikarzy po nieszczęsnym powstaniu 1863 roku."

Przypominał sobie także chwilę odjazdu, rozdzierająco smutną scenę rozstania, pożegnanie matki z domem rodzinnym, do którego nie miała już powrócić.

Apollo tłumaczył tymczasem w Czernihowie Wiktora Hugo *(Pracowników morza)*, Dickensa *(Ciężkie czasy)* i Szekspira *(Komedię omyłek)*. Pisał także pamiętnik pod tytułem *Polska i Moskwa*, przesycony nienawiścią do państwa rosyjskiego. Dowodził tam, że dzieje ludzkości są historią walki barbarzyństwa z cywilizacją, zaś carstwo rosyjskie jest aktualnym ucieleśnieniem barbarzyństwa.

Po powrocie na miejsce wygnania stan zdrowia Ewy pogorszył się znacznie. Gasła powoli na gruźlicę, pozbawiona opieki lekarskiej, w niesprzyjającym klimacie, wśród udręk psychicznych, płynących z wieści o klęsce powstania. 26 lutego 1865 r. pisał Apollo do Warszawy, do Kazimierza Kaszewskiego: „Moja biedna żona, od paru lat zabijana tęsknotą i ciągle ponawiającymi się ciosami, co spadają na członków naszych powiązanych rodzin; od miesięcy czterech okrutnie — obłożnie chora — ledwo siły ma dość, by spojrzeć na mnie, by przemówić zapadłym głosem. Brak wszystkiego dla ciała i serca — brak lekarzy i środków zaradczych spowodowały stan ten. Dziś wolno (od dziś dopiero) przejechać jej na kurację do Kijowa. Ale siły nie pozwalają. (...) Od kilku miesięcy ja jestem wszystkim w domu — panem i usługą. (...) Konradek naturalnie zaniedbany; dziś — takie ciężkie, że chyba jutro straszniejszym być może."

„Jutro" okazało się straszniejsze. Stan Ewy, mimo opieki przywiezionego

przez brata z Żytomierza dr. Romanowskiego, był beznadziejny, występowały często krwotoki. Matka Konrada zmarła 18 kwietnia 1865 roku. „...poszła za miłością swoją i prawdą swoją aż do ostatniego tchu...“ (Żeromski).

Sprzeczne opinie pozostały po wszystkich członkach rodziny Conrada — z wyjątkiem matki. Wszyscy są zgodni w przyznawaniu jej cech osoby niezwykłej — i fakty potwierdzają ten sąd w pełni. Wieloletnia wierność ukochanemu (który sam tracił już nadzieję) i niezłomna decyzja dzielenia jego losu — świadczą o wielkiej sile charakteru. Listy do męża są wzruszającym dowodem miłości silnej i mądrej. Brat Tadeusz, który tak lubił wytykać wszystkim wady, o niej pisze: „Starsza siostra moja, pięknej powierzchowności, wielkoświatowego układu, wyższego nad pospolity ówczesnych kobiet naszych poziom wykształcenia, znakomitego polotu umysłu i serca. (...) Dopiero połączywszy się z ukochanym człowiekiem rozwinęła w dalszym życiu niepospolite zasady umysłu i uczuć, rozumu i serca. Wśród najnieprzyjemniejszych kolei życia osobistego, w którym wszelkie niepowodzenia narodowego i społecznego objawiły się, umiała ona zawsze stanąć i najsilniej utrzymać się na stanowisku obowiązków żony, matki i obywatelki, zjednać sobie szacunek i cześć swoich i obcych dzieląc wygnanie męża, i godnie reprezentować niewiastę polską“.

Apollo załamał się po stracie żony; żył już tylko myślami o synu i własnej śmierci. Sam był zresztą poważnie chory na płuca. Zdawał sobie sprawę, że nie uda mu się wychować Konradka („dorasta przy mnie, a dorośnie zapewne beze mnie“), i prosił Kaszewskiego o obietnicę, że po jego zgonie zajmie się chłopcem. Przyjaciel przyrzekł, i stale przesyłał książki do nauki, udzielał wskazówek pedagogicznych, dodawał otuchy.

Czego uczył się mały Conrad w Czernihowie? Trudno mówić o jakimś programie. Ani ojciec, ani syn nie byli do tego zdolni. Pogrążony w melancholii i religijnej rezygnacji Apollo nie mógł chyba być dobrym wykładowcą. W korespondencji z Kaszewskim słyszymy o „książkach klasycznych“, wiemy, że mając lat pięć poznał Konrad początki francuskiego, ale wiemy także, że gdy miał iść do szkoły wynikły poważne trudności, związane z brakiem w przygotowaniu. Pewne jest, że czytał bardzo wiele — i zaraz w pierwszych lekturach zetknął się z dwoma żywiołami, którym miał poświęcić dwa wielkie etapy swego życia. Szekspir był tym, który wprowadził go do literatury angielskiej — wielki stratfordczyk miał w nim do końca wdzięcznego ucznia i czytelnika. Entuzjazmował się też Konrad *Pracownikami morza* Wiktora Hugo — to znowu było pierwsze spotkanie ze sferą, której oddał najlepsze lata młodości.

Podstawą lektur była jednak polska poezja romantyczna. „Polskość wziąłem do dzieł swych przez Mickiewicza i Słowackiego. *Pana Tadeusza* ojciec czytał mi głośno i mnie czytać kazał głośno. Nie raz, nie dwa. Wolałem *Konrada Wallenroda, Grażynę*. Później wolałem Słowackiego. Wiecie dlaczego Słowackiego? *Il est l'âme de toute la Pologne, lui.*“

Szczególna atmosfera musiała panować w czernihowskim domu Korzeniowskich. Bardzo uczuciowa i bardzo nienormalna zarazem: mały Konradek dziwaczał i nawet ojcu nie trudno było to dostrzec. Pisał do Kaszewskiego: „zapadam ciężko na zdrowiu, a mój malec kochany mnie pilnuje — dwóch nas tylko na tej tutaj ziemi. — Za serce jego nie powstydzę się przed Tobą; ma zdolności Matki, ale głowę wcale nie do zazdrości — moją. (...) Żyję nadzieją, że mój Konrad rozzwierzy się u Twego boku i przy Twoim sercu“.

Wstrząsającym dokumentem owych dni jest noworoczny list Apolla do krewnych: „Jeżeli jest gdzie uśmiech u nas, niech wam zabłyśnie; niech łzy nie wypalają wam serc, lecz ulgą bolejącym duszom się staną. (...) Przebyłem te ciężkie, okropne dni najlepszych, najświętszych wspomnień, przeżyłem nie moją, lecz bożą siłą. (...) Patrzyłem bez przerwy na krzyż i tym krzepiłem omdlewającą duszę, mącące się myśli. Przeszły dni święte katuszy i wstałem do codziennego życia trochę więcej złamany, ale dyszący, żywy. A i sierota za połę mnie trzyma, uciec od troski o niego nie podobna. Toteż żyję, moi drodzy, i kocham, co mi pozostało do kochania, także silnie, jak dawniej, tylko że dawniej dla przedmiotów mej miłości mogłem coś dać, poświęcić, a dziś nic już nie mam. (...) Uczę go, co sam umiem — niestety, to niewiele, strzegę go od wpływów tutejszej atmosfery i malec wychowuje się, jak w celi klasztornej; grób naszej niezapomnianej zastępuje nam zakonnicze *memento mori*, a posty, włosiennice i smagania przychodzą ku nam z każdym listem od Wschodu i Zachodu, od Północy i Południa. Trzęsiemy się zimnem, mrzemy głodem, targamy się w nędzy bliźnich — braci, a modlitwa, Bóg widzi, ledwo parę słów o nas zawiera. Położenie miejsca mego pobytu jest jakby z jednej strony pod zaryglowanymi drzwiami, za którymi najdroższa istota kona, a my nawet śmiertelnego potu z jej czoła otrzeć nie możemy; z drugiej strony otwarte podwoje, w które wejść nie można, ale przez które patrzeć możemy na to, co Dante — nie opisał, bo w przerażonej we wszelkie grozy, ale chrześcijańskiej duszy nie mógł mieć widzeń nieludzkich. To nasze życie."

W maju 1866 roku Apollo, widząc zły stan zdrowia i ciągły smutek chłopca, oddaje go na lato babce do Kazimierówki. Na jesieni znów wraca Konrad do Czernihowa — ale na krótko, bo już w październiku zabiera go babka na kurację do Kijowa. „Samotny jestem — pisze Apollo 22 listopada do Kaszewskiego — Konradek z Babką, pierw na miesiąc do lekarzy kijowskich, z Kijowa zaś za radą tychże lekarzy do Wuja na wieś pojechał. Oba równie cierpimy: wyobraź sobie, że chłopak tak głupi, że tęskni za tą samotnością i sieroctwem, w których tylko mają chmurną twarz widzi, w których tylko żmuda nauki jest rozrywką jego 9 lat, tęskni do mnie z czystego wsi powietrza, śród zabaw z cioteczną rówieśną mu siostrzyczką, spod skrzydeł pieszczoty Babczynej od dogadzań Wuja, który całą miłość, jaką tchnął dla siostry, przeniósł na siostrzana. (...) A on tęskni — bo głupi i, boję się, głupim zostanie na całe życie."

Rok cały przebywa Konrad na zmianę to w Kijowie, to w Kazimierówce, lecząc kamicę nerkową. W lecie 1866 po raz pierwszy widzi morze — wuj Tadeusz zawiózł go na kąpiele do Odessy. Chłopiec był zachwycony i długo opowiadał o wrażeniu. Z tego też okresu datuje się wspomnienie Conrada o księciu Romanie Sanguszce, któremu poświęcił opowiadanie *Książę Roman.*

Jesienią 1867 roku wyjechał Konrad z babką do Żytomierza i tam spotkał się znów z ojcem, zwolnionym z zesłania dzięki długim staraniom rodziny. Motywując prośbę katastrofalnym stanem zdrowia poety uzyskano zezwolenie na wyjazd jego wraz z synem na Maderę. Z powodu braku środków trzeba było poprzestać na Galicji i po parotygodniowym pobycie na Ukrainie Korzeniowscy znaleźli się — w lutym 1868 roku — we Lwowie.

Zetknięcie się ze społeczeństwem galicyjskim było przykrym wstrząsem dla Apolla. Kłótliwość polityczna i powszechny serwilizm wobec monarchii, obo-

jętność na sprawy, dla których żył i cierpiał — zabolały schorowanego poetę tak mocno, że zgorzkniał i zgnębił się jeszcze bardziej.

Poważną troską była dla Apolla sprawa edukacji syna. Za swój główny cel uważał „wychowanie Konradka nie na żadnego demokratę, arystokratę, demagoga, republikanina, monarchistę — albo na jakiegoś sługę i lokaja tych partii, a tylko na Polaka".[5]

Szkoły lwowskie niezbyt odpowiadały życzeniom Korzeniowskiego. Zawiesił na czas pewien sprawę nauki, tym bardziej że Konradowi odnowiła się choroba nerek. Ojciec i syn wyjeżdżają na całe lato najpierw do Kruhla Wielkiego pod Przemyśl, później do Topolnicy. Prowadzi ożywioną korespondencję w sprawie mającego powstać demokratycznego tygodnika *„Kraj"*.

Podgórskie powietrze, wypoczynek nerwowy i żętyca sprawiły, że chory poeta poczuł się nieco lepiej. Ale w październiku nastąpiło ostre pogorszenie. „Dwa dni chłodu i parę dobrego gatunku wieści, oglądnienia się w życiu, śród którego będę wychowywać Konradka, na raz zniszczyły skutki leków i ostrożności kilkumiesięcznej." „Czego życie utrapionej walki (...), czego zgniłe więzienie turmy moskiewskiej, czego plugawe moskiewskie zaprowadzenie i osobiste bóle (...) nie dokazały, półroczna doza tutejszego życia dopięła. Jestem złamany, do niczego. Plunąć nawet nie umiem, chęci nie mam."

15 października powrócili do Lwowa — ale Apollo znowu zrezygnował z oddania syna do szkoły, zrażony przede wszystkim zniemczeniem języka w gimnazjach. Postanawia kształcić syna w domu, według programu szkolnego.

Uczył chłopca korepetytor — gimnazista, doglądany przez Apolla. Konrad, „blady i delikatny", nie bardzo chciał pracować, choć wedle zdania ojcowskiego „dość był zdolny" i lubił wyrażać o wszystkim swoje zdanie. Pisywał podobno komedyjki i sztuki o treści patriotycznej, które wystawiał przy pomocy znajomych. Deklamował ballady Mickiewicza i *Pana Tadeusza*. Dużo czytał, dowolnie wybierając książki z biblioteki ojca. Już wówczas, jak twierdzi we wspomnieniach Tekla Wojakowska, mawiał, że chce zostać marynarzem, i przykładał się szczególnie do geografii.

Ta sama pani Tekla zanotowała dość niesamowite wrażenie z wizyty u Korzeniowskich — zapewne zresztą nieco przesadzone: „Raz wszedłszy do ich mieszkania, zastałam Apolla siedzącego nieruchomo przed portretem żony; nie poruszył się na nasz widok, a Konradek, idąc za mną, położył palec na ustach i mówi: »przejdźmy cichutko przez pokój, bo ojciec zawsze w rocznicę śmierci mamy tak wpatruje się w jej portret, nic cały dzień nie mówiąc i nie jedząc«."

Dopiero w lutym 1869 roku doszedł do skutku wymarzony przez Apolla i ciągle odsuwany przez rozmaite przeszkody wyjazd do Krakowa. Został członkiem redakcji *„Kraju"*, ożywił się nieco — ale były to już ostatnie tygodnie jego życia. Na krótko przed zgonem spalił znaczną ilość swoich rękopisów, przeważnie zdaje się tłumaczeń. Zmarł 23 maja 1869 roku.

Pogrzeb stał się wielką manifestacją narodową. Za trumną szły tłumy ludzi: „przyszli złożyć hołd płomiennej wierności człowieka, którego życie było nieustraszonym wyznaniem w słowie i czynie wiary, dostępnej do odczucia i zrozumienia dla najprostszego serca w tej ciżbie".

Tak więc w połowie dwunastego roku życia skończyło się dzieciństwo Konrada. Śmierć ojca, mimo, że od kilku lat wisząca w powietrzu, musiała być

dotkliwym ciosem dla uczuciowego chłopca. Wiemy, że wbrew temu, co sam pisze w *Odwiedzinach w Polsce*, zalewał się łzami. Zmarły pozostawiał ciężkie dziedzictwo. Wyjątkowe natężenie życia emocjonalnego. Uporna, straceńcza, opętana miłość ojczyzny — i żywiołowy, nie wyrozumowany demokratyzm. Nienawiść do zaborców. Niezłomność przekonań, kłócąca się z chimerycznością nastrojów. Szczególny stosunek do spraw praktycznego życia — nie rozpatrywanych na chłodno, ale branych w siebie nagłym skurczem serca. Rozmiłowanie w romantycznej literaturze, samotnictwo z konieczności, gorycz zawiedzionych nadziei.

Ojcowska puścizna, podtrzymywana w najszlachetniejszej, ideowej części przez Stefana Buszczyńskiego, a po trosze i przez babkę — zderzyć się musiała z wpływem Tadeusza Bobrowskiego, który wkrótce wziął chłopca pod swoją opiekę.

Bobrowski był na pewno człowiekiem uczciwym i mądrym — ale był też twardym doktrynerem, uparcie trzymającym się nieraz zupełnie fałszywych poglądów. Tradycja powstańcza była mu wręcz nienawistna: uważał, że gdyby nie powstanie, car Aleksander II mnożyłby coraz liberalniejsze ustawy. Był zaciętym wrogiem politycznego marzycielstwa — i choć to stanowisko samo w sobie jest zupełnie słuszne, w praktyce okazywało się często rodzajem bardzo rozumnego błędu.

Jak Apollo był człowiekiem poezji — walczącej poezji — tak Tadeusz był człowiekiem przepisów prawnych i skrupulatnych rachunków. Spisywany przez niego latami memoriał *Dla wiadomości Kochanego Siostrzeńca Mojego Konrada Korzeniowskiego* składa się w ogromnej części z długich szeregów cyfr, przerywanych uwagami, że z winy Apolla czy — później — jego syna rodzina poniosła straty lub przekroczony został preliminowany budżet. Rachunki występują we wszystkich wczesnych listach do Konrada, pomieszane z biadaniem nad właściwą Korzeniowskim rozrzutnością.

Delikatną, ale wyraźną niechęć wuja Tadeusza do Apolla musiał Konrad najbardziej odczuć. Bobrowski nie szczędził aluzyj, że wady siostrzeńca odziedziczone są po ojcu. Powołując się na to, że zastępuje mu rodziców, przyzywał zwykle pamięć matki. Charakterystyczne jest, że we wspomnianym memoriale, w zdaniu „...abyś wiedział, jakżeśmy wszyscy Matkę Twoją kochali, a przez Nią i Ciebie — i Twojego Ojca" trzy ostatnie słowa zostały napisane znacznie później, niż całość ustępu.

Wiemy z własnych wyznań Conrada, że wuj Tadeusz wywarł na niego wpływ ogromny i że wychowanek — nie bez słuszności — uważał ten wpływ za bardzo dodatni. Ale nie trudno spostrzec, że autorytet i przykład wuja walczyły, i to walczyły świadomie, z autorytetem i przykładem ojcowskim. Ileż kompleksów musiało powstać w chłopcu podczas tej walki, zanim twarda szkoła życia i głos opiekuna kazały skryć się cieniowi ojca-poety!

Wracajmy do chronologii. Paradoksalne jest, że cztery lata spędzone w Krakowie należą do najmniej znanych w życiu Conrada. Co krok napotyka się tutaj luki i niejasności. Tak mści się ślepa wiara biografów we własne, jakże zawodne i mylące, relacje autora *Ze wspomnień*.[6]

Pierwszym opiekunem Konradka był Stefan Buszczyński. Zgodnie z życzeniem zmarłego ojca umieścił chłopca w bursie Ludwika Georgeona przy ul.

Floriańskiej. Tam pani Georgeonowa, żona francuskiego emigranta, wraz z dwiema podstarzałymi córkami opiekowała się gromadką uczniów.

Projektowano umieścić Konrada w gimnazjum, ale okazało się, że brak mu znajomości niemieckiego i łaciny — postanowiono więc wstrzymać się przez rok jeszcze i posłać go od razu do IV klasy. Babka i opiekun chwalili go za pilność. Zaprzyjaźnił się szybko z synem Stefana, o rok od siebie starszym Konstantym Buszczyńskim.

Tymczasem rada familijna wyznaczyła na kuratorów chłopca Teofilę Bobrowską i Władysława hr. Mniszcha, co zostało potwierdzone przez sąd. Ale właściwym opiekunem chłopca stał się Tadeusz Bobrowski, mieszkający stale na Ukrainie.

W liście z dnia 20 września 1869 r. pisał on do siostrzeńca: „... mężczyzna, który nic gruntownie nie umie, nie ma mocy charakteru i wytrwałości, nie umie sam pracować i kierować sobą, przestaje być mężczyzną, a staje się lalką do niczego nie przydatną!" Upłynęło dobre kilka lat, nim adresat listu zrozumiał doniosłość tych zasad.

Prawdopodobnie w roku 1870—71 Konrad zaczął nareszcie naukę w szkole. Wbrew wielokrotnym i jego, i wszystkich biografów twierdzeniom — nie u św. Anny, lecz zapewne w mniej sławnym, ale za to bliższym ulicy Floriańskiej gimnazjum św. Jacka przy Siennej.[7]

Uczniem nie był dobrym — tak przynajmniej twierdzi długoletni znajomy, krakowianin J. H. Retinger, i tak możemy się domyślać. Był pewnie odludkiem (wiemy, że przyjaźnił się tylko z „Kociem" Buszczyńskim i rodzeństwem Taubów, którzy zamieszkiwali tę samą posesję, na terenie której mieściła się bursa), egotystą, kapryśnym, przekonanym o własnej wyższości, nudzącym się w szkole, nieprzywykłym do jakichkolwiek rygorów. Cechy charakteru, odpowiednie w samotniczym współżyciu z chorym ojcem, musiały okazać się niestosowne w normalnym obcowaniu z ludźmi.

Szkolne lata Konrada są przysłonięte mgłą niemal zupełnie nieprzeniknioną. Wiemy, że jeszcze w lecie 1870 roku bawił w Krynicy wraz ze swym stałym i ulubionym korepetytorem, studentem wydziału medycznego uniwersytetu krakowskiego, Adamem Pulmanem. Następna wiadomość — to dopiero zachowana odpowiedź na podanie babki, proszącej o zaliczenie Konrada w poczet gminy miejskiej Krakowa, datowana 28 grudnia 1872 r. Rada Miejska wyraziła zgodę, ale pod warunkiem otrzymania obywatelstwa austriackiego, którego Korzeniowski nigdy nie uzyskał. Domyślamy się, że pewne refleksy wspomnieniowe z tych lat przeniknęły na karty *Nostroma*. Na przykład pierwowzorem Antonii Avellanos ma być jedna z sióstr Taubówien.

Gdzieś w roku 1872 wystąpił Konrad wobec opiekunów z „oficjalnym" oświadczeniem, że zamierza zostać marynarzem. Powitano ten wyskok jako dziecinadę — i jak się zdaje nikt się początkowo zbytnio nie przejmował niebywałym projektem. W lecie 1873 robu odbywa chłopiec, znów w towarzystwie Pulmana, trzymiesięczną (maj—sierpień) wycieczkę do Szwajcarii, której tak wiele miejsca poświęcił w tomie *Ze wspomnień*. W sierpniu tegoż roku, po wyjeździe babki do Warszawy, zostaje odesłany do Lwowa, pod czasową opiekę kuzyna Antoniego Syroczyńskiego. Mieszka w pensjonacie dla sierot po powstańcach 1863 r., założonym przez Ambrożego Syroczyńskiego. Chodzi do gimnazjum, być może do VII klasy. Kuzynka, która mieszkała w tym samym

domu, takie zachowała z tego czasu wspomnienie: „Bardzo rozwinięty umysłowo, nie znosił trybu szkolnego, który go męczył i nudził: mówił, że ma wielki talent i że zostanie wielkim pisarzem. To, wraz z wyrazem twarzy sarkastyczno-ironicznym i licznymi krytycznymi uwagami, wywoływało zdziwienie u profesorów, a wyśmiewanie u kolegów. Nie lubił się nigdzie niczym krępować. W domu, szkole, salonie rozkładał się w półleżącej pozycji".

Uzupełnia ten obraz anegdota, zachowana w pamięci przez ciotecznego wnuka Ambrożego Syroczyńskiego, Tadeusza Garczyńskiego. Podobno, gdy raz jechał Konrad powozem w towarzystwie kilku czcigodnych panów, przyjaciół ojca, przerwał im dyskurs nieoczekiwanym pytaniem: „A co panowie o mnie myślą?" Odpowiedzieli: „Jesteś młody głuptas, który starszym w rozmowie przeszkadza".

Około 1 października 1874 roku wraca Konrad do Krakowa, by przygotować się do wyjazdu za granicę. Opór rodziny został przełamany. 26 października uparty zwolennik żeglarstwa opuścił Kraków, udając się do Marsylii.

Umyślnie poprzestałem chwilowo na samym wyliczeniu najbardziej obiektywnych faktów, by spokojnie móc zająć się najtrudniejszym w całej biografii Conrada problemem. Jakie były motywy wyjazdu z Polski?

W samym fakcie wyboru zawodu marynarza nie ma ostatecznie nic niezwykłego. Od czasu do czasu nawet na Ukrainie i w zabitym deskami Krakowie zdarzało się komuś odczuć „powołanie" do służby morskiej. Może widok odeskiego limanu, może lektura przygód Gilliatta, może jeszcze coś innego rozbudziło ów zamiar w chłopcu, który żył przecież własnym, zamkniętym i bardzo niezwykłym życiem. Nieprzeparty pociąg do morza — tak, któryż to z siedemnastolatków nie marzy o włóczędze po świecie i przygodach? Ale co było dostateczną przyczyną dla Konrada — nie musiało być czymś tak istotnym dla jego wuja. Przygody — przygodami, ale przede wszystkim trzeba zdać maturę. A młody miłośnik morskich wędrówek wyjechał ze Lwowa z pewnością bez świadectwa dojrzałości.[8]

Podobnie jest z nieszczęśliwą miłością, o którą biografowie podejrzewają młodego Korzeniowskiego na podstawie różnych aluzyj w jego dziełach. Jedna z młodzieńczych znajomych Konrada podała nawet we wspomnieniu ewentualne imię przedmiotu owej miłości: Cezaryna. Ale znowu: co mogło być ciężkim nawet przeżyciem dla niedorostka, nie miało szans na wstrząśnięcie członkami rodziny, którzy na trudne przejścia życiowe byli już zahartowani.

Bardziej poważnie wygląda na pierwszy rzut oka inny argument: zdrowie. Oboje rodzice Konrada zmarli na gruźlicę, on sam chorował na nerki, miewał też podobno ataki migreny. Ale nie chce się wierzyć, aby nieświadomość warunków pracy marynarzy była tak wielka, że uważano ją za zajęcie... kuracyjne. We wspomnieniach o Konradzie parokrotnie powtarzają się wzmianki, że wskazówki lekarzy zadecydowały o zgodzie rodziny na wyjazd nad morze — wygląda to jednak po prawdzie na mały kamuflaż, zastosowany przez wuja.

Istnieje jeszcze inny, bardziej „nowatorski" sposób tłumaczenia decyzji wyjazdu. Miała to być ucieczka od panującego w Krakowie nastroju narodowej celebracji, od życia przygniecionego pamiątkami świetnej przeszłości. Niektórzy (Blüth, Retinger) powiadają nawet, że było to „świadome zerwanie z całym

dręczącym dziedzictwem ojcowskim, z całym światem walk i tragedyj narodowych, jeżeli nie ze światem kultury europejskiej".

Trudno o rozumowanie bardziej ahistoryczne. Zapomina się, że Konrad był wprawdzie przez czas pewien sąsiadem Wyspiańskiego, ale wychowywał się w warunkach zupełnie innych: przybył do Galicji z trzymanej żelazną ręką cara Ukrainy. Upatrywanie w wyjeździe — powtórzmy: siedemnastolatka — z Krakowa ucieczki od polskości jest stawianiem sprawy na głowie. Nie ma ani jednej relacji, która by świadczyła, że albo sam Korzeniowski, albo ktokolwiek z jego otoczenia rozważał wyjazd do Francji z „narodowego" punktu widzenia. Tysiące młodych ludzi emigrowały wówczas za granicę, by się dokształcić, poznać praktycznie jakiś zawód, dorobić się, przeczekać niemiły okres służby wojskowej, odetchnąć atmosferą swobody. Nikt tych młodych ludzi o chęć odstępstwa nie podejrzewał. Listy Bobrowskiego, pisywane przez wiele lat do tułającego się po świecie siostrzeńca, pełne są dowodów, że o stałej emigracji czy zerwaniu z Polską żaden z nich nie myślał.

Pewnie, że Kraków nie był zabawnym miastem — ale bezsensowne jest wmawianie Konradowi, że antycypował postawę, wyrażoną przez Lechonia w *Herostratesie*. W ten sposób, chcąc wykazać własny „krytycyzm narodowy", wpadamy w klasyczne rozumowanie typu „słoń a sprawa polska".

Czas przedstawić inną koncepcję całej „chryi", jakby powiedział Mickiewicz. Ma ona dwa aspekty: jednym, stosunkowo prostym, jest zagadnienie decyzji Konrada, drugim, trudniejszym, który jednak pozwala ujrzeć cały problem w nowym świetle — zagadnienie zgody wuja.

Zgodziliśmy się już na to, że chłopiec — z całą prawidłowością odpowiednią wiekowi a z całą niezwykłością wyboru odpowiednią niezwykłemu wychowaniu i charakterowi — mógł marzyć o zostaniu marynarzem. Czuł się zapewne stworzony do wyższych celów niż ślęczenie nad Klopstockiem i Liwiuszem. Był z pewnością przekonany, że wkrótce zdobędzie stopień admirała i nareszcie wszyscy będą musieli uznać jego wielkość, tak bardzo teraz nie docenioną. Namiętny czytelnik *Beniowskiego* — jakże nudzić się musiał przyziemną rzeczywistością. Towarzysz samotnych cierpień i wzlotów ojca-poety i męczennika sprawy narodowej — jakże nie znosił tabunów poczciwych, wielomównych ciotek i wujów. Pożeracz romansów (któż ich w tym wieku nie pożera — a wiemy, że czytał wszystko, co chciał), żądny miłości prawdziwej i wspaniałej, szarpał się, nie mogąc wcielić jej w czyn. Marzyciel, egotysta i zarozumialec, nie mógł wybaczyć światu, że nie stosuje się do jego życzeń. Więc uparł się, że będzie żeglarzem.

Ale wuj? Rozsądny, stateczny, zimny racjonalista? Dlaczego i on uległ temu szaleństwu? Dlaczego nie przymusił wychowanka, by przynajmniej maturę zdał i nauczył się angielskiego? Z pewnością nie od razu się zgodził, a jeśli w końcu przystał, to pod jakimś przymusem. Pisze się zawsze o wielkiej przyjaźni, jaka łączyła tych dwu ludzi. Przyjaźń ta jednak jest o dobre kilka lat późniejsza. Pierwsze zachowane listy do siostrzeńca (z roku 1876) są surowe, oschłe, pełne napomnień i wyrzutów za dawne i nowe błędy.

Można podejrzewać, że nie rozstali się w idealnej harmonii. Wszystkie drobne szczegóły, jakie znamy w tej sprawie, wskazują, że Konrad był w szkole tęgim leniem. Zachowane wspomnienia rodziny Syroczyńskich (ustne, bo u nas tylko pochwalne plotki się drukuje) głoszą wręcz, że był „wałkoniem".[9] Przy-

puszczalnie repetował którąś klasę w gimnazjum, najpewniej nie uzyskał promocji w ostatnim roku pobytu w Krakowie i w trybie karnym odebrano go zbyt wyrozumiałej babce i przekazano do Lwowa. Tam — snujmy dalej hipotetyczny obraz — nic nie wskazywało na to, by uczeń miał się poprawić. Co gorsza, wplątał się (rzecz dotychczas nie znana) w romans, dość ognisty pono, z kuzynką Teklą Syroczyńską. A Antoni Syroczyński, ojciec Tekli, był człowiekiem surowym i bardzo krytycznie nastawionym wobec podopiecznego (co wiemy z późniejszych aluzji Bobrowskiego i Conrada).

Wuj miał już dość tych kłopotów. Trzeba było zastanowić się poważnie nad przyszłością krnąbrnego młodziana. Majątku nie miał, uczyć się nie chciał, co gorsza, starania o zmianę obywatelstwa na austriackie nie odniosły skutku (dlatego pewnie trzeba było zaniechać projektu umieszczenia Konrada w wojskowej szkole morskiej w Pola). Niech więc uparciuch zostanie tym marynarzem! Niech się nauczy pracować, niech zakosztuje bezlitosnej szkoły życia. Niech spróbuje sam dbać o siebie, odzwyczaić się od wygód i pieszczot. Niedługo pewnie zechce wrócić do domu, rozsądniejszy i obłaskawiony.

Takie były chyba myśli wuja Tadeusza, gdy zezwalał siostrzeńcowi na wypełnienie ekstraordynaryjnego zamiaru i wyznaczał pensyjkę — niezbyt zresztą ascetyczną: 2000 franków rocznie.

Zdzisław Najder

PRZYPISY

[1] O Korzeniowskim-poecie pisali: Buszczyński (*Mało znany poeta*, Kraków 1870), Michał Rolle (*In illo tempore...* Brody 1914) i Tadeusz Mikulski (we wstępie do *Komedii*, Warszawa 1954). Monografię opracował Roman Taborski, z którego pracy mogłem korzystać w maszynopisie.

[2] Odpis aktu chrztu, rps. B. Jag. sygn. 6391. Wymieniono imię Konrad, wersja, jakoby ojcem chrzestnym miał być Kraszewski, nie znajduje tu potwierdzenia. Miejsce urodzenia nie jest podane — notuje je Bobrowski w nocie *Dla wiadomości...* Niektórzy (np. Jean-Aubry we francuskiej wersji swej biografii) podają, że Conrad urodził się 6 grudnia w Derebczynce. Bardzo to wątpliwe, skoro pod wierszem na chrzciny Apollo postawił datę 23 listopada, a więc 5 grudnia nowego stylu, a jako miejsce podał Berdyczów.

[3] Bobrowski i Buszczyński twierdzą, że Korzeniowska towarzyszyła mężowi na własną prośbę, na którą władze przystały pod warunkiem, że będzie traktowana na równi ze skazanym. R. Blüth (*O tragicznej decyzji krakowskiej Konrada Korzeniowskiego. „Verbum"* 1936 nr. 2) pisze — opierając się na aktach procesu — że Ewa została również skazana. Akta procesu spłonęły wprawdzie, ale w warszawskim Archiwum Głównym Akt Dawnych zachował się sumariusz Stałej Komisji Śledczej. W części II. poz. 4091 znajdujemy zapis, dotyczący Apolla Korzeniowskiego. Formułuje on najprzód oskarżenie: 1) organizowanie tajnego komitetu pod nazwą „Czerwonych Mierosławskiego" (nazwa wątpliwa!), który miał przeciwstawiać się wyborom do warszawskiej Rady Miejskiej (?); 2) współwina zajść w cukierni Wedla przy ul. Miodowej; 3) autorstwo dezyderatu o połączenie Litwy z Koroną i broszury *Narodzie baczność;* 4) organizowanie w Żytomierzu nabożeństw za poległych w czasie manifestacji warszawskich w r. 1861, żona Korzeniowskiego szyć miała wówczas żałobne kokardy.

Zapis podaje dalej, że oskarżony nie przyznał się w śledztwie do winy — ale obciążyły go listy żony i „niejakiej Czarnieckiej" z Żytomierza, „obrazujące jego wrogie zamysły" i ostrzegające przed aresztowaniem (Ewa nie przyznała się do autorstwa tych listów).

23 marca przekazano sprawę sądowi wojennemu, a 27 kwietnia zapadł wyrok. Odpowiednią notę cytuję dosłownie, bo rozstrzyga fakt zesłania także Ewy: „*Prikazano wysłat' Korzeniowskogo i żenu jego na żitielstwo w g. Perm, pod strogij nadzor Policii*". (Notę w sumariuszu, dotychczas nie znaną, odnalazłem dzięki uprzejmej pomocy mgr Franciszki Ramotowskiej z A.G.A.D.).

[4] Przekład *Pracowników morza*, o którym Conrad nieraz wspominał, nie był drukowany i nie zachował się, znajdujemy tylko wzmianki o nim w korespondencji Apolla. Natomiast wątpliwe jest, czy tłumaczył też *Dwóch panów z Werony* Szekspira — o czym także Conrad pisał.

[5] List do Stefana Buszczyńskiego z 5 marca 1868 r. Rps. B-ki PAN, Kraków, sygn. 2064 t. I. Na wyznanie to trzeba patrzeć pod kątem widzenia aktualnych stosunków galicyjskich — i nie jest słuszna sugestia R. Taborskiego, że mamy tu do czynienia z jakąś rejteradą ideową Apolla (por. Taborski. *Nie drukowane wiersze A. Korzeniowskiego...*, „*Pam. Literacki*" 1955 s. 289—90). We Lwowie mieszkali Korzeniowscy przy ul. Szerokiej nr 11.

[6] Trzeba wyraźnie powiedzieć, że opieranie się na wspomnieniach Conrada, zawartych w *Ze wspomnień* i *Odwiedzinach w Polsce (Poland Revisited)* jest bardzo zawodne. Pomijając niejasną sprawę gimnazjum, wiadomo na przykład, że po przyjeździe z ojcem do Krakowa do szkoły jeszcze nie chodził i że przyjechał dopiero u schyłku zimy 1869 r. Tymczasem w *Poland Revisited* są wspomnienia z wędrówek do szkoły w zimie 1868 r. Nigdy nie wspominał Conrad, że ostatni rok pobytu w Polsce spędził we Lwowie i że pierwszym morzem, jakie widział, było Czarne. Zestawienie jego wynurzeń na temat dzieciństwa i młodości w Polsce tworzy obraz zupełnie zagmatwany i sprzeczny. Zresztą większość odpowiednich fragmentów w książce *Ze wspomnień* to tłumaczenia i parafrazy z *Pamiętników* Bobrowskiego. Musimy zawsze pamiętać, że Conrad nie pisał pamiętników, lecz snuł zbeletryzowane refleksje, w których fakty układają się nie według rzeczywistości, ale stosownie do zamierzonego efektu. (Por. Jessie Conrad, Joseph Conrad as I Knew him, s. 17: „Każde twierdzenie, jeżeli nawet takie samo w ogólnym brzmieniu, bywało zupełnie odmienne w szczegółach. Przypuszczam, że urodzonego powieściopisarza ta mieszanina faktów i fikcji w opowiadaniu zawsze skłaniała do urozmaiceń".

[7] Nazwiska Konrada Korzeniowskiego nie znajdujemy na liście uczniów gimnazjum św. Anny, wydanej w *Książce Pamiątkowej ku uczczeniu jubileuszu trzechsetnej rocznicy założenia gimnazjum św. Anny w Krakowie* (Kraków 1888). Nie znajdujemy go także w aktach gimnazjum przechowywanych w Woj. Archiwum Państwowym w Krakowie. Co więcej, w wymienionej księdze nie ma także nazwisk ludzi, wymienianych nieraz jako koledzy szkolni Conrada (Buszczyński, Taubowie). W Krakowie istniało wówczas jeszcze jedno gimnazjum, właśnie św. Jacka. Niestety, akta tego gimnazjum spłonęły podczas ostatniej wojny.

[8] Conrad raz tylko wspomniał o tej sprawie — w wywiadzie, udzielonym Marianowi Dąbrowskiemu w r. 1914. Powiedział tam, że do Marsylii wyjechał „prosto z V-ej klasy gimnazjum Ś-tej Anny w Krakowie". Wiemy już, że nie jest to zgodne z prawdą, ale w każdym razie ciekawe jest, że ze słów Conrada wynikałoby, iż w ciągu czterech lat przerobił tylko dwie klasy! Tekla Wojakowska podała we wspomnieniach, że Korzeniowski chodził we Lwowie do klasy VII.

[9] Wiadomości uzyskane od p. Tadeusza Garczyńskiego.

VERCORS

„Czyżby więc ostatecznym zwycięstwem człowieka miała być zatrata samego siebie? Nie ma istotnie innej alternatywy: będziemy aniołami, jeśli zwyciężymy, będziemy zwierzętami, jeśli zostaniemy zwyciężeni. Ludźmi jesteśmy jedynie zbuntowani: ani aniołowie, ani bestie."

Pomiędzy aniołem i zwierzęciem — takich szerokich granic już od dawna nie wyznacza się człowiekowi. Współczesna potrzeba określenia człowieka, wytyczenia mu miejsca na ziemi ogranicza się na ogół do jakiegoś jednego zakresu. Wyznacza się człowiekowi granice metafizyczne, socjologiczne, polityczne, tak, oczywiście, ale nigdy wszystkie jednocześnie. I to jest właśnie pierwsze zdumienie, które przy spotkaniu z Vercorsem ogarnia. Odrodzenie mitologii. Powrót do spraw elementarnych, do tych początków rozumienia i odczuwania, kiedy mity były summą wiedzy i kryteriami moralności.

Dalej niż Vercors nikt ze współczesnych nie sięgnął. Pewne odtąd-dotąd weszły już w potoczny obieg myślenia i pojęcie człowieka, pojęcie celu i sensu życia, obrosły konwencjami, które z cichą umową respektujemy. Inne oczywiście są konwencje chrześcijańskie, inne materialistyczne, inne — inne, wszystkie wzajemnie polemiczne. Ale nie unicestwia się ich gruntownie, nie obnaża się zagadnienia człowieka całkowicie. Odrzucając humanistyczne pojęcia chrystianizmu zastępujemy je natychmiast innymi, nie pozostawiając ani na chwilę człowieka samego, w pustce, bez Boga, bez świadomości, sam na sam ze światem. Vercors to robi. Stawia pytanie: po co człowiek żyje na ziemi? — bez cudzysłowu, który by łagodził absolutność i umieszczał je na planie tej czy innej koncepcji humanistycznej, bez porozumiewawczego mrugnięcia okiem. Stawia to pytanie w całej, jak to się dzisiaj mówi, semantycznej ostrości, poza wszelkimi konwencjami, nie licząc się z wiadomą sytuacją człowieka, ze skomplikowaniem świata, z całą cywilizacją, która robi, co może, aby takie lub inne pytania jeśli nie uniemożliwiać, to zagłuszać. Stawia pytanie — to nie wszystko. Czeka w dodatku na odpowiedź.

Nie wiadomo, co bardziej zdumiewa w postawie Vercorsa: odwaga, nonszalancja czy pycha. Występuje z własną racją przeciwko racji Chrystusa, Pascala i Marksa jednocześnie. Jest polemiczny. Nie tylko. Konstruktywny także. Tak, bez ironii: jest najbardziej konstruktywny ze współczesnych moralistów.

Wydane u nas ostatnio trzy książki Vercorsa: *Milczenie morza* [1], *Oczy i światło* [2] i *Zwierzęta niezwierzęta* [3], to etapy Vercorsowskiej myśli. Etapy dość odległe. W krótkim bowiem stosunkowo czasie (1942—1950) Vercors przeszedł drogę długą. Ukazanie się u nas niemal jednocześnie tych trzech książek, kto wie, jest może bardzo szczęśliwe. Poznajemy od razu całego Vercorsa, całą głębię i wszystkie mielizny (może nie wszystkie dosłownie: wydana w bieżącym roku we Francji powieść *Colères* uzupełnia je nowymi miejscami nieżeglownymi, żeby nie powiedzieć płyciznami). Od *Milczenia morza* do *Zwierząt niezwierząt* cóż za odległość! Czytelnik *Zwierząt niezwierząt* nie uprzedzony, nie poinformowany, może tę zgrabną powieść fantastyczno-naukową odczytać jako fikcyjną satyrę, nie domyślić się nawet spraw, które nurtują Vercorsa rzeczywiście. Nie dlatego, by ich tam nie było, ale dlatego, że pisarz swoje namiętności skarykaturyzował i metodą *science fiction*, urealnionym nieprawdopodobieństwem, wyabstrahował problem, który dla niego bynajmniej nie jest fikcyjny.

„Konieczność, aby raz nareszcie — czytamy — zdefiniować jednostkę ludzką, stała się tak nagląca, że moim zdaniem nawet parlament brytyjski weźmie to na siebie." Nie bierzmy dosłownie sarkazmu Vercorsa. On istotnie tę konieczność uważa za naglącą. On istotnie z nabrzmiałą wszystkim możliwym patosem, śmiertelną powagą stawia pytanie: co to jest człowiek? Bez cudzysłowu, bez mrugnięcia okiem. On naprawdę chce zacząć wszystko od początku i wyznaczyć na nowo granice człowieka. Nie ufa nikomu. Żadnym konwencjom, żadnym klasyfikacjom. Metafizycznym, socjologicznym, psychologicznym. Zaczyna od zoologii. Od „ssaka dwurękiego utrzymującego się w pozycji stojącej a posługującego się inteligencją i mową artykułowaną". Pierwsze, drugie eliminacje dokonują się same. Kłopotów antropologicznych właściwie nie ma. Z tropimi ze *Zwierząt niezwierząt* to kłopot wymyślony. Zmartwienia są gdzie indziej. W tym samym miejscu, w którym odczuwa się naglącą konieczność zdefiniowania człowieka. Vercors chciał je wyminąć ucieczką do samego początku, mając jakby nadzieję, że błąd ujawni się mechanicznie. Ale myśl racjonalistyczna (jakże bardzo przypominająca Alaina) zacięła się sama. Nie w pozycji stojącej, nie w inteligencji, nie w mowie artykułowanej zaczyna się człowiek. Więc gdzie? Vercors chce ominąć dualizm, ale wpada tylko w eufemistyczną *à rebours* terminologię. Ciało nazwie „workiem z mięsem", duszę „instynktem metafizycznym", lecz reszta pozostanie po dawnemu. Nowy gatunek „ssaka dwurękiego, utrzymującego się w pozycji stojącej a posługującego się inteligencją i mową artykułowaną", nazwany imieniem kapo, komplikuje wszystko. To jednak także człowiek, ustępuje Vercors, bardziej może człowiek niż pigmej. Człowiek nieczłowiek, tak jak tropi, jest zwierzęciem niezwierzęciem. Gdzież jest szczelina, której ani antropologia, ani metafizyka nie zapełni? Szczelina moralna, przez którą przecieka człowieczeństwo. Tu wiedza jest bezradna, tu intuicja zawodzi. Tu tylko mit może pomóc. Filozofia Vercorsa jest więc próbą mitologii.

Vercors, obawiając się błędu interpretacyjnego, nie ufa swoim realizacjom

---

[1] W przekładzie Wacława Rogowicza, Gabriela Karskiego, Jana Błońskiego, Joanny Guze, Wiery i Zbigniewa Bieńkowskich. PIW.

[2] W przekładzie Wiery i Zbigniewa Bieńkowskich. „Czytelnik".

[3] W przekładzie Juliana Rogozińskiego. PIW.

artystycznym. Sam wziął na siebie rolę komentatora. Szkic *Bunt człowieka*[1] (powołuje się na ten szkic w przedmowie do *Oczu i światła)* jest po prostu wykładem jego teorii człowieka, podręczną mitologią na użytek dwudziestego wieku. Wszystko, natura, jego własna, i natura świata, skazuje człowieka na to, żeby był zwierzęciem. W stanie natury, w tym naturalnym stanie zwierzęcia, nie ma szczęścia ani nieszczęścia, nie ma cierpienia, rozpaczy, dobra, zła. Absolutna nieświadomość. Pierwszym aktem człowieczeństwa jest akt świadomości, a więc akt buntu przeciw niepodzielności, akt separacji ze światem. I tylko ten akt buntu jest specyficznie ludzki, tylko on różni człowieka od zwierzęcia. Wszystko, co w człowieku „sprzyja temu buntowi, co go podsyca, czyni go bardziej człowiekiem, wszystko, co ten bunt osłabia, sprowadza człowieka do stanu zwierzęcia". Kapo, torturujący swoje ofiary, nie przestając należeć do antropologicznego gatunku człowiek, nie wyzbywając się psychiki człowieka, nie postępuje po ludzku, a więc opowiada się za terrorem natury, jest jej agentem, lokajem. Tej szczeliny, przez którą przecieka człowieczeństwo, ludzka specyfika buntu nie zapełni. Jakżeż mogłaby tego dokonać? Ale konstruktywizm Vercorsa wyraża się tutaj w sygnałach ostrzegawczych, które ustawia w miejscach zagrożonych: uwaga, zbliża się granica człowieka. Jeszcze jeden krok, a zaczyna się zwierzę. Kto łamie solidarność ludzi i przeciwko człowiekowi sprzymierza się z naturą, ten już nie postępuje po ludzku. Mit Vercorsa jest ostrzegawczy. Nie zapowiada on ani szczęścia, ani doskonałości. Istotą człowieka ma być wieczna niedoskonałość właśnie. Jak przed rzeczywistością zwierzęcą ostrzega, tak samo ostrzega przed anielską utopią. Nie pragnie odzyskania utraconego raju, nie obiecuje królestwa bożego. Ceną anielstwa byłaby utrata człowieczeństwa, a ideałem Vercorsa jest być jak najbardziej człowiekiem.

„Człowieczeństwo nie jest stanem, w którym przychodzimy na świat. To godność, którą trzeba zdobyć. Godność bolesna. Zdobywa się ją na pewno za cenę łez."

Bezwzględność, pryncypialność, z jaką Vercors traktuje człowieka, jest drugim zdumieniem, które nas ogarnia przy spotkaniu z tym pisarzem. Jakby nie był — myślimy — jednym z nas, rzuconym w tryby historii, w ustawicznym konflikcie sumienia ze sobą i ze światem. Na czyny ludzkie spogląda z jakiegoś odległego „poza" i okrutnie dokładną wagą odmierza ich wartość. W postawie Vercorsa jest coś z rozdrażnionego konstruktora, który nie może znaleźć ukrytej, a przecież istniejącej na pewno skazy. Traktuje on trochę człowieka jak swój własny wynalazek, który nie funkcjonuje tak, jak było przewidziane. Vercors nie dostrzega ofiary ludzkiej, nie usiłuje pomóc jej w cierpieniu, a robi wszystko, by wydźwignąć ją na piedestał, gdzie jest miejsce człowieka. Chce przede wszystkim przywrócić jej godność.

Człowiek jest dla Vercorsa przede wszystkim polem walki o człowieczeństwo. Walka jest ustawiczna i bezwzględna, a rozstrzygnięcie rzadko bywa ostateczne. Ta walka wyolbrzymia człowieka, zapewne, ale odrywa go od ziemi, wznosząc — abstrahuje. Człowiek Vercorsa w dążeniu do człowieczeństwa

---

[1] Zawarty w tomie *Mniej lub bardziej człowiek (Plus ou moins homme)*, skąd cytuję teoretyczne sformułowania Vercorsa.

sięga tak daleko, że coraz bardziej staje się już tylko pojęciem, ideą własnej klęski lub zwycięstwa. Vercors w przedmowie do *Oczu i światła* sam za swojego bohatera uważa „człowieka-abstrakcję“, „człowieka-koncept“. Jest to ostrowidztwo teoretyka. Dalekowzroczność Vercorsa osłabia widzialność konkretu. Psychiczne rysy ukazanych ludzi są zatarte, ich reakcje, ich postępowanie warunkuje przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, ostateczny cel moralny: być bardziej człowiekiem. I dzieje się, że ludzie Vercorsa żyją w świecie innego wymiaru, wymiaru czystej idei. Vercors wymaga od nich, by postępowali, czuli i myśleli tak bezwzględnie, tak absolutnie, jakby się nie musieli liczyć z ograniczonymi przecież swoimi możliwościami.

Piotr z *Oręża nocy*, zanim utracił swoje człowieczeństwo, przeszedł przez piekło koncentracyjnego obozu, system udręki. Lecz dla Vercorsa to piekło jest przede wszystkim miejscem, gdzie „twardy duch“ może sobie wznieść „schron nienaruszalny“, którego „nikt pogwałcić nie zdoła..., gdzie, och, można umrzeć, na szczęście można umrzeć. Kto tam umiera, ten jest jeszcze człowiekiem“. Męki, katusze nie są nawet okolicznością łagodzącą. Są tylko przesłanką logiczną, która pozwala zrozumieć drogę Piotra do samozatraty. Piotr utracił swoje człowieczeństwo: na rozkaz esesmana wrzucił do pieca umierającego towarzysza. Stał się wspólnikiem zwierzęcia. Dno nieszczęścia, dno nędzy ludzkiej. I śmierć nic nie pomoże. Cóż może śmierć pomóc, jeśli się już nie umiera człowiekiem? „Czego się można spodziewać?“ — pyta Vercors. I odpowiada: „Nie wiem. Nie wiem. Nie wiem“. To nie jest bezradność współczującego. To jest wyrok skazujący, wydany przez sprawiedliwego.

Cierpienie jest przyrodzonym stanem człowieka, bo „cierpieć to dostrzegać“, a więc posługiwać się inteligencją. Przeciwko temu Vercors się nie buntuje. Nie szuka nawet żadnych środków znieczulających. „Zwierzęta cierpią niewiele”, stwierdza lakonicznie, z jakąś wewnętrzną satysfakcją. W świetle jego mitologii to także wyrok skazujący. Powieść *Colères* to zromansowana monografia cierpienia. Jeden z bohaterów, buntując się przeciwko cierpieniu, chroni się w stan półomdlenia, w chorobę ciała, gdzie osiąga kataleptycznie jedność z naturą. (Eksperyment dziwaczny, nie przekonywający: żonglerka pojęciami Vercorsowskiej mitologii.) „Ta zuchwała przygoda, w którą się rzucił, jest może buntem w stanie doskonałym, gdyż widzimy go w walce z wrogiem, w samym środku jego worka z mięsem... Ale ostatecznie czy to jest bunt, czy po prostu bezgraniczna uległość?“ Gdyż bunt Vercorsowski ma jedynie sens dla zdobycia lub odzyskania człowieczeństwa. Bunt przeciwko cierpieniu, bunt dla szczęścia jest dla Vercorsa bez znaczenia. Nie, ma znaczenie: on poniża człowieka, zbliżając go do zwierzęcia. Vercors bowiem strzeże wyłącznie wartości bezwzględnych.

Dla idei człowieczeństwa Vercors gotów jest na wielkie ofiary. Jeśli nie na wszystkie. Z cierpienia, z życia. Ukazani przezeń ludzie godność ludzką osiągają za cenę ostateczną. Zwyciężają nad samą granicą ziemi i nieba, życia i śmierci i zwycięstwo ich ma dla nich po trosze już smak utopii. Tak zawrotnie krótko są bardziej ludźmi, że to szczęście, którym Vercors ich wypełnia, ma już sens nie ludzki, ale anielski. Zdobycie człowieczeństwa jest dla Vercorsa celem samym dla siebie. To najwyższe dobro ludzkie już się u niego nie rozmnaża.

Bezwzględność Vercorsa przybiera niejednokrotnie postać okrucieństwa. Tak.

Ale tortury, które zadaje swoim bohaterom, nie mają na celu wymuszenia wyznania winy. One służą do wydobycia z ludzi ostatniego, przejmującego krzyku protestu. Ten krzyk protestu torturowanego sumienia ludzkiego to niezaprzeczalny wkład Vercorsa do dzisiejszego świata.

Jeśli Vercors zdumiewa, a przecież zdumiewa, to o ileż bardziej wstrząsa. Mało który z pisarzy tak boleśnie targnął trzewiami ludzi, jak on. Ze współczesnych nikt. I czymże on to uczynił? Jaką ewangelią nową, jakim przesłaniem? Na pytanie, co to jest człowiek, odpowiedział starym mitem o człowieku zbuntowanym. Nie zburzył żadnych pojęć humanistycznych, nie zaproponował ani jednej wartości moralnej, której byśmy od wieków nie znali. Za Chrystusem, Pascalem i Marksem powtórzył: prawda i sprawiedliwość. Czymże więc wstrząsa? Powagą, z jaką to wymawia. Bez cudzysłowu, bez liczenia się z konwencją.

Zamordowane, gorzej — ośmieszone, stare jak świat wartości moralne, prymitywne, z kamiennej epoki humanizmu: prawda, czystość moralna, sens człowieczeństwa — Vercors wymawia tak, jakby chodziło o rzeczy oczywiste. Nie dostrzega gestów zażenowania epoki. Mówi, że warto dla tych wartości umierać, że śmierć człowieka nie jest przerażająca, że przerażająca jest dopiero zatrata człowieczeństwa. Słowa Vercorsa padają w absolutną głuszę. Dlatego nie milkną.

Ta stara treść Vercorsowskiego przesłania obnaża bardziej niż cokolwiek tragedię współczesnego świata, rozrywanego przez rozpacz i nihilizm. Vercors przypomina, że szukając środków ocalenia warto sięgnąć do wartości wiecznych. To nic, że abstrakcyjne i nieprzystosowalne do konkretnych warunków społecznych i historycznych. To nic, że prawda bezwzględna nie istnieje, jak nie istnieje jednoznaczny sens człowieczeństwa. Tych zastrzeżeń Vercors nie wymija. Jego protest przeciwko relatywizmowi moralnemu jest tym bardziej przejmujący.

W odpowiedzi na jedną z ankiet mówi: „Napisałem *Oczy i światło,* aby teraz, kiedy ludzie stali się zbyt ulegli pokusie nihilizmu, teorie rozpaczy nie mogły rozwinąć swoich śmiertelnie trujących kwiatów; dlatego także, że teorie te są fałszywe".

„Jest pewna moralność wieczna — powiada gdzie indziej — o której nie wolno zapominać w ferworze żadnej walki o cokolwiek."

Oczy i światło, największa książka Vercorsa, jest obroną tych wartości, bez których żadna struktura świata nie będzie trwała. Cóż znaczą zwycięstwa Spanzy i Ottona, nietrwałe zwycięstwa materii? Człowieczeństwa żadnymi środkami eksterminować się nie da. Zwycięstwo Diaza i Grakcha ma takie perspektywy, które tylko duchowi ludzkiemu są dostępne.

A przecież Vercors okrutny jest dla ludzi. Nie czyni żadnego wysiłku, by złagodzić ich los i obciosać kanty świata. To prawda. Nie należy do moralistów pocieszycieli. Ma ambicje największe, nawet przeciwko człowiekowi chce służyć człowieczeństwu. Takich ambicji nie miewa się bezkarnie. Idee Vercorsa żyją w nas, dopełniają się naszymi doświadczeniami i świecą nam jak nadzieje. Ale o ludziach Vercorsa nie myślimy jak o żywych. Zbyt skąpił im serca, aby starczyło go im na nieśmiertelność. I to go dzieli od Conrada, z którym przecież ma wiele wspólnego.

Zbigniew Bieńkowski

„RYMY“ MICHAŁA ANIOŁA

Michał Anioł Buonarroti: *Poezje*. Wybór. Przełożył Leopold Staff. Wybór opracował i wstępem opatrzył Mieczysław Brahmer. Warszawa 1956, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 112.

Żaden z geniuszów ludzkości tak nie onieśmiela, jak Michał Anioł. Jego *furor divinus*, żar wewnętrzny, *ignis spiritualis*, heroiczna wola i styl heroiczny, płomienna żądza wzniesienia się do ideału, owo wieczne *l'ardente desio*, budzą przestrach, oślepiają, miażdżą, nie pozwalają zbyt blisko doń podejść ani spojrzeć w przepaście tej duszy dumnej i samotnej. Takie uczucia miotały Słowackim, pierwszym poetą polskim, który „dojrzał“ Michała Anioła pod stropem Sykstyny i wspaniałymi oktawami nieprzewyższony hołd mu złożył (*Beniowski*, VIII, 473—496).

Wielu sądzi, że pomostem do tej wielkości są *Rymy*, które wyrywał z serca dla najbliższych i nigdy ich za życia nie ogłosił. Na wieść zaś, że grono przyjaciół pragnie je wydać bez jego wiedzy, pisał z pasją i oburzeniem: „Proszę Was i zaklinam na prawdziwą przyjaźń łączącą nas, nie pozwólcie, żebym patrzał na te druki, które potępiam, i oddajcie płomieniom to, co już wydrukowane. Bo jeśli już sami handlujecie mną, nie pozwólcie, aby jeszcze inni to czynili“ (1545). Wkrótce jednak dał się przyjaciołom przekonać i sam wybrał około stu utworów, które miały utworzyć tom wierszy. Tom ten, z nieznanych przyczyn, nigdy się nie ukazał. Dopiero wnuk brata, noszący to samo imię, w sześćdziesiąt lat po śmierci swego wielkiego stryjecznego dziada, opublikował we Florencji zbiór pt. *Rime* (1623). Niestety, utalentowany młodzieniec przeprowadził w nich samowolnie dość gruntowną korektę, dopełniając brakujące strofy, fałszując i przeinaczając tekst, zwłaszcza w wierszach do młodzieńców, które przerabiał, jak gdyby były pisane do kobiet. Trzeba było czekać prawie trzysta lat na edycje poprawne i krytyczne, które też gruntownie zmieniły sądy o Michale Aniele — człowieku i poecie.

Rozbieżność jednak tych sądów wciąż jest duża. „Historycy i badacze — pisze Evel Gasparini — do tej pory nie umieją zdać sobie sprawy, że *Rymy* Michała Anioła są po Dantem najwyższym wcieleniem poezji i, co zwłaszcza w nich podbija, najbardziej typowym wyrazem dramatu jednostki w całej literaturze włoskiej“ (*O poezji M. A., „Przegląd Współczesny“*, 1931). Rys ten silnie również podkreśla polski monografista, Władysław Kozicki, mówiąc wręcz, że „Sztuki Michała Anioła nie można zrozumieć bez jego poezji...“ „Poezja Michała Anioła — pisze — podobnie jak jego sztuka plastyczna, wywiera wrażenie męki, przechodzącej ludzkie siły, ustawicznego łamania się z sobą i hamowania własnych pragnień żądnych wyzwolenia, ciągłego zadawania gwałtu własnej naturze i własnym ukochaniom. Nad tą poezją ciąży duszna, gorączkowa atmosfera udręczenia. Tragedia Michała Anioła-poety występuje w konturach jeszcze bardziej ostrych niż tragedia Michała Anioła-rzeźbiarza“ (*„Krytyka“*, 1910, II, 315).

Potrafili tę poezję należycie ocenić również współcześni. Nikogo nie dziwiło, że wielki rzeźbiarz tworzy też sonety i madrygały. Pisanie wierszy w czasach Odrodzenia było modą niemal powszechną i obowiązującą. Pisał sonety Leonardo da Vinci i znano miłosny sonecik Rafaela: *Un pensier dolce...* Ale to, co się z ręki Michała Anioła wydostawało i krążyło w odpisach, zdumiewało odrębnym tonem, kondensacją uczucia i głębią myśli, domagającej się już wtenczas komentarza. Toteż humanista Benedetto Varchi wygłasza w 1546, więc za życia twórcy, publiczny odczyt we florenckiej akademii sztuk pięknych, poświęcony szczegółowej, zdumiewającej dzisiaj analizie tylko jednego sonetu Michała Anioła: *Nic mistrz najlepszy pomyśleć nie zdole...* (w ostatnim wyborze s. 48), uważając go za utwór kluczowy. Istotnie, to jeden z najważniejszych i najsłynniejszych sonetów Michała Anioła, o takiej myśli: Jak w bryle marmuru kryje się możliwość dzieła pięknego lub brzydkiego, zależnie od ducha twórcy, podobnie w istocie kochanej leży możliwość szczęścia lub nieszczęścia, zawisła od kochającego. Winę cierpienia ponosi — nie Amor ani uroda, ani przeznaczenie — lecz wyłącznie sam artysta, bo gdy w sercu jego pani mieści się równocześnie śmierć i zmiłowanie, jego umysł przyziemny nie potrafi nic innego wybrać, tylko — śmierć. (Z czterech polskich przekładów tego trudnego sonetu żaden w pełni nie zadowala; najlepszy Staffa.)

Varchi analizuje utwór słowo po słowie, każde zdanie i strofę drobiazgowo wyjaśnia i widzi w twórczości poety odbicie idei platońskich: dla Michała Anioła sztuka nie jest niczym innym jak obrazem w duszy, tj. w fantazji artysty, i to stanowi przyczynę sprawczą formy artystycznej w materii. (Tę formułę przytacza po łacinie, co może brzmi nawet jaśniej: *„Ars nihil aliud est, quam forma rei artificialis, existens in anima artificis; quae est principium factivum formae artificialis in materia“.)*

Piękność ziemska wywołuje w duszy artysty obraz wewnętrzny *(imaginè del cor)*, ten obraz ucieleśnia twórca w materii. W pięknym ciele młodego przyjaciela widzi symbol piękna bożego, wznoszącego duszę do wyobrażenia Boga. To zapatrzenie się w piękno widzialne wywołuje przypomnienie piękności bożej, bo piękno to jest odblaskiem światła boskiego w materii. Dla Michała Anioła jedynie człowiek jest przedmiotem sztuki, w człowieku mieści się kosmos.

Droga, którą w ciągu długiego życia przebył Michał Anioł od pogańskiego platonizmu do uniwersalizmu chrześcijańskiego, zostawiła wyraźne ślady nie tylko w tworach plastycznych, ale też w poetyckich. Z pola widzenia ostatnich prawie 30 lat życia znika filozofia piękności, siły, niewyżytej żądzy, piękność ziemska już nie wystarcza, zjawia się refleksja o przemijaniu, przychodzi pragnienie Łaski i potrzeba innej Miłości.

Rok śmierci Michała Anioła (1564) jest rokiem urodzenia innego geniusza ludzkości — Szekspira. Obu łączy jeden bardzo osobliwy motyw literacki, nie znany dotąd zupełnie w literaturze chrześcijańskiej, opiewanie miłości do „polubieńca“ (termin W. Kozickiego). Motyw niemożliwy, gdyby nie wiekowa już uprawa filozofii Platona, jak to słusznie zaznacza Walter Mönch w znakomitej monografii: *Das Sonett* (Heidelberg 1955).[1]

Inną zupełną nowością poezji Michała Anioła było transponowanie swych doznań emocjonalnych z doświadczeń warsztatu plastyka na kanwę liryczną, owo „rzeźbiarskie odczuwanie świata“, jak to trafnie określa Mieczysław Brahmer w celnym, syntetycznym szkicu wstępnym do omawianego wyboru (znanym już częściowo z Księgi ku czci Staffa).

Poezja Michała Anioła jest nam bliska, bo się obraca w kręgu tematów wieczystych: życia i śmierci, miłości, piękna, grzechu i łaski. Przejmuje nas „pionowością“ swego głosu i pełnią wizji artystycznej, w której brak miejsca na upiększenia dodatkowe, podobnie jak w plastyce tego

[1] Pragnę przy sposobności sprostować błąd popełniony w recenzji nieudałego przekładu *Sonetów* Petrarki dokonanego przez Jalu Kurka (*„Twórczość“* 1956, nr 3, s. 129). Otóż Mönch cytuje jedynie książkę M. Brahmera: *Petrarkizm w poezji polskiej*, w bibliografii, lecz nazwisko autora pomija w indeksie (stąd pomyłka). Nie zna jednak innych prac polskich w tej recenzji wymienionych.

twórcy. Stąd pozorna surowość obrazów i ostrość konturów. Zjednuje nas przesączaniem poetyckich doznań przez filtr intelektu. Dlatego Michał Anioł był tak bliski Norwidowi.

Norwid był pierwszym bodaj polskim poetą, który zetknął się blisko w latach 1843—1845 z twórczością Michała Anioła i czytał jego *Rymy* w oryginale. Przełożył późno, bo dopiero w 1876, jedynie tylko słynny czterowiersz o Nocy, w odpowiedzi Strozziemu, amplifikując go jednak do sześciu wierszy:

Słodko jest zasnąć, słodziej być
z kamienia
Dziś, gdy tak wiele hańb i poplamienia;
Nie czuć, nie widzieć, leżąc jak
w mogile —
Cóż z tak uroczą porównałbyś nocą?
— Przeto, zaklinam, ucisz się na chwilę,
Mógłbyś przebudzić mię... na co? i po co?

Pośrednio zawdzięczamy Norwidowi pierwsze przekłady sonetów Michała Anioła. On to bowiem w czasie pobytu w Brukseli w 1846 zachęcił Lucjana Siemieńskiego do lektury i zajęcia się jego *Rymami*. Wspomina o tym sam Siemieński w przedmowie do tomiku przekładów *Poezji* Michała Anioła (1861), nie zdradzając jednak nazwiska Norwida. „Mówiliśmy — pisze — tedy o nim (Michale Aniele): on (Norwid) nie tylko z zapałem i znajomością praktyka uprawiającego zarówno rzeźbę jak malarstwo, lecz i z uwielbieniem dla mistrza, którego sobie za arcywzór obrał; mnie tylko został cichy podziw dla jeniuszu ogarniającego takie ogromy i obdarzonego taką siłą twórczości. Sykstyna, Mojżesz, grób Medyceuszów, kopuła św. Piotra, florenckie warownie nieustannie przewijały się w naszych pogadankach, i oba zgodziliśmy się, że był największym poetą w epoce odrodzonej starożytności, a raczej, że w sobie skupiał wszystkie tej epoki kierunki.

— Do tej jego uniwersalności — dodałem — nie dostaje tylko tworów pióra.

— Jak to, nie znasz jego poezyj? — zapytał zdziwiony artysta.

— Nie znam — odrzekłem, szukając w pamięci — nie znam, prócz tych kilku sonetów, co w Vasarim; lecz te uważam za płód przyrodzonej łatwości Włochów do wierszowania; dlatego nie zwróciły mojej uwagi. Są to rzeczy przelotne, urywki, w których nie mógł się odbić świat jego wewnętrzny; a mnie by ten interesował najwięcej.

— Że cię zainteresuje, o tym nie wątpię — rzekł uradowany artysta — potrzeba tylko, żebyś czytał zbiór jego *Rymów;* znajdziesz tam w kilkudziesięciu sonetach, tyluż madrygałach i kanconach szereg cudownych obrazków zdjętych z poruszeń serca miotanego namiętną miłością ku sztuce, kobiecie, Bogu. Czwarta dusza — jak nazwano jego poezję — niepośledniejsza tam od trzech innych. — Radzę ci, czytaj poezje Michała Anioła...“

Siemieński przytacza jeszcze dalszą rozmowę, w której Norwid powiada, że jeżeli kogo Michał Anioł naśladuje, to nie Petrarkę, ale chyba Dantego, „którego duch dostał się mu z całą oryginalną spuścizną, a nie w odbiciu...“, i cytuje sławne powiedzenie Berniego: „*Ei dice cose, e voi dite parole*“. W końcu dodaje Siemieński, że wystarawszy się o egzemplarz, czytali razem z Norwidem poezje Michała Anioła. Z początku odstręczały go archaizmami, zawiłością stylu i ciemnością przedmiotu, „lubo zawsze ciągnęło coś w głąb tych platonizmów strzelistych, wyrażonych szorstkim językiem, jak uderzenia dłuta...“

Rezultatem tych zainteresowań był w kilkanaście lat później szkic literacki Siemieńskiego: *Michał Anioł i Vittoria Colonna* wydany razem z przekładem niezmiernie ciekawej *Rzeczy o malarstwie z r. 1549*, napisanej przez Franciszka d'Ollando, który znał Michała Anioła i Vittorię Colonnę i przytoczył rozmowy z nimi. Rękopis tego traktatu znalazł w Lizbonie Anastazy Raczyński i wydał w przekładzie francuskim w 1846 w Paryżu. Oba te utwory ogłosił Siemieński w broszurze pt. *Kartka z dziejów sztuki i poezji* (Żytomierz 1860). Było to pierwsze u nas studium o Michale Aniele, zawierało też przekład czterech jego wierszy oraz dwu drobnych utworów Vittorii Colonny. W rok później Siemieński, zachęcony pochlebnymi recenzjami, wydał cały tomik przekładów *Poezji* Michała Anioła (Kraków 1861). Poprzedzony sporym wstępem, tomik objął 44 przekłady sonetów i madrygałów, ponadto czterowiersz Strozziego do Nocy oraz jeden utwór Vittorii Colonny. Nowością było przytoczenie również oryginalnych tekstów tłuma-

czonych wierszy. Niestety, tłumacz nie rozporządzał jeszcze wówczas wydaniem krytycznym (wyszło dopiero w 1863) i teksty są w części nieautentyczne. Mimo to czytelnik polski mógł się zorientować w poetyckiej twórczości Michała Anioła. Przekłady Siemieńskiego na ogół dobre, czasem nawet zadźwięczy wśród nich wyjątkowo piękna strofa, jak np. drugi czterowiersz sonetu *Tornami al tempo* (wybór ostatni, s. 97):

Wróć krokom moim spętanym latami
Młody niepokój, co mną bez wytchnienia
Miotał, i oczy moje nalej łzami,
I w piersi żaru nanieć i płomienia.
(s. 45)

Siemieński ma niewątpliwą zasługę, że pierwszy zapoznał nas z życiem i poetycką twórczością Michała Anioła. Niezwykle uroczyście obchodzone we Włoszech 400-lecie urodzin tego geniusza (1875) odbiło się w Polsce nader skromnym echem w postaci kilkunastu miernych przekładów A. Pługa (*„Kłosy“*) i A. E. Odyńca (*„Kronika Rodzinna“*), paru artykułów i bardzo obszernej kroniki biograficznej skompilowanej przez A. Wołyńskiego w *„Gazecie Warszawskiej“*. Dopiero w pięć lat później nowe i interesujące światło rzucił na twórczość Michała Anioła Julian Klaczko w *Wieczorach florenckich* (1880), a później w *Juliuszu II i Odrodzeniu*. Próbkę nowego znakomitego przekładu zaledwie jednego sonetu dał Porębowicz w oryginalnej rozprawie *Teorie średniowiecznej miłości dwornej* (1904), po czym jeszcze jeden sonet przełożył do antologii *Wielkiej literatury powszechnej*, pod red. S. Lama (1933).

Ogromnym krokiem naprzód w sprawie poznania i spopularyzowania wielkiej twórczości Michała Anioła u nas była popularna, pierwsza monografia Władysława Kozickiego, *Michał Anioł* (Lwów 1908), wspaniale ilustrowana, sumowała na ogół wyniki ówczesnych badań, miała też rozdział, może najbardziej samodzielny, poświęcony *Rymom* Michała Anioła. Rozdział ten w znacznie obszerniejszej redakcji pomieścił Kozicki pt. *Eros, fragment z życia i twórczości Michała Anioła* w *„Krytyce“* (1910, II). W nim właśnie znalazło się kilkanaście jego pióra przekładów wierszy Michała Anioła, przytoczonych częściowo również w monografii. Kozicki, obok naukowych, miał też duże ambicje literackie i był autorem m. in. szeregu dramatów, tłumaczył jednak Michała Anioła przeważnie niedokładnie, posługując się swobodnie i obficie nieznośnymi rekwizytami poetyki „młodopolskiej“, np. „muzyką rozkoszy“, „poświstami klątwy“, zupełnie obcymi poezji renesansowej i nie mającymi żadnych odpowiedników w tekście oryginału. Ale i u niego zdarza się czasem jakieś proste i szczęśliwe rozwiązanie, jak np. w tym ekstatycznym wołaniu (pominiętym w wyborze ostatnim):

Żem przestał być sobą, jak się to dziać może,
O Boże, o Boże, o Boże!
Kto mnie oderwał od serca własnego
I kto się bliższym stał dla ducha mego,
Niźli on dla mnie samego być może,
O Boże, o Boże, o Boże!

Dopiero Leopold Staff obdarzył nas iście po królewsku pełnym przekładem całej poetyckiej puścizny Michała Anioła (1922, s. XXIX, 336), opatrzywszy tom pięknym wstępem i przypisami, a całość dedykując w hołdzie swemu profesorowi, Edwardowi Porębowiczowi. Sądząc po ogólnym tytule: *Pisma*, zamierzał wydać w drugim tomie przekłady listów i innych dokumentów Michała Anioła. Zapowiedział też w pewnym miejscu w przypisku (s. 313) ciekawą pracę: „Stosunek Michała Anioła do poprzedników jego, zwłaszcza Dantego, Petrarki i Poliziana, będzie przedmiotem mego osobnego studium“. Niestety, studium nie ukazało się, a Staff napisał tylko popularny dobry życiorys Michała Anioła (Lwów 1934, s. 161), przeznaczony głównie dla młodzieży. Dodajmy, że równocześnie z przekładem Staffa przełożył Władysław Jabłonowski klasyczny *Żywot Michała Anioła* Condiviego (1922).

Warto bodaj najkrócej przypomnieć tutaj, jak wiele zawdzięczamy Staffowi w dziele zapoznania nas z arcydziełami włoskimi. Dał najpierw kapitalną wersję *Kwiatków* św. Franciszka z Asyżu (cztery wydania), później poważny *Wybór pism* Da Vinciego (dwa wydania) i przekład jego *Bajek* (kilka wydań), przyswoił słynny *Żywot* Celliniego i nie mniej słynną *Księgę miłosierdzia Bożego* Katarzyny ze Sieny. Jeśli do tego dodamy cztery duże powieści d'Annunzia, dwie powieści Grazii Deleddy, komedię Goldoniego i prozę Amicisa, bę-

dziemy mieli suchy rejestr jego prawdziwych zasług w tej dziedzinie.

Najtrudniejszym z tych autorów był niewątpliwie Michał Anioł. Toteż musiał mu tłumacz poświęcić najwięcej trudu i czasu. Dokonał przekładu całości tekstów poetyckich według edycyj krytycznych Guastiego i Freya. Starał się oddać — jak sam w końcu przedmowy zaznacza — „jak najwierniej i najjaśniej treść utworów, nie pozwalając sobie na żadne »poprawianie« autora i trzymał się w granicach ilości słów oryginału, zachowując właściwości stylu i maniery epoki, miarę rytmiczną i profil rymowy". Udało mu się to w przeważnej mierze kongenialnie. Cechuje te przekłady przede wszystkim sumienna, filologiczna wierność, czasem może zbyteczna, gdy np. wyraz „natura" pozostaje w przekładzie prawie zawsze bez zmiany, chociaż w Renesansie miał różne znaczenia (np. „życie"). Toteż w słynnym sonecie do Vittorii Colonny, *Com'esser, donna,* zwrot: *„Ed é dall arte vinta la natura"* — może właśnie to znaczenie byłoby wyraźniejsze i właściwsze: „I sztuka przezwycięża życie" (Staff: „Więc sztuka walkę z naturą wygrywa"). Podobnie w sonecie *Tornami al tempo,* zwrot: *„Onde a natura ogni virtute é tolta"*, również może adekwatne byłoby „życie": „Której życie z wszelkiej obrało dzielności" (Staff: „Której grób z wszelkiej obrał mnie dzielności").

Zmarły w listopadzie 1952 Benedetto Croce żądał od znawcy Dantego „duszy dantejskiej" i równocześnie świadomości tego, co stanowi wieczną istotę poezji *(La poesia di Dante, 1921, 199).* Tę regułę zastosować można do każdego tłumacza wielkiego poety. Staff niewątpliwie posiada ową „duszę michelangelowską" i zrozumienie wiecznej istoty poezji. Długoletnie zżycie się z *Rymami* Michała Anioła, „w radosnym obcowaniu z geniuszem", pozwoliło mu też na głęboką ocenę jego poetyckiego rzemiosła: „Mowa jego — pisze we wstępie — kuta jest twardym młotem, którego nadmierny udar rani jej gładkie płaszczyzny i miażdży misterne załomy. Natłok myśli i obrazów, nie dających pomieścić się w ciasnej ramie zamierzonej formy, wytwarza skurcze okresów i zbitki zdań, które wtłaczają się w siebie, plączą i gmatwają w sposób nierozwikłany, czyniąc wrażenie czegoś, co chce się z siebie dopiero urodzić. Czasem twardzizna i ciężkość wyrazu, tyrańskie nagromadzenie słów, połamanie składni, porwanie związku poszczególnych elementów wpada w nieporadność i zakłopotanie nieudanego ćwiczenia; czasem potężny, tragiczny stan ducha przez klątwę rymu przechodzi w igraszkę i koncept, wobec którego stajemy niepewni i zmrożeni i rozpęd pozostaje poniżej swego zamierzenia; ależ jak często jednak od razu wzięty mistrzowsko akord organowy rozwija się i rozprzędza w arcydzielną tkaninę muzyki i myśli, kończąc się doskonałą harmonią przedziwnej mocy, pełni i głębi..." (s. XVII n.).

Po 33 latach od czasu wydania tego przekładu, niezmiernie już rzadkiego przed wojną, otrzymujemy obecnie skąpy wybór zaledwie 80 utworów (jest ich prawie czterokrotnie więcej), w małym pięknym tomiku, który rozchwytano natychmiast. Żałować wypada, że nie dodano objaśnień, niekiedy niezbędnych do zrozumienia utworu, oraz że pominięto wiele ważnych utworów. Brak np. słynnego sonetu do Vasariego z 1554: *Dobiega podróż mojego żywota* (wyd. 1922, s. 280). Prof. Juliusz Starzyński uważa, że sonet ten „jest znamiennym dokumentem dokonującego się w połowie XVI stulecia przełomu w poglądach na sztukę" *(Z dziejów teorii sztuki w epoce Odrodzenia.* Materiały do studiów i dyskusji. 1951, s. 29), cytuje jednak zły przekład W. Kozickiego. Głęboki znawca Michała Anioła, Charles de Tolnay, nazywa ten sonet „nawałnicą jego duszy w poszukiwaniu Boga, nawałnicą, której dynamizm wszystkich elementów przydaje nowe barwy i znaczenie". Sądzi, że utwór ten, wraz z dwoma innymi sonetami (pominiętymi również w ostatnim wyborze): *Chciałbym chcieć tego, czego nie chcę, Panie* (273) oraz *Nic podlejszego, niższego wśród świata* (284), stanowi zupełną nowość w poezji włoskiej XVI w. dzięki swej głębi i stylistycznej powadze, a zarazem jest świadectwem nawrócenia Michała Anioła *(Werk und Weltbild des Michelangelo,* Zürich 1949, 81). Można by wymienić jeszcze kilkadziesiąt równie ważnych i pięknych wierszy, pominiętych w omawianym wyborze. Wynika z tego zasadniczy postulat koniecznego wznowienia całości przekładu *Rymów* Michała Anioła, oczywiście w miarę możności przejrzanego po tylu latach przez znakomite-

go poetę-tłumacza, który zapewne wprowadziłby dzisiaj niejedną drobną odmianę (np. w zakończeniu wstrząsających tercyn *Jako rdzeń drzewa w korze swej zamknięty* zamiast niejasnego zdania: „Jestem zniszczony, gdy mnie śmierć nie zmiecie", zgodziłby się może na np. taką odmianę: „Sczeznę, jeśli mnie rychło śmierć nie zmiecie", 47, *Ch'i'son disfatto, s'i'non muoio presto).*

Wiersze Michała Anioła tłumaczono u nas niezmiernie rzadko. Nie możemy zająć się tutaj innymi przekładami, np. Adama Łady Cybulskiego lub Gustawa Wolffa (1872—1951), który przełożył w ostatnich latach życia cztery sonety i odpowiedź Strozziemu, dotąd nie ogłoszone. Pragniemy wspomnieć jeszcze tylko o dwu polonikach związanych z Michałem Aniołem. Pierwsze dotyczy Vittorii Colonny, powiernicy jego i przyjaciółki, jednej z najsłynniejszych kobiet Renesansu, poetki uwielbianej również przez Ariosta, a opiewanej przez wielu poetów świata. Otóż była ona bliską kuzynką królowej Bony, matka jej, Agnesina di Montefeltro, to ciotka Bony. Były prawie rówieśniczkami i mieszkały razem na zamku w Ischii. Vittoria brała też udział w uroczystościach zaślubin Bony *per procura* na zamku Castel Capuano, 6 grudnia 1517. Wiemy dokładnie, jakie wspaniałe szaty miała wówczas na sobie, o czym dowiedzieć się można z kapitalnej monografii Władysława Pociechy: *Królowa Bona* (I, 125, 206).

Drugie odnosi się do domniemanej znajomości Michała Anioła z Kopernikiem i uczęszczania na jego wykłady. Kopernik przybył z Bolonii do Rzymu na Wielkanoc w kwietniu 1500, na uroczystości roku jubileuszowego ogłoszonego przez papieża Aleksandra VI, i pozostał tam przez cały rok. Wkrótce po przybyciu rozpoczął wykłady matematyki i astronomii nie w uniwersytecie, lecz w pewnym domu prywatnym. Dawna tradycja głosi, że na te wykłady przychodził m. in. Aleksander Farnese (późniejszy Paweł III) oraz Michał Anioł. Papini w swej *Vita di Michelangiolo* (1950, 85) uznaje prawdopodobieństwo tej tradycji. Dialogi Donata Giannottiego wskazują na zdumiewającą znajomość astronomii u Michała Anioła, trudną do wytłumaczenia, gdybyśmy nie wiedzieli, że mógł słuchać Kopernika. Wiemy z *Rymów*, jakim miłośnikiem nocy był Michał Anioł. A kto kocha noc — mówi Papini — kocha gwiazdy i pragnie poznać ich ruchy i tajemnice. Nic przeto dziwnego, że Michał Anioł, wielbiciel Dantego, którego nie podobna dobrze zrozumieć bez znajomości astronomii, czuł potrzebę pogłębienia swej wiedzy i przyjął chętnie zaproszenie któregoś z przyjaciół na słynne wykłady Kopernika, wygłaszane w domu prywatnym zapewne po włosku. De Tolnay twierdzi, że w *Sądzie Ostatecznym* dał Michał Anioł potężną wizję hieliocentrycznego Wszechświata, wyprzedzając dzieło Kopernika *O obrotach ciał niebieskich.*

Wacław Berent w posłowiu do przełożonej przez siebie pięknej książki Romain Rollanda: *Żywot Michała Anioła* (1924), powiedział: „Nad zagadką życia i twórczości Michała Anioła zastanawiać się będzie niewątpliwie pokolenie każde (z większym bodaj uzasadnieniem niźli nad zagadką Hamleta); acz nie każde czynić to będzie z równym pesymizmem w stosunku do duszy ludzkiej i z równą wiarą w naczelne »prawdy« swej doby" (159).

Spytajmy więc nieśmiało: Cóż na ten temat ma do powiedzenia pokolenie dzisiejsze?

Piotr Grzegorczyk

Post scriptum.

Przyszły autor monografii: *Michał Anioł w Polsce,* oprócz przekładów i opracowań uwzględnić też będzie musiał odbicie tej postaci i jej dzieł w literaturze. Ułatwimy mu to zadanie wyliczeniem kilkunastu motywów michelangelowskich, dalekich z pewnością od wyczerpania, wymownych jednak nawet w tej niedużej ilości.

Wspomnieliśmy już na początku o oktawach Słowackiego w *Beniowskim* (VIII, 473—496). Dodajmy, że nie zrozumiał tego miejsca Marian Szyjkowski *(Słowacki w Italii, „Życie i Myśl",* 1950, nr 5/6, s. 425), sądząc że odnosi się do Rafaela, podobnie jak nie zrozumiał również w *Beniowskim* (IX, 589), że „Włoch z Sorentu" to jest Tasso (tamże, s. 429), a nie jakiś przewodnik ekskursji.

Idąc dalej chronologicznie, notujemy „improwizację" Deotymy-Łuszczewskiej: *Michał Anioł i Rafael („Nowiny",* Lwów 1854, s. 1184). Następnie wiersz Norwida z 1858, *Odpowiedź,* z dumną

pointą: „kto inny ma laur i nadzieję, Ja — jeden zaszczyt: być człekiem". Pominąć możemy przekłady wiersza Aicarda *Dzień i noc* („*Kłosy*", 1875) i utworu Vrchlicky'ego *Vittoria Colonna*, w tłumaczeniu Miriama („*Ateneum*", 1885), a zanotować *Felieton tygodniowy* Artura Górskiego z prozaicznym przekładem odpowiedzi Strozziemu (*Liberum conspiro*, „*Dziennik Krakowski*", 1896, nr 228; tamże, nr 276, anonimowy, słaby przekład sonetu do Vasariego). Dalej podamy sonet Jerzego Żuławskiego: *Michel Angelo* („*Życie*", 1898, nr 6) i, niestety, tylko fragmenty pełnego ekspresji dramatu Wyspiańskiego o Michale Aniele: *Juliusz II* (1900 i 1905). W tomie *Italia* (1901) poświęca Konopnicka cały cykl *W Sykstynie* freskom Michała Anioła, daremnie poszukując odpowiedniego tonu i siły wyrazu. Marmur z San Lorenzo staje się tematem pięknego sonetu Maryli Wolskiej, *Noc* („*Słowo Polskie*", 1905, nr 216, i z poprawkami: *Dzbanek malin*, 1929). W zbiorze *W cieniu miecza* (1911) znajdziemy poemat Leopolda Staffa *Jeńcy Michała Anioła*, pełen twórczego dynamizmu. W okresie międzywojennym, pomijając przekład powieści Emila Ludwiga *Trzej tytani* (1938), wymienimy przede wszystkim sonet Antoniego Słonimskiego *Michał Anioł* oraz poemat Antoniego Madeja *Michał Anioł* („*Zet*", 1934, nr 8). Czterowiersz Strozziego i odpowiedź przełożył na nowo, ale nielepiej, Jan Pietrzycki („*IKC*", 1930, nr 221, dod. 34). Po wojnie dużym powodzeniem cieszył się przekład czeskiej powieści o Michale Aniele: *Kamień i cierpienie* Karola Schulza (1950, 1956).

P. G.

„ACHTUNG, HIRSCHE!"

M a r i a D ą b r o w s k a: *Szkice z podróży*. Warszawa 1956, „Czytelnik"; str. 144.

W innych szczęśliwszych krajach krytyka zajmuje się szczegółową analizą dzieł najwybitniejszych pisarzy współczesnych i zdaje sobie sprawę w dość szczegółowy sposób z wartości czy z osobliwości ich dzieła. U nas nawet najwybitniejsze dzieła żyjących autorów nie mogą się doczekać zwykłej recenzji. Krytycy nasi zajmują się zagadnieniami politycznymi, ekonomicznymi, historycznymi — pisarz współczesny jest dla nich sprawą zupełnie obojętną.

Choć o Dąbrowskiej ostatnio dość dużo pisano — czyniono to zawsze albo w sposób panegiryczny (Przyboś), albo daleki od analizy jej stylu, jej sposobów. A to może najciekawsze w jej twórczości dzisiejszej — przeanalizowanie, jak przebiegłych, jak pozornie prostych sposobów używa Dąbrowska, aby jej najzwyczajniejsza, zdawołoby się, strona prozy nabrała wtórnego, potrójnego znaczenia, w jaki sposób autorka *Nocy i dni* operuje słowem i myślą, aby nadawać najprostszym opisom to znaczenie, które sprawia, iż najdrobniejsza publikacja Dąbrowskiej staje się dziś ewenementem.

Nie biorę się i ja do przeprowadzenia tej analizy, ale chciałbym jako zwykły czytelnik zasygnalizować historykom literatury i jej upartym kronikarzom — owo odczytywanie Dąbrowskiej podobne do otwierania szkatułki z podwójnym, potrójnym dnem. W niektórych szkatułkach Dąbrowskiej dna wcale nie ma. A wszystko to podane jest czytelnikowi w formie damskiej robótki, naiwnie haftowanej serwetki — pozornie nieświadomego gładzenia słów i wyrazów. Niedawno ktoś zagraniczny powiedział mi: „Dąbrowska robi wrażenie, jak gdyby nie miała pojęcia, co się w Polsce dzieje".

I rzeczywiście Dąbrowska udaje, że nic nie rozumie. Chwilami nawet może się wydawać, że tak jest w istocie. A jednak wydrukowanie *Trzeciej jesieni* (a potem noweli *Na wsi wesele*) musi być u nas uważane za datę daleko ważniejszą niż ogłoszenie przez Erenburga jego *Odwilży*.

Tym razem „Czytelnik" zebrał cztery „niepozorne" i pełne sztucznej naiwnoś-

ci korespondencje Dąbrowskiej z ostatnich jej podróży do Niemieckiej Republiki Demokratycznej, pod ogólnym tytułem *Szkice z podróży*. Te niemieckie wyprawy naszych pisarzy mają szczególne szczęście. Przepiękny dziennik wędrówki Jastruna wynikł także z tej samej (i innych) podróży. *Szkice* Dąbrowskiej też są książką bardzo wiele znaczącą, pomimo — zdawałoby się — pewnej błahości tematu i niewielkich rozmiarów.

Jest w opisie podróży Dąbrowskiej taka scena. Autorka zmęczona jazdą samochodową po autostradzie zasypia. Budzą ją słowa Jastruna: *„Achtung, Hirsche!“* — „Uwaga, jelenie!“ Jest to tekst napisu przy asfaltowej wstędze szosy. Zwraca on uwagę szoferom, że w tym miejscu mogą na niedotykalną wstęgę „strady“ wyjść z lasu jelenie, które nie znają przepisów drogowych. Gdy Dąbrowska z Jastrunem mijają to miejsce, jelenie nie wychodzą na szosę. Ale i podróżni, i my wiemy, że się w lesie znajdują.

Czytając *Szkice z podróży* Dąbrowskiej mamy co chwila ochotę zawołać: *„Achtung, Hirsche!“* — Tyle tylko, że jelenie co chwila wyskakują z pięknej jak świeża puszcza prozy Dąbrowskiej — i nawet czasami bodą czytelnika albo wręcz kogo innego... Opisując zjawiska niezbyt udanej podróży, Dąbrowska raz po raz mówi „o czym innym“, o sprawach daleko ważniejszych niż to czy inne spotkanie, taki lub owaki wieczór autorski.

Jelenie Dąbrowskiej — choć piękne i łagodne — walczą o prawdę i za prawdę. Brzmi to za patetycznie w stosunku do niezmiernie dyskretnej postawy, jaką zajmuje autorka *Szkiców* — ale tak jest istotnie. Jej książeczka jest walką z zakłamaniem. Na każdej jej stronie cichutko, spokojnie, ale bardzo stanowczo Dąbrowska powiada: „Nie trzeba kłamać, to nie ma żadnego sensu; nie opłaci się...“

Weźmy chociażby ostrożny sąd naszej autorki o książce Fürnberga, opisującej wizytę Mickiewicza u Goethego w Weimarze. Jak spokojnymi, cichutkimi zdaniami rozkłada Dąbrowska wszystko, co Fürnberg pisał o Mickiewiczu, myśląc, że wyświadcza nam wielką przysługę. Jak ostrożnie obnaża jego ignorancję, jednocześnie dobrze rozumiejąc, co Fürnberg chciał przez swoją nowelę powiedzieć. Zresztą ważniejsze od tego, co mówi o noweli niemieckiego autora, której znaczenie można określić jako przemijające — jest to, co mówi o zakłamaniu, jakiemu jest winna współczesna nauka polska i radziecka, omawiająca stosunki Mickiewicza i Puszkina. I wcale pewną dłonią przepisuje nieprawdopodobny *passus* z objaśnień Fürnberga, szkalujący naszego poetę. Z całym spokojem dodaje przy tym, że zdanie to oparte jest zapewne „na jakichś mylnych informacjach“. Co za opanowanie. Ja bym tak nie potrafił.

Z równym spokojem przytacza Dąbrowska zakończenie wiersza Puszkina o Mickiewiczu — dotychczas starannie opuszczane we wszystkich, tak licznych w Roku Mickiewiczowskim, cytatach.

„Spór Puszkina z Mickiewiczem — dodaje przy tym autorka *Szkiców z podróży* — jest dzisiaj przemilczany lub tuszowany, choć nie przynosi on ujmy żadnemu z obu poetów nie będących jagniętami, a żyjących wszak w dramatycznie splątanej historii swych narodów. A oto jakie z tych przemilczeń wynikają nieporozumienia, sięgające daleko poza Polskę!“

Najciekawsze i najważniejsze strony małej książeczki Dąbrowskiej zawarte są w szkicu *Wartburg, czyli pisarze jako ludzie rozmyślający*. Znajdujemy tam niezmiernie cenne uwagi o „drętwej mowie“ — jednakowej i u nas, i u naszych niemieckich sąsiadów. Oczywiście upraszczam tu streszczając: u Dąbrowskiej to jest powiedziane i piękniej, i mądrzej; i tutaj widzimy wysiłek „pisarza rozmyślającego“, aby uchwycić prawdę, która chyba powinna być jedna dla różnych ludzi. Mimo że Dąbrowska parę razy określa jej względność — wierzy jednak w jej osiągalność. I dzielnie opiera się pokusom, które przed nią roztacza diabeł. Rozmowa Dąbrowskiej z diabłem, która stanowi centralną i bardzo ważną scenę jej małej książeczki, stała się już u nas sławna. W znakomicie napisanych tych kartach — będących kwintesencją rozważań o „pisarzu, człowieku rozmyślającym“ — szatan demonstruje raczej myśl praktyczną. Nie jest to diabeł nadmoralności i nadczłowieczeństwa, jaki rozmawiał z Iwanem Karamazowem, nie jest to szatan historiozofii, który swym lodowym chłodem zamroził Adriana Leverkühna; szatan Dąbrowskiej jest o wiele skromniejszy, chociażby ze względu na to, że występuje nie w grubych powieściach, z których obie chciały być summą doświadczeń ludzkich —

ale w skromnym reportażu ze spotkania poetów w Wartburgu. Ale niechybnie jest to potomek tamtych, spłodzonych w wyobraźni Dostojewskiego i Tomasza Manna, do czego zresztą Dąbrowska wyraźnie się przyznaje.

Dąbrowska jest pisarzem, który chętnie zataja swoje przeżycia osobiste. Nigdy nie zwierza się. Żaden z jej utworów nie jest spowiedzią — to znaczy nie jest spowiedzią bezpośrednią, bo ostatecznie każdy pisarz pisze o sobie. I oto w tej obiektywnie „praktycznej" rozmowie z szatanem przemyka coś jak gdyby wyznania osobiste. Jak wiadomo Kaczałow w słynnej inscenizacji *Braci Karamazow* u Stanisławskiego grał i Iwana, i Diabła. Rozmowa ich była tylko wielkim monologiem. Coś podobnego jest i tutaj. Rozmowa Dąbrowskiej z diabłem jest tylko rozmową z samą sobą.

Także i pokusy, jakie diabeł przed autorką *Gwiazdy zarannej* roztacza, są pokusami szeptanymi samemu sobie przez niejednego autora polskiego. Przede wszystkim jest to pokusa złamania pióra.

„Może, jak Luter, chcesz we mnie rzucić kałamarzem? — powiada szatan Dąbrowskiej. — Ale najpierw nie jesteś Lutrem, a po drugie nie używasz kałamarza. Ale — *toutes proportions gardées* — rzuć we mnie wiecznym piórem. Będzie to oryginalna próba »złamania pióra«, co mówiąc nawiasem nie tobie jednej bym doradzał."

Wieczna tragedia pisarska, o której pisał Słowacki dając obraz ślepego Homera, śpiewającego wobec pustej przestrzeni morza. Ta rozpacz, że słowo nasze trafia nie od razu i nie tam. gdzie trzeba, że wywołuje skutek nieprzewidziany — a chwilami myśl, że jest całkiem niepotrzebne. Zamilknąć — to jest wielka pokusa. Ale to odbiera nam poczucie własnego istnienia. Najwięksi tylko potrafili zamilknąć i mimo to żyć, być, istnieć.

„A cóż ty jesteś za pisarz, który nie wie, że wielkimi pisarzami bywali tylko ci, co najstraszniejsze rzeczy mówili swemu narodowi?" — powiada jeszcze diabeł do Dąbrowskiej. To znaczy Dąbrowska mówi sama sobie. Straszna to pokusa. I pokusa zwodna — nawet trochę mesjanistyczna. Pokusa przewodzenia narodowi, mówiąc mu rzeczy s t r a s z n e. Tak, ale co to są straszne rzeczy? Czy to, co mówił Wyspiański wielkimi literami i z dużą ilością wykrzykników, czy też to, co powiedział Goethe w drugiej części *Fausta*? Pieśń z najwyższej wieży — jakby to nazwał Rimbaud.

Mała książeczka Dąbrowskiej jest rejestrem pokus, walk, zawodów i rozczarowań. Jest książką wielkiej pisarki, która w najzwyklejszych okolicznościach banalnej podróży potrafi mówić o rzeczach targających sumieniem pisarza, poczuciem prawdy człowieka. Niewielu pisarzom u nas dana jest taka wewnętrzna pasja myśli i uczucia, która umie przywdziać przyłbicę prostego słowa. I dlatego takim żalem napełniają ostatnie strony opisu podróży Dąbrowskiej — opisu, jak nieudolni organizatorzy krajowi i zagraniczni przyczynili się do tego, że Dąbrowska rozminęła się z Tomaszem Mannem. Mickiewicz podróżował bez delegacji służbowych, bez „osób towarzyszących", bez „towarzystw przyjaźni" (chyba że tak nazwiemy masonerię)... i mimo to dotarł do Goethego. Spotkanie tych dwóch wielkich było skuteczne, płodne. Mamy na zawsze wdzięczność dla losów, które ich zetknęły. Na jakimś planie równoległym mogło nastąpić spotkanie Mann — Dąbrowska. I nie nastąpiło... Odczuwamy z tego powodu szczery żal.

Dąbrowska mimo to kończy swą podróż akcentem wiary, akcentem odnalezionej czy szukanej prawdy. „Tej prawdy, która mówi, że są w Niemczech prawi dziedzice obywatelskiej myśli Manna." W tej skromnej jeśli idzie o rozmiary książce jak w zwierciadle odbiło się oblicze naszej pisarki, pisarki-obywatela. W niedużym, ale gęstym lasku ukrywa się niejeden piękny jeleń.

Jarosław Iwaszkiewicz

O KROK OD SIENKIEWICZA...

Ksawery Pruszyński: *Opowieści*, Warszawa 1955, PIW; str. 334, 2 nlb.

Określenie: „sienkiewiczowska proza" znalazło już sobie miejsce w terminologii historyków i krytyków literatury jako epitet dodatni, wyznaczający dużą skalę rzemiosła pisarskiego. Mimo wszelkie zastrzeżenia, jakie można zgłosić wobec realizmu wizji artystycznej Sienkiewicza — nikt nie pozostaje obojętny na środki, których używa autor *Trylogii*, aby dotrzeć do rdzenia historii, do psychiki i stylu życia ludzi przeszłości, słowem: do zespołu różnych cech, nazywanego potocznie klimatem epoki. Toteż niewielu prozaików po Sienkiewiczu zyskało sobie miano godnych kontynuatorów jego rzemiosła pisarskiego.

Wśród nich — biorąc pod uwagę czasy bliskie nam w porządku chronologii i serca — znajduje się Ksawery Pruszyński. Niemal każdy krytyk piszący o przedwcześnie zmarłym autorze *Trzynastu opowieści* uważa za swój obowiązek umieścić wśród przeróżnych superlatywów i przymiotnik „sienkiewiczowski" — mając przede wszystkim na myśli zmysłową precyzję obrazowania, narracji, stylu Pruszyńskiego. Jego związki z twórcą Zagłoby podkreśla się najchętniej wówczas, gdy zarazem stwierdza się wśród zasług autora *Palików* uszlachetnienie najbardziej nowoczesnej z nowoczesnych technik literackich — reportażu, nadzwyczaj przednie i trafne użycie epitetu — słowem wówczas, kiedy warsztat pisarski Pruszyńskiego zostaje pedantycznie rozebrany na najdrobniejsze cząstki, poddawane później sumiennemu badaniu, czy przypadkiem któraś z nich nie kryje w sobie poszukiwanej tajemnicy prozatorskiego kunsztu. Tymczasem kontynuacja przez Pruszyńskiego linii pisarskiej Sienkiewicza nie przypomina w niczym warsztatowego kółeczka, dostrzeżonego przez lupę krytyka — jest natomiast czynnikiem, który jakoś decyduje o znaczeniu autora *Spadochronowego witrażu* w naszej literaturze — nie tylko współczesnej.

Sienkiewicz patrzył na dziejową burzę, jaka przewalała się przez ziemie Rzeczypospolitej w pamiętnym wieku XVII, w dużej mierze przez pryzmat wojny i walki, rozumianej jako harce rycerskie, sport wysokiej klasy, okazja do indywidualnego bohaterstwa i popisu. Coś z takiego sposobu pojmowania wojny jest i w opowiadaniach Pruszyńskiego. Nie miał on okazji poznać — tak jak my, którzy zostaliśmy w kraju — wojny, okupacji, faszyzmu z pozycji — najogólniej mówiąc — „szczutego zwierzęcia", z pozycji człowieka, któremu odmawia się prawa do człowieczeństwa — żołnierza, nie będącego w oczach wroga żołnierzem. Prowadzona z takiej pozycji walka przeciw hitleryzmowi nie przypominała w niczym tradycyjnego, błyszczącego i błyskotliwego romantyzmu wojny uważanej za harce, pojedynek, sport. Sława i chwała opromieniająca podziemną walkę w kraju była inna, nowa i gorzka — niełatwa do przyjęcia, tym mniej — dająca powody do radości...

Pruszyńskiemu łatwiej było przedstawiać wojnę z Niemcami w sposób dawno znany i uznany przez literaturę, publicystykę, historiografię (w jej najbardziej plotkarskim odcieniu). Nie oskarżam tutaj autora *Odejść i powrotów* o niezrozumienie faszyzmu i — tym samym — niezrozumienie najgłębszego, najbardziej humanistycznego sensu ubiegłej wojny, który (i tylko on!) godny był ofiary ludzkiej, żołnierskiej, polskiej krwi. Pruszyński oglądał przecież już faszyzm z lewej, rewolucyjnej strony hiszpańskiej barykady — widział go więc i rozumiał dużo wcześniej. Nie chcę również wymierzać, o ile okupacyjna twórczość Andrzejewskiego, Borowskiego, Nałkowskiej jest lepsza od emigracyjnego dorobku Pruszyńskiego, Bronewskiego, Słonimskiego. Chcę natomiast uwypuklić wartości, jakie wniósł Pruszyński do literatury o polskich latach 1939 — 45, poprzedzających i przygotowujących okres, w którym żyjemy, pracujemy i walczymy my...

Wojna była więc, musiała być, dla ucznia Sienkiewicza także przygodą. Przygoda jest nader wartościowym,

ciekawym i niezastąpionym czynnikiem w życiu człowieka, cieszącego się urodą świata. Jeśli tę przesłankę uwzględnimy w ocenie poszczególnych przygód, na których oparły się wszystkie opowiadania Pruszyńskiego — zrozumiemy, dlaczego tyle optymizmu i radości życia (dziwnie, jakby się zdawało, nie pasujących do trudnych lat ubiegłej wojny) znajduje się w prozie autora *Trębacza z Samarkandy*. Pruszyński nie tylko lubił, ale i potrafił znakomicie opowiadać o przygodach żołnierskich, ponieważ przeżywał drugą wojnę światową także jako żołnierz — zatem ktoś, kto jest z lekka romantycznym bohaterem wojny i ma w niej najwięcej praw i przywilejów — nawet (tak przynajmniej być powinno) w oczach przeciwnika. Niewątpliwie: w oczach Pruszyńskiego — pisarza i żołnierza — dostrzegamy nieraz błysk zrozumienia dla rzeczywistej, nieludzkiej wartości wroga i światopoglądu, przeciw któremu toczy się walka. Tutaj właśnie — po raz pierwszy — dostrzegamy krok naprzód Pruszyńskiego w stosunku do Sienkiewicza...

Różne były cele twórczości artystycznej obu pisarzy — rozmaite przyczyny przypominania przez nich dawnej i niedawnej przeszłości. Sienkiewicz pisał *Trylogię* — z tym bowiem utworem proza Pruszyńskiego spokrewniona jest najbliżej — by pokrzepić serca, a przeszłość postawić współczesnym nie tylko jako otuchę, ale i za wzór do naśladowania. Domieszka do prozy elementów reportażu — tej swoistej fotografii literackiej — ułatwiała niewątpliwie Pruszyńskiemu wymierzanie sprawiedliwości czasom przezeń oglądanym i odczuwanym i pomagała utrwalić ich patos zawarty w rzetelnym heroizmie ludzi, nie wspomnianych przez komunikaty frontowe. Tym łatwiej przychodziło to Pruszyńskiemu, że przeżywał on przecież — jak już wspomniałem — wojnę jako przygodę, widział ją także jako mozaikę indywidualnych, bohaterskich lub tchórzliwych, czynów ludzkich. Opowieść o takich czynach, zdarzeniach i bohaterach — czyli a n e g d o t a — jest istotnym rdzeniem każdego z utworów Pruszyńskiego zamieszczonych w *Opowieściach* i dokoła niego właśnie narasta cała literacka tkanka tła, akcji i i n t e r p r e t a c j i...

Właśnie interpretacja najbardziej odróżnia Pruszyńskiego od Sienkiewicza a zarazem zbliża do nas autora *Opowieści*. Sienkiewicz sięgał do przeszłości chcąc, by powtórzyła się raz jeszcze, Pruszyński — by się nie powtórzyła nigdy. Lata 1939 — 1945 były dla wielu naszych pisarzy i dla wszystkich p r a w d z i w y c h twórców okresem rozrachunku ze światem i człowiekiem, którego oni utrwalali, a nieraz i uszlachetniali w swoich dziełach. Do takiego rozrachunku dużo trudniej było zabrać się Pruszyńskiemu, bardziej — jak każdemu literackiemu krewniakowi Sienkiewicza — chętnemu do oglądania niż do p o d p a t r y w a n i a historii.

Na pozostanie tylko na stanowisku obserwatora nie pozwoliły autorowi *Opowieści* sumienność i sumienie pisarskie, których posiadania dowiódł swym całym życiem i twórczością od *Czerwonej Hiszpanii* do urwanych reportaży Polski dzisiejszej. Toteż bez przesady można uważać wojenne opowiadania Pruszyńskiego za polski odpowiednik *Wielkiej wojny białych ludzi* Arnolda Zweiga. Nie porównuję tych utworów ze względu na ich znaczenie w literaturze powszechnej, ale z uwagi na ich rolę w kulturze własnego narodu.

Podobnie jak Zweig — Pruszyński podpatruje zawiły mechanizm wojny i historii. Na poparcie takiej tezy przytacza się zwykle opowiadanie *O głowę murzyńskiego króla*, w którym pisarz porównuje w satyrycznym skrócie walkę po stronie aliantów jednego z afrykańskich plemion i — Polaków, pokazuje „realną", kupiecką wartość naszych zwycięstw i bohaterskich wyczynów na Zachodzie. Jednakże ta „podszewka historii" jest wyciągana przez pisarza w każdym z jego utworów w ten sposób, jak gdyby chciał on niedawną przeszłość sprowadzić do właściwych, dokumentarnych wymiarów prawdy. Nie była to łatwa praca. Doświadczenia życiowe i literackie Pruszyńskiego były bowiem, mimo wszystko, zbyt skąpe, by ważył się on na zaatakowanie poprzez swój rozrachunek z teraźniejszością bezpośrednio i wprost faszyzmu niemieckiego i bestialstwa hitlerowskiego. Z drugiej strony zmysł pisarza-realisty a także poczucie odpowiedzialności za podjęte przez siebie zadanie twórczce nie pozwalały Pruszyńskiemu na uchylenie się

od takiego rozrachunku i pozostanie tylko bezkrytycznym chwalcą teraźniejszości. Trzeba było zatem rozpocząć owo pisarskie porządkowanie świata od podwórka własnego narodu.

Kazimierz Koźniewski wiąże — nie zawsze zresztą wyczerpująco—we wstępie do omawianej książki poszczególne opowiadania Pruszyńskiego z akcją publicystyczno-społeczną, podjętą przez pisarza na emigracji. Do wyczerpującego i jasnego wykładu tych powiązań konieczna jest bowiem szczegółowa analiza ideologii, historii i socjologii tzw. emigracji londyńskiej — do czego daleko jeszcze naszej nauce. Jednakże lektura *Opowieści* raz po raz dostarcza bogatego, acz pozornie marginesowego, materiału, dokumentującego owe rozliczenia pisarza z Polską przedwrześniową i sanacyjną — Polską, której powrotu Pruszyński zdecydowanie nie chciał i nie mógł chcieć. Przypomnijmy sobie chociażby tylko d w a zdania, określające skądinąd sympatycznego bohatera *Palików*, sierżanta Józefa Pileckiego, który „był starym zawodowym podoficerem Wojska Polskiego, ani gorszym, ani lepszym od kilkunastu tysięcy takich samych właśnie jak on". On to „zarządzał alarmy i pobudki, uczył składania mundurów w »kostkę«, wsadzał do paki i ćwiczył »żabki« — słowem czynił to wszystko, co mu kazano czynić i od czego, jak zapewniały władze, zależy, jak dwa a dwa cztery, wygranie przyszłej wojny". A dalej: „mechanizm sierżanckiej mózgownicy był jednak przez kilkanaście lat służby podoficerskiej nastawiony na wszystko: na kombinacje, na markierowanie, na puc — tylko nie na samodzielne myślenie". W tych dwóch niewielkich zdaniach zawarty został — nie mniej jednoznaczny od *Żołnierzy* Adolfa Rudnickiego — bezlitosny wyrok na wojsko sanacyjne, na jego metody szkoleniowe i wychowawcze, który zarazem określa istotne — choć nie jedyne — przyczyny rozkładu w przeciągu jednego miesiąca tej polityczno-gospodarczo-kulturalnej sklejanki, jaką była Polska międzywojenna. Pruszyńskiemu nie starczyło czasu i życia, by szukać środków zaradczych i lekarstw na owo, istniejące dalej na emigracji, zło — wytyczył jednak poprzez swe utwory, publicystykę i działalność społeczną drogę do Polski, którą przypominać byłoby truizmem — o nią bowiem walczy nasza współczesność.

Ksawery Pruszyński potrafił — w tym leży jego wielka, nie tylko literacka zasługa — oderwać znakomicie podpatrzoną i unowocześnioną w realiach technikę pisarską Sienkiewicza od ideologicznej twórczości autora *Rodziny Połanieckich*, co więcej: umiał tę technikę zastosować dla własnych, słusznych celów. Podkreślone bowiem wyżej umiłowanie przygody, anegdota i gawędziarstwo są najistotniejszymi cechami powieści i postaci Sienkiewicza, które odnajdziemy zarówno w *Ogniem i mieczem*, jak i w późniejszych tomach (Zagłoba, Kmicic, a nawet Wołodyjowski i Zbyszko z Bogdańca). Czasy, w jakich żył i tworzył swoje wojenne opowieści Pruszyński, nakłaniały na pewno nie mniej od początku dwudziestego wieku do twórczości dla pokrzepienia polskich serc, do uprawiania bezkrytycznego kultu bohaterów i bohaterskich czynów. Krok naprzód w stosunku do Sienkiewicza, który uczynił mimo to Pruszyński — jego wymiary starałem się określić w niniejszym szkicu — jest wiele wart dla nas dzisiaj. Tym ciężej, że droga, na której Pruszyński zaczął stawiać takie kroki — zbyt szybko się urwała...

Zbigniew Pędziński

„LISY W WINNICY“

Lion Feuchtwanger: *Lisy w winnicy*. Przełożył Jacek Frühling. Wiersze przełożył Włodzimierz Lewik. Warszawa 1956. Państwowy Instytut Wydawniczy; tom pierwszy — str. 559, tom drugi — str. 499.

Już współczesnych zdumiewały i fascynowały losy Beaumarchais'go. Był tematem utworów literackich, zanim sam zapewnił sobie dwiema komediami trwałe miejsce w historii literatury i teatru. Nim zdążył napisać *Cyrulika sewilskiego* i *Wesele Figara*, zapłodnił wyobraźnię pisarza tej miary, co Goethe, który wokół jego przygód w Hiszpanii osnuł akcję tragedii *Clavigo*.

Po słynnej premierze *Wesela Figara* aktorzy Théâtre Français postanowili umieścić popiersie poety w westibulu teatru obok popiersi Corneille'a, Racine'a, Moliera i Woltera. Ale Beaumarchais nie stał się nigdy czcigodnym zabytkiem w panteonie literatury. Owo popiersie, dłuta Houdona, jest wprawdzie z brązu, trudno jednak o geniusza bardziej opornego wobec zabiegów „brązowników“ aniżeli Beaumarchais.

Był bowiem — jak pisze Boy — „wszystkim po trosze, a najmniej pisarzem“. Kochał namiętnie: i kobiety, i pieniądze, i politykę, i sztukę, i afery wszelkiego rodzaju. Był zegarmistrzem, muzykiem, kupcem, szpiegiem, finansistą, wynalazcą, politykiem, spekulantem, był wreszcie i dworakiem, i rewolucjonistą.

Ukazanie postaci Beaumarchais'go jest po dziś dzień pasjonującym zadaniem — dla historyka, dla psychologa, dla pisarza. Historyka pociąga przede wszystkim fakt, że Beaumarchais wywarł bezpośredni wpływ na dwa największe wydarzenia XVIII wieku — na rewolucję amerykańską i na rewolucję francuską. Psychologa interesuje przede wszystkim zaskakujące połączenie w osobowości Beaumarchais'go cech jak najbardziej sprzecznych i pozornie nie dających się ze sobą pogodzić. A pisarz nie może nie zauważyć, że życie Beaumarchais'go jest — cytujemy znowu Boya — „satyrą *ancien régime*'u, co najmniej równie kapitalną jak jego dzieło“.

Lion Feuchtwanger jest historykiem, psychologiem i pisarzem. Jego interpretacja historii opiera się zawsze na psychologicznej analizie jednostki. I odwrotnie: analizy psychologiczne Feuchtwanger przeprowadza najchętniej na przykładach zaczerpniętych z historii. Nad uczonym góruje jednak artysta — wynikom swych badań historiozoficznych i psychologicznych Feuchtwanger nadaje kształt powieści.

Utwory o tematyce współczesnej Feuchtwanger pisze na ogół dość szybko, projekty jego powieści historycznych z reguły dojrzewają przez długie lata. Realizację tych projektów niekiedy pisarz powierza najpierw stworzonym przez siebie postaciom fikcyjnym. Marcin Krüger, jeden z bohaterów *Sukcesu* (1930), pisze monografię o Goyi, Erich Wiesener, jeden z bohaterów *Wygnania* (1940), pracuje nad książką o Beaumarchais. Powieść Feuchtwangera o hiszpańskim malarzu ukazała się w roku 1951, natomiast powieść biograficzna o francuskim pisarzu nie powstała w ogóle. Albowiem *Lisy w winnicy* (1947/48) nie są książką o Beaumarchais — pierwotny projekt przeobraził się w rozległy obraz epoki, w którym historia autora *Cyrulika sewilskiego* jest zaledwie jednym z wątków.

Jakimi względami kierował się autor w jednym wypadku pisząc powieść osnutą wokół postaci tytułowej, której losy stanowią konstrukcyjną oś utworu, w drugim zaś rezygnując z takiego właśnie zamiaru?

W twórczości Feuchtwangera z lat dwudziestych i częściowo jeszcze trzydziestych zarysowuje się niejednokrotnie dość wyraźna supremacja psychologa nad historykiem. Postacie i realia historyczne autor traktuje przede wszystkim jako preteksty fabularne i dekoracyjne do powieści analizujących i obrazujących współczesne problemy psychologiczne. Innymi słowy: psycholog przywołuje na pomoc historyka.

Z powieścią historyczną tego typu (a raczej pseudohistoryczną) Feuchtwanger zrywa w połowie lat trzydziestych. Odtąd pragnie „przeszłość i dzieje uczynić owocnymi dla współczesności i przyszłości“. Analizy charakterologiczne spełniają teraz funkcję służebną wobec

nadrzędnej myśli interpretacyjnej, historyk korzysta z pomocy psychologa.

Toteż postacie dwóch wielkich artystów XVIII wieku — Goyi i Beaumarchais'go — przykuły uwagę epika Feuchtwangera nie tyle ze względu na ich wysoce interesujące biografie i sylwetki psychologiczne, ile przede wszystkim ze względu na zasadnicze problemy ideowe, jakie ujawniły się w ich życiu.

W wypadku Goyi chodzi o zagadnienie współzależności i syntezy sztuki i polityki. Walka i dzieło hiszpańskiego malarza okazały się materiałem wręcz znakomitym do ukazania tego zagadnienia, a tradycyjny schemat powieści rzutującej ewolucję bohatera na tło epoki — dostatecznym do udźwignięcia ciężaru spraw, które autor pragnął zobrazować.

Inaczej sprawa przedstawiała się w wypadku Beaumarchais'go.

Początkowo pociągał pisarza ten sam problem. W ogłoszonym w roku 1954 szkicu *Arbeit an einem Roman* Feuchtwanger pisze o pierwotnym bohaterze *Lisów w winnicy:*

„Człowiek ten dostarczył Amerykanom broni, która umożliwiła im zwycięstwo pod Saratogą, i napisał *Figara,* komedię, która była introdukcją do rewolucji francuskiej. Wyczuwałem, że musiały tu istnieć liczne powiązania."

Jednakże Feuchtwanger nie ograniczył się do wykrycia i interpretacji tych powiązań w osobowości Beaumarchais'go, do czego wystarczyłby — jak w późniejszej powieści o Goyi — schemat biograficzny, lecz pokusił się o koncepcję o wiele ambitniejszą. We wspomnianym szkicu czytamy:

„Musiała istnieć możliwość ukazania — biorąc tego człowieka jako punkt wyjścia — wpływu rewolucji amerykańskiej na dzieje świata, ukazania, że to wielkie wydarzenie nie ograniczyło się wyłącznie do kontynentu zachodniego, lecz w istocie poruszyło cały świat."

Ale i ta koncepcja nadal rozszerzała i pogłębiała się w toku pracy nad powieścią. Autor chciał bowiem dowieść, „że historia, chociaż czasem krętymi, okrężnymi drogami, zmierza do określonych celów, ...że bieg historii ma sens, nawet jeżeli sens ten nie jest od razu widoczny".

Jest rzeczą jasną, że do tak pojętego zadania postać Beaumarchais'go była wprawdzie wysoce przydatna, ale jednak zdecydowanie niewystarczająca. Mogło ono znaleźć rozwiązanie jedynie w ramach powieści wielowątkowej.

Postacie i wątki *Lisów w winnicy* są logicznym następstwem podstawowego zamierzenia autorskiego — chcąc zobrazować swe tezy na przykładzie przedrewolucyjnej Francji ze szczególnym uwzględnieniem powiązań z amerykańską walką o niepodległość, Feuchtwanger musiał wprowadzić trzy zasadnicze grupy postaci, a mianowicie: reprezentantów Francji feudalnej (Ludwik XVI, Maria Antonina, Maurepas, Vergennes, Vaudreuil), ludzi głoszących idee, które doprowadziły do rewolucji (Beaumarchais, Wolter, Lafayette) i wreszcie przedstawicieli nowej Ameryki (Beniamin Franklin i jego współpracownicy).

Niezliczone trudności piętrzyły się przed autorem *Lisów w winnicy,* jedna polegała na tym, by tak liczne postacie historyczne powiązać wspólną fabułą powieściową. Trudności tej nie udało się Feuchtwangerowi w pełni pokonać.

Rezygnując bowiem — i słusznie — ze zbudowania powieści wokół jednej czołowej postaci, pisarz musiał siłą rzeczy oprzeć swój utwór o centralną intrygę o charakterze nowelistycznym. Kilkakrotnie powiodło się to znakomicie: w *Sukcesie* (sprawa uwięzienia Marcina Krügera), w *Wygnaniu* (sprawa porwania dziennikarza Beniamina), w *Samozwańczym Neronie* (sprawa zaznaczona w tytule) i wreszcie w ostatnim dziele Feuchtwangera, w *Żydówce z Toledo* (miłość króla Alfonsa VIII do Raquel). W każdej z tych powieści centralna intryga jest dostatecznym pretekstem fabularnym do ukazania tego wszystkiego, co autor pragnie ukazać.

W *Lisach w winnicy* natomiast brak nie tylko głównego bohatera (co, oczywiście, żadnych zastrzeżeń nie nasuwa), ale i centralnej kwestii, wokół której zgrupowany byłby cały materiał epicki. Początkowo wydaje się, że sprawa uzyskania pomocy Francji dla amerykańskiej walki o niepodległość ma być osią powieści, później jednak pojawia się bez przyczynowego powiązania druga, równolegle rozwijająca się sprawa — intrygi i starania zmierzające do wystawienia *Wesela Figara* na scenie.

Rzecz w tym, że obydwie kwestie jeszcze nie dają autorowi możliwości do stworzenia tak szerokiego obrazu epoki, jaki ze względu na zasadnicze zało-

żenia *Lisów w winnicy* uważa za konieczny. Wobec tego pisarz wprowadza do utworu postacie (bynajmniej nie marginesowe), których zjawienie się nie wynika z samej akcji i nie jest też konieczne ze względu na dalszy bieg wydarzeń powieściowych. Postacie takie to Wolter, Lafayette, cesarz Austrii, Józef II. Sceny, w których występują, na pewno nie są zbyteczne, a rozdziały poświęcone Wolterowi śmiało zaliczyć można do najbardziej sugestywnych fragmentów *Lisów w winnicy*, niemniej dowodzą, że powieść pozbawiona jest spoistości i zwartości.

Brak dostatecznie silnego, centralnego motywu spajającego całość powoduje też, że powiązanie fabularne między dwiema czołowymi postaciami utworu (Beaumarchais'm i Franklinem) jest tylko nikłe. Choć obaj dążą do tych samych celów, choć dochodzi do spotkań między nimi, to jednak portrety ich ukazane są w dwóch oddzielnych, równolegle rozwijających się wątkach.

Z powyższego wynika, że Feuchtwanger nie znalazł zadowalających ram kompozycyjno-fabularnych, których domagał się niezwykle skomplikowany i szeroki temat. Zarzut to poważny, ale też jedyny istotny, jaki podnieść można przeciwko *Lisom w winnicy*.

■

Podstawowa koncepcja historiozoficzna *Lisów w winnicy* jest właściwie bardzo prosta i — mówiąc bez ogródek — bardzo banalna. „Jesteśmy obaj dość starzy — mówi premier Francji Maurepas do Franklina — by wiedzieć o tym, jak olbrzymią rolę odgrywa w historii świata sprzyjająca okoliczność... A może sądzi pan, że historią kieruje jakieś prawo głębsze od takich przypadków? Bo ja tak nie sądzę... Im dłużej żyję, tym wyraźniej uświadamiam sobie: historia świata nie ma sensu. Toczy się to i faluje we wszystkich kierunkach, a my się w tym pluskamy i prąd nas unosi."

Fatalizmowi i kwietyzmowi francuskiego polityka Feuchtwanger zrazu przeciwstawia tylko krótką odpowiedź Franklina („Sądzę, że próbujemy nadać sens historii świata"), później zaś jego rozmyślania w czasie podpisywania paktu między Francją a Stanami Zjednoczonymi:

„Tłusty młody Ludwik bronił się rękami i nogami przed podpisaniem traktatu, nie chciał uznać niepodległości trzynastu stanów, mówił ciągle: nie, nie! Był monarchą absolutnym, królem Francji, niezależnym od żadnego parlamentu, mógł robić, co chciał. Ale widocznie nie tak bardzo mógł robić, co chciał, wprost przeciwnie, musiał robić to, czego nie chciał. To, co się ogólnie nazywa historią świata, było silniejsze od niego i kazało mu być posłusznym. A więc w historii świata tkwił jakiś sens i skłaniał ludzi do poruszania się w pewnym kierunku, niezależnie od tego, czy chcieli, czy nie chcieli."

Feuchtwanger wystrzega się rażącego anachronizmu, jakim byłaby u Franklina pełna świadomość rozwoju historycznego, toteż wniosek powyższy jest dość ogólnikowy i nieco mglisty i w dalszym toku powieści będzie *explicite* wyłożony. Spowodowało to pewne nieporozumienia: niektórzy nadgorliwi krytycy w Niemieckiej Republice Demokratycznej dopatrywali się w *Lisach w winnicy* niemal odbicia koncepcji automatyzmu historycznego.

Jednakże z całego utworu wynika niedwuznacznie właściwa intencja autora: idee postępu torują sobie drogę przez gąszcz wydarzeń i w ostatecznym rezultacie zwyciężają — nie automatycznie i nie dzięki przypadkom, ale na skutek celowej, świadomej działalności ludzkiej, na skutek powiązań i przyczynowych uwarunkowań zdarzeń i zjawisk epoki.

Zawarta w *Lisach w winnicy* podstawowa interpretacja dziejów jest głęboko deterministyczna. Nigdy jednak pisarz nie ulega wulgarnemu pojęciu konieczności historycznej, nie upraszcza złożonych procesów historyczno-społecznych gwoli wyraźniejszej, ale mniej prawdziwej egzemplifikacji głoszonych tez o prawidłowości rozwoju historycznego. Wręcz odwrotnie: interesują go przede wszystkim zagmatwane zjawiska i postacie skomplikowane, pociąga go ukazanie różnorodnych jednocześnie działających motywów postępowania, pasjonuje go gra ambicji osobistych i intryg.

Wiele miejsca poświęca autor *Lisów w winnicy* przypadkowym okolicznościom, korzystnym lub niekorzystnym dla ludzi dążących do urzeczywistnienia postępowych haseł, unaocznia, że przypadki wprawdzie przyśpieszają lub opóźniają realizację wielkich idei, lecz nigdy nie mają — w perspektywie hi-

storycznej — decydującego wpływu na bieg wydarzeń. Feuchtwanger wierzy w immanentny sens historii, bo wierzy w rozsądek, w postęp. „Cień nie zaciemnia światła, za to światło płonie w ciemnościach“ — rozmyśla Franklin w powieści.

Cała rzecz w tym, że Feuchtwanger tezy swe, przecież pozbawione odkrywczości, zdołał uzmysłowić z niezwykłym rozmachem epickim. Bogactwo obrazów, epizodów i postaci zdaje się niekiedy rozsadzać ramy utworu, które — jak wspominaliśmy — nie są najszczęśliwiej obrane, ale wizja epoki jest głębsza, szersza, bardziej sugestywna aniżeli we wcześniejszych powieściach historycznych autora. Nie trzeba podkreślać barwności i trójwymiarowości historycznej scenerii ani kunsztownej konstrukcji dialogów — pod tym względem Feuchtwanger wcześnie przyzwyczaił swych czytelników do najwyższego poziomu i jak dotąd nigdy jeszcze nie zawiódł. Siła powieści tkwi jednak przede wszystkim w portretach psychologicznych jej czołowych postaci.

Wizerunki bohaterów *Lisów w winnicy* są — z wyjątkiem Beaumarchais'go — raczej statyczne. O niezwykłym bogactwie tych postaci decyduje w szczególności stała konfrontacja ich postępowania z ich światem myślowym, a jedynie w wypadku Beaumarchais'go także różnorodność sytuacji, w jakich się znajduje i na jakie musi natychmiast reagować.

Niewielkie fragmenty życia Beaumarchais'go, Franklina, Ludwika XVI czy Woltera są dla autora wystarczające, by stworzyć żywe portrety, w których ujawniają się i sprzeczności epoki, i podstawowe prawa historii. Z wielkim umiarem stosuje Feuchtwanger retrospekcję — dowiadujemy się tylko o nielicznych, starannie wybranych faktach z minionych dziejów tych postaci, przy czym wszelkie informacje tego typu są wzorowo wkomponowane w żywą materię epicką.

Nie obarczając powieści retrospekcją — a pokusa była wielka, bo jakże bogata i ciekawa jest przeszłość Beaumarchais'go, Franklina, Woltera — pisarz wystrzega się również innego niebezpieczeństwa, grożącego niemal każdej powieści historycznej: antycypacji. Feuchtwanger nie pozwala swym bohaterom zbyt trafnie oceniać zawiłego splotu wydarzeń w ich czasach, nie obdarza ich świadomością przyszłych dziejów ludzkości i przyszłych ich losów osobistych.

Pisarz pokazuje ludzi, którzy są dziećmi swego stulecia, których osobowość została ukształtowana przez konkretne warunki życia i zjawiska ideologiczne XVIII wieku. Są to jednak postacie nie tylko historycznie prawdopodobne na miarę naszej wiedzy o epoce, ale zarazem nam, ludziom XX wieku, bardzo bliskie.

Bohaterowie *Lisów w winnicy* są nam pokrewni w sposobie odczuwania życia i reagowania na otaczający świat — a to nie tylko dlatego, że rzecz dzieje się w okresie przełomowym, w którym łatwo doszukać się wyraźnych analogii do naszych czasów. Niewątpliwie autor wyposażył ich tu i ówdzie w doznania, wyobrażenia, sposoby rozumowania itd. raczej charakterystyczne dla ludzi naszej epoki.

Wiadomo, że w pewnych granicach są anachronizmy psychologiczne w powieściach, których akcja toczy się w dalekiej przeszłości, nie do uniknięcia, a częstokroć nawet wskazane. Granice te Feuchtwanger nieraz przekraczał — w takich utworach, jak *Żyd Süss*, *Samozwańczy Neron* czy *Brzydka księżniczka*, której postać tytułowa jest jednym wielkim anachronizmem psychologicznym.

Jednakże w *Lisach w winnicy* psychologiczna modernizacja nie razi i nie narusza historycznego prawdopodobieństwa — nie jest bowiem widoczna w czynach i wypowiedziach bohaterów, lecz została z taktem i umiarem ograniczona do towarzyszącego działaniu poszczególnych postaci wewnętrznego nurtu doznań intelektualnych i głębszych przemyśleń.

Charakterystyczne jest również uporczywe dążenie autora do sprawiedliwej, obiektywnej, choć oczywiście nie obiektywistycznej oceny ludzi XVIII wieku. W posłowiu do *Wygnania* Feuchtwanger pisze:

„Nie wolno mi było... tłumić sympatii, które odczuwałem dla poszczególnych postaci książki nawet wtedy, kiedy rozum pouczał mnie, że wszystko, co ci ludzie myśleli, czynili, przeżywali i czym byli, musiało przynosić szkodę ogółowi... Nie wolno mi było wreszcie przechodzić do porządku nad niesympatycznymi cechami takich ludzi, którzy ogól-

nie biorąc byli pożyteczni i godni uznania."

Słowa powyższe dotyczą wprawdzie powieści o tematyce ściśle współczesnej, ale można je w równej mierze odnieść do *Lisów w winnicy*. Feuchtwanger nie ukrywa pobłażliwości dla Marii Antoniny, współczucia dla Ludwika XVI, sympatii dla starego premiera Maurepas, nie tuszuje krytycznego stosunku do Beaumarchais'go czy Woltera, a z ludzi amerykańskiego kongresu wręcz kpi.

Postacie wielokrotnie ukazywane w literaturze światowej pojawiają się w *Lisach w winnicy* w nowym świetle. Feuchtwanger sięga głębiej, widzi więcej niż jego poprzednicy. Ogromny bagaż wiedzy — historycznej, psychologicznej, socjologicznej — nie przygniata wiecznie młodzieńczego temperamentu pisarza, w jego spojrzeniu na ludzi pasja idzie w parze z rzeczowością. Intelektualna wrażliwość i dociekliwość Feuchtwangera łączy się z jego ciągłym niepokojem moralnym.

Autor potrafi się uwolnić od przesądów, konwencji czy utartych poglądów, ocenia historyczne postacie surowo i jednocześnie wyrozumiale i zawsze jest to ustosunkowanie aktywne i gorące, niemal gwałtowne, w pewnej mierze impulsywne.

Jego Wolter budzi litość swym strachem przed śmiercią i Kościołem, zdumiewa swą starczą pogonią za sławą i sukcesami, jest bardzo ludzki — ale zarazem z postaci emanuje potęga intelektu i prawdziwa wielkość.

Jego Maria Antonina święcie wierzy, że los przeznaczył ją do odegrania szczególnej roli w historii ludzkości i że ona kieruje wszystkimi, gdy w rzeczywistości wszyscy kierują nią. Na ogół dopatrywano się w Marii Antoninie rysów tragizmu, Feuchtwanger uwypukla raczej rysy komizmu.

Jego Ludwik XVI natomiast wcale nie jest komiczny. Nie dorównuje on ludziom ze swego otoczenia bystrością, sprytem, ogładą, przerasta ich jednak rozsądnym, praktycznym spojrzeniem na świat. On jeden przeczuwa czy nawet pojmuje, że ministrowie francuscy popierając amerykańską walkę o niepodległość podcinają gałąź, na której siedzą, toteż przeciwstawia się sojuszowi ze Stanami Zjednoczonymi, boi się *Wesela Figara*, nienawidzi Woltera i Franklina.

Maria Antonina jest śmieszna, bo nie widzi dyskrepacji między jej wyobrażeniem o świecie a rzeczywistością. Ludwik XVI jest tragiczny, bo wie, że „wody rebelii wzbierają" i zdaje sobie sprawę ze swojej bezsilności.

W portretach pary królewskiej Feuchtwanger nie mógł jeszcze rozwinąć całego swego kunsztu — historyczne pierwowzory krępowały nieco wyobraźnię pisarza, którego pióro odnosi największe triumfy, gdy kreśli wizerunki intelektualistów.

Jego ulubionymi postaciami są artyści lub intelektualiści żądni sławy albo władzy, ludzie odznaczający się witalnością i temperamentem, fantazją i lotnością umysłu, ambicją i próżnością, wyrachowaniem i poczuciem rzeczywistości. W historycznych powieściach Feuchtwangera bohater czuje się przeważnie pokrzywdzony z powodu pochodzenia narodowościowego lub społecznego, przy czym kompleks niższości jest podświadomym bodźcem do jakiegoś wielkiego przedsięwzięcia. Amplituda moralna tych bohaterów, którzy pojawiają się w epice Feuchtwangerowskiej, oczywiście w najrozmaitszych odmianach indywidualnych, sięga od zbrodni do ofiary dla dobra ludzkości, amplituda intelektualna — od przeciętnego umysłu do geniuszu.

Jednym z takich bohaterów jest Beaumarchais z *Lisów w winnicy*. Jego wizerunek kreśli Feuchtwanger, który po mistrzowsku stosuje wszelkie środki charakteryzowania postaci powieściowych, najpierw sposobem najprymitywniejszym — komunikuje czytelnikowi jego główne cechy psychiczne przy pomocy prostych zdań konstatujących, zawartych w komentarzu odautorskim:

„Pierre Caron de Beaumarchais... ma charakter szlachetny, co więcej — jest wspaniałomyślny i wielkoduszny, a jednak tkwi w nim kawał komedianta, nurtuje go tak nieposkromiona żądza odegrania pierwszych skrzypiec, że to aż graniczy ze śmiesznością. Szybki i pewny w sądach o ludziach i sprawach, nigdy nie przenika ich do głębi... Jest bardzo rozumny, lecz brak mu prawdziwej mądrości... Głowę ma otwartą dla wielkich idei współczesności, nawet jeżeli są ze sobą sprzeczne."

Na tym introdukcyjnym szkicu psychologicznym, z którego przytoczyliśmy tu zaledwie kilka zdań, opiera się, jakby na solidnym fundamencie, finezyj-

ny portret Beaumarchais'go. Feuchtwangera fascynuje połączenie w osobowości francuskiego pisarza snobizmu z intelektem, próżności z talentem. Z pasją wykrywa autor współdziałanie osobistych i ogólnych motywów skłaniających Beaumarchais'go do jego różnorodnych przedsięwzięć — począwszy od potężnej akcji pomocy dla Amerykanów, a skończywszy na *Weselu Figara*. Ten Feuchtwangerowski Beaumarchais jest rzeczywiście „rozrzutny w stosunku do swego czasu, pieniędzy, talentu i życia", jest rzeczywiście oszustem i ideowcem, awanturnikiem i bohaterem, kabotynem i geniuszem.

Wizerunek Franklina stanowi niejako antytezę psychologiczną do Beaumarchais'go. Gdy Beaumarchais jest błyskotliwy, młodzieńczy, impulsywny i lekkomyślny, Franklin jest głęboko mądry, dojrzały, stateczny i ostrożny. Beaumarchais urzeka, Franklin budzi sympatię i podziw. I jeden, i drugi żyje pełnią życia, ale stosunek artysty Beaumarchais'go do świata jest namiętny i agresywny, stosunek uczonego Franklina — badawczy i refleksyjny.

W obu postawach ujawnia się spojrzenie autora *Lisów w winnicy* na historię. Ważki odcinek dziejów ludzkości Feuchtwanger zobrazował z temperamentem i polotem Beaumarchais'go i zinterpretował z filozoficzną zadumą Franklina.

*

Państwowy Instytut Wydawniczy przydzielił wprawdzie *Lisom w winnicy* świetny papier, ale zgubił: a) prolog (*Vorspruch*), b) cztery motta, c) posłowie autora. Zdaje się, że trochę dużo. Zamiast tego wydrukowano artykuł, w którym Feuchtwanger opowiada, jak pisał *Lisy w winnicy*. Artykuł, owszem, doskonały, nie usprawiedliwia jednak opuszczenia wspomnianych, integralnych części książki i zresztą nie nadaje się na wstęp — mógł być ewentualnie umieszczony jako aneks do powieści.

Jacek Frühling już w *Sukcesie* trafnie uchwycił ton Feuchtwangera. I tym razem dał tłumaczenie żywe, na ogół wolne od naprężeń stylistycznych i bez niewolniczej wierności odtwarzające wszystkie najbardziej istotne cechy oryginału.

Marceli Ranicki

PRZEGLĄD PRASY

W 39 numerze *„Przeglądu Kulturalnego“* ukazał się przekład artykułu György Lukácsa pt. *Walka postępu z reakcją we współczesnej kulturze.* W artykule tym znakomity teoretyk marksizmu ukazuje perspektywy koegzystencji w sferze polityki i kultury oraz poszukuje doktrynalnych uzasadnień dla nowego kierunku w ruchu komunistycznym. Powołuje się tu Lukács na Engelsa — że tylko w sytuacji rewolucyjnej „wszystkie mieszczańskie partie złączą się przeciwko rewolucji proletariackiej“, że natomiast w sytuacji polub przedrewolucyjnej mogą brać górę „hamujące okoliczności“, które pozwolą uczynić antagonistyczne ideologie sprzymierzeńcem klasy robotniczej. Na podobne zjawisko wskazywał Lenin, rozróżniając sprzeczność „światowo-historyczną“ od sprzeczności politycznej. Czyli mówiąc prościej: ogólne prawidłowości dziejowe — twierdził Lenin — nie mogą być praktyczną dyrektywą komunistycznej taktyki. „To znaczy — wyjaskrawia swój tok rozumowania Lukács — że może się zdarzyć, iż jakiś bezwzględnie potrzebny krok taktyczny stoi w dialektycznej sprzeczności z ogólnymi teoriami ideologicznymi światowo-historycznymi, a nawet może to również nastąpić w wypadku naszej strategii.“

Egzemplifikując powyższą tezę na przykładzie ustosunkowania się partii komunistycznych do socjaldemokracji, do postępowych tendencji w ruchu religijnym, do racjonalistycznych treści filozofii burżuazyjnej (szczególnie do egzystencjalizmu) oraz do procesów zachodzących w łonie burżuazyjnej sztuki, Lukács oskarża stalinowskie kierownictwo partii komunistycznych o dogmatyzm i brak elastyczności. Nie wydaje mi się to zupełnie słuszne. Kiedyś Trocki oskarżał Stalina o coś wręcz przeciwnego: o to, że podporządkowuje ideologię taktyce, paktując z nacjonalistami chińskimi i arabskimi albo zaprzedając angielskich górników socjaldemokracji. Elastyczności taktyki Stalinowskiej doświadczyli na własnej skórze komuniści hiszpańscy, niemieccy i polscy na koniec. Cała historia „kultu jednostki“ jest niczym innym, jak kompromisem komunizmu z bizantyjskimi, nacjonalistycznymi nawykami Rosji i narodów podbitych przez carat. Inna rzecz, że rozrost bizantynizmu obrócił się w końcu przeciwko narodowi, ale wywiódł się z taktycznej kokieterii. Nie, Stalin nigdy nie wahał się podporządkowywać ideologii taktyce. Nie wahano się też u nas, gdy prowadząc politykę Frontu Narodowego przyciągano do współpracy faszystów. Myślę, że nie o brak elastyczności i nie o dogmatyzm należy oskarżać stalinizm, lecz właśnie o makiawelizm i cynizm. Myślę też, że nowa linia ruchu komunistycznego nie polega na większej śmiałości w szukaniu sobie *poputczików*, ale na uświadomieniu sobie, że sojusznicy są rzeczywistymi sojusznikami i że rzeczywiście w ostatecznym rezultacie dążyć mogą do tego samego celu, i że sojusz z nimi zawiera się nie dlatego, aby ich prędzej doprowadzić do bankructwa, ale po to, by im przyznać rację tam, gdzie na to zasługują. Kiedy mówi się, że przejście do socjalizmu może dokonać się inną, nierewolucyjną drogą, trzeba sobie powiedzieć, że droga ta prowadzić może także przez walkę ekonomiczną i par-

lamentarną, także przez rozwój kooperacji, także przez kapitalizm państwowy, także przez radykalizowanie ruchu religijnego... I że wobec tego należy front socjaldemokratyczno-komunistyczny lub nawet katolicko-komunistyczny (jak we Włoszech) montować szczerze, z tym przeświadczeniem, że chodzi o to samo nie tylko na jakimś etapie, ale o ideologię, która przestała być własnością jednego tylko ruchu politycznego. Wydaje mi się, że tą myślą kieruje się Włoska Partia Komunistyczna, gdy ustala formy porozumienia z socjalistami; że ta myśl ożywia m. in. stosunki między ZSRR a Indiami. Lukács natomiast nie może wyzbyć się skostniałych nawyków myślowych: proponuje sojusz i dyskusję, zakładając z góry, że nigdy nie zrezygnujemy z żadnych zasad, że i tak zwycięży nasza koncepcja socjalizmu. Dochodzi nawet do stwierdzeń, które unoszą z lekka włosy na głowie:

„Jeżeli spodziewamy się, że trzecia wojna światowa przyniesie socjalizm dla znacznej części świata, to powinniśmy ze spokojem zdać się na wojnę światową, na przewagę zbrojną obozu socjalistycznego."

Ze spokojem? Dobrze powiedziane.

„Jeżeli natomiast jesteśmy przekonani, że stoi przed nami okres długotrwałego pokoju, że dialektyka rozwoju własnego każdego państwa kapitalistycznego prowadzi ku socjalizmowi, to konsekwencją takiego stanowiska jest to, że my — komuniści z innych krajów — możemy na ten rozwój wpływać tylko ideologicznie, częściowo w drodze dyskusji, dialogów, informacji itp., naturalnie nie rezygnując z jakiejkolwiek zasady marksizmu-leninizmu, częściowo czyniąc socjalizm atrakcyjnym dla szerokich mas społeczeństwa innych krajów przy pomocy naszej własnej polityki wewnętrznej. Głoszenie współistnienia wiąże się więc ściśle z najgłębszą wiarą w ostateczne zwycięstwo socjalizmu."

Lukács ciągle pojmuje rolę komunistów jako apostołów, a rolę państwa komunistycznego jako czegoś w rodzaju sklepu wzorcowego. Tymczasem trzeba sobie powiedzieć, że marksizm wkroczył w okres synkretyczny — w okres wchłaniania obcych ideologii i jednoczesnego wnikania w nie. Nie oznacza to klęski, przeciwnie, klęską doktryny jest tylko skostnienie, zwycięstwem zaś jej zadomowienie się i rozpuszczenie w kulturze światowej oraz odegranie roli katalizatora sprawiającego wyzwalanie się pewnych tendencji. Nie dotrwałaby naszych czasów kultura helleńska, gdyby nie przeszła epoki hellenistycznej, epoki zmieszania się ze Wschodem; nie przetrwałby Rzym, gdyby nie wchłonęło go chrześcijaństwo, Bizancjum i świat germański; nie utrzymałby się Kościół, gdyby nie wchłaniał pogaństwa i nie wnikał w jego tradycje.

Trzeba sobie z tryumfem powiedzieć, że socjalizm staje się coraz bardziej ideałem ludzkości, a coraz mniej imperium. Gdy rozpada się imperium, nadchodzi okres wielkiej osmozy. Myślę, że na tym polega głęboki i nieunikniony sens „koegzystencji".

Natomiast rozumienie jej jako manewru taktycznego wydaje mi się przykrym nieporozumieniem.

Jednocześnie sporo jest w naszej publicystyce dowodów zrozumienia, że wkraczamy w nową epokę, a nie w okres nowej taktyki. Znamienne są pod tym względem uwagi Stanisława Brodzkiego (*„Po prostu"* nr 41 — *Na marginesie jednej podróży)* o przekształceniach kapitalizmu i o konieczności nowego ustosunkowania się do pewnych jego manewrów, takich np., jak plan Marshalla. Stwierdzając ogromny, nieporównanie większy niż u nas wzrost stopy życiowej w krajach objętych planem Marshalla, stwierdzając nieustanny postęp w technice i organizacji gospodarki kapitalistycznej oraz jej umiejętność przystosowywania się do nowej sytuacji socjalnej, wskazuje Brodzki na konieczność studiowania nowoczesnego państwa kapitalistycznego — i to studiowania nie pod kątem widzenia, jak je obalić, ale pod kątem widzenia użyteczności i sensowności jego osiągnięć, zdobyczy, nowości. Szczególną uwagę poświęca Brodzki kapitalizmowi państwowemu i słusznie chyba podkreśla jego znaczenie dla obiektywnej poprawy bytu klasy robotniczej. Z artykułu Brodzkiego wynika właściwie, że socjalizacja życia gospodarczego i społecznego staje się coraz bardziej nieodzowną koniecznością współczesności. Państwo trwające na starych pozycjach jest już nie tylko reakcyjne — jest już zacofane. Nie w ideologii nawet, lecz po prostu w ekonomii, w organizacji, w technice, w stopie życiowej.

Synkretyzm współczesnych ideologii

politycznych objawił się w krytyce stalinizmu, tak jak kiedyś zaznaczył się po raz pierwszy we froncie antyfaszystowskim. Tylko nielojalności lub niewiedzy należy przypisać fakt, że nasza publicystyka antystalinowska nie posługuje się pracami amerykańskich socjologów socjaldemokratycznych (przede wszystkim Burnhama) oraz argumentacją pisarzy, którzy kierowali swe oskarżenia pod adresem stalinizmu z pozycji odstępców (Malraux, Miłosz, Koestler). Oczywiście, odstraszało i odstrasza słowo „odstępca". Odstrasza fakt, że książki Miłosza i Koestlera wędrowały do nas przerzutem gehlenowskim, że były one orężem najbardziej obskuranckiej, szczującej do wojny propagandy. To odstraszało i odstrasza, ale przecież trzeba jakoś uporządkować myśli, rozróżnić prawdę od jej funkcji i od jej intencji. Pisałem już raz, że polemika z Miłoszem przy pomocy wypominania mu paszportu litewskiego jest niepoważna. Nic do dyskusji nie wnosi także powoływanie się na użytek, jaki np. propaganda adenauerowska zrobiła z jego książki. Podobnie nierzetelna wydaje mi się polemika, jaką przeprowadził ostatnio Zygmunt Kałużyński (*„Nowa Kultura"* nr 41—42) z trzema książkami, które wpłynęły na ukształtowanie się opinii zachodniej inteligencji o systemie stalinowskim.

Zarzuty Kałużyńskiego pod adresem książek Koestlera, Miłosza i Orwella sprowadzają się do jednego: autorzy ci zmitologizowali rzeczywistość stalinowskich krajów, po czym przeprowadzili krytykę własnych mitów, a nie owej rzeczywistości, której po prostu nie znali. Rzeczywistość ta była znacznie prostsza — zdaje się konkludować Kałużyński — niż się to wydaje przerażonym intelektualistom, i dlatego właśnie, że była prosta, dała się naprawić. A fakt jej naprawy, fakt jej samodzielnego odrodzenia, przekreśla katastroficzną i fatalistyczną filozofię wszystkich trzech wymienionych autorów, którzy stalinizm traktowali jako konieczny i nieuchronny etap rewolucji i nie tylko rewolucji, ale dziejów ludzkich w ogóle.

Jest w tym trochę słuszności. Kiedy czyta się dzisiaj w referacie Chruszczowa tragiczny list jednego z członków KC WKP(b) o tym, że połamano mu kręgosłup, dramat Koestlerowskiego Rubaszowa przestaje być już tak bardzo przejmujący. Rzeczywistość była prostsza i trudniejsza: niejedna z konstrukcji psychologicznych Miłosza dałaby się zamienić na prostą, wulgarną historyjkę strachu, łatwowierności, oportunizmu, ambicji, a nawet zupełnie płaskiego utylitaryzmu. Ponura wizja Orwella, przeniesiona o trzydzieści lat wstecz, dałaby fakty i prostsze, i przez tę swoją prostotę potworniejsze.

Ale co z tego? Czy rzeczywistość odrodziła się dlatego, że rządziły nią często pobudki płaskie i proste? Myślę, że odrodzenie jej nie nastąpiło samo, lecz pod wpływem fermentu umysłowego, którego ważnym czynnikiem było wszystko, co tylko zostało napisane o stalinizmie — z wyłączeniem bzdur. Bądźmy szczerzy: nie było człowieka, który by do głębi nie przeżył tych książek, zwłaszcza Miłosza i Koestlera. Miłosz np. trafnie pokazał, że zafascynowanie materializmem dziejowym, fetyszyzacja historii jest dalszym ciągiem procesu schyłkowego, fragmentem degrengolady, w jakiej znalazła się kultura burżuazyjna — że to uzbrojenie dekadenta, a nie odrodzenie, nie cud z Szawłem. Powieść Koestlera bardzo celnie odkrywała degenerację logiki dialektycznej na usługach taktyki. Orwell, najbardziej może prymitywny, dobrze uchwycił jednak proces redukowania życia psychicznego jednostki do stanu, w którym miłość do dyktatora i jego racji jest po prostu ostatnim odruchem, ostatnią tęsknotą opustoszałego i osamotnionego serca.

Krótko mówiąc: niezależnie od tego, co osobiście reprezentują autorzy utworów demaskujących stalinizm, trzeba powiedzieć, że to im przypadło pierwszeństwo i że dyskusja o wypaczeniach stalinowskich, która rozwinęła się u nas później na platformie partyjnej i która doprowadziła do poważnej naprawy ustroju i atmosfery, posłużyła się niejednym argumentem tych „stamtąd". I że dowodzi to...

Jeszcze krócej mówiąc: skończmy z przyrównywaniem świata współczesnego do gry harcerskiej albo po prostu do wojny. To nie wojna i nie zabawa — to po prostu handel. Handel polega na wymianie. I jeśli nie brzydzimy się belgijskim flauszem, na którym być może jest krew Murzynów z Kongo, to nie strońmy od myśli, choć ich geneza i cel nam się nie podobają.

Powtarzam: zaczęła się osmoza — już

się tego nie da odwrócić żadnymi tęsknotami do pierwotnej czystości i ascezy.

Sporo konsekwencji i śmiałości wobec samych siebie objawili Krzysztof T. Toeplitz i Wiktor Woroszylski. Toeplitz w artykule *Katastrofa proroków* (*„Nowa Kultura“* nr 39—40) dał bardzo trzeźwą analizę historyczną procesu wprzęgania literatury do systemu stalinowskiego. Zastrzeżenia Henryka Markiewicza (*„Życie Literackie“* nr 41) co do traktowania realizmu socjalistycznego w całości jako estetyki stalinowskiej nie są chyba słuszne. Wcześniejsze, np. rappowskie tendencje w sztuce radzieckiej, przy całej agresywności i sekciarstwie, nie miały charakteru obowiązującej normy — a Toeplitzowi chodzi tu przede wszystkim o obowiązujący i normatywny charakter estetyki głoszonej od 1934 roku. Problem, czy używać wobec tego terminu „realizm socjalistyczny“, nie powinien być problemem; pamiętajmy raz jeszcze: socjalizm staje się pojęciem szerszym od programu jednej partii, jednej szkoły filozoficznej. Więc i przymiotnik „socjalistyczny“ przy określeniu metody czy ideologii artystycznej znaczy dziś tak dużo, że aż nic.

Odważnie rozstał się z mitem realizmu socjalistycznego Wiktor Woroszylski (*„Nowa Kultura“* nr 41). Żegna się z nim rzewnie — nie przypuszczałem, że można tak kochać coś, co nie istnieje. Przyznam, że po wyrzeczeniu się tego terminu nie jest mi ani trochę lżej: po prostu on nic dla mnie nie znaczył. Starałem się go przetłumaczyć sobie na język konkretów — były nimi przeważnie nazwy instytucji przeznaczonych do podtrzymywania w nieistnieniu realizmu socjalistycznego. Będzie mi lekko, gdy one znikną, bo one, niestety, istniały naprawdę. Nie były mitem. Ani naiwnych wyznawców, ani perfidnych wrogów „stamtąd“.

Ach, instytucje! Gdy słowa te ukażą się w druku, będzie już po zjeździe pisarzy, na którym mają zapaść uchwały, czy też mają narodzić się wnioski dotyczące organizacji życia literackiego. Większość głosów dyskusyjnych, publikowanych w *„Nowej Kulturze“* i *„Życiu Literackim“* opowiada się za likwidacją Związku jako instytucji ideologicznej. Mówi się o konieczności formowania się grup artystycznych, tworzenia pism. Oczywiście, tylko tak. Lecz co to będzie, kiedy przyjdzie do organizowania tych grup, a tu okaże się, że pozwolenie jest, pieniądze są, ludzie są, tylko ideologii nie ma? Coś na to zakrawa — bo już dotąd różnice zdań objawiają się wyłącznie w sprawach organizacyjnych. Pisarze oszaleli — tknął ich bakcyl władzy.

Czy tylko pisarzy, czy też cały naród? I to się okaże niebawem. Zbliżają się wybory. Jak dotąd czasopisma literackie nie zdradzają objawów przedwyborczej gorączki. Fala publicystyki raczej opadła. Ale i tu odnotować można kilka interesujących pozycji. Wymienię przede wszystkim artykuł Szczęsnego Dobrowolskiego po IX Sesji Sejmu (*Inicjatywa — odpowiedzialność — praworządność, „Po prostu“* nr 39).

W artykule tym zwraca uwagę jakieś podwyższenie ambicji politycznych, jakiś ton obywatelski, którego brakuje od dawna w naszej publicystyce — ta nosi na sobie piętno pozytywizmu, organicznikostwa — poprawić, naprawić, ułożyć, uporządkować, dać jeść, dać się ubrać, upiększyć. Dobrowolski przypomina Sejmowi, nie Sejmowi — narodowi — coś, od czego już odwykł, coś, na czym przestało mu zależeć: „Sejm jest suwerenną reprezentacją narodu. Opinia publiczna, społeczeństwo, naród upatrują w tej zasadzie rękojmię własnej suwerenności, wolności, niezawisłości. Suwerenność? Wolność? Niezawisłość? Bolesne są znaki zapytania postawione przez nas przy tych słowach, lecz musimy je postawić, jeśli rzetelnie i uczciwie chcemy sobie zdać sprawę z charakteru i skutków daleko idącego ograniczenia funkcji Sejmu i sprowadzenia go do roli niewiele znaczącego, raczej dekoracyjnego dodatku w mechanizmie władzy — tak jak było w minionej epoce. Musimy je postawić, te bolesne znaki zapytania, jeśli rzetelnie i uczciwie chcemy zrobić rozrachunek z przeszłością“.

W dalszym ciągu swego artykułu nawołuje Dobrowolski Sejm do „wykazania więcej aktywności i inicjatywy w kwestiach polityki zagranicznej. Upoważnia nas do tego historyczna przeszłość narodu polskiego, upoważnia jego niemałe doświadczenie polityczne; upoważnia fakt, że jesteśmy trzecim co do wielkości państwem w socjalistycznej rodzinie, a nasze położenie geograficzne każe nam ze szczególną troską i wnikliwością baczyć na sprawę pokoju i bezpieczeństwa narodu...“

Cytuję obszernie te zdania z prośbą,

aby wpisali je sobie do sztambuchów: a) nasi pozytywiści i organicznicy, którzy zbawienie nasze widzą w dokonaniu pewnej ilości usprawnień administracyjno-gospodarczych; b) nasi pisarze, którzy sądzą, że po zorganizowaniu grup literackich c o ś się stanie.

P. S. Gdy w pierwszych dniach października opracowywałem ten przegląd prasy, nie przypuszczałem, że w ogóle może się coś stać, gdy w wielkich dniach października czytam korektę, nie mogę oprzeć się chęci dopisania jednego zdania — czytelniku: stało się!

Andrzej Kijowski

NIECO FAKTÓW I TRUIZMÓW

Brak dobrze zorganizowanej polsko-radzieckiej wymiany kulturalnej coraz dotkliwiej daje się we znaki. W epoce okolicznościowych delegacji, drętwych przemówień i odświętnych koncertów nieznajomość podstawowych faktów i zjawisk życia kulturalnego obu sąsiadujących ze sobą krajów nie była tak widoczna. Dziś, kiedy nareszcie zarysowały się perspektywy szerszych kontaktów, zaczynamy odczuwać skutki naszej obustronnej ignorancji w wielu dziedzinach. Każda ze stron posiada innego rodzaju „luki w wykształceniu". Czytelnik radziecki dość dobrze zna polską literaturę klasyczną, prawie nic nie wie o dwudziestoleciu, a o polskiej literaturze powojennej wyrobił sobie sąd równie fragmentaryczny, jak fałszywy na podstawie dobieranych zupełnie przypadkowo przekładów. Trzeba tu powiedzieć, nie owijając słów w bawełnę, że w ostatnich czasach tak ważne dla nas sprawy propagandy kultury polskiej często trafiały w Związku Radzieckim do rąk ludzi niekompetentnych, kiepskich znawców przedmiotu i złych tłumaczy. Możemy mieć także uzasadnione pretensje do wydawnictw radzickich za to, że nie potrafiły przyciągnąć fachowców do współpracy nad planami przekładów z literatury polskiej. Bardzo rzadko, urywkowo i schematycznie zajmowały się naszymi zagadnieniami radzieckie pisma literackie. Jeśli weźmiemy do rąk pożółkłe numery *„Wiesów"*, w których debiutował kiedyś rosyjskimi wierszami Leśmian, z przykrością stwierdzimy, że szanowny organ symbolistów rosyjskich niejednokrotnie dokładniej i obszerniej omawiał twórczość polskich pisarzy i poetów, niż to dziś czyni *„Litieraturnaja Gazieta"* lub którykolwiek z „grubych" miesięczników.

U nas sytuacja też nie przedstawia się nazbyt różowo. Mamy wprawdzie do zanotowania poważne osiągnięcia, jeśli chodzi o wydania rosyjskiej literatury klasycznej, przetłumaczyliśmy wiele utworów okresu powojennego (ze znacznym przekroczeniem normy w „pionie" schematyzmu, lakiernictwa i bezkonfliktowości), natomiast źle reprezentowane są lata 1918—1936, kiedy literatura radziecka rozwijała się najbujniej. Złożyło się na to wiele przyczyn, nie o ich analizę tu jednak chodzi ani o rozłożenie odpowiedzialności, lecz o ustalenie stanu rzeczy. A już zupełnie katastrofalnie przedstawia się nasza znajomość historii prądów i ugrupowań literackich, rozwijających się po rewolucji i promieniujących daleko poza granice Związku Radzieckiego.

Do tego wszystkiego dochodzi oderwanie od sztuki światowej — u nas mniejsze niż w ZSRR, lecz także poważne — brak rozeznania w procesach zachodzących w tej dziedzinie, zwłaszcza w zachodnio-europejskich państwach kapitalistycznych o starych tradycjach kulturalnych.

Ten stan rzeczy, nad którego naprawą powinniśmy wspólnie porządnie popracować, obniża nieuchronnie poziom dyskusji i powoduje wiele zbędnych nieporozumień.

„Między gentlemanami nie powinno być różnicy zdań co do faktów" — głosi mądre angielskie powiedzenie. Niestety, podobne kontrowersje zdarzają się ostatnio dość często. Świadczą o tym wymownie wypowiedzi i polemiki na temat realizmu socjalistycznego, jakie ukazały się na łamach polskich i ra-

dzieckich pism literackich. Mam tu na myśli fragmenty przemówień i artykułów J. Kotta, A. Słonimskiego, J. Przybosia, a ostatnio K. T. Toeplitza oraz polemizujące z zawartymi w nich tezami artykuły W. Ozierowa w *„Litieraturnej Gaziecie"* i A. Dementiewa w miesięczniku *„Inostrannaja Litieratura"*. Poglądy każdej ze stron na wspomniane zagadnienie są w pewnych punktach nader dalekie od istoty sprawy. Moim zdaniem, w polemice dochodzi niekiedy do starcia dwóch mocno schematycznych koncepcji, z których każda obchodzi się z faktami dowolnie, a zatem nie zasługuje na zaufanie.

Zacznijmy od własnego podwórka. We wspomnianych artykułach, a zwłaszcza w *Klęsce proroków* Toeplitza spotykamy wersję powstania realizmu socjalistycznego, którą w skrócie dałoby się przedstawić następująco: do początku lat trzydziestych duża swoboda pisarska, owocne ścieranie się rozmaitych kierunków i ugrupowań oraz wspaniałe osiągnięcia twórcze; potem, mniej więcej od roku 1932 (autorzy umiejscowiają przełomową datę rozmaicie) zaczyna się rozrastać intryga Stalina i Żdanowa, pragnących zabezpieczyć sobie zaplecze literackie przed krwawą rozprawą z opozycją; wreszcie w roku 1934, na I Zjeździe Związku Pisarzy Radzieckich, proklamowany zostaje oficjalnie socrealizm, „pałka stworzona przez Żdanowa dla zabicia sztuki", po czym we wszystkich dziedzinach działalności artystycznej zaczyna się zastój. Taka historia naturalna socrealizmu znakomicie uprościłaby sprawę, gdyby odpowiadała faktom. Bezstronna analiza sytuacji na radzieckim froncie literackim od rewolucji do roku 1932, kiedy to padł po raz pierwszy sławetny termin, skłania nas do odmiennych wniosków. Przede wszystkim — socrealizm z całą pewnością nie ukonstytuował się drogą dekretów administracyjnych. Odrzucając pojęcie socrealizmu jako uniwersalnej metody twórczej, wypada stwierdzić, że jako prąd literacki istniał on rzeczywiście i przedstawiał poważną siłę. Mimo iż założenia socrealizmu, sformułowane wyjątkowo mgliście, jeszcze dziś wywołują poważne rozbieżności interpretacyjne nawet wśród jego zwolenników, pewne rysy zasadnicze tego kierunku dadzą się stosunkowo łatwo wyodrębnić. Są to: bezpośrednia kontynuacja tradycji dziewiętnastowiecznych, ze szczególnym uwzględnieniem postępowej rosyjskiej literatury klasycznej, oraz dążenie do realizacji tymi środkami artystycznymi „zamówienia społecznego", pojętego w sposób bezpośredni. Pomijam świadomie programowe oparcie się o marksizm-leninizm oraz rzekomo wyłącznie socrealistyczny postulat „odtwarzania rzeczywistości z punktu widzenia socjalizmu", ponieważ założenia te przyjmowały i przyjmują rozmaite kierunki ideowo-artystyczne.

Socrealizm tkwił w XIX wieku głębiej niż w XX. Każdy wybitny rosyjski pisarz ubiegłego stulecia, z wyjątkiem może Dostojewskiego i jego szkoły, uważany być może za najzupełniej naturalnego, a nie przybranego „dziadka socrealizmu". Te tradycje, o wcale niebagatelnej sile oddziaływania, dominowały w twórczości wielu radzieckich pisarzy współczesnych, jeszcze na długo przed ukształtowaniem się nowego kierunku. „Dziewiętnastowieczność" socrealizmu widoczna jest zresztą nie tyle może w literaturze, która w dużej mierze idzie rozpędem i na starych zapasach, ile w filmie — sztuce na wskroś dwudziestowiecznej. Tutaj nieprzydatność dziewiętnastowiecznych konwencji, niemożność przystosowania ich do wymagań współczesności wyszła w całej pełni na jaw. Smutne wyniki doświadczeń socrealizmu w tej dziedzinie mówią same za siebie. Podobnych dowodów dostarcza teatr radziecki, którego dziewiętnastowieczne praktyki nie mogą się utrzymać na powierzchni współczesnego życia.

Jednakże wszelkie najsłuszniejsze zastrzeżenia i pretensje, jakie możemy zgłosić pod adresem socrealizmu, nie zmieniają faktu, że w okresie poprzedzającym I Zjazd Pisarzy Radzieckich miał on pokaźną ilość szczerych zwolenników, dla których program tego kierunku był podsumowaniem ich praktyki pisarskiej. Znaną skądinąd jest rzeczą, że prądy nowatorskie wykorzystujące doświadczenie wieków ubiegłych w sposób bardziej złożony (zgodzimy się chyba, że nowatorstwo „absolutne" nie istnieje) trudniej zdobywają adeptów i odbiorców niż stosunkowo łatwo czytelna sztuka, oparta na niedawnej i żywej tradycji.

Posunąłbym się nawet do twierdzenia, że chociaż socrealizm stał się u nas terminem zdyskredytowanym i wstyd-

liwym, dla wielu pisarzy jest on nadal naturalnym programem działania (rzecz jasna, że nie chodzi tu o praktyki żdanowszczyzny), co więcej — dzieła pisane pod auspicjami socrealizmu znajdą u nas czytelników.

Wróćmy jednak do początku lat trzydziestych. Wiele narodów, wchodzących dawniej w skład imperium carskiego, przystępowało właśnie do pracy nad budową własnej kultury. Program realizmu socjalistycznego posiadał dla nich wiele cech atrakcyjnych. Opinia, że socrealizm pozwoli na względnie szybką likwidację zaległości kulturalnych, była wówczas dość powszechna i ugruntowała jego pozycję.

W świetle tych faktów Zjazd 1934 r. zaczyna bardziej przypominać nasz Zjazd Szczeciński, niż to przedstawia w swym ciekawym artykule Teoplitz. W pewnym sensie był on nawet mniej ortodoksyjny od Zjazdu Szczecińskiego. Gorki był zbyt doświadczonym pisarzem, by nie dostrzegać niebezpieczeństw związanych z wyjątkowymi przywilejami, jakie zdobywał socrealizm. Zaakcentował też mocno równouprawnienie romantyki rewolucyjnej, którą traktował jako furtkę dla takich twórców, jak np. Borys Pasternak. W czasach Zjazdu Szczecińskiego romantyka rewolucyjna była już tylko pododdziałem systemu.

Reasumując: socrealizm był autentycznym kierunkiem literackim, skupiającym wokół swego programu poważną ilość pisarzy. Nie został on stworzony przez Stalina i Żdanowa jako „pałka dla zabicia sztuki", lecz uformował się samodzielnie: Stalin i Żdanow „uchwycili się" socrealizmu właśnie dlatego, że posiadał on dużo zwolenników i mógł łatwo uzyskać większość na projektowanym zjeździe. W okresie stalinizmu, w latach terroru, socrealizm rzeczywiście stał się „pałką", ale nie wypływało to wcale z jego pierwotnych założeń programowych. Cała literatura radziecka stanęła wobec dramatu i ciężko ten dramat przeżyła.

Socrealizm przeżył później rozmaite metamorfozy, które dałyby się podzielić na dwie kategorie. Przede wszystkim przy udziale Żdanowa, Fadiejewa i innych znacznie zwężona i zwulgaryzowana została jego platforma programowa, co znalazło wyraz m. in. we wspomnianym zniesieniu postulowanej przez Gorkiego autonomii romantyki rewolucyjnej (patrz powojenne artykuły Fadiejewa). Poza tym, już niezależnie od wpływów stalinizmu, socrealizm uległ nieuchronnym wypaczeniom, na jakie skazany jest każdy kierunek zajmujący pozycję monopolistyczną.

Stalinizm odebrał socrealizmowi „szansę życiową", podciął jego możliwości rozwojowe. Podobne zjawiska miały miejsce w nauce i w innych dziedzinach życia. Z tego bezspornego faktu wypływa konieczność ostrożnej i wnikliwej oceny socrealizmu w latach 1932—1936. Nasi krytycy, którzy zetknęli się z socrealizmem w jego powojennej, niemal karykaturalnej postaci, ulegli pokusie obarczenia socrealizmu grzechami nie popełnionymi, przeniesienia zjawisk współczesnych do epoki odległej o ćwierćwiecze, ścisłego powiązania go ze stalinizmem, a nawet postawienia stalinizmu u kolebki tego kierunku. Takie przedstawienie sprawy krzywdzi wielu uczciwych pisarzy, którzy pragnęli jak najlepiej wywiązać się ze swych obowiązków wobec społeczeństwa i rewolucji, a już szczególnie niesprawiedliwe jest w odniesieniu do pięknej i szlachetnej postaci Gorkiego. Jakikolwiek byłby nasz stosunek do utworów czy wypowiedzi teoretycznych tego wybitnego pisarza, trzeba stanowczo podkreślić, że niczym nie splamił on swej humanistycznej i tolerancyjnej postawy wobec sztuki. Gorki zawsze gotów był bić się do upadłego o dzieła pisarzy radzieckich, reprezentujących odmienne poglądy artystyczne, i starał się zapewnić ich autorom maksimum swobody twórczej. To, że Gorki uważał, iż ówczesne różnorodne tendencje sztuki radzieckiej najlepiej się będą mogły rozwijać w łożysku realizmu socjalistycznego — to inna sprawa. Niesłuszność i naiwność tej koncepcji są dziś dla nas oczywiste. Pamiętajmy jednak, że był to czas eksperymentów, wszystko robiono po raz pierwszy, i do zjawisk tamtego okresu należy przykładać inną miarkę.

Z działalnością Gorkiego wiąże się jeszcze jeden problem, który pomijają autorzy uproszczonej genezy socrealizmu. Zakładają oni zgodnie, że do początku lat trzydziestych panowała w ZSRR nieskrępowana atmosfera twórcza, której kres położył dopiero socrealizm. Widocznie naprawdę wdrożyliśmy się do schematycznego myślenia, skoro tak lekko powstają u nas podobne hipotezy. Już chociażby tragiczna

śmierć Majakowskiego, zaszczutego w 1930 roku przez kołtuńsko-lewacką nagonkę, powinnaby zmusić wyznawców tego poglądu do głębszego zastanowienia. W okresie poprzedzającym Zjazd 1934 r. do decydującego głosu w sprawach sztuki doszedł RAPP (Rosyjskie Stowarzyszenie Pisarzy Proletariackich), organizacja skupiająca czołowych ówczesnych „terroretyków" literatury. Bezwzględnie negatywny stosunek do tzw. „poputczyków", wściekłe nagonki na pisarzy i kierunki o odmiennej platformie artystycznej, bezmyślne przenoszenie haseł ekonomicznych do literatury (np. „Dogonić i prześcignąć klasyków"), wysuwanie jako wzorców obowiązujących twórczości Fadiejewa w prozie i Demiana Biednego w poezji (sławetna akcja „demianizacji poezji"), wprowadzenie do życia literackiego metod administracyjnych i komenderowania — oto bynajmniej niepełny wykaz działalności rappowców na arenie kulturalnej. Nie wspominam tu już o niemal anegdotycznych wyczynach tzw. „lewych" rappowców, które nie pociągnęły poważniejszych konsekwencji praktycznych. Faktem jest, że wielu pisarzy miało wówczas trudności lub wręcz nie mogło wydać swych książek, niektórzy, jak Zamiatin, wyjechali za granicę, inni emigrowali „wewnętrznie". W tych warunkach socrealizm zasługuje raczej na miano „odwilży" i tak też został zrozumiany przez przeważającą część radzieckiej społeczności pisarskiej. Nawet pobieżna lektura ówczesnej prasy radzieckiej, a zwłaszcza pism literackich, świadczy o korzystnych zmianach w atmosferze dyskusji i polemik kulturalnych. Wykaz bibliograficzny dzieł, które ukazały się w latach 1932—1936 — zarówno w prozie, poezji jak i w krytyce literackiej — nie świadczy o natychmiastowym „socrealistycznym" zakneblowaniu ust twórcom.

Działalność Gorkiego w okresie przedzjazdowym na pewno była jakąś próbą wyjścia z lewacko-„zamordystycznego" impasu, dodajmy — próbą przynajmniej częściowo udaną. Później nadeszły czasy procesów i prześladowań, których ofiarą obok Babla, Pilniaka czy Jasieńskiego padło niemało byłych „rappowców" i najgorliwszych orędowników socrealizmu. Ale za to Gorki nie może ponosić odpowiedzialności.

Takie są zarzuty, które pragnąłbym wysunąć pod adresem wymienionych wyżej autorów. Dotyczą one nieznajomości pewnych faktów, jak również objawów schematyzmu w niektórych partiach ich wywodów. Myślę, że walcząc ze schematyzmem, sami powinniśmy wystrzegać się go jak ognia. Błędy rzeczowe mogą stać się źródłem błędów ogólniejszych. Dlatego nie szukajmy zbyt łatwych formułek dla zjawisk tragicznej epoki, którą dopiero teraz zaczynamy naukowo poznawać.

*

O ile w pierwszej części niniejszych uwag starałem się w miarę swych możliwości sprostować pewne nieścisłości oraz ustalić punkty wyjściowe naszej dyskusji o realizmie socjalistycznym, o tyle w części drugiej pragnąłbym omówić „konflikty z faktami", w jakie obfitują wypowiedzi Ozierowa i Dementiewa. Są one głębsze, jak sądzę, i bardziej zasadnicze niż u Kotta czy Toeplitza.

Zaznaczam, że nie zamierzam polemizować za Kotta czy Słonimskiego, chociaż niektóre wywody radzieckich krytyków aż się proszą o łatwą ripostę. Ozierow i Dementiew dość często przy pomocy wyrwanych z kontekstu cytat ustawiają swych oponentów do zadania ciosu. Tak więc autora *Szkoły klasyków* ukazuje się jako wroga realistycznej literatury klasycznej, a znany dowcip Antoniego Słonimskiego o wpływie kryzysu zbożowego w Odessie na pesymizm sonetów Mickiewicza rozpatrywany jest ze śmiertelną powagą. Przypuszczam, że zarówno te, jak i poważniejsze zarzuty postarają się odeprzeć sami zaatakowani pisarze, a *„Inostrannaja Litieratura"* czy *„Litieraturnaja Gazieta"* udzielą im z pewnością swych łamów, w myśl demokratycznej starożytnej zasady: *audiatur et altera pars.*

Największe sprzeciwy budzą wyrażone w artykułach radzieckich krytyków poglądy na proces rozwojowy literatury radzieckiej oraz w kwestii socrealizmu, pojmowanego przez Ozierowa i Dementiewa jako najdoskonalsza i jedyna do przyjęcia w państwie socjalistycznym metoda twórcza.

Ozierow i Dementiew zgodnie uważają, że rozwój literatury radzieckiej odbywał się w ostatnim ćwierćwieczu po krzywej rosnącej, że mimo poważnych szkód, jakie wyrządził tzw. „kult jednostki", wydawała ona dzieła prawdziwie

odtwarzające rzeczywistość i coraz dojrzalsze. Trudno doprawdy zrozumieć, na jakich przesłankach opierają autorzy podobny wniosek. Usprawiedliwić go można jedynie dobrymi chęciami, które — jak wiadomo — nie należą do kryteriów analizy marksistowskiej, oraz dogmatyczną wiarą w słuszność socrealistycznych recept i automatyczny rozwój opartej na nich literatury. W wywodach ich nadal święci triumfy zasada wspomniana przez Toeplitza, że „jeżeli fakty nie zgadzają się z teorią, to tym gorzej dla faktów". Tymczasem, nawet bez dokonywania szczegółowego bilansu strat i osiągnięć, wydaje się rzeczą oczywistą, że sztuka radziecka niesłychanie obniżyła loty i dopiero teraz powoli zaczyna prostować skrzydła. Zmalało ogromnie oddziaływanie sztuki radzieckiej na sztukę światową, w dużym stopniu wskutek zerwania kontaktów z twórczymi prądami artystycznymi i naukowymi, grawitującymi ku ideologii marksistowskiej. Owa „tragiczna antynomia między rewolucyjnością a nowatorstwem", o której mówił Kott na XIX Sesji Rady Kultury i Sztuki — za co go bardzo ostro atakuje Dementiew — jest przecież także ogólnie znanym faktem. Pozwolę sobie przypomnieć, że niedalej jak w tym roku *„Litieraturnaja Gazieta"* pisała obszernie o smutnych skutkach nieuzasadnionych ataków na zagraniczne postępowe szkoły naukowe i ich poszczególnych przedstawicieli. Doszło do tego, że o ile niegdyś literatura i sztuka jednały młodemu państwu radzieckiemu szerokie rzesze przyjaciół i sympatyków, to później, zwłaszcza w okresie żdanowszczyzny, liczne utwory i prace krytyczne dostarczały argumentów wrogom ZSRR.

Nie mogło zresztą być inaczej. Stalinizm podważył kryteria moralno-etyczne literatury radzieckiej, paraliżując tym samym jej możliwości twórcze i zakres działania. Czy literatura, która przez lata nie mogła bąknąć nawet słówka o tragicznych spustoszeniach, jakie wyrządził w życiu narodu i jednostki stalinizm, zasługuje na miano pełnowartościowej? W wywodach krytyków radzieckich nie znajdujemy odpowiedzi na to pytanie. Przytaczają oni tylko szereg dzieł napisanych w ostatnich dwóch dziesięcioleciach i świadczących rzekomo o nieustannym marszu naprzód.

Praktyka literacka zawsze wykazuje skłonność do rozsadzania obowiązujących kanonów. Dość znaczne ożywienie tendencji realistycznych i krytycznych przyniosła wojna i pierwsze lata powojenne. Rozszerzył się także zakres kontaktów międzynarodowych. Pamiętamy, szanujemy i bynajmniej nie lekceważymy cennych utworów tamtego okresu. Pamiętamy jednak także okrutną rozprawę z tymi tendencjami w czasach żdanowszczyzny i prawdziwą orgię lakiernictwa i obskurantyzmu, jaka wkrótce potem nastąpiła.

W sumie literacki dorobek epoki stalinowskiej — nawet jeśli uznamy za cenne wszystkie wymienione przez Ozierowa i Dementiewa pozycje — jest znikomo mały w porównaniu z osiągnięciami chociażby pierwszego dziesięciolecia władzy radzieckiej i zupełnie nieproporcjonalny w stosunku do istniejących możliwości. Jeszcze gorzej przedstawia się bilans w innych dziedzinach sztuki.

Przeciwko tezie o zastoju w sztuce radzieckiej Ozierow i Dementiew nie wysuwają rzeczowych argumentów i ograniczają się do ogólnikowych „krzepiących ducha" stwierdzeń. Gwoli sprawiedliwości trzeba podkreślić, że poglądy wielu krytyków i pisarzy radzieckich na te sprawy są mniej optymistyczne.

Nie ulega chyba żadnej wątpliwości, że analiza historii literatury radzieckiej, operująca kryteriami marksistowskimi, tzn. opierająca się na faktach i zdrowym rozsądku, doprowadzić musi do nieuchronnego wniosku, że epoka stalinowska była dla tej literatury okresem głębokiej regresji. Negowanie tej oczywistej prawdy przez krytykę może zaciążyć na procesie odnowy sztuki, którego pierwsze jaskółki zaczynają do nas docierać z ZSRR.

Teraz parę uwag na temat drugiej, zasadniczej — moim zdaniem — rozbieżności ze stanem faktycznym. W. Ozierow i A. Dementiew uważają socrealizm za najdoskonalszą i najbardziej nowatorską współczesną metodę twórczą. I znowu pobieżny przegląd osiągnięć sztuki światowej w ostatnim ćwierćwieczu wyraźnie przeczy tej tezie. Film włoski, malarstwo francuskie, amerykańska szkoła powieściowa, architektura szeregu krajów Zachodu — że ograniczę się tylko do tych przykładów — nie są przecież dziełem wyznawców socrealizmu. Te świetnie roz-

wijające się szkoły i kierunki artystyczne doskonale zdają egzamin szeroko pojętej użyteczności publicznej i w większym czy mniejszym stopniu służą sprawie postępu. Przyjmując poglądy krytyków radzieckich i chcąc ustalić stosunek socrealizmu do poszczególnych prądów stanęlibyśmy od razu przed następującą alternatywą: albo uznajemy dany kierunek za dorastający dopiero do socrealizmu, albo też uważamy go za dekadencki i wsteczny, z którym należy prowadzić ostrą walkę ideologiczną. W obu wypadkach musielibyśmy się uciekać do scholastycznych wygibasów, chcąc wytłumaczyć, w jaki sposób dochodzą owe kierunki do tak znakomitych rezultatów. Warto przy okazji zaznaczyć, że ocena współczesnych prądów w oparciu o opinie Lenina, jak to proponuje A. Dementiew, nastręczyłaby nader poważne trudności. Pomijając już to, że wypowiedzi Lenina o sztuce nosiły charakter okolicznościowy, zgodzimy się chyba, iż odnosiły się do innych zjawisk artystycznych i niesposób ich zastosować do gruntownej analizy sytuacji dzisiejszej.

Wydaje się, że znacznie prostszym i bardziej racjonalnym wyjściem byłoby przywrócenie realizmowi socjalistycznemu jego właściwej rangi w sztuce współczesnej — nie abstrakcyjnej metody twórczej, którą w rzeczywistości nigdy nie był, lecz normalnego, równouprawnionego kierunku twórczego. Dopóki to się nie stanie, trudno będzie wydostać się z zaklętego kręgu dogmatycznych i oderwanych od życia koncepcji. Takie postawienie problemu przyniesie tylko korzyści realizmowi socjalistycznemu, który w zdrowym współzawodnictwie z innymi kierunkami osiągnąłby zapewne lepsze rezultaty niż dotychczas. Nie obeszłoby się przy tym, jak sądzę, bez rewizji i dokładniejszego sprecyzowania licznych sformułowań teoretycznych socrealizmu, ale to już jest sprawą wewnętrzną tego kierunku. Monopolistycznej pozycji socrealizmu nie da się utrzymać. Prędzej czy później zburzy ją samo życie. Jeśli nie może być wolnym naród, który uciska inne narody, to i w sztuce niewiele zdziała kierunek, który korzystając z nieuzasadnionych przywilejów odbiera innym prądom możliwość swobodnego rozwoju.

*

Dobrze się stało, że nareszcie zaczęła się szczera i bezpośrednia rozmowa o sprawach tak istotnych dla naszych literatur. Ostrość, a nawet gwałtowność polemiki nie powinna zrażać żadnej ze stron. To na pewno lepsze od efektownych może, lecz pustych w gruncie rzeczy gestów kurtuazyjnych, którymi w niedalekiej przeszłości tak chętnie obdarzaliśmy się nawzajem. Sądzę, że warto by się kiedyś zebrać bez wielkiej pompy w Warszawie czy Moskwie i wyczerpująco przedyskutować poruszone wyżej tematy. Tą propozycją kończę niniejsze uwagi.

Ziemowit Fedecki

ZE WSPOMNIEŃ O STANISŁAWIE WYSPIAŃSKIM*

...Niezwykłym dniem za czasów dyrekcji Kotarbińskiego był 16 marca 1901 roku — dzień wystawienia po raz pierwszy *Wesela* St. Wyspiańskiego. Wielu aktorów twierdziło potem, jakoby od razu poznali się na wartości tego dzieła. W rzeczywistości wyglądało to inaczej. Pamiętam dobrze próby — od pierwszej, czytanej. Już od pierwszego aktu raziły wszystkich owe szufladkowane sceny — ciągle po dwie osoby. „Czy to publiczności nie znuży?" — „Jak to wyjdzie?" — pytano się wzajemnie. Nikt z aktorów nie objawiał zachwytu. Przeciwnie, niemal każdy miał wtedy aż nadto wiele zastrzeżeń na końcu swego języka.

A Wyspiański?

— Nie chcę tych scen układać w inny sposób — rzekł do mnie podczas którejś próby. — Widzę je tak, jak je widziałem tam — na bronowickim weselu.[1] Czy to się spodoba? — Nie wiem. Pisząc, nie myślałem o tym.

To pewne, że Wyspiański nie liczył się z ówczesnymi atrybutami sceny, a już tym bardziej z przeciętnymi upodobaniami publiczności. Jeśli chodzi o publiczność, wtrącił kiedyś w naszej rozmowie:

— Wolałbym, żeby nie bili brawa, bo wtedy uderzy ich coś i przygniecie.

Nadszedł ów dzień historyczny. Byliśmy oszołomieni. Ostatni akt wywarł takie wrażenie, jakiego nie pamiętam w teatrze. Po zapadnięciu kurtyny — zaległa cisza. Dopiero po dłuższej chwili zagrzmiały na widowni huczne oklaski. Na drugi dzień mówiono o duchowym tytanie, który objawił się na krakowskiej scenie.

Znałem Wyspiańskiego z lat dawnych, kiedy był jeszcze małym chłopcem.[2] Widywałem go wtedy w rzeźbiarskiej pracowni jego ojca, Franciszka, który mieszkał pod Wawelem. Pamiętam, jak któregoś razu wygłaszał do rzeźb ojcowskich jakieś bohaterskie monologi. Bawił się w teatr. Nie było w tych dziecinnych zabawach nic nadzwyczajnego. Dopiero z czasem nabrały one szczególniejszego wyrazu. Bo cóż się okazało? Małemu chłopcu zabrakło wkrótce miejsca w ojcowskiej pracowni do rozgrywania improwizowanych dramatów. Wybrał więc sobie w tym celu inną scenę: w rowach podwawelskiego wzgórza. Wówczas szkolny jego kolega, Hortyński, bywał zwykle jakimś apokaliptycznym potworem, którego mały Staś pokonywał i „zabijał".

— Com ja się z tego powodu nacierpiał! — zwierzał mi się później ze śmiechem tenże sam Hortyński, gdy nosił już na sobie suknię zakonnika. — Nigdy podczas tych podwawelskich tragedii nie pozwolił mi Staś zwyciężyć. On, tylko on musiał zawsze i stale górować nade mną. W żaden sposób nie chciał się zgodzić, bym w zamian za tyle moich ofiar bodaj raz jeden przywdział na czoło wieniec triumfatora spleciony z trawy i liści kasztanów, które zbieraliśmy w tym celu w pobliżu, na Płantach.

Te upodobania do teatru i aktorskiej sztuki wystąpiły z całą wyrazistością w następnych, młodzieńczych latach Wyspiańskiego. Jako student gimnazjalny bywał często na sobotnich premierach w naszym Starym Teatrze. Co nadto, miał i swój własny teatrzyk wycięty z tektury. Malował do niego dekoracje, postacie w kostiumach, by zaś do reszty dać ujście

---

* Leon Stępowski (1853—1914) należał do starej, znanej w historii teatru generacji aktorów krakowskiej sceny. Pracował na tej scenie (w latach 1879—1912) za dyrekcji Koźmiana, Gliksona, Pawlikowskiego, Kotarbińskiego i Solskiego. Wraz z E. Łuskiną napisał dramat pt. *Szopen*. Był nauczycielem wielu znanych z czasem aktorów. Prowadził również przez lat kilkadziesiąt w Krakowie szkołę poprawnej wymowy dla jąkających się, sepleniących, uczył mowy niemych i głuchoniemych. Ze St. Wyspiańskim łączyły go przyjacielskie stosunki. Prócz trzech wierszy *(I cóż panie Leonie, Gdy przyjdzie mi ten świat porzucić, Niech nikt nad grobem mi nie płacze)* dedykował mu Wyspiański rolę Starego Aktora w *Wyzwoleniu*. Fragment tu zamieszczony pochodzi z nie wydanych dotychczas, a zachowanych w kilkunastu rozdziałach, pamiętników L. Stępowskiego, opracowywanych obecnie do druku przez jego syna, Janusza.

aktorskim swoim zapałom, odgrywał również z kolegami fragmenty sztuk widywanych w Starym Teatrze, w których nie mniej dobrze czuł się w rolach klasycznych bohaterów, jak i — w rolach kobiecych.

Po latach kilku prym wodził w pewnym młodym zespole amatorskim, który zwrócił się do mnie o reżyserię. Miałem wówczas reżyserować jedną z komedii Paillerona wybraną przez ów zespół do odegrania na publicznym przedstawieniu.[3]

Wyspiański grał w tej sztuce rolę amanta, przy czym był też głównym organizatorem owej imprezy. Przypomniawszy mu naszą znajomość sprzed lat ośmiu czy dziewięciu, tym chętniej zająłem się ustawieniem jego roli, jak i nim samym. Muszę przyznać, że na próbach nie szczędziłem mu uwag z powodu nadmiernej jego ruchliwości w słowie, pozie i geście. Ani mi wtedy przez myśl nie przeszło, że z tego samego młodzieńca, którego strofuję i nauczam, wyrośnie w przyszłości wielki człowiek teatru. Co przy tym pamiętam — nigdy wtedy nie wyczytałem w jego oczach nawet cienia tak zwykłej dla młodzieńczego wieku zarozumiałości. Nie gniewała go na tych próbach moja cierpliwa, systematyczna praca, jaką przyjąłem za konieczną zasadę, mając na względzie dobro owego amatorskiego przedstawienia. Z tą samą dbałością, z jaką stosował moje uwagi do swojej roli, odnosił się i do wskazówek, skierowanych przeze mnie do całego zespołu. Nieraz przytakiwał mi głośno, gdy przestrzegałem któregoś z amatorów, by zachował w swej grze umiar, nie był pretensjonalny, sztuczny, zbyt sztywny czy „wypukły".

— Inaczej pracować nie wolno — zgadzał się z moim zdaniem. — Reżyser musi czuwać nad całością, z tego bowiem dopiero powstaje ogólna harmonia.

W inny sposób zbliżył mnie do niego wieczór ku uczczeniu pamięci Artura Grottgera, który odbył się w Szkole Sztuk Pięknych w dniu 27 stycznia 1888 r. Wyspiańskiego pamiętam wtedy jako młodego ucznia tej szkoły. Wielu starszych jego kolegów nie chciało się wówczas narazić Cynkowi[4], Łuszczkiewiczowi[5] i innym starej daty profesorom, którzy nie uznawali Grottgera za artystę dlatego tylko, że nie farbami, ale ołówkiem i kredką tworzył nieśmiertelne swoje dzieła. Stąd też owa uroczystość urządzona w gmachu Szkoły Sztuk Pięknych miała być nie tylko wyrazem czci i hołdu dla twórcy *Polonii* i *Lituanii*, ale i śmiałym protestem przeciwko poglądom „zapleśniałych mamutów", jak młodzi malarze nazywali profesorskich zacofańców.

Na czele tej zbuntowanej młodzieży stał wtedy Włodzimierz Łuskina[6], sam już czterdziestolatek, przy tym uczeń starego Matejki. Wyspiański sekundował mu w organizacji: wystarał się o salę, przygotował kostiumy, dekoracje, przybory, sprowadził zespół chóralny i śpiewaków-solistów, a wiersz pt. *Archanioł sztuki*, który na tę uroczystość napisał Wincenty Stroka, powierzył mnie do deklamacji. Lubiłem tych zapaleńców, starałem się więc nie zawieść ich zaufania. Musiała też owa deklamacja wypaść wcale dobrze, skoro po zejściu z estrady winszował mi sam mistrz Matejko, a uradowany pan Staś uściskał mnie serdecznie.

Od tej pory spotykaliśmy się z Wyspiańskim coraz częściej. Wymienialiśmy myśli, poglądy, zwierzenia. Dużo przy tym mówiliśmy o teatrze. Z podziwem przysłuchiwałem się poważnym wywodom tego młodziutkiego ucznia Szkoły Sztuk Pięknych, którego tak żywo interesowały sprawy sceny, a przede wszystkim pracy i godności aktora.

— Z pewnością — rzekł kiedyś w trakcie takiej rozmowy — z pewnością doczekamy się tego, że aktorowi — pojedynczo — nie będzie wolno wychodzić przed kurtynę i kłaniać się publiczności. To mnie najwięcej oburza. Bo oklaski, to chęć poniżenia tego, który zapanował nad tłumem. Uważam to za największy zamach na artystę! Oto biją brawo, by się ludziom ukazał, by zniszczył swoje własne dzieło i powiedział z prosta: — ja tylko udawałem. Podobnie z popisową rolą aktora wobec teatru. Taki pojedynczy popis kazi powołanie aktora, poniżając jednocześnie cel sztuki i sztukę samą. Trzeba raz na zawsze zetrzeć z oblicza artysty dawne piętno komedianta.

Pamiętam też Wyspiańskiego podczas próby *Lelewela*. Ciepły refleks świateł padał na jego twarz. Blady, nieśmiały, stał wciśnięty w kulisy. Nie

mówił nic. Są jednak chwile, gdy nie potrzeba słów, by zrozumieć wszystko. Patrzył on wtedy na mnie swymi jasnochabrowymi oczami, a na ustach miał serdeczny, przyjacielski uśmiech. Objął mnie tym uśmiechem i przygarnął do siebie mocno, z ufnością.

Były to czasy Pawlikowskiego. Do wielu moich trosk dołączyła się i ta najcięższa, że uczyniono ze mnie zwykłego teatralnego wyrobnika. Wstydziłem się mojej degradacji. Jakże miałem to wyznać Wyspiańskiemu, którego wielkość była już wówczas uznana, a jego *Klątwa* przysporzyła mu znów sławy, wywołując w Krakowie niemałą wrzawę i tym głośniejszy podziw?

Lecz Wyspiański, spostrzegłszy, że go unikam, sam w tym czasie zbliżył się do mnie.

— Co oni z panem zrobili? — spytał któregoś dnia, zatrzymując mi rękę w swej dłoni.

— Nie istnieję — odrzekłem.

Poszliśmy wtedy do kawiarni Turlińskiego, naprzeciwko teatru.

— Więc odbierają panu role? — zagadnął mnie tam przy stoliku.

— Jedną po drugiej.

— A co pan na to?

— Mam dom. Jestem uzależniony od *engagement*. Muszę milczeć.

— Przecież pamiętam tyle dobrych ról pana, na które sam patrzyłem.

— Mówią, że wszystko teraz w nowym teatrze musi być odświeżone — rzekłem.—Odświeżono dekoracje, światło, rekwizyty, odświeżono więc i aktorów. Niektórych starano się wypędzić, kilku „wylano". Odeszła Kałużyńska, zdolna Sułkowska, odszedł Werner-Jaworski, Antoniewski, Roland-Konopka, Śliwicki i wielu innych. Są i tacy, których zatrzymano, dając im do zrozumienia, że wyświadczono im łaskę. Ci wegetują z dnia na dzień. Niejeden z nich rozpija się lub gra za kulisami błaznów. Tego nie potrafię, zacisnąłem więc zęby i milczę.

Wyspiański słuchał. Jego oczy przeszywały mnie, badały; czułem, że śledziły każdy muskuł na mojej twarzy, najmniejsze poruszenie warg.

— Niewesoły ten los aktorski — rzekł po dłuższej chwili. — Niewesoły, wbrew wszelkim pozorom. Wniknąć w niego z całym zapałem, by z czasem, co wieczora, zatracać coraz bardziej własną indywidualność! Toż to niszczyć własnego ducha, zjadać za życia swój własny talent!

— A czy wiesz pan — ciągnął z ożywieniem — że wszyscy owi domorośli dyrektorzy, owe Gliksony, Szmitty, Barącze niszcząc — jak dziś Pawlikowski — talenty starych aktorów, sami na siebie bicz kręcą? Bo do tej pory płacono wam rolami, marzeniami o sławie, o laurach, choćby urojonych. Wyście jednak w swoją pracę wkładali duszę, grając choćby role najmniejsze. Ta wiara, ślepe zapatrzenie się w ideały, tworzyła przy waszym zapale potężną całość w sztukach i łączyła was duchem — z publicznością. Tymczasem dyrektorom, nie wyłączając Koźmiana, napełniało to — kieszenie. A co będzie z nimi, z teatrem i sztuką, gdy pozbawią was wiary w to, że macie prawo zwać się artystami? Jakie będzie ich dyrektorstwo, gdy aktorzy, uważając się za zwykłych robotników, każą sobie płacić — tylko płacić? Co będzie z dumą i pychą takich dyrektorów, dla których teatr jest tylko dojną krową dla zrobienia majątku lub dogodzenia egoistycznym zachciankom? Nie, nie, panie Leonie — głowa do góry! Dla sztuki i dla was samych m u s i być lepiej. Jeśli do tego nie przyjdzie, zobaczysz, że bezkarnie nie można zabijać twórczości. To się mści zawsze! Przyszłość to najlepszy trybunał.

Odparłem z goryczą:

— Kiedy patrzę w siebie, widzę, że w życiu aktora największym błędem bywa to, że poświęcił się scenie.

— Ho, ho! Cóż za desperacja! — zawołał Wyspiański. — Źle pan sądzisz. Dziś nowy kierunek, który na proch ściera pyszałków, co to siebie tylko w sztuce kochają — dziś ten kierunek wymaga od was całopalenia dusz i talentów. Dziś on już aktorskich samograjów precz odrzuca ze sceny. Już teraz aktora wywoływanego przed kurtynę hańbić poczynają oklaski, a sobkowskie jego wirtuozostwo — kalać artystę. My chcemy, byście zespołem swoich głosów, gry i talentów pokazali nam świat wypełniony jednolitą formą i treścią sztuki, a realizmem tej siły wznieśli nas tak wysoko, byśmy tym światem ż y l i. Chcemy dziś od aktorów całkowitej ich ofiarności, jeśli mamy ich zwać kapłanami sztuki

Odtąd spotykaliśmy się nieraz u

Turlińskiego lub na Plantach, gdzie prowadziliśmy długie rozmowy na temat wspomnień i zwierzeń. W takich rozmowach Wyspiański zapalał się, unosił. Mnie osobiście napełniały one otuchą i nową wiarą. Nie uważałem za właściwe wnikać w tych rozmowach w prywatne życie Wyspiańskiego ani własnego przed nim obnażać. Ale i to stało się nie wiedzieć kiedy.

Któregoś razu sam Wyspiański począł mi opowiadać o sobie, o swoim dzieciństwie, młodości, wreszcie o tym, jak podczas ciężkiej choroby pielęgnowała go prosta dziewczyna wiejska — Teofila Spytkówna — ze wsi Konary pod Tarnowem. Jak się do niej przywiązał. Jak to od niej uciekały te same damy, które potem — po ich ślubie — w powozach obwoziły ją po Krakowie.

— Zwykła historia — rzekł w końcu. — Co ludzi najwięcej łączy i jednoczy, to wspólne cierpienia i bóle. Cierpienia nie są przekleństwem, ale istotnym dobrem na ziemi, bo — ile dotkliwsze — wzbogacają treść życia. Przy tym dzieci, to ślub najprawdziwszy, a zarazem najświętszy.

Wkrótce potem nasza znajomość zacieśniła się jeszcze bardziej. Mieszkając wspólnie przy ul. Krowoderskiej, bywaliśmy u siebie w domu prawie codziennie. Prowadziłem w domu szkołę poprawnej dykcji, oduczałem moich uczniów seplenienia, jąkania się i wadliwego wymawiania liter. Miałem wśród tych uczniów i całkowicie niemych, i głuchoniemych, których niejednokrotnie przy usilnej, cierpliwej pracy nauczyłem mówić. Wyspiańskiego interesowała ta moja praca, najgoręcej ją pochwalał, a często wspierał mnie swoją radą.

Bo też — o czym wie niewielu — umiał on z niezwykłą wrażliwością odczuć symbolizm każdej głoszonej sylaby, nawet litery. Do ojczystego naszego języka odnosił się z uwielbieniem, a cóż dopiero do piękna jego słownictwa. Dźwięcznością mowy rozkoszował się nad wyraz i nad podziw. Nieraz wyszukawszy jakiś fragment poezji Słowackiego, którym się szczególnie zachwycał, prosił i nalegał, bym mu ten fragment deklamował choćby dziesięć razy. Ulubionym jego utworem była zwłaszcza *Duma o Emirze Rzewuskim.*

Muszę przyznać, że Wyspiański wpływał na mnie sugestywnie. Każda z nim rozmowa potęgowała we mnie siłę woli, energię, wytrwałość. Wiele też zawdzięczałem mu w kształtowaniu pojęć i poglądów na temat nowego teatru, jego narodowego charakteru i znaczenia.

— Ich obecne sztuki! — oburzałem się kiedyś, mając na myśli modne wówczas sztuki Przybyszewskiego *et tutti-quanti.* — Przecież to wiązadło mglistych obrazów o duszach skarlałych, silących się na apoteozowanie brudu i kału. Czy świat, w którym gnieżdżą się „krucze gniazda" kobiet wszetecznych, można kochać i współżyć z nim zgodnie z prawami sztuki na scenie? Jakże taki świat może żyć i działać bez wzbudzenia wstrętu?

— Żyć — nie, ale wegetować — tak! — odpowiedział. — Tam człowiek chory podtrzymuje swoje istnienie alkoholem i ciągłym drażnieniem nerwów. Jest w tym tragizm życia, bo taki człowiek patrzeć nie umie, a widzi, nie czuje w pełni, lecz doznaje uczuć wątkami rozedrganych zmysłów, nawet trzeźwo myśleć mu nie podobna, toteż myśli wizyjnie, w paroksyzmach frazesów. Tak powstają i dzieła widziadeł, które autor podaje ludziom ze sceny.

— Czemuż go słuchają?

— Bo też ludzie, którzy tego słuchają i na to patrzą, są częstokroć tak chorzy, jak on.

— A czemuż nikt się nie znajdzie, kto by taką sztukę nazwał otwarcie szaleństwem?

Wyspiański uśmiechnął się.

— Ludzie nigdy zbyt dobrze nie wiedzą, o co chodzi w sztuce.

Przypomniały mi się te same jego słowa podczas premiery *Kwiatu pleśni,* kiedy wyszliśmy razem na korytarz teatralny, by się przekonać, jakie wrażenie zrobiła ta sztuka na widzów.

Zmęczony i zmizerowany przychodził później Wyspiański do nowego mojego mieszkania przy ul. Długiej. Kładł się wówczas na szerokiej, zielonej kanapie i rozpoczynał pogawędkę. Nie prowadziliśmy dawnych dysput, ale i w rozmowie na powszednie tematy, nawet z kwestii pozornie najbanalniejszej, wysnuwał jakąś myśl nową, oryginalną, głęboką.

Kiedyś — pamiętam — wybraliśmy się razem na spacer. Zacząłem narze-

kać, że prawdziwego piękna już nie ma, że piękno to gaśnie i zamiera w naszym narodzie. Właśnie w tej chwili przechodziła obok nas jakaś wiejska babina, trzymając w rękach świeżo u stolarza nabyte okienko — małe, proste, bez szyb. Kobieta palcami gładziła biało lakierowane jego ramy, przybliżając, to znów oddalając je od twarzy, przy czym uśmiechała się do siebie, zapatrzona w pustkę okiennych krosien.

Wyspiański mi ją pokazał.

— A choćby i ta kobieta — rzekł. — Czy to nie piękne? Prawda, nie wygląda ona ciekawie. Stare ma buciska i nieładną suknię. Ale to, co ta kobieta widzi w tych pustych, okiennych ramach — jest pełne uroku. I nie dziwota. Chata, gdzie zamieszkuje ze swoim Bartkiem czy Kubą, zestarzała się jak oni sami, przednówek był ciężki, pieniędzy na nowe okna do chaty zabrakło, więc też biedactwo chodziło na wyrobek, ciułało z tą myślą, by...

(Na tych słowach — przy wspomnieniach o St. Wyspiańskim — urywa się pamiętnik Leona Stępowskiego.)

Podał do druku
Janusz Stępowski

PRZYPISY

[1] Wesele Lucjana Rydla z Jadwigą Mikołajczyk, córką gospodarza wiejskiego, odbyło się w Bronowicach pod Krakowem w dniu 20.XI.1900 r.

[2] St. Wyspiański urodził się w 1869 r.

[3] Była to komedia Paillerona pt. *Nieśmiały*, o czym wspomina Stanisław Estreicher w jednej z odbitek swego artykułu pt. *Stanisław Wyspiański jako aktor*.

[4] Florian Cynk (1838—1912) był w latach 1871—1906 profesorem krakowskiej Szkoły — a następnie, po przemianowaniu — Akademii Sztuk Pięknych. Malował obrazy o tematyce religijnej i historycznej.

[5] Władysław Łuszczkiewicz (1828—1908), malarz, wybitny historyk sztuki. Był od 1877 r. profesorem, a po śmierci Matejki (1893) rektorem Krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Prócz scen historycznych malował obrazy dla kościołów (np. dla kościoła OO. Pijarów w Krakowie). Jego dzieła znajdują się m. in. w krakowskim Muzeum Narodowym.

[6] Włodzimierz Łuskina (1849—1894). Z celniejszych jego obrazów: *Strajk robotników* i *Stanisław August w otoczeniu uczestników Obiadów Czwartkowych*. Jego córka, Ewa, autorka utworów powieściowych. Leon Stępowski napisał z nią sztukę pt. *Szopen*.

[7] *Kwiat pleśni* Macieja Szukiewicza — z dopiskiem w podtytule: *Nokturn starego zamczyska w 1 akcie* — grano w krakowskim teatrze za dyrekcji T. Pawlikowskiego w dniu 16 (premiera) i 21.III.1899 r.

O IGNACYM FIKU
(W CZTERNASTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI)

Było to 29 września 1934 roku. „*Gazeta Artystów*", tygodnik krakowskiego Legionu Młodych — ugrupowania plastyków i literatów, zamieściła na swych łamach artykuł *O reportażu*. Nazwisko autora brzmiało Ignacy Fik i podobnie jak dzisiaj niewiele mówiło czytelnikom. Wprawdzie ten i ów czytał już wiersze podpisane owym nazwiskiem, widział je może w witrynie księgarskiej Gebethnera i Wolffa lub na łamach „*Wiadomości Literackich*" czy „*Naprzodu*" — wszystko to razem wzięte nie pozostawiło jednak głębszych śladów. Wiersze drukowane w czasopismach z reguły uchodzą przecież uwagi; zbiorki poetyckie debiutantów, to w 30-tych latach XX wieku przedsięwzięcie deficytowe i mało który skład księgarski podejmował się kolportażu; a artykuły i rozprawy... było ich niewiele.

Lata 1929—1934 minęły dla Fika pod

znakiem Norwida, ofiarnej pracy w Prywatnym Gimnazjum i Liceum Koedukacyjnym im. St. Konarskiego w Oświęcimiu, własnych zbiorków poetyckich i prób prozy powieściowej. Jesienią 1929 roku odbył się jego egzamin naukowy i obrona pracy doktorskiej, poprzedzone wymianą listów z prof. prof. Chrzanowskim, Kallenbachem i Pigoniem. W 1931 wyszły *Kłamstwa lustra* a w rok później następny tomik wierszy pt. *Przemiany*. Ten sam rok 1932 przynosi druk pierwszego w ogóle artykułu zatytułowanego *Tajny detektyw* i pomieszczonego w 81-ym numerze *„Naprzodu"*, a wkrótce potem w dwu następnych w listopadowej jednodniówce gimnazjalnej *„Na linii startu"*. Pomiędzy wymienionymi już publikacjami a tymi, które ukazały się w roku 1934, znajduje się jeszcze rękopis powieści. *Przygoda własna Andrzeja* — tak brzmi tytuł utworu tkwiącego do dziś w szufladzie i równie nieznanego krytyce jak i dalsze, później już powstałe szkice i próby. Tylko scenariusz *Most* doczekał się w roku 1939 radiowej adaptacji.

Tak więc od jesieni 1934 roku zaczyna się właściwa działalność publicystyczna Ignacego Fika. Coraz częściej pojawia się w czasopismach jego nazwisko i równie jak nazwisko popularny pseudonim: „I. Gojan". Coraz szerzej znany jest jako rozsądny i dokładny krytyk, członek krakowskiej lewicy literackiej. O ile wiersze Fika nie znalazły sobie uznania poza wąskim kręgiem, o tyle artykuły spopularyzowały osobę autora i sprowokowały wiele wypowiedzi prasowych.

Działalność publicystyczna Ignacego Fika zawiera się w pięcioleciu 1934—1939 i zamyka w cyfrze 80 publikacji. Lata te, poprzedzające wybuch drugiej wojny światowej, były w Polsce areną niezwykle gorących walk i niezwykle szybkich przemian. Front Ludowy, jego idea, działalność, niepowodzenia i triumfy, Zjazd Pracowników Kultury... w takim okresie dojrzewa się szybciej; nic więc dziwnego, że ów krótki przeciąg czasu pozwolił, a może nawet kazał Fikowi przejść drogę od debiutu do całkowitej dojrzałości.

Nawet pobieżna lektura prac Fika pozwala na dokonanie pewnego podziału, na wyróżnienie trzech etapów w jego działalności krytycznej. Każdy tego rodzaju podział jest w pewnym sensie względny, jeśli jednak zdecydujemy się na zastosowanie jakiegokolwiek, ten będzie chyba do przyjęcia.

Pierwszy podokres, rozpoczynający się od wspomnianego na początku artykułu *O reportażu*, charakteryzuje nasilona współpraca z *„Nową Wsią"*. Wprawdzie i *„Gazeta Artystów"*, i powstały później *„Tygodnik Artystów"*, i oświęcimskie *„Nowiny Ilustrowane"* mogły się podówczas wylegitymować pracami Fika, były to jednak artykuły mniej ważne. *„Nowa Wieś"*, tygodnik komunistyczny, prześladowany i konfiskowany, redagowany *de nomine* we wsi Naprawa, a *de facto* gdzie się dało, nie reprezentował wysokiej kultury polemicznej, a na dobitkę wydawany był licho i brzydko łamany. Mimo wszystko był to jednak podstawowy organ małopolskich komunistów i magnes wspólnych poglądów pociągnął marksistę Fika ku marksistom — redaktorom z Naprawy. Gorące boje komunistycznego pisma otworzyły przed krytykiem szeroki horyzont tematów. Od pierwszej chwili staje się publicystą wszechstronnym. Raz postuluje konieczność tworzenia literatury antywojennej (*O literaturę pacyfistyczną*), kiedy indziej przestrzega przed sztucznym kawałkowaniem ludności na regiony (*Zasadzki regionalizmu*), prócz tego recenzuje. Współpraca z *„Nową Wsią"* przyniosła jednakże Fikowi oprócz niewątpliwych korzyści równie niewątpliwe szkody. Wystarczy przypatrzeć się drukowanej w 7 numerze tego pisma recenzji *Zmór* Zegadłowicza, będącej polemiką z wypowiedzią Emila Breitera w *„Wiadomościach Literackich"*.

Kontakty Ignacego Fika z *„Nową Wsią"* nie trwały długo. Był zbyt wrażliwy i subtelny, by na dłuższą metę wiązać się z pismem tego typu. Zresztą wkrótce po jego odejściu tygodnik definitywnie zamknięto. Odtąd krytyk najchętniej publikuje swoje artykuły na łamach czasopism lewicującej inteligencji, a więc przede wszystkim w *„Sygnałach"* lwowskich, krakowskim *„Albo — Albo"* i również krakowskim *„Naszym Wyrazie"*. Dodawszy do tego fakt, sporadycznej zresztą, współpracy z sanacyjnym *„Pionem"* mógłby ktoś zarzucić Fikowi kompromis ideowy. Byłby to jednak zarzut fałszywy, bo trudno wymagać od twórcy, aby nie wykorzystywał wszelkich moż-

liwych trybun dla wypowiadania swych sądów. Powiadam wszelkich możliwych, co nie znaczy bynajmniej wszystkich.

Drugi etap w rozwoju twórczości krytycznej Ignacego Fika obejmujący lata 1936—37, to już nie chaotyczne poszukiwanie prawdy. Co krok natykamy się na bardzo cienkie, logiczne i staranne analizy; analizy czynione planowo i skutecznie. Wachlarz tematów i form był o wiele, wiele szerszy. *Produkcja i konsumpcja literatury* to rozprawka stojąca na pograniczu ekonomii politycznej i życia literackiego. Artykuł pt. *Poezjo precz, jesteś tyranem!* wyjaśnia opinii publicznej w sposób przekonujący powody katastrofalnej sytuacji w dziedzinie wydań tomików poetyckich. *Obrona tendencji* jest teoretycznym uzasadnieniem twórczości pisarzy takich, jak Broniewski, Kruczkowski czy Wasilewska. *Dialektyka prądu literackiego* stanowi pierwszą wersję wstępnego rozdziału *Rodowodu społecznego literatury polskiej.* I tak dalej, i tak dalej, bez mała *in inferum.* Żeby nie przedłużać, przypomnę już tylko *Twarz nowej wsi,* artykuł zamieszczony w *„Gazecie Artystów“,* a będący niezwykle rzetelną i sprawiedliwą analizą porównawczą dwóch powieści o wsi: *Pawich piór* Leona Kruczkowskiego i Władysława Kowalskiego *W Grzmiącej.*

■

W ten sposób wkraczamy w niecodzienną aurę trzeciego, ostatniego i chyba jednak zasadniczego etapu w działalności Ignacego Fika. Potem będą już lata wojenne, jego praca polityczno-konspiracyjna, a wreszcie ów tragiczny rok 1942, rok wielkiej prowokacji w krakowskim PPR, którą przypłacił śmiercią prawie cały Komitet Miejski.

Jak dotąd, wszystko było stosunkowo łatwe. Pogodziwszy się z pewnymi uproszczeniami można było bez specjalnego trudu prześledzić podstawowe cechy, główne plusy i minusy, a poniekąd i ich genezę. Teraz, w roku 1938, rozpoczyna się częściowy nawrót do jednostronności, do wulgarnej socjologii. I oto działalność Fika zaczyna obecnie płynąć dwoma równoległymi nurtami. Wyczerpująca analiza genetyczna owego rozdwojenia jest niestety przedsięwzięciem przekraczającym możliwości tego artykułu. Poprzestańmy więc z konieczności na samym tylko stwierdzeniu.

Jeden cichszy nurt jest naturalną kontynuacją poprzednich metod obiektywnego badania. (Ściślej byłoby powiedzieć — badania dążącego do obiektywizmu naukowego.) Tu należy omawiać znakomitą wprost analizę książek Parnickiego i Struga *(Koniec epoki;* druk. *„Albo — Albo“* nr 7, Kraków 1938), gdzie, zgodnie z dialektyką marksistowską, ukazano literacką transpozycję procesu historycznego załamywania się ustrojów przeżartych od wewnątrz. Do tejże grupy należałoby zaliczyć krytyczną charakterystykę polskiej „awangardy poetyckiej“ spod znaku Tadeusza Peipera *(Awangarda i awangardziści* w *„Sygnałach“* nr 39 z 1938 r.). W zgodnej symbiozie z wymienionymi pracami pozostają też rozważania teoretyczne w *„Kamenie“,* gdzie okazuje się, iż Fik jest bacznym obserwatorem i znawcą spraw z zakresu poetyki (*Sprawy elementarne; „Kamena“* nr 7, Chełm Lubelski 1938 i *Elementy statyczne i kinetyczne w wierszu;* ibidem, nr 8). Wreszcie artykuły zasadnicze, ogólne, żeby wymienić ciekawą *Mitologię mitu,* w której autor usiłuje społecznie i psychologicznie wyjaśnić proces narastania mitów literackich (*„Sygnały“* nr 69, Lwów 1939). Dopełnienie obrazu stanowi najmniej znana, jedna z większych rozpraw Fika, broszura *O żywą treść demokracji.* Trudno dziś o tę zieloną książeczkę, wypuszczoną w małym nakładzie w roku 1938 przez Klub Demokratyczny w Katowicach. Jest to pozycja polityczna, nie literacka, twór ideologa prawdziwej demokracji.

Z takimi oto słowami zwraca się autor do społeczeństwa:

„Obrona demokracji i walka o nią polegać może jedynie i wyłącznie na odwadze rezygnowania z jej kształtów przeżytych, na zdolności spostrzegania jej nowych problemów i perspektyw, na zdecydowanej wreszcie postawie ofensywnej w procesie jej realizacji“.

I dalej: „Zwycięstwo jej odczytywane być musi na termometrze dusz ludzkich wprowadzonych w czysty klimat demokracji“. A potem: „Polityka gospodarcza, kulturalna, moralność, sztuka, wychowanie — wszystko to musi być przedmiotem ofensywy demokracji. Socjalizm, syndykalizm, agraryzm, spół-

dzielczość, humanizm, to czołowe siły awangardy".

Tak prezentował się ów denny nurt. Wierzchem toczyły się mocne i wartkie okresy *Rodowodu społecznego literatury polskiej* i *Dwudziestu lat literatury polskiej*. Metafora to nieco może barokowa, ale chyba jednak adekwatna w odniesieniu do tych dwu książek w białej, broszurowej oprawie, które wypuściła na rynek Spółka Wydawnicza „Czytelnik" w Krakowie w odstępie mniej więcej półrocznym. Postawił sobie Fik zadanie bardzo ambitne, bardzo wygórowane. Postanowił przeprowadzić na paruset stronicach polemikę z wiekowym dorobkiem tradycyjnego literaturoznawstwa i historii literatury. Deklarując się jako marksista zanegował wszystkie nieomal istniejące dotąd i obowiązujące teorie rozwoju literatury światowej, tak oto rozpoczynając swój wywód: „To, co nazywamy dziełem literackim, może być przedmiotem najrozmaitszych badań. Jakkolwiek bowiem każdy twór artystyczny stanowi swoistą, charakterystyczną konstrukcję, nie wystarczy go pod tym jedynie względem opisać. Opisem dzieł literackich, jako odrębnych całości, zajmuje się nauka zwana poetyką, czyli teorią literacką. Interesując się jednak budową dzieła, nie potrafi ona dzieła tego wytłumaczyć i to w dwojakim sensie: ani jako indywidualnego zjawiska socjalnego, ani jako takiej, a nie innej organizacji, takich, a nie innych elementów. Do pomocy więc przyjść muszą inne nauki". (...) „Z powyższego wynika, że każdy utwór literacki jest zjawiskiem wielostronnym, przeto chcąc go zupełnie i wyczerpująco wyjaśnić i opisać musimy przeprowadzić badania różnorakie. Ale usprawiedliwione są także podejścia jednostronne. Możliwe to jest wtedy, gdy badania nasze nie są właściwymi badaniami literackimi, ale należą do pewnej określonej dziedziny nauk wymienionych powyżej i sens ich określony jest celami tych nauk."

Teraz już musiały potoczyć się wypowiedzi oficjalne, musiała wszcząć się dyskusja, którą zresztą „ułatwiło" wydatnie Starostwo Grodzkie w Krakowie, konfiskując obie pozycje. Rok mniej więcej trwająca dyskusja przyniosła sporo głosów z obu stron barykady, nim wreszcie przerwała ją wojna. Wznowiła się ona po roku 1945 i trwa z przerwami do dziś.

Żeby nie odkrywać rzeczy odkrytych posłużmy się tu słowami Henryka Markiewicza z posłowia do powojennego wydania *Dwudziestu lat literatury polskiej:* „Aktualna wartość książki Fika leży w tym, że jest ona jedyną, w zasadniczych rysach (podkr. moje — *A. C.*) trafną charakterystyką literatury dwudziestolecia. (...) Mała książeczka Fika ostała się i pozostaje nadal jako jedyna próbna synteza, jako odskocznia do naukowych studiów nad literaturą okresu międzywojennego".

Pozostało nam już tylko jedno zasadnicze pytanie. Czemu Ignacy Fik zdając sobie przecież sprawę z ograniczoności swego stanowiska zdecydował się na obranie tego właśnie? Czemu odstąpił od rzeczowych i akuratnych analiz na rzecz więcej intuicyjnych niźli *sensu stricto* naukowych syntez.

Skoro już raz zabrnęło się w cytaty, trzeba być konsekwentnym do końca. Niech na postawione pytanie odpowie jeden z dawnych redaktorów *„Nowej Wsi"*, znany poeta proletariacki, Marian Czuchnowski. Nie ma go dziś, niestety, między nami, znalazł się po drugiej stronie barykady, co nie przeszkadza, aby powołać się na jego słowa. W liście do Fika (są to właściwie dwa listy, z 22 listopada 1938 i z 13 marca 1939 r.; dla ułatwienia montuję tu cytat łączny) pisze on w ten sposób: „Bardzo drodzy! Serdecznie Was całuję za piękny ciąg dalszy reflektora (podkr. moje — *A. C.*) po polskiej literaturze. Napisanie takiego studium jest więcej niż pionierską pracą; jest nakazem chwili jak manifest o radykalnej reformie rolnej i w stosunkach kulturalnych nie mniej doniosłym".

Chodziło więc o reflektor. O mocny, bardzo jaskrawy strumień światła, który rozświetliłby mroki. A z nim inaczej przecież niż z żarówką przyłożoną z bliska. Ta oświetla dokładnie, ten wywołuje tylko kształty z ciemności.

Co dużo mówić. Był Fik neofitą marksistowskiej dialektyki dziejowej, neofitą o tyle tylko nietypowym, że dość trudno podlegającym egzaltacji i gorączce polemicznej. Był prócz tego znacznie bardziej krytykiem i teoretykiem niż historykiem literatury.

Mogłoby komuś wydawać się, że proporcje tego artykułu dowodzą chęci obniżenia roli książek Fika, a wysunięcia na ich miejsce całej spuścizny rozsia-

nej po czasopismach. Niezupełnie tak. Sądzę tylko, iż nie wolno poprzestawać na *Rodowodzie* i *Dwudziestu latach*. Te broszury dowodzą, że ów błądzący nierzadko neofita chciał być prekursorem. Tymczasem dopiero w kontekście artykułów publicystycznych okazuje się, iż był nim naprawdę. I to właśnie trzeba powiedzieć wyraźnie dziś, kiedy zbliża się czternasta rocznica przedwczesnej śmierci Ignacego Fika.

Andrzej Chruszczyński

APOLOGIA ESTETYKI*

„Wszyscy ludzie znajdują naturalną radość w naśladownictwie." „Dziedziną poezji są w pierwszym rzędzie prawdy ogólne." „Ona żąda entuzjazmu, który stoi na pograniczu szaleństwa; kiedy zatracamy własną osobowość, stajemy się tworami wyobraźni." „Piękne słowa są najbardziej charakterystycznym obrazem jasności umysłu." „Niechaj dzieło będzie tym, co ci się żywnie podoba, pod warunkiem, że charakteryzuje je prostota i jedność." „*De gustibus non est disputandum.*" „Źródłem i początkiem umiejętności pisarskich jest umiejętność myślenia." „Pod żadnym warunkiem nie wolno nam zerwać więzów z przyrodą." „Radość jest jej głównym, jeśli nie jedynym celem; można się zgodzić na wartości dydaktyczne, lecz tylko w drugiej kolejności." „Rozkosze wyobraźni lepiej służą zdrowiu aniżeli radość pojmowania." „Spontaniczne wezbranie potężnych uczuć." „Najlepsze słowa w najlepszym porządku." „Cała dusza człowieka w działaniu." „Jedność w różnorodności." „Syntetyczna i magiczna siła wyobraźni." „Oko na przedmiocie." „Identyfikacja treści i formy." „Krytyka życia." „Ekspresja impresji." **

Oto wybrane sformułowania dotyczące istoty literatury wyrażone przez Arystotelesa, Longinusa, Horacego, Boileau, Drydena, Addisona, Wordswortha, Coleridge'a, Carlyle'a, Matthew Arnolda i innych wybitnych przedstawicieli filozofii sztuki.

Dyskusja wokół celów, istoty, funkcji i zakresu literatury trwa nadal, a jej temperatura sukcesywnie wzrasta, w miarę jak narastają sprzeczności w łonie współczesnych społeczeństw.

Najogólniejszym teoretycznym odzwierciedleniem tych konfliktów jest filozofia, jej fragmentem krytyka sztuki, a więc i krytyka literatury.

Wygrywanie sporów przez powoływanie się na autorytety przeszłości jest bezcelowe. W przeszłości znano konflikty społeczne; przez ich pryzmat i w najściślejszym z nimi powiązaniu nie tylko interpretowano sztukę, lecz również stawiano wobec niej dezyderaty. Ani Arystoteles, ani Boileau, ani Coleridge nie mogą więc służyć jako argument zdolny przeważyć szalę zwycięstwa na tę lub inną stronę. Wprost przeciwnie — w ogniu dyskusji wokół zagadnień współczesnych następuje również przewartościowanie dorobku przeszłości. Jest to zjawisko pozytywne. Cenny jest każdy argument, który wnosi nowe wartości poznawcze do myśli ludzkiej.

Krytyka literacka rezygnuje więc dobrowolnie z autorytetów, nie uznaje aksjomatów, trwa w stanie wiecznego chaosu. Ale jest to chaos twórczy, spór wokół niewymiernych wielkości, gdzie każda z dyskutujących stron uzurpuje sobie prawo do prawdy, z której odkrywa tylko drobny ułamek, w powodzi potknięć i pomyłek.

Kraje Europy Zachodniej i Stany Zjednoczone reprezentują dzisiaj nie tylko bogatą tradycję kulturalną, lecz również barwną mozaikę społeczną. Przy zachowaniu kapitalistycznej treś-

* Harold Osborne: Aesthetics and Criticism, London 1955.

** Wybór cytatów na podstawie I. A. Richards: *Principles of Literary Criticism*. London 1955.

ci ich systemy państwowe zawierają, obok elementów kolonializmu i faszyzmu, naturalnej pożywki dla najbardziej wstecznych idei, również i tendencje postępowe. Wzajemny układ sił społecznych ulega stałym wahaniom, literatura jak zawsze jest naturalną trybuną wymiany i ścierania się poglądów, a krytyka jej podsumowaniem. Toteż można zaobserwować na Zachodzie istnienie całego szeregu prądów w krytyce literackiej. Niektóre z nich nawiązują do tradycji i zmierzają do przeanalizowania dorobku przeszłości w świetle nowych doświadczeń; inne, jak na przykład szkoła psychologiczna, opierają się w zasadzie wyłącznie na doświadczeniach nauki naszego stulecia.

Traktując sprawę w jej najogólniejszych zarysach, spośród wielu istniejących na Zachodzie szkół dałoby się wyodrębnić kilka najbardziej reprezentatywnych kierunków; w pierwszym rzędzie szkoła socjologiczna — jej początki datują się jeszcze od osiemnastego wieku. W Niemczech spopularyzowała się ona za sprawą Herdera, we Francji Hipolit Taine sprecyzował jej teoretyczne założenia, kiedy stwierdził, że wszystkie zjawiska w dziedzinie sztuki dadzą się wyjaśnić jako wypadkowa oddziaływania trzech warunków: momentu, rasy i otoczenia. Szkoła socjologiczna z jednej strony traktuje wszystkie zjawiska w dziedzinie sztuki jako rezultat oddziaływania całego zespołu czynników zewnętrznych, z drugiej — wartościuje dzieła sztuki w pierwszym rzędzie pod kątem siły ich sugestywnego oddziaływania na kształtowanie opinii i poglądów. Jest to więc stanowisko pokrewne marksistowskiej teorii sztuki z tym zastrzeżeniem, że nie podkreśla z równą co krytyka marksistowska siłą dominującej roli momentu walki klasowej w hierarchii czynników formatywnych.

Szkoła psychologiczna, zgodnie z założeniami psychoanalizy, bada dzieło sztuki poprzez osobowość artysty, na skutek czego przesuwa punkt ciężkości rozważań z samego dzieła na osobę jego twórcy, analizuje w pierwszym rzędzie mechanizm i źródła procesu twórczego.

W łonie szkoły psychologicznej ścierają się ze sobą sprzeczne poglądy. Jedni widzą w sztuce substrakt nie spełnionych nadziei, analogiczny w zasadzie ze „snami na jawie", pseudorzeczywistość, która rekompensuje zawody, jakie sprawia życie, i przejściowo przynajmniej potrafi je wynagrodzić. Jest to stanowisko, które w powszechnej terminologii nazywa się eskapizmem. Inni dopatrują się genezy sztuki w dążeniach kompensacyjnych działających na zasadzie kontrastu. Tak dla przykładu Schiller, kiedy pisał *Odę do radości*, był w stanie skrajnej rozpaczy i nękały go samobójcze myśli. Beethoven tworzył siódmą i ósmą symfonię w okresie ostrego kryzysu psychicznego, spowodowanego niepowodzeniami życiowymi. A na odwrót, Schubert był wesołym kompanem i nie stronił od kieliszka i zabaw.

Doktryna Arystotelesa o roli tragedii jako *catharsis*, w nieznacznie zmienionej formie, jest również jedną z metod interpretacji sztuki. Uczucia takie, jak współczucie dla biednych i chęć dopomożenia im, uczucia, którym nie można w pełni zadośćuczynić w życiu, stają się bodźcem do twórczości literackiej, gdzie znajdują w niczym nie skrępowane ujście. To samo dotyczy również niewyżytych impulsów zbrodniczych, aspołecznych, demonicznych i satanicznych.

Stanowisko neohumanistów, którzy również reprezentują szereg odcieni myślowych, da się w najogólniejszych swoich zarysach sprowadzić do wysunięcia na plan pierwszy etycznych wartości dzieła literackiego i oceny jego pod kątem widzenia wpływu, jaki zdolne jest ono wywrzeć na kształtowanie się pojęć etycznych jednostki i społeczeństw.

A wreszcie i szkoła estetyczna, która w sposób ostentacyjny neguje znaczenie wszelkich argumentów poza czysto formalnym i zewnętrznym probierzem artystycznej perfekcji. Szkoła estetyczna doszukuje się powinowactwa duchowego z tradycją Renesansu, dla którego hasło „sztuka dla sztuki" stało się wezwaniem do zerwania z utylitarną doktryną sztuki średniowiecznej, dopatrującą się wyłącznej racji swego istnienia w służeniu celom religii, a pomija milczeniem fakt, że na sztandarach Renesansu widniało dumne słowo „człowiek". Szkoła ta wywodzi się bezpośrednio ze schyłkowych doktryn ubiegłego stulecia, jest ich oczywistą

kontynuacją. Traktuje sztukę jako zjawisko autonomiczne, abstrahuje od jej związku z całokształtem spraw ludzkich, pomija jej treść, a analizuje wyłącznie formę, uważając, że jest to jedyne specyficzne kryterium sztuki. Momenty filozoficzne, etyczne, społeczne przekraczają zasięg jej zainteresowania. Wykładem tez szkoły estetycznej jest praca prof. Harolda Osborne'a, wybitnego przedstawiciela tego kierunku. Osborne pojmuje krytykę jako estetykę stosowaną, nie wyobraża sobie pełnowartościowego studium estetyki w abstrakcji. Celem krytyki jest praktyczne stosowanie teoretycznych zasad, które z kolei są niczym innym jak sumą konkretnych doświadczeń, przez co estetyka jest nauką empiryczną. Estetyka jest więc organicznie związana z krytyką. Przez krytykę Osborne rozumie ocenę pojedynczego dzieła sztuki. Krytyka zaś, której zadaniem jest operowanie konkretnymi sądami i dokładną analizą, musi opierać się na przesłankach teoretycznych, a te są dziedziną estetyki. Zadaniem filozofa jest poddanie teoretycznej analizie praktycznych norm stosowanych przez krytyka, uogólnienie ich i na tej podstawie stworzenie jednolitego systemu estetyki. Krytyka ma się więc do estetyki jak część do całości. Istnieje niebezpieczeństwo, że wiedza teoretyczna zostanie fałszywie użyta, nie może to być jednak argumentem dla wyzbycia się całego balastu teoretycznego. Faktycznie zasady teorii sztuki zawarte są w każdym sądzie, chociażby najbardziej doraźnym i spontanicznym. Szkoła estetyczna neguje możliwość stosowania porównań ze względu na to, że każde dzieło sztuki jest zjawiskiem niepowtarzalnym i jedynym w swoim rodzaju. Przez stosowanie więc porównań i klasyfikacji zatracają się jego specyficzne i indywidualne wartości, które stanowią istotę piękna. Cały wysiłek krytyka powinien kierować się ku konkretnemu wartościowaniu i konkretnej analizie. A przecież każda forma wartościowania zawiera elementy porównawcze i nawiązuje do zjawisk o pokrewnym charakterze.

Krytyka polegająca na opisie jest przestarzała i może być traktowana wyłącznie jako pomoc przy ocenie dzieła. Pomija przy tym Osborne fakt, że każdy opis jest procesem o charakterze selekcyjnym.

Praca Osborne'a jest konglomeratem konkretnych wskazań praktycznych, których celem jest instruowanie krytyka w jego pracy, a zarazem wykładem zasad szkoły estetycznej. Kiedy Osborne utrzymuje, że kryterium piękna jest specyficzne dla dzieła sztuki, to z sądem tym można się zgodzić, kiedy jednak równocześnie neguje znaczenie wszystkich innych kryteriów poza kryterium artystycznej perfekcji, to jest to konsekwencja doprowadzona do absurdu, degradująca znaczenie jednej z najważniejszych dziedzin twórczej działalności człowieka, jest to pominięcie oczywistych faktów, karykaturalne wypaczenie hierarchii wartości. Sąd taki nie uwzględnia posłannictwa artysty i jego aspiracji. Przemilcza rolę i wpływ sztuki na proces kształtowania się oblicza społeczeństw.

Osborne w ten sposób uzasadnia swoją tezę: „Wartości artystyczne są najważniejsze, żadna krytyka nie może ich nie uwzględnić. Dzieło sztuki nie reprezentujące pewnego minimum wartości artystycznych nie może być przedmiotem oceny, nawet dla krytyki szkoły socjologicznej. Wniosek więc, że szkoła socjologiczna także przyjmuje milcząco zasady, które pozornie odrzuca. Błąd w rozumowaniu Osborne'a polega więc na tym, że usiłuje on przeprowadzić znak równości pomiędzy słusznym uwzględnieniem kryterium piękna jako jednego z elementów sztuki a tendencją do wyznaczenia mu roli wyłącznego sprawdzianu. Żadna krytyka nie może nie uwzględnić walorów estetycznych dzieła, ponieważ doprowadziłoby to w konsekwencji do zniwelowania wszelkich różnic pomiędzy dziełem literackim a dziełem naukowym, a różnica ta jest równie oczywista, jak zasadnicza, i polega w pierwszym rzędzie na sposobie traktowania materiału faktycznego. Sztuka jest odbiciem i wyrazem stosunków społecznych w ich najszerszym zakresie, jej celem nie jest analiza i interpretacja konkretnego faktu, lecz odkrycie w fakcie domniemanym praw ogólnych. Stosunek wzajemny pomiędzy nauką a literaturą oparty jest na zasadzie współdziałania, obie w swoich najogólniejszych wnioskach dochodzą do prawd pokrewnych. Największe dzieła sztuki służą celom pozostającym

poza jej domeną, są artystyczną transpozycją pragnień, tęsknot i zmagań człowieka. Ich piękno jest pięknem idei, jakie głoszą, oraz prawd, które odkrywają, i wynika bezpośrednio z treści. Natomiast prawa piękna zewnętrznego należą do najmniej trwałych, bardziej niż każde inne są wynikiem obowiązujących w danym okresie konwencji artystycznych. Ciekawie sformułował to zagadnienie T. S. Eliot, kiedy powiedział: „Wielkości literatury nie można ustalić wyłącznie przy pomocy kryteriów literackich, lecz musimy pamiętać o tym, że rozgraniczenie pomiędzy tym, co jest, a co nie jest literaturą, da się ustalić wyłącznie przy pomocy kryteriów literackich". Osborne nie podziela tego stanowiska, twierdzi on, że oceniając artystyczną doskonałość dzieła, krytyka nie wypowiada się na temat prawdy w nim zawartej, pomija oryginalność i głębię etycznych i filozoficznych wniosków. Stąd stwierdzenie, że jakieś dzieło wypowiada słuszne i oryginalne myśli, że charakteryzują je wyjątkowe wartości etyczne, nie jest równoznaczne z określeniem go jako dobrego dzieła literackiego. Tak samo jak twierdzenie przeciwne, że zawarte w nim idee są nieoryginalne, banalne, nie umniejsza w niczym jego literackich kwalifikacji. Jak długo celem literatury jest propagowanie idei, które wywierają wpływ na motywy postępowania ludzkiego, bez względu na to, czy czyni to celowo, czy też bezwiednie, czy widzi w tym swój cel główny, czy też uboczny, musi i winna być oceniana jako narzędzie społeczne. Ta forma krytyki jest krytyką socjologiczną i nie ma nic wspólnego z krytyką estetyczną, która osądza wartość artystyczną.

Nie ulega wątpliwości, że w tym szaleństwie jest metoda. Osborne empiryk wygłasza sądy, na poparcie których daremnie szukałby przekonywających dowodów. W abstrakcji zakłada istnienie dzieł banalnych jeśli idzie o treść, wyzbytych wartości poznawczych, lecz nienagannych pod względem formy, po to, by znaleźć pretekst do dyskwalifikacji dzieł bogatych w treść pod zarzutem niedociągnięć formalnych. Szuka teoretycznego uzasadnienia do przewartościowania dorobku kulturalnego ludzkości przy pomocy jemu tylko znanego klucza. Mobilizuje broń do wielkiej batalii przeciwko wszystkim zjawiskom w literaturze, które mogłyby mu się wydać dla tych czy innych względów niewygodne, a dzieje się to wszystko przy wtórze ciągłych ataków na pozycje szkoły socjologicznej, która jakoby starała się zakwestionować specyfikę literatury i jej odrębność. W zespole zagadnień kulturalnych literatura bezsprzecznie jest zjawiskiem odrębnym, ale jednocześnie, i to w głównym sensie, jest częścią organicznej jedności, jest rezultatem oddziaływania analogicznych sił obiektywnych, jej zasadnicze tendencje są wyznaczone stopniem rozwoju kulturalnego i aspiracji społecznych zbiorowisk ludzkich w danych warunkach historycznych. Stwierdzenie takie nie może być poczytane za równoznaczne z jakąkolwiek teorią ciasnego utylitaryzmu względnie serwilizmu w sztuce, które w ostatecznej instancji nieuchronnie prowadzą do jej degradacji. Jest to stwierdzenie, które częściowo wyjaśnia źródła twórczości zarówno Miltona jak i Tołstoja, Heinego i Dantego.

Metoda propagowana przez szkołę estetyczną zakłada absolutną dowolność w ocenie dzieła literackiego, zwalnia krytyka z obowiązku uzasadnienia swego sądu, jej pełnym ekwiwalentem są impresje, które krytyk komunikuje czytelnikowi. Hołduje absolutnemu indywidualizmowi i w zależności od odcieni wyznacza inne kryteria oceny. Dla jednych sprawdzianem artystycznej wartości jest intensywność radości, jakiej doznaje się przy obcowaniu z dziełem sztuki. Ekspresjoniści warunkują ocenę stopniem dokładności, z jaką artysta przekazuje swoje doznania odbiorcy, zakładają przy tym istnienie obiektywnego kryterium, którym jest stopień podobieństwa pomiędzy dwoma konkretnymi doświadczeniami. Iluzoryczność tego argumentu jest oczywista. Konstruktywiści uzależniają walor artystyczny dzieła od jego organicznej spoistości. Istotnie, spoistość dzieła literackiego jest ważnym elementem konstrukcji, tak samo jak słuszny w zasadzie dezyderat komunikatywności, lecz każdy z postulatów wysuwanych przez rozmaite kierunki szkoły estetycznej może być uznany zaledwie za jeden z elementów w ocenie dzieła, a nie za jedyny i absolutny probierz jego wartości. Są to wskazania, które — po

wyeliminowaniu błędnych założeń ogólnych — stanowić mogą w sumie zbiór praktycznych wskazań o sztuce pisania, dotyczą one wyłącznie formy przekazywania treści emocjonalnej i myślowej, a ta w ostatecznej instancji jest naczelnym sprawdzianem wartości dzieła literackiego.

Bronisław Wiśniowski

ANTYWOJENNA KSIĄŻKA ZACHODNIO-NIEMIECKA

„Bericht" — tak określa autor książkę *, której akcja toczy się w przededniu ostatecznej klęski hitlerowców. Sucha relacja w jakby żywcem wyjętych fragmentach z martyrologii żołnierza pędzonego do Afryki, stamtąd do Francji, żołnierza-„cierpliwego piechura" wbrew własnej woli. Ziemia, powietrze i woda—to tereny jego męczeństwa, to golgota człowieka ukrzyżowanego, skazanego na śmierć bezmyślną, przerażającą. Niemieccy żołnierze, ofiary systemu, przysłowiowe mięso armatnie, niemieccy żołnierze odarci z aureoli bohaterstwa, wychowani przez szkołę militaryzmu, ogłupiali przez dryl wojskowy. Wojna—to ostatnie ogniwo tego wychowania, tej szkoły zaniku uczuć, zdeptanej, zdeprawowanej świadomości. Jeśli uda się żołnierzowi wyjść z niej cało, to będzie strzępem człowieka, a jego oblicze moralne — zaprzeczeniem człowieczeństwa. Żołnierz Lingen to czołgista, jeden z wielu, którego życie zamyka komenda „padnij", „powstań", jeden z wielu czołgistów, artylerzystów, szeregowców, żołnierzy nieznanych, których autor wprowadza często właśnie w momencie nagłej a niespodziewanej śmierci. Metoda Opitza to metoda suchego relacjonowania; opis naturalistyczny z wszelkimi jego atrybutami, z zasadniczą przewagą wrażeń zmysłowych. Obrazy są najbardziej przerażające; autor spiętrza je i zamyka wulgarnymi słowami, pełnymi cynicznej pasji. Instynkt wyznacza postawę żołnierza, który czuje, „że nikt nie wie, co będzie", a którego radością jest zwierzęca radość ukrycia się przed prześladowcą, zwierzęca radość pogoni za prześladowcą, degrengolada człowieka. Jego odczłowieczenie to funkcja militaryzmu, ogłupiającego drylu wojskowego i wojny. Ale nie tylko. Są szczeble zdobywania jakiejś świadomości: to rosnące poczucie bezsensu tego, co się dzieje naokoło, to gorzkie poczucie zupełnej samotności człowieka. Ojczyzna? Tęsknota za ojczyzną? Tak, choćby cela więzienna i czysta woda do picia. Tylko tyle. A przecież te wspomnienia ojczyzny stają się zasadniczymi elementami kompozycji, na tym rusztowaniu zbudowana jest relacja o wojnie. I nieprzypadkowo. Wspomnienia ojczyzny mają charakter szczególny. Nie rozładowują one nastroju grozy, nie niosą ulgi, przeciwnie, stają się dodatkowym akcentem potępienia, negacji tego wszystkiego, co stało się losem żołnierza. Prawdy tam zdobyte, to zakłamanie. Zakłamane pojęcie ojczyzny, zakłamany frazes o „przyszłości naszych dzieci", zakłamana wizja powrotu z gałązką wawrzynu, zakłamana koszarowa wiedza, zakłamana pieśń *Es ist so schön Soldat zu sein,* zakłamane sztandary. Wspomnienia z ojczyzny nie przynoszą ukojenia, przeciwnie, płynie z nich przeświadczenie, że pojęcie ojczyzny „ulegało z pokolenia na pokolenie zafałszowaniu, że on, Lingen, już ongiś wstydził się mówić o miłości ojczyzny". Ocena własnego postępowania, zdobyta na frontach zagłady człowieka — to ostateczne uświadomienie sobie, że każdy postępek żołnierza, choćby najgorszy, nie jest przecież gorszy od tego, że wciśnięto mu broń do ręki i zmuszono do czynienia zła. I dlatego droga Lingenów, jak pokazuje Opitz, musi prowadzić do odrzucenia wszelkiej moralności i wszelkich kryteriów moralności, do uznania nawet morderstwa, by ratować własne życie. I dlatego, kiedy autor odsłania postawę moralną żołnierza, który ma za sobą wszystko, zwycięstwo i klęskę —

* Karl Ludwig Opitz: *Der Barras,* Hamburg 1953.

to będzie to postawa człowieka, któremu prawa dyktuje jego samotność.

„Morderca czy bohater? — Któż o tym decyduje? I czy jestem Niemcem dobrym, czy złym — o tym decyduję ja sam."

Tak przejrzał żołnierz Lingen, tak pokazał Opitz jego drogę przez mękę pod takt dziarskiej piosenki *Es ist so schön Soldat zu sein*, jego ocenę „barrasu", przeklętego militaryzmu i drylu wojskowego, przeklętej wojny, rozpętanej nie wiadomo po co. Lingen, człowiek prosty, czasem *porte-parole* autora, krótko przed śmiercią dochodzi do pewnych uogólnień, które dotyczą Niemiec i nie tylko Niemiec: „Łzy, dźwięki niemieckiego marsza, parada wojskowa, postawa na baczność, otrzymywanie rozkazów — wszystko się skończyło. Teraz mogą maszerować pod dźwięk francuskiego marsza, salutować sztandar francuski; jeśli staną na baczność, by otrzymywać rozkazy, to będą to rozkazy w języku francuskim. Wszystko się zmieni tu i tam, tylko łzy pozostaną łzami". I kiedy autor zamyka książkę obrazem koszar, w których odbywa się uroczyste pożegnanie poborowych, kiedy padają pełne patosu słowa o zaszczycie, jaki im, poborowym, przypadł w udziale, kiedy krzyczy się o pełnych heroizmu epokach historii i o tym, jak za każdym żołnierzem stać będzie ojczyzna, to obraz ten, w który wpatruje się umierający Lingen, każe mu w ostatniej chwili wypowiedzieć jedno tylko zdanie: „Wszystko wygląda zupełnie inaczej, nawet śmierć".

To ostateczne, zdecydowane rozczarowanie człowieka, poczucie zupełnej pustki stanowi *novum* w książce Opitza. Nawiązuje autor do znanej skądinąd niemieckiej literatury pacyfistycznej, do utworów Glaesera, Pliwiera, Remarque'a, Renna i innych. Jest może bardziej „wyciętym" wycinkiem rzeczywistości niż tamte utwory, a zwłaszcza takie, jak nowa książka Remarque'a — *Czas życia i czas śmierci.*

Naturalistyczny opis w *Barrasie*, przerażająca fotografia działań wojennych nie jest celem dla siebie. Staje się ona tłem, na którym autor zarysowuje, szkicuje przemiany, jakie zachodzą w duszy tzw. szarego człowieka. Autor nie znajduje odpowiedzi na pytanie, gdzie tkwi źródło, jakie jest źródło „barrasu", który zabija w człowieku człowieczeństwo i prze do wojny. Autor nie mówi o hitleryzmie, jeden jednak niewielki fragment, który pokazuje tragedię Żyda przed wybuchem ostatniej wojny, nabiera w całym kontekście szczególnej wymowy. Czy odsłania korzenie? Coś z tego zawierają słowa o Żydzie, który nie chciał porzucić ojczystego kraju, a „po upływie pięciu miesięcy nie żył: został albo zamorzony głodem, albo zakatowany, albo powieszony na własnych szelkach".

Niewielka książka Opitza neguje dryl wojskowy, potępia wojnę, zawstydza groźnym stwierdzeniem rozdźwięku między patetycznym obrazem, zakłamanym słowem a rzeczywistością, zawstydza obrazem oszukanego człowieka. Teraz, kiedy pod wodzą hitlerowskich generałów, odradza się stary Wehrmacht, jakże jednak niepokojący jest skąpy komentarz autorski „o łzach, które pozostaną".

B. R.

RADZIECKI PRZEGLĄD LITERACKI

W radzieckiej prasie literackiej (i nie tylko literackiej) dyskusja o sprawach od lat nurtujących społeczność pisarską przybiera coraz szersze kręgi. Gwałtowny pęd do dyskusji na temat błędów i braków twórczości literackiej badaczka literatury S. Sztut w artykule *Inicjatywa pisarza* („*Litieraturnaja Gazieta*" z 26.VII.) wyjaśnia nie tym, że... „właśnie teraz braki te są szczególnie duże, ale tym, że obecnie są one nader uchwytne. I jeszcze bardziej — tym, że obecnie istnieją realne możliwości ich przezwyciężenia". Jej zdaniem możliwości te są u każdego pisarza tym większe, im silniejszą stanowi on indywidualność twórczą.

„Gdy jednak — pisze autorka — w

imieniu epoki może przemawiać tylko jeden głos jednostki niepomiernie wywyższonej, do czegóż potrzebny jest artyście własny głos? W takim klimacie kształtuje się pisarz — nie twórca, lecz wykonawca. Tak powstaje przygnębiająca monotonia motywów, wątków, sytuacji, bohaterów, ba! nawet wyrażeń i form językowych. W taki sposób równolegle ze zniwelowaną formą literacką rodzą się najgorsze twory bezosobowozurzędniczałej myśli — schematyzm i bezbarwność, sztampa i wulgarny prymitywizm, kłamstwo i miernota, komunały i urzędowy optymizm."

Błędy i braki dostrzegano i dawniej, twórcy usiłowali je przezwyciężyć, lecz ich dążenia hamował panujący wówczas kult jednostki, tłumiło je narzucone przezeń zbiurokratyzowanie sztuki i literatury. Autorka omawia te problemy szerzej w opublikowanym we wrześniowym numerze miesięcznika *„Nowyj Mir"* artykule *Nad mapą naszej literatury.*

Zdaniem S. Sztut na mapie tej występuje zbyt wiele „białych plam", zbyt wielu autorów i książek z niej starto. Zlikwidowanie tych „białych plam", przywrócenie pełnego obrazu literatury radzieckiej bynajmniej nie jest tylko sprawą historyków literatury. Sprawa ta posiada nader aktualne znaczenie, ponieważ odtworzenie pełnego obrazu literatury radzieckiej pozwoli ustalić i właściwie ocenić jej możliwości rozwojowe. By je móc ogarnąć, ustalić w całej rozciągłości, należy bardzo dotychczas wąski krąg zjawisk i wydarzeń literackich poszerzyć o wszystkie przejawy i utwory radzieckiej literatury pięknej na przestrzeni lat 40.

Dużo przyczyn złożyło się na to, że wiele z nich wymknęło się z pola widzenia historyków literatury, jakkolwiek chodzi tu głównie o ulubionych, do dziś bardzo poczytnych autorów. Jednych (Sztut wymienia Jasieńskiego, Kolcowa, Babela) śmierć wyrwała z szeregów twórców, inni — żyjący jeszcze pisarze — ulegli represjom administracyjnym i nie są drukowani, jeszcze inni — byli przemilczani, gdyż utwory ich uległy nader dotkliwej banicji ideologicznej. Autorka omawianego artykułu wymienia przykładowo znany poemat Edwarda Bagrickiego — *Dumę o Opanasie*, oraz powieści Ilji Ilfa i Eugeniusza Pietrowa.

Przy sposobności: *„Litieraturnaja Gazieta"* przyniosła 25.IX. recenzję wznowionych niedawno przez wyd. „Goslitizdat" satyrycznych powieści tej popularnej spółki autorskiej (*nota bene* — nowy polski przekład *12 krzeseł* drukował niedawno w odcinkach *„Express Wieczorny"*). Autor recenzji, D. Nikołajew, omawia bliżej okoliczności, w jakich dogmatyzująca krytyka literacka dopatrzyła się np. w *12 krzesłach* „błędów ideologicznych": według II wyd. Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej polegały one na tym, że autorzy powieści... „odtwarzając drobnych oszustów i filistrów, nie obnażają burżuazyjnej natury swoich bohaterów i pomijają pozytywne przejawy radzieckiej rzeczywistości".

Po tej małej dygresji — uczynionej dla zilustrowania wywodów Sztut — powracam do sprawy „białych plam" na mapie literatury czterdziestolecia. Autorka artykułu uważa, że będzie je można stosunkowo szybko pousuwać w drodze wznowień i omówień krytycznych. Najtrudniejszą jednak sprawą będzie naprawienie krzywd (i autorów, i czytelników), spowodowanych przemilczaniem pewnych pisarzy i utworów nie z przyczyn pozaliterackich, lecz z winy krytyków. Nie będę, oczywiście, powtarzał za autorką artykułu około 40 nazwisk autorów dobrych, w niedawno wydanym *Zarysie historii rosyjskiej literatury radzieckiej* i w innych podręcznikach literatury całkowicie pominiętych, nawet nie wymienionych, aczkolwiek (według Sztut) pisarze znacznie słabsi i zupełne miernoty — doczekali się omówienia względnie wzmianki. Dlaczego? — zapytuje autorka artykułu *Nad mapą naszej literatury.*

Sztut wyraża przeświadczenie, że główne źródło błędów, wypaczeń i uchybień w historii literatury radzieckiej nie tkwi — jak to niektórzy badacze skłonni są przypuszczać — wyłącznie w stosowaniu zasady klasyfikacji tematycznej, która — jej zdaniem — posiada też zalety. Sedno rzeczy tkwi w tym, w jaki sposób stosuje się metody klasyfikacji (tematycznej, problemowej, monograficznej), a to zależy od pojmowania istoty literatury. Zwulgaryzowanie, zdogmatyzowanie pojęć takich, jak tematyka, motyw, konflikt, prawda artystyczna itd. decydowało o umieszczeniu utworów w „głównym nurcie", a ich autorów — w historii literatury.

Sztut pisze, że z tych względów historycy literatury radzieckiej na ogół nie doceniają np. poezji Aleksandra Błoka, częstokroć przemilczają pełne sarkazmu powieści Erenburga z lat dwudziestych, dopatrując się w nich „krańcowych sprzeczności". Wielu teoretyków przechodzi obojętnie obok historycznych tragedii poety Ilji Sjelwińskiego, zbywa milczeniem twórczość Borysa Pasternaka, Michała Swietłowa itd. Podobnie działo się z twórczością M. Priszwina, I. Sokołowa-Mikitowa, W. Gerasimowej, A. Swirskiego, J. Oleszy, R. Frajermana i wielu innych twórców, którzy nie mieścili się w madejowym łożu dogmatyzmu.

Głębokie pragnienie gruntownej rewizji dziejów literatury radzieckiej przenika wiele publikacji. Niejedną nową myśl odnajdziemy w artykule *O gruntowne opracowanie historii literatury radzieckiej* pióra trzech teoretyków literatury — A. Mietczenki, A. Demientiewa, G. Łomidze („*Kommunist*" nr 12 z sierpnia br.), zawierającym analizę szkód poniesionych przez naukę o literaturze — pod brzemieniem panującego do niedawna w literaturoznawstwie i innych naukach społecznych „aksjomatu" — cytuję — „...Nowe idee o zasadniczym znaczeniu metodologicznym może wygłaszać tylko Stalin. Forsowanie tego punktu widzenia wywoływało skostnienie myśli twórczej, dogmatyzm, cytatomanię, mechaniczne »dopasowywanie« zjawisk i faktów do tej lub owej wypowiedzi Stalina."

Autorzy przypominają uchwały partii w sprawach literatury i sztuki, skierowane przeciwko urzędniczemu komenderowaniu i administrowaniu. Właśnie te momenty do niedawna pozostawiane były w cieniu, wręcz pomijane. W liście KC w sprawie tzw. proletkultów (r. 1920) partia potępiła próby odizolowania się tych powstałych jeszcze przed Październikiem organizacji kulturalno-oświatowych, zarazem jednak uprzedziła działaczy przed drobiazgowym ingerowaniem i przytłaczaniem tych organizacji zbytnią opieką.

W rezolucji KC Partii *O polityce partii w dziedzinie literatury pięknej* (z r. 1925) jednym z najważniejszych punktów — cytuję omawiany artykuł czasopisma „*Kommunist*" — „...było żądanie, by w krytyce wyeliminować ton komenderowania literaturą, wszelkiego pretensjonalnego, zarozumiałego »komczwaństwa« („komczwaństwo" — skrótowe wyrażenie Lenina, znaczy „komunistyczna pycha" — *J. S.*), by do cna tępić próby improwizowanego i niepowołanego administracyjnego wtrącania się do spraw literackich". W rezolucji tej KC zwrócił się do literackich krytyków-komunistów, by „...zachowywali jak największy takt i umiar, ostrożność i cierpliwość wobec tych wszystkich warstw i ugrupowań literackich, które mogą pójść i pójdą z proletariatem. Krytyka ta będzie posiadała głębokie znaczenie wychowawcze tylko wtedy, gdy opierać się będzie na własnej przewadze ideowej". W rezolucji podkreślono konieczność „...swobodnego współzawodnictwa różnych ugrupowań i prądów literackich".

Te uchwały partyjne przepojone są duchem leninowskim. Autorzy artykułu przytaczają zdanie Anatola Łunaczarskiego: „Z własnych sympatii i antypatii estetycznych Lenin nigdy nie tworzył idei przewodnich, wytycznych". Toteż był przeciwny biurokratycznemu dyktatowi, narzucaniu twórcom własnych upodobań.

Mietczenko, Demientiew, Łomidze postulują obiektywne i wszechstronne przestudiowanie wydarzeń i zjawisk literackich, zrewidowanie m. in. poglądów na rolę licznych w latach dwudziestych ugrupowań literackich, na twórczość wielu pisarzy pokrzywdzonych i niesłusznie pogrążonych w odmęt zapomnienia. Spośród pisarzy, których twórczość należy na nowo i właściwie ocenić — prócz wspomnianych wyżej przy omawianiu artykułu S. Sztut — autorzy artykułu wymieniają Siergieja Jesienina, W. Kirszona, Artioma Wiesiołego, I. Mikitenkę, Ormianina E. Czarenca, Gruzinów — M. Dżawachaszwili i T. Tabidze.

Wiele uwagi trzej krytycy radzieccy poświęcili sprawie dogmatycznego traktowania twórczości autorów, którzy pisali o wojnie domowej. W stosunku do nich krytycy i historycy literatury upraszczali analizę, dzieląc twórców szablonowo na dwie grupy: takich, którzy w rewolucji opiewali żywioł, nawałnicę dziejową (ich właśnie potępiano w czambuł!), i takich, którzy poetyzowali proletariacką świadomość bojowników rewolucji. Do utworów „poetyzujących żywioł" zaliczano np. opowieści Wsiewołoda Iwanowa, Lidii Sejfulinej, A. Niewierowa.

W rozwoju literatury radzieckiej były różne fazy — dochodzą do wniosku autorzy omawianego artykułu — znała ona i chwile triumfu, i chwile klęsk. W kreśleniu tej linii rozwojowej należy wystrzegać się dogmatyzmu i uproszczeń.

Proces wyzwalania historii literatury radzieckiej z pęt dogmatyzmu wymaga również rewizji pewnych ustalonych szablonów w pojmowaniu wpływu i znaczenia twórców tej literatury — Gorkiego i Majakowskiego. Zamiast ściśle naukowego przeanalizowania konkretnej postaci i form oddziaływania Gorkiego na poszczególnych twórców i cały przebieg rozwoju literatury radzieckiej — czytamy w artykule trzech krytyków radzieckich — „...w wielu wypadkach mamy do czynienia z mechanicznym przypisywaniem wpływowi Gorkiego wspólnych całej literaturze radzieckiej zasad, w których niekiedy trudno odnaleźć swoiste cechy Gorkiego. Powoływanie się na Gorkiego stało się obowiązkiem i przybrało pewnego rodzaju dogmatyczny charakter".

Również w stosunku do Majakowskiego i jego tradycji panował dogmatyzm. Twórczość wielkiego poety krytycy analizowali drogą zestawiania z nim, porównywania wszystkich innych poetów, którym — bez względu na ich indywidualne oblicze twórcze — stawiali za wzór Majakowskiego. Twórczość innych poetów analizowano szablonowo, doszukując się wszędzie śladów oddziaływania poezji Majakowskiego. Według dogmatyków — na twórczość Majakowskiego miał mieć wpływ jeden tylko Gorki. Jednak — czytamy w omawianym artykule — sprawę wpływu Gorkiego na Majakowskiego opracowuje się powierzchownie, nie analizując wnikliwie istotnych różnic między tymi dwiema, tak bardzo odmiennymi, indywidualnościami twórczymi.

Mietczenko, Demientiew i Łomidze występują także przeciw stosowanej w historii literatury radzieckiej periodyzacji, którą uważają za dogmatyczną, żywcem przejętą z *Krótkiego kursu historii WKP(b)*. Proponują więc inną, opartą na dziejach radzieckiego społeczeństwa, a zarazem uwzględniającą specyfikę rozwoju literatury. (I okres — od Rewolucji Październikowej do początku lat 30-tych, II — lata 1931—41, III — Wojna Narodowa, IV — lata powojenne.) Omawiając fatalne skutki doktrynerstwa i dogmatyzmu w dziedzinie nauki o literaturze trzej krytycy radzieccy poruszyli też problemy teorii literatury, zanalizowali szkody, jakie realizmowi socjalistycznemu wyrządziło doktrynerstwo.

Historyk sztuki A. Burow zajął się w artykule *Estetyka winna być estetyką* („*Litieraturnaja Gazieta*" z 4.VIII.) pytaniem, jaką winę za dogmatyczne pojmowanie zasadniczych podstaw metody twórczej ponosi radziecka teoria literatury i sztuki, radziecka estetyka, która już i dawniej, przed laty, ulegała zwulgaryzowaniu. „Nie należy sądzić — pisze Burow — że zlikwidowaliśmy już wulgaryzację w estetyce. Bynajmniej. Pozostałości wulgarnego socjologizmu i wszelakiego innego brutalnego upraszczania w traktowaniu wszystkich zasadniczych zagadnień estetyki zachowały się do naszych czasów."

Burow czyni próbę obalenia tradycyjnej w nauce radzieckiej opinii, że istoty sztuki nie można sprowadzić, zredukować tylko do pierwiastków estetycznych, że „prócz tego" działają w sztuce czynniki pozaestetyczne: poznawanie rzeczywistości, cel (walka o ideały społeczne), społeczne zainteresowanie, zaangażowanie. Zdaniem Burowa zwolennicy tego rozumowania prawdopodobnie nawet nie przypuszczają, że wychodzą z założeń estetycznych Kanta. Przecież to Kant uważał, że przeżycia estetyczne pozbawione są pojęć, tj. elementów poznawczych, że pozbawione są bodźców zainteresowania, celu — i doszedł do negacji treści w sztuce, do określenia pojęć estetycznych jako kategorii formalnych.

Nie zamierzam tu omawiać zawiłych wywodów Burowa, wspomnę tylko o wnioskach. Przyjęta dość powszechnie w analizach literackich i pracach krytycznych metoda rozbioru — na początku i przede wszystkim czysto socjologiczne elementy treści utworu, a dopiero potem, na dalszym planie — forma (język, koloryt), jest wg. Burowa wyrazem takiego tradycyjnego, nieświadomie wywodzącego się z kantyzmu pojmowania estetycznych kategorii i istoty znaczenia literatury i sztuki. Tę drugą część krytycznego rozbioru dzieła literackiego — rzecz znamienna — dogmatycy nazwali analizą estetyczną.

Burow dochodzi do konkluzji, że „...należy wreszcie wydać prawdziwą walkę teoretyczną kantyzmowi w este-

tyce". Domagając się podniesienia poziomu teorii literatury, estetyki—Burow przykładowo analizuje kryteria artystyczne, jakimi posługuje się estetyka i krytyka radziecka, i dochodzi do wniosku, iż wiele z nich „...w istocie nie stanowi kryteriów artystycznych właśnie dlatego, że ignoruje istotną treść artystyczną i ma charakter czysto formalny".

Znaczenie krytyki literackiej w obecnym okresie obalania dogmatyzmu w krytyce i schematyzmu w twórczości literackiej uwypuklił Borys Riurikow w artykule *Literatura a życie* („*Prawda*" z 26.VIII.). „Kult jednostki — pisze Riurikow — kruszył artystom pióra, w krytykach i historykach literatury zabijał wiarę we własne siły, obezwładniał inicjatywę i przyzwyczajał do liczenia na podpowiadanie z górnych sfer. Forytując lakiernictwo, hymny pochwalne, wdrażał nawyki bierności, tłumił aktywność twórczą, był jednym z bardziej ważkich powodów rozluźnienia więzi literatury z życiem."

Wyrazem tego oderwania literatury od życia, od rzeczywistości, od przeżywanej epoki — jest niezadowalające, niewystarczające uprawianie tematyki współczesnej. Riurikow podaje, iż spośród wydanych w ciągu półtora roku — nakładem „Goslitizdatu" i „Mołodaja Gwardia" — przeszło 100 pozycji literatury pięknej niecałe 5% stanowią książki osnute na życiu współczesnym. Na brak tematyki współczesnej cierpi również repertuar teatrów radzieckich. W poszukiwaniu przyczyn tego zjawiska Riurikow dochodzi do wniosku, że unikanie tematyki współczesnej pozostaje w związku z tym, iż wymaga ona rozległej i głębokiej znajomości współczesnego życia i współczesnego człowieka. Człowieka — ośrodka twórczej uwagi pisarzy, służących literaturze, pojmowanej jako „człowiekoznawstwo".

Schematyzm wyrządza dużo szkód także i dlatego, że tłumi w twórcach zainteresowanie dla człowieka. „Ileż — pisze Riurikow — widzieliśmy filmów, w których »nadczłowieka« pozbawionego całkowicie własnej osobowości, we wszystkich sytuacjach życiowych, jak wyrocznia wygłaszającego mądre decyzje, otaczały tłumy statystów. Niekiedy statystów tych charakteryzatorzy obdarzali portretowym podobieństwem do ludzi w całym kraju dobrze znanych i poważanych, niekiedy tworzyli abstrakcyjną, bezosobową postać szeregowca Iwanowa (*Upadek Berlina*). Często powstawały równie pozbawione oblicza postacie »robotników«, »kołchoźników«. Jednak w akcji wszystkie te postaci nie odgrywały roli samodzielnej."

Riurikow wymienia scenariusze takich filmów (*Upadek Berlina, Niezapomniany rok 1918* i in.), sztuki teatralne i utwory literackie, w których człowieka, jego życie i duszę — odsuwano na plan dalszy. To samo, z małymi wyjątkami, działo się nawet w sztukach i filmach biograficznych — na jedno kopyto tworzono postaci „wybitnych działaczy" w otoczeniu równie jak one papierowych „ludzi z ludu". Riurikow z goryczą podkreśla, że w wiejących chłodem, pseudoklasycystycznych i arcyfasadowych inscenizacjach ginął właściwy sztuce socjalistycznej duch humanizmu. Przypomniawszy stanowisko Lenina w sprawach kultury i sztuki, Riurikow ostro krytykuje praktykę władz i związków artystycznych. Zamiast dopomagać twórcom rozsądnymi i taktownymi radami zajmują się one działalnością biurokratyczną.

„Na przykład — czytamy w artykule Riurikowa — ile rozporządzeń wydało Ministerswo Kultury w sprawach dramatopisarstwa, jak drobiazgowo obwarowało przepisami i regulaminami obowiązki i funkcje najprzeróżniejszych zarządów i wydziałów, teatrów, a nawet dramaturgów — a ze sztukami nadal jest kiepsko... Za to ponosi winę także Związek Pisarzy: uchwał podejmuje dość dużo, ale nasi reżyserzy i aktorzy jeszcze nie nauczyli się rezolucji przetwarzać w spektakle teatralne i wciąż domagają się nowych sztuk."

Problemy teatru i dramatopisarstwa poruszył w artykule dyskusyjnym *O towarzyszach sztuki* („*Litieraturnaja Gazieta*" z 21.VIII.) aktor i reżyser teatralny, Michał Romanow. Jego zdaniem panowanie dramaturgii schematycznej, bezkonfliktowej spowodowało znaczne obniżenie poziomu sztuki scenicznej i i kunsztu aktorskiego, wytworzyło atmosferę niesprzyjającą rozwojowi wybitnych indywidualności artystycznych: „Gdy zastanawiam się nad tym — pisze Romanow — jaką szkodę wyrządził naszej sztuce kult jednostki... myślę o kadrach naszej inteligencji twórczej, o ludziach, którzy przebrnęli przez bardzo duże trudności i stanęli na progu

zupełnie nowych, istotnie wielkich zadań". Źródłem trudnych przeżyć i ciężkich prób w teatrze było m. in. smutne zjawisko tzw. „przestojów aktorskich", tj. niewykorzystywanie w pełni najwybitniejszych talentów aktorskich.

Na pytanie, dlaczego plejada wybitnie utalentowanych artystów dramatycznych (spośród kilku przytoczonych przez siebie nazwisk Romanow zatrzymał się nad losem usuwanych w cień aktorów tej miary, co wybitna tragiczka Alicja Koonen i świetny aktor komediowy Igor Iljiński) dawała z siebie tak mało, znacznie poniżej możliwości — autor artykułu udziela takiej odpowiedzi: „Po prostu dlatego, że rola, której »głębię« bez trudu osiaga każda nowoupieczona aktorka, nie wymaga Babanowej (znakomita artystka dramatyczna — *J. S.*). Skoro satyra teatralna zadowala się inscenizowaniem felietonów, to, oczywiście, nie ma w niej nic do roboty Iljiński. A skoro w teatrze nie wystawia się tragedii, skoro żarliwi »teoretycy« po faryzeuszowsku zapewniają, iż sam ów gatunek teatralny nie ma u nas żadnych możliwości rozwoju — nie potrzebna jest Koonen."

Polemizując z Romanowem dramatopisarz L. Maliugin w artykule *Oczekiwania i poszukiwania* („*Litieraturnaja Gazieta*" z 11.IX.) nie zgadza się z jego tezą, iż główną przyczyną zubożenia talentów aktorskich jest kiepska dramaturgia. Przyznaje co prawda, że „dramaturgia, oczywiście, zakreśla aktorom pewne granice", ale nieco niżej, na dowód, że dramatopisarstwo nie jest źródłem wszystkich braków współczesnej sztuki scenicznej, dodaje: „...Najważniejsze jednak jest to, że we wszystkich epokach wielcy artyści grali w sztukach zarówno pierwszorzędnych, jak i niedoskonałych. Być może nawet, że talent specjalnie mocno objawiał się właśnie w sztukach niedoskonałych". Na dowód czego Maliugin przytoczył przypadki utrzymania się słabych sztuk w repertuarze dzięki świetnej grze wykonawców, którzy schematyczne postaci wzbogacili własną wiedzą o życiu i ludziach. Po tej — dość niefortunnej — apologii dramaturgii Maliugin słusznie podkreślił współtwórczą rolę aktora i zespołu teatralnego w procesie realizacji utworu dramatycznego. Wyraził też żal, że teatry przestały być „panami myśli" widowni. „»Panami myśli«— pisze Maliugin — były teatry: Mały, Mayerholda, Wachtangowa, zupełnie niedawno, w latach powojennych — teatr Jermołowej. Obecnie nasi widzowie nie mają już swoich ulubionych teatrów, mają tylko ulubione przedstawienia. Dlaczego więc nasze teatry tak lekko godzą się na utratę autorytetu?"

Tylko twórcze poszukiwania wszystkich ludzi teatru zadecydują o odzyskaniu serc i myśli widzów.

Józef Spinc

SPOTKANIE W ZURYCHU

W dniach 24-27 września spotkali się w Zurychu redaktorzy ośmiu europejskich miesięczników literackich. Stephen Spender, K. A. Jeleński i Laurens van der Post reprezentowali *„Encounter"* (Anglia), Georges Bataille, Jean Piel ,Théodore Fraenkel — pismo *„Critique"* (Francja); Maurice Nadeau, Jean Duvignaud, Roland Barthes, Clara Malraux, Jean Jacques Mayoux — *„Les Lettres Nouvelles"* (Francja), Ignazio Silone, Nicola Chiaromonte i J.P. Samson — *„Tempo Presente"* (Włochy), Aleksander Czakowski, Iwan, Anissimow — *„Inostrannaja Litieratura"* (Związek Radziecki), Wadim Kożewnikow — *„Znamia"* (Związek Radziecki), Dusan Matič i Eli Finci — *„Kniževnost"* (Jugosławia), Jarosław Iwaszkiewicz, Anna Baranowska i Jerzy Lisowski — *„Twórczość"*.

Inicjatywa tego spotkania wyszła od redakcji miesięczników zachodnich, które zajęły się też jego stroną organizacyjną. Cel spotkania nie był z góry sprecyzowany ani też żaden porządek dzienny ustalony. Chodziło o nawiązanie kontaktów przede wszystkim osobistych, rozważenie istniejących być może możliwości wymiany materiałów między redakcjami, o próbę nawiązania — ponad granicami i przedziałami ideologicznymi — jakiegoś dialogu, który nie byłby jedynie zdawkową wymianą zdawkowych inwektyw, ale szczerą konfrontacją różnych wartości. Bardzo różnorodny charakter reprezentowanych czasopism bynajmniej zadania tego nie ułatwiał. Spośród ośmiu reprezentowanych jedynie cztery pisma (*„Les Lettres Nouvelles"*, *„Znamia"*, *„Kniżewnost"* i *„Twórczość"*) miały podobny profil, były pismami o zainteresowaniach przede wszystkim literackich. Zarówno *„Encounter"* jak i *„Tempo Presente"* są to pisma raczej społeczno-polityczne, zwrócone ku wszystkim aspektom życia współczesnego, bez specjalnego wyodrębniania zagadnień literackich. *„Inostrannaja Litieratura"* ma charakter zupełnie odrębny, tak samo zresztą jak *„Critique"*, naukowe, bardzo specjalistyczne pismo krytyczne. Oczywiście, ów różnorodny charakter reprezentowanych pism, choć zdecydowanie utrudniał samą techniczną stronę ewentualnej wymiany międzyredakcyjnej, nie stanowił jednak trudności zasadniczej. O wiele większą trudnością było znalezienie wspólnego języka pomiędzy redaktorami pism marksistowskich, komunistycznych a współpracownikami czasopism programowo-antykomunistycznych (jak np. *„Encounter"* i *„Tempo Presente"*). Już pierwsze dni obrad wykazały, że trudność ta nie tak łatwo zostanie przezwyciężona. Ani jedna, ani druga strona zresztą nie potrafiły — a czasami i nie chciały — wnieść do tych rozmów maksimum dobrej woli, wszyscy po trochu udawali, że są bądź naiwnymi dziećmi, bądź przygłuchymi na jedno ucho staruszkami. Niemniej jednak spotkanie dowiodło, że przy maksimum dobrej woli, przy maksimum wzajemnej uczciwości znalezienie takiego wspólnego języka jest rzeczą możliwą. Że pożyteczną, że wręcz konieczną, co do tego nie było najmniejszej różnicy zdań. I choćby spotkanie nie przyniosło innych wyników pozytywnych, to

sam fakt, że się odbyło — rzecz nie do pomyślenia jeszcze rok temu — stanowiłby o pozytywnym jego bilansie. Ale przecież poza oficjalnymi obradami — które często zmieniały się w oratorski turniej „drętwej mowy" — były jeszcze prywatne i półprywatne kontakty, wspólnie spożywane posiłki, długogodzinne rozmowy nad kuflem piwa czy butelką wina w zuryskich tawernach. Te właśnie prywatne i półprywatne rozmowy i pogawędki utwierdziły w nas przekonanie o pożyteczności tego rodzaju spotkań, o odnalezionej wreszcie szansie uczciwej, szczerej, nie klajstrującej bynajmniej istniejących między nami różnic, ale też podkreślającej wszystko, co może nas łączyć i zbliżać — dyskusji. Dlatego też wniosek przewodniczącego obrad, Ignazio Silone, aby podobne spotkanie urządzić znów w 1957 roku, zapraszając na nie inne jeszcze pisma europejskie, spotkał się z jednomyślnym poparciem zebranych.

jl.

KONGRES MURZYŃSKICH ARTYSTÓW

„Początkowo chodziło tylko o badania dotyczące wartości kultury murzyńskiej: poezji, muzyki, tańca, słowem wszelkich aspektów folkloru, który był nieraz inspiracją współczesnych artystów Zachodu. Taka debata byłaby nawet pasjonująca.

Niestety! Nimfy ozdabiające mury amfiteatru imienia Kartezjusza na Sorbonie nigdy jeszcze nie przewodziły takiemu rekwizytorium; Kongres Pisarzy i Artystów Murzyńskich przeobraził się od pierwszego dnia w zebranie polityczne i to ogromnie agresywne.

Rimbaud, Nietzsche, Hegel, Spengler, Kierkegaard, wszyscy wielcy myśliciele Zachodu byli wzywani na pomoc przez kongresistów (powieściopisarze, poeci i historycy murzyńscy sąsiadowali na ławkach kongresowych).

Najdziwniejszą jest rzeczą, że poważna i bezstronna Sorbona (można przecież oczekiwać tych zalet w oficjalnym miejscu) mogła otworzyć swe podwoje temu kongresowi czy raczej — wiecowi".

Taką oto wrogą, a nawet jadowitą wzmianką powitał pierwszy Kongres Pisarzy i Artystów Murzyńskich „*Le Figaro Littéraire*" z dnia 29 września (nr. 545). Znalazł się tu nawet, jak widzimy, atak na władze uniwersyteckie za to, że ugościły Kongres w swych dostojnych murach.

A przecież zagadnienia, poruszane podczas obrad, były niewątpliwie pasjonujące dla ludzi nauki. Pisarze i artyści murzyńscy dyskutowali nad wielkim problemem tradycji kulturalnej. Cywilizacja europejska działa niszcząco na wartości folklorystyczne stu przeszło narodów afrykańskich. Przynosi postęp w wielu dziedzinach — lecz równocześnie stanowi częściową zagładę tego, co ludy murzyńskie stworzyły własnego, oryginalnego i świeżego. W jakim więc kierunku mają zdążać intelektualiści afrykańscy, jaką drogę mają wskazywać masom?

Wybitny poeta murzyński piszący po francusku, Aimé Césaire, mówił w czasie obrad: „Sytuacja kulturalna w krajach kolonialnych jest tragiczna. Wszędzie, gdzie wdziera się kolonizacja, kultura rodzima zaczyna gasnąć. A na zgliszczach nie rodzi się kultura prawdziwa, lecz jakaś formacja niższego rzędu, skazana na marginesowość w stosunku do cywilizacji europejskiej, stanowiąca udział małej grupy, «elity», znajdującej się w warunkach sztucznych, pozbawionej ożywczego kontaktu z masami oraz życiem ludu; nie ma więc ona żadnych szans na to, by się rozwinąć w kulturę prawdziwą. W rezultacie tworzą się na dużych terytoriach strefy pustki kulturalnej albo perwersji kulturalnej czy niższych produktów kulturalnych". Co więc należy czynić? „Często ujmuje się ten problem w formę opcji, wyboru. Wyboru, którego trzeba dokonać pomiędzy tradycją autochtoniczną a cywilizacją europejską. Albo odrzucić cywilizację rodzimą jako dziecinną, nieadekwatną, prześcigniętą przez historię — albo, dla ocalenia rodzimego dziedzictwa kulturalnego, zabarykadować się przed cywilizacją europejską, odrzucić ją." Odpowiedź, jaką daje Aimé Césaire, wydaje się bardzo rozumna: „Zagadnienia te nie wyglądają tak prosto, by mówić o alternatywie... We wszystkich społeczeństwach istnieje pewna, zawsze dość chwiejna i zmienna, zmieniana przez każde pokolenie, równowaga między tym, co nowe, i tym, co stare... Wierzymy, że w rodzącej się kulturze afrykańskiej i przyszłych cywilizacjach

para-afrykańskich znajdą się elementy nowe. Lecz będzie tu także dużo elementów tradycyjnych. Myślę, że należy się oprzeć pokusie tworzenia *tabula rasa*. Nie sądzę, by przyszła kultura afrykańska oraz para-afrykańska mogły się przeciwstawić całkowicie i brutalnie — dawnej kulturze afrykańskiej". Za cenne wartości dawnej kultury afrykańskiej należy bowiem uznać np. rzeźbę murzyńską, oryginalne instytucje własności rodzimej i demokracji wioskowej etc.

Wiele uwagi poświęcił Kongres postulatom dotyczącym etnografii ludów kolorowych. Służyła ona nieraz (i służy w wielu wypadkach) uzasadnieniu tez kolonialistycznych o „rasowej niższości" ludów uciśnionych. „W XVIII wieku — stwierdza na Kongresie Emmanuel C. Paul — czcigodni i szanowani powszechnie pisarze hiszpańscy wyrażali wątpliwości dotyczące »esencji ludzkiej Indian«." Inni, bardziej przejęci nauką biblijną, mieli jednak sporo kłopotów z uzgodnieniem egzystencji tych autochtonów z danymi Genezy. Jeszcze nawet wielki Renan, który kiedyś wykładał w tym samym amfiteatrze im. Kartezjusza na Sorbonie, gdzie obradował Kongres, wierzył, iż Murzyni „to rasa przeznaczona do niewolniczej pracy", nietwórcza. Etnologia bywała jakimś uzupełnieniem biologii. Pojęcie cywilizacji identyfikowano z rasą antropologiczną. Obecnie zwyciężają coraz bardziej empirycznie stwierdzone teorie, dotyczące „pożyczek, zmian i modeli" cywilizacyjnych, funkcjonalności kultury, jej dyfuzji, rozmaitości i dynamizmu. Pracom tym patronuje także i aparat UNESCO. Warto dodać, że rewelacyjne wprost fakty przyniosły badania angielskich socjologów, dotyczące niezwykle ciekawych form „teatru magicznego" wśród ludności Złotego Wybrzeża.

Okazuje się więc, że sporo stronniczości i demagogii było w notatce „*Le Figaro Littéraire*" przypisującej Kongresowi Pisarzy i Artystów Murzyńskich znaczenie czysto „wiecowe". Wszechnica paryska miała poważne powody, by Kongresowi udzielić gościny. Uczestniczący w obradach rektor uniwersytetu w Haiti, dr Jean Preice-Mars, wyraził pogląd wielu poważnych badaczy, gdy stwierdzał, że „Kongres Pisarzy i Artystów Murzyńskich w roku 1956 oznacza prawdziwą ewolucję myśli murzyńskiej ku uświadomieniu sobie odpowiedzialności intelektualistów murzyńskich wobec swych własnych narodów... Współdziałanie czarnych z cywilizacją uniwersalną jest równoznaczne z wartościami, jakich dostarczą Murzyni we wszystkich dziedzinach nauki, literatury i sztuki". Warto podkreślić, że w pracach Kongresu brali udział pisarze i artyści różnych przekonań; sporo tu było pastorów i księży. Obok Haityjczyków (Preice-Marsa, Alexisa i wybitnego poety René Depestré'a) był tu mieszkaniec Gwinei, Camara Lay, pisarze z Kamerunu: Ferdynand Yono i Massip oraz Senegalczyk Alioune Diop. Wyspę Madagaskar reprezentował poeta Jacques Rabemanajara, którego poemat *Jedno słowo „Wyspa!", tylko jedno słowo!* ogłosił w *„Lettres Françaises"* — François Mauriac. Zjawisko, nawiasem mówiąc, godne uwagi: siedemdziesięcioletni wielki powieściopisarz katolicki, były naczelny publicysta dziennika *„Le Figaro"*, obecnie współpracownik wydawanego przez radykałów Mendes-France'a *„Expressu"*, konserwatysta z przekonań, jest jednak Mauriac uczciwym i bezkompromisowym wrogiem kolonializmu. Poemat Rabemanajary zaopatrzył w znamienny przypisek: „Literatura francuska może uznać za swoją własność owo wielkie wołanie, jakie z piersi Madagaskarczyka wydobywa miłość i ból. To należy także i do nas, to jest nam wspólne: język, którego się nauczył poeta malgaski, język, który nie istnieje poza propagowaną przez nas na całym świecie pasją: pasją wolności".

W przemówieniach niektórych uczestników Kongresu brzmiały pewne wpływy nowoczesnej myśli hinduskiej, a szczególnie filozofii Gandhiego. Jak wiadomo, wymiana intelektualna między Afryką a Indiami jest coraz ściślejsza. Lecz silniejsze jeszcze było tu oddziaływanie myśli francuskiej. Z okazji Kongresu miesięcznik *„L'Europe"* poświęcił numer wrześniowy — przypomnieniu wielkiego francuskiego myśliciela, biskupa Grégoire (1750—1831), który nazywał siebie „przyjacielem ludzi wszystkich kolorów" i który w czasie Rewolucji Francuskiej przeprowadził ustawę o przyznaniu czarnym wszelkich praw politycznych i zniesieniu handlu niewolnikami. 5 lutego 1794 Konwent Narodowy uchwa-

lił, wśród frenetycznych oklasków, dekret stanowiący, że „wszyscy ludzie, bez względu na kolor skóry, zamieszkali w koloniach są obywatelami francuskimi". Na pamiątkę tej uchwały pierwsza uroczysta sesja parlamentu indyjskiego, po uzyskaniu niepodległości — została umyślnie zwołana w dzień francuskiego święta narodowego: 14 lipca 1947 roku. Tej tradycji chciała być zapewne wierna Sorbona paryska oraz ludzie pióra, którzy — bez względu na swe przekonania — poparli obrady Kongresu Pisarzy i Artystów Murzyńskich. Ciekawą jest rzeczą, że także „*Le Monde*" zaznaczył swą sympatię dla Kongresu, zamieszczając gorący artykuł promurzyński Alioune'a Diopa pt. *Kongres czarnych ludzi kultury* (10. X. Nr 3643).

W.N.

ERENBURGA KARTKI Z PODRÓŻY

Wiosną br. Erenburg zwiedził Indie; literackim owocem tej podróży są *Wrażenia indyjskie*. W niewielkiej broszurce pisarz podzielił się swoimi wrażeniami i refleksjami, jak zwykle u autora *Odwilży* pełnymi błyskotliwych zestawień i efektownych uogólnień, szczególnie na temat sztuki i literatury.

Inne refleksje wzbudziły w nim ruiny Akropolu, inne sztuka starogrecka; między nią a życiem i twórczością współczesnej Grecji, współczesnej Europy leży przepaść wieków. Różnicę między oddziaływaniem sztuki helleńskiej a staroindyjskiej najmocniej odczuwa się na wystawach współczesnego malarstwa w Delhi, w sąsiadującym z Mahabalipuramą Madrasie: wiele elementów właściwych rzeźbom Siedmiu Pagód występuje w plastyce współczesnych Indii. Myśli Erenburga towarzyszy uogólnienie: „Wszystko, co w Europie stanowiłoby rażący kontrast, w Indiach wydaje się być zupełnie naturalne. Kraj ten żyje jednocześnie i przeszłością, i teraźniejszością i przyszłością".

Oglądanie cudownych tworów sztuki — 29 wykutych w skale świątyń Elloru, malowideł i fresków Adżanty — zrodziło w Erenburgu refleksje na temat rozwoju kultury i sztuki w ogóle. Zdaniem autora *Wrażeń indyjskich* z rzeczywiście zadziwiającym postępem ludzkości w ciągu ostatnich 15-tu wieków — przede wszystkim w dziedzinie nauki i życia społecznego — nie idzie w parze postęp w dziedzinie sztuki. „Wątpliwe — pisze ironicznie Erenburg — czy rzeźbiarz naszych czasów może powiedzieć, iż jego dzieła są postępem w porównaniu z Nike z Samotraki. Historię starożytną studiujemy, ale na sztuce antycznej uczymy się. Toteż dla rzeźbiarza nie ma — zdaje się — lepszej szkoły niż pieczary Elloru."

Czego może nauczyć się artysta od mistrzów starohinduskich? „Może paść zapytanie — ironizuje Erenburg — czy indyjskie rzeźby w Ellorze są realistyczne; przecież w naszych czasach tak chętnie mówi się o realizmie. Istniały jednak epoki, w których powstawały wspaniałe dzieła realistyczne, mimo że ich twórcy zastanawiali się nad bardzo wieloma sprawami, tylko nie nad tym, czy ich twory są realistyczne, czy nie. Byli realistami, ponieważ ich myśli i uczucia zawierały obraz świata, wśród którego żyli, a także dlatego, że wpatrzeni byli w ludzi, w góry, w drzewa, a nie w uświęcone kanony. Ależ oczywiście... starożytna rzeźba hinduska jest realistyczna, aczkolwiek pokazuje świat nie w detalach, szczególikach, ale w tej postaci zasadniczej, która jest wynikiem długich obserwacji i długich rozmyślań."

W przeciwieństwie do twórców europejskich artystów hinduskich bynajmniej nie przytłoczyło brzemię wielkiej sztuki przeszłości; nie zamierzają odizolować się od świata, odgrodzić od epoki. Ich sztuka jest i kontynuacją, i narodzinami; jest stopem tradycji i nowatorstwa.

Artyści hinduscy zrozumieli, że „wielka sztuka nie lęka się ani najbardziej zamierzchłych form, ani najśmielszych poszukiwań. Tym tłumaczą się ich pierwsze, ale bezsprzeczne sukcesy".

W hinduskiej sztuce i literaturze Erenburg podziwia głęboki humanizm, zespolenie zagadnień bytu z tajnikami duszy, stop poezji i filozofii, satyry i liryki. Analizując wpływ literatury starohinduskiej na twórczość współczesną, w szczególności na pisarstwo Rabindranatha Tagore (nb. poświęcone Tagoremu stronice broszurki Erenburga stanowią niewielki, uderzający wnikliwością i lapidarnością esej) — pisarz radziecki snuje refleksje na temat słabej

znajomości literatury obcej w Związku Radzieckim. Przecież literatura piękna — pisze Erenburg — zapoznaje z innymi narodami znacznie głębiej i wnikliwiej, niż mogą to uczynić dzieła naukowe. „Nasza znajomość literatury zagranicznej kończy się na słynnych autorach ubiegłego stulecia. (...) Posługując się przewodnikiem z czasów Balzaka trudno zorientować się w plątaninie ulic współczesnego Paryża, a więc także — znając tylko klasyków Francji, trudno pojąć wiele rzeczy dziejących się w tym kraju."

Tym bardziej dotyczy to odległej literatury nowych Indii. Erenburga irytuje brak przekładów z tej literatury. Ilekroć w rozmowach z pisarzami wychodziło na jaw, że wiele książek współczesnych autorów hinduskich nie jest znanych w ojczyźnie Erenburga, ogarniał go wstyd: „Kiedyż nareszcie nasze wydawnictwa domyślą się, że świat jest wielki i różnorodny?"

J. S.

BIBLIOTEKA POETÓW I INNE SERIE WYDAWNICZE

Na naszym rynku wydawniczym bywają przedsięwzięcia, których jedynym rezonansem jest powodzenie u publiczności. Należy do nich pomysł Państwowego Instytutu Wydawniczego, realizowany od jesieni 1955 r. w postaci Biblioteki Poetów.

W formacie zgrabnej szesnastki ukazało się w ciągu niespełna roku 11 tomików obejmujących wybory poezji Lermontowa, Petrarki, Michała Anioła, Ronsarda, Burnsa, Rimbauda, Mickiewicza, Słowackiego, Norwida (2) i Kasprowicza.

Oprawa zasługuje na oddzielne słówko pochwały, po pierwsze dlatego, że — projektowana przez Marka Rudnickiego — jest szykowna, gustowna i pełna umiaru, po wtóre, że kartonaż. Wiadomo, że chociaż, bardzo słusznie, wychodzi u nas mnóstwo książek w sztywnej oprawie, zarówno z literatury pięknej, jak i naukowej, to jednak nadużywa się nieodpowiednich płócien, tj. świecących, z gatunku kalika. Specjaliści od wydawnictw artystycznych u nas i na całym świecie unikają jednak opraw całopłóciennych, wiedząc, iż mają one sporo cech niepraktycznych: szybko się brudzą, z łatwością osiadają na nich ślady palców pracowników introligatorskich lub księgarskich oraz nabywców. Szczególnie groźne jest pod tym względem najlżejsze spocenie rąk i w ogóle wszelka wilgoć. Jedynie płótna matowe, specjalne, z materiału zwanego ekrudą, lub angielskie nadają się do opraw całopłóciennych. Znamy je z monografii Andrzeja Ryszkiewicza *Rodakowski*, z coraz liczniejszych zastosowań w wydawnictwach „Czytelnika" i „Sztuki", z popularnych tomów Biblioteki Narodowej i innych oficyn wydawniczych. Do dzieł grubych, zwłaszcza podręcznych, kwalifikują się najbardziej płótna samodziałowe, stosowane szeroko za granicą; płócien tych zwłaszcza używa w sposób klasyczny czechosłowackie wydawnictwo „Artia". Lecz i u nas — podkreślić należy z najżywszym uznaniem — wychodzić zaczynają coraz częściej książki wykończone tak dobrze pod względem drukarskim i introligatorskim, że mogą śmiało znieść porównanie z wydawnictwami zagranicznymi. Po pokazie na międzynarodowych targach księgarskich w Poznaniu śmiało można stwierdzić, że gdybyśmy rozporządzali surowcami dorównującymi szwajcarskiej farbie drukarskiej i francuskim, holenderskim czy czeskim gatunkom papieru, no i gdybyśmy tyle nie knocili w imię premiowania nadmiernego pośpiechu w „wykonawstwie" planów produkcyjnych, to wybilibyśmy się wysoko przede wszystkim na polu produkcji książki naukowej i ilustrowanej książki dziecięcej.

Nie charakteryzując bliżej większości naszych wydawnictw, pozostawiających jeszcze dużo do życzenia pod względem jakości druku i roboty introligatorskiej, wymieńmy jednak pozycję wzorowo wyprodukowaną w pierwszej połowie roku 1956: Marii Dąbrowskiej *Myśli o sprawach i ludziach*, z pomysłową obwolutą i w wyjątkowo udatnej oprawie całopłóciennej, projektowanej przez Jana S. Miklaszewskiego, w wykonaniu Domu Słowa Polskiego (wyd. „Czytelnik"). Jedyne zastrzeżenie dotyczy wewnętrznej karty tytułowej, która z zasady nie wymaga całostronicowej kliszy cynkowej, czyli odrębnej kompozycji graficznej, lecz wypada najwytworniej w zestawie z materiału drukarskiego. Za dużo rysuje się u nas jeszcze z ko-

nieczności tam, gdzie należałoby ograniczyć się wyłącznie do środków typograficznych. Niestety tłumaczy się to ubóstwem naszych drukarni w asortymencie zróżnicowanych krojów pisma ręcznego, jak i brakiem zaopatrzenia w czcionki jednolitych krojów w różnych stopniach.

Oprawy kartonowe zaczął u nas forsować po raz pierwszy po wojnie Rafał Glücksman, redaktor naczelny publikacji z zakresu wiedzy o sztuce w Państwowym Instytucie Wydawniczym (zobacz jego popisowego *Canaletta, malarza Warszawy*). Czy trzeba przypominać, że za granicą wychodzi znacznie więcej niż u nas książek w oprawach tekturowych, trwalszych od całopłóciennych, jeśli tylko zostały poprawnie zeszyte i — warunek nieodzowny — posiadają mocny grzbiet? Ukazuje się tam również o wiele więcej opraw półpłóciennych, na które zresztą i kaliko bardzo się nadaje.

Zdumiewające jest tempo wydawnicze Biblioteki Poetów. W dalszej kolejności zapowiadają tu: wybór wierszy Horacego, Shelleya, Heinego (liryki), Musseta, Baudelaire'a, Whitmana, Tiutczewa, Błoka, Jesienina, Słowackiego *(Godzina myśli, W Szwajcarii)*. W tej samej serii miała się pierwotnie ukazać nowa edycja *Beniowskiego* (która ma z tego powodu tę samą kolumnę drukarską, format i czcionkę), lecz słusznie wycofano ją stąd i dano poematowi Słowackiego inną oprawę, nieseryjną. Skoro bowiem linia edytorska Biblioteki Poetów obejmuje raczej reprezentacyjne wybory utworów poetyckich o charakterze antologicznym, to nie ma sensu włączać do niej tak obszernych poematów w całości. Tempo Biblioteki Poetów jest na razie większe od tempa serii nowszej poezji polskiej w „Czytelniku", który w ciągu półtora roku wydał wybory wierszy Czechowicza, Leśmiana i Ostrowskiej.

Fakt to dawno wypróbowany na rynku wydawniczym, że czytelnicy lubią wszelkie serie książkowe. Nic dziwnego, gdyż pozwalają one z góry orientować się w typie wydawnictw zamierzonych. Serie tworzą księgozbiory z wytyczoną linią przewodnią, zachęcają do kompletowania rzeczy ustalonego rodzaju, wypełniają określone założenia edytorskie, naukowe i artystyczne lub typograficzne. Superlatywy z tego powodu należą się również Bibliotece Klasyków Filozofii, jednemu z najciekawszych i najcenniejszych przedsięwzięć wydawniczych lat powojennych; doszła ona w ciągu 4 lat do 30 tomów starannie opracowanych oryginalnych tekstów polskich oraz niemal całkowicie nowych przekładów.

Każdy antykwariusz może coś powiedzieć o zaspokajaniu życzeń publiczności poszukującej poszczególnych tomów do kompletów. Pamiętam z własnej praktyki wielu interesantów uganiających się za miniaturową biblioteczką poetycką Gebethnera i Wolffa (około 30 tomów w półskórkowej oprawie), za biblioteką popularno-filozoficzną „Sympozjonu", która wychodziła przed pierwszą wojną światową pod redakcją Leopolda Staffa, czy za Mortkowiczowską biblioteką „Pod Znakiem Poetów", która ukazywała się w znikomej części nakładu — w oprawie.

Była i dawniej nieprzebrana ilość różnych serii wydawniczych. Niektóre, jak okazałe „Cuda Polski" (14 tomów do roku 1939), w typie wydawniczym i układzie graficznym — z wyjątkiem opraw artystycznych T. Rożankowskiego — kopiowano żywcem ze wzorów obcych. Ale były i kolekcje ambitne, bardziej oryginalne: Biblioteka Laureatów Nobla, Biblioteka Wiedzy, Mathesis Polska, Nauka i Sztuka, Biblioteka Boya, Biblioteka Dzieł Pedagogicznych, Biblioteka „Przemian" Książnicy-Atlasu i inne — z poważnymi dorobkami edytorskimi, literackimi, przekładowymi. Zapoczątkowana została seria tomów wierszy zebranych poetów Skamandra, wyd. J. Przeworskiego. Ukazywały się nie doceniane świetne biblioteki tekstów literackich, jak Biblioteka Pisarzów Polskich — Polskiej Akademii Umiejętności, Biblioteka Zapomnianych Poetów i Prozaików Polskich — Kasy im. Mianowskiego.

Prototypem Biblioteki Narodowej, jednej z najdłużej istniejących i najszczęśliwszej serii wydawniczej w dziejach książki polskiej, była Biblioteka Arcydzieł Polskich i Obcych Pisarzy F. Westa sprzed pierwszej wojny światowej. Mieliśmy mnóstwo bibliotek popularnych, wśród których rekordy poczytności biły Biblioteka „Mrówki", „Książeczki dla Wszystkich", Biblioteka Dzieł Wyborowych. Biblioteka Macierzy Polskiej, Wielka Biblioteka, Biblioteczka Uniwersytetów Ludowych (330

pozycji) itd. Były wydawnictwa poprzestające na celach komercyjnych i na niskim wręcz poziomie produkcji fabrycznej, jak Biblioteka Groszowa i Biblioteka Powszechna Zukerkandla (1200 zeszytów po „odznaczeniu złotym medalem na wielkiej wystawie krajowej w roku 1893"), ale takie istniały zawsze, poczynając od szesnastowiecznej produkcji jarmarcznej.

Nieporównanym przedsięwzięciem w XIX stuleciu był Wybór Celniejszych Pisarzów Polskich, finansowany przez ministra Mostowskiego we wczesnych latach 1803—5, w 27 tomach, wydanych w ciągu dwu i pół roku, na doskonałym papierze i z nie byle jakim kunsztem drukarskim. Epokę w dziejach książki polskiej w drugiej połowie XIX wieku stworzyła Biblioteka Najcelniejszych Utworów Literatury Europejskiej F. Lewentala, gdzie wyszło między innymi pierwsze wydanie zbiorowe poezji Andrzeja Morsztyna.

Za przykładem wcześniejszej Biblioteki Pisarzy Polskich Brockhausa i zleceń Żupańskiego w złotym wieku ilustracji polskiej nawet ozdobne wydania, ilustrowane przez naszych wybitnych drzeworytników, przez długie lata wykonywane były masowo (ze względu na złocenia) w Lipsku. Później wydawcy oprawiali zwyczajowo mniejszą część nakładów systemem chałupniczym, a zasadniczo wypuszczali na rynek książki w broszurze. Ujemną więc stroną dawnych serii wydawniczych było ich ukazywanie się w większej części w formie broszurowej. Sztywna, oryginalna oprawa wydawnicza należała w dwudziestoleciu międzywojennym raczej do rzadkości. Przyczyniała się do tego wysoka kalkulacja cen i brak nacisku ze strony bibliotek o gotowe oprawy. Dzisiejsze oprawy wydawnicze wykonywane są przede wszystkim z myślą o bibliotekach publicznych, które na pniu rozchwytują olbrzymie partie nakładów literatury o cechach popularyzatorskich.

Serie wydawnicze — to jednak typ książek tworzących także zręby bibliotek prywatnych i pobudzających do miłośnictwa książki w ogóle. Ich akcent graficzny jest rzeczą niezmiernie ważną.

Biblioteczki poetyckie nie miały u nas nigdy szerszego i długotrwałego powodzenia, nawet wtedy, kiedy wychodziły bardzo porządnie w „Ignisie" lub pod firmą F. Hoesicka. Wyjątkowo długo utrzymała się biblioteka „Pod Znakiem Poetów" (2 serie od roku 1910 do 1939), bo finansowały ją... inne wydawnictwa Mortkowicza. Dzisiaj nie ma obawy o o to, żeby dobry pomysł wydawniczy nie zwiększył jeszcze zapotrzebowania rynku księgarskiego, nawet gdy wyraża się ono już w wysokich nakładach (Petrarka i Norwid po 10 000 egzemplarzy!).

Białe tomiki Biblioteki Poetów wnoszą do tradycji książki polskiej, niezbyt pod znakiem pegaza bogatych, elementy nowe zarówno w treści, jak i formie. Pochwalmy ją tedy raz jeszcze z racji antologii poetyckich i ważnych przekładów, jakich nam dostarcza, a także za miłą szatę graficzną.

Antoni Trepiński

O BRONISŁAWIE KAMIŃSKIM

Po Paryżu najlepiej chodzić piechotą. Nie koleją podziemną, owym „metrem", zasłaniającym świat, przerzucającym pasażera z jednego krańca na drugi bardzo szybko — ale za cenę utraty wszelkich perspektyw. A szczególnie warto spacerować po Dzielnicy Łacińskiej; posuwać się na przykład wzdłuż bulwaru Saint-Germain, skręcać w dół, w kierunku Wyspy, prastarego ośrodka dawnej Lutecji, pogrążać się w gąszcz maleńskich uliczek, których każdy szczegół architektoniczny wzrusza nas niezafałszowanym bogactwem tradycji. Prawda: nawet w Paryżu są ludzie narzekający na barbarzyńskie niszczenie dawnego piękna. Krytyk artystyczny i teatralny, powieściopisarz i publicysta, George Pillement, wydał przed kilku laty książkę pod znamiennym tytułem: *Niszczenie Paryża (Destruction de Paris).* Nie brak tu rozdziałów wytykających niepotrzebne psucie dawnego typu ulic i niszczenie piękna w Dzielnicy Łacińskiej czy Saint-Germain. Lecz dla nas, przybyszów z Krainy Wiecznego Remontu — Paryż, a szczególnie stare jego centrum, wydaje się czymś czarownie zachowanym, tak niezmiennym, że i dziś jeszcze Villon nie zgubiłby się na drogiej sobie uliczce Huchette, w pobliżu Sekwany.

W tym właśnie ciaśniutkim i skromnym, ale zachwycającym kącie Paryża znajduje się drukarnia i wydawnictwo literackie, kierowane przez naszego ro-

daka, Bronisława Kamińskiego. Już sam adres może zachwycić miłośników staroparyskiej tradycji: 5 rue Git-Le-Coeur. Oczywiście, w Paryżu nikomu nie przychodzi do głowy zmieniać dawne, choćby najdziwaczniejsze, nazwy ulic. Wyśmianoby takiego członka Rady Miejskiej, który by, dla zadokumentowania swej aktywności, zaproponował przechrzczenie jakiejkolwiek ulicy, związanej emocjonalnie z życiem miasta. Dziś jeszcze można z egzemplarzem *Ojca Goriot* chodzić po ulicach, na których mieszkali bohaterowie Balzakowskiego arcydzieła.

Lecz wróćmy na uliczkę Git-Le-Coeur. Wchodzi się tu przez podwórze, gdzie huczą maszyny drukarskie, wre praca. Pytam o pana Bruno Durocher. „Zaraz przyjdzie!"

Istotnie zjawia się za chwilę, szczupły, młodziutko wyglądający, jak przed 10 laty, gdy z Polski wyjeżdżał. Bruno Durocher jest francuskim pseudonimem polskiego poety, Bronisława Kamińskiego. Autor wydanego w roku 1938 w Krakowie tomu poezji pt. *Pieśni barbarzyńcy*, przebył nieomal całą wojnę w obozie koncentracyjnym. Po wyzwoleniu znalazł się nad Sekwaną, wydał w Paryżu w roku 1947, nakładem Rady Narodowej Polaków we Francji, poemat *Paweł Wójcik* oraz *Bajki dla dzieci* i tom poetycki *Obraz człowieka*. Ale zatęsknił za krajem, powrócił, wioząc w teczce nie tylko wydane książki, ale i nowe rękopisy.

Niespodziewanie spakował jednak manatki — i powrócił nad Sekwanę. Można sobie wyobrazić, jak ciężkie było w początkowych miesiącach i latach życie Bronisława Kamińskiego na bruku paryskim — zapewne dosłownie na bruku — bez znajomości i protekcji, w środowisku, które bywa twarde i nieubłagane. Znam napisaną w pierwszych latach XX wieku jednoaktówkę Tadeusza Rittnera, *Sąsiadka*, której bohaterowie — dwaj polscy studenci — dosłownie umierają z głodu w małym paryskim hoteliku, podczas gdy za oknami jak najpiękniej uśmiecha się miasto. Ale Bronisław Kamiński miał widocznie zaciętość i energię, wolę walki i wytrwałość. Zaczyna pisać po francusku. Zakłada pismo poetyckie *„Planètes"*, koło którego potrafi skupić najwybitniejsze nazwiska; inny miesięcznik, poświęcony poezji współczesnej, wydawany w mniejszym formacie, *„Caractères"*, wytycza drogę aktywności bardziej jeszcze osobistej, indywidualnej; zakłada nadto Kamiński drukarnię i wydawnictwo, publikuje tu na przykład tom poezji innego pisarza polskiego, zamieszkałego od kilkunastu lat we Francji, Jana Brzękowskiego; ten tom, *Les Murs du Silence*, z ilustracjami Légera, zawiera najlepsze chyba wiersze, jakie zostały we Francji poświęcone Ruchowi Oporu. Wydawnictwo Bronisława Kamińskiego (czyli Bruno Durocher) wyróżnia się także przepięknymi edycjami bibliofilskimi. Ukazują się tu także prace z dziedziny krytyki artystycznej (np. Denys Chevaliera ciekawa książeczka o Valentine Prax, ze znakomitymi reprodukcjami). Ogółem wydano w tej poetycko-artystycznej oficynie ponad 100 wartościowych pozycji. Mam przed sobą dwa zeszyty pisma *„Planètes"* i jeden — miesięcznika *„Caractères"*. Na czele pierwszego zeszytu *„Planètes"* — notatki Pawła Valéry z lat 1909—1910. Brzmią one na pozór pesymistycznie — a świadczą w gruncie rzeczy o sile, o woli walki, o mądrości życiowej. Na przykład: „Istnieje tylko jeden sposób, by dać dziełu jedność: przerwać pracę — i potem powrócić." Albo: „Należy przekraczać swe talenty. Moje zdolności nie podobają mi się. To, co dla mnie łatwe, mierzi mnie, to, co trudne — wiedzie mnie naprzód". A wreszcie: „Klęska mnie zasmuca, ale zwycięstwo — niszczy".

Pismo *„Planètes"* gromadzi inne sławne nazwiska współczesnej Francji poetyckiej: Pierre Jean Jouve'a, Jules Supervielle'a, Pierre Emmanuela, Tristana Tzary, Jean Cassou. Są tu i przekłady wybitnych cudzoziemców, opatrzone (na końcu zeszytu) w notki informacyjne: Hiszpanów: Vicente Alexandre (ur. w Sewilli w roku 1900), Rafaela Santos Torroelli (ur. 1914), José Luis Cano (ur. 1912), Leopolda de Luis (ur. 1918), Juana Liscano (ur. 1915), Amerykanina Ezry Pounda, Peblo Nerudy, Portugalczyka Fernanda Pessoi (ur. 1888), poety żydowskiego M. Halperne'a (1880—1932), Kubańczyka Nicolasa Guillena (ur. 1902) i innych. Jak widać, pismo *„Planètes"* uznaje za jedno ze swych zadań utrzymywanie kontaktu z ruchem poetyckim za granicą, szczególnie w krajach cywilizacji iberyjskiej. (Szkoda tylko, że w piśmie Kamińskiego brak poezji

polskiej.) Jest wydawane na pięknym papierze ilustracyjnym, redagują je Alain Bousquet i Bruno Durocher.

Miesięcznik poetycki *„Caractères"* opublikował teksty około setki współczesnych poetów. Numer, który mam przed sobą, zawiera między innymi bardzo interesujący wiersz Pierre Albert Birota — *Réalisme;* jest to frenetyczna afirmacja wszystkiego, co pulsuje żywą krwią mocnego istnienia, przekonywającego nas o realności świata. Birot, poeta u nas mało znany, opublikował w wydawnictwie *„Caractères"* tom *Poèmes à l'autre moi* i otrzymał zań „Prix du Mandat des Poètes". Ciekawy jest poemat Bruno Durocher: *Mémoires du Dieu,* charakterystyczny dla pisma *„Caractères"* — podobnie jak aforyzmy poetyckie Teresy Aubray.

Bruno Durocher jest autorem sporej już ilość tomów francuskich (np. *Carrousel épouvantable, Morceau de terre, La forme du jour, La foire de Don Quichotte.* Właśnie w chwili, gdy piszę ten szkic informacyjny, otrzymuję z Paryża powieść Bruno Durocher, *Le visage,* i tom wierszy *A l'image de l'homme.* Działalność Kamińskiego jest więc na gruncie paryskim niezmiernie żywa. Warto z nią zaznajomić naszych czytelników w sposób może nieco dokładniejszy, niż mogłem to dzisiaj uczynić.

Budzi szacunek i uznanie siła, z jaką osiadły dziś na obczyźnie polski poeta potrafi przezwyciężać trudności, stając się sam ogniskiem interesującego i wartościowego działania.

Wojciech Natanson

LITERATURA PIĘKNA

Klasycy literatury polskiej

Fredro Aleksander — *PISMA WSZYSTKIE*. Wydanie krytyczne. Opracował Stanisław Pigoń. Wstępem poprzedził Kazimierz Wyka. Tom czwarty. *Komedie*. Seria pierwsza. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 422, 4 nl.

Klasycy literatury obcej

Galsworthy John — *NOWOCZESNA KOMEDIA*. *Milczące zaloty*. *Srebrna łyżka*. Tłumaczyła Krystyna Czerwijowska. Przekład przejrzany i poprawiony. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 313, 3 nl.

Gorki Maksym — *PISMA*. Wydanie w szesnastu tomach pod redakcją Tadeusza Zabłudowskiego. Słowo wstępne Leona Kruczkowskiego. Tom 9. *Artamonow i synowie*. *Sylwetki*. *Opowiadania i szkice*. 1925—1932. Tłumaczyli: Jerzy Brzęczkowski, Jadwiga Dmochowska, Zofia Kaczorowska, Stefan Klonowski, Seweryn Pollak, Lucjan Rudnicki, Stanisław Strumph-Wojtkiewicz. Okładkę i obwolutę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 636, 4 nl.

Szekspir Wiliam — *Król Lir*. Przełożyła Zofia Siwicka. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie II; str. 202, 2 nl. — *Romeo i Julia*. Przełożyła Zofia Siwicka. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 182, 2 nl.

Poezja

Bieszczadowski Mikołaj — *Inna muzyka*. Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował Krzysztof Dębowski. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 124, 2 nl.

Grochowiak Stanisław — *Ballada rycerska*. Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował Krzysztof Dębowski. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 79, 1 nl.

Piotrowski Andrzej — *Oczy śniegu*. Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował Krzysztof Dębowski. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 83, 1 nl.

Szczawiński Józef — *Pogoda*. Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował Krzysztof Dębowski. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 60.

Wyka Jan — *Pieśń o Saragossie*. Poemat. Rysunki Tadeusza Kulisiewicza. Opracowanie graficzne Włodzimierza Lewińskiego. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 134, 2 nl.

Proza

Broniewska Janina — *Biała plama*. Opowieść dokumentarna. Okładkę i stronę tytułową projektował Mirosław Pokora. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 451, 1 nl.

Czapek Karol — *Inwazja jaszczurów*. przełożyła Jadwiga Bułakowska. Posłowiem opatrzył Zdzisław Hierowski. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 310, 2 nl.

Dalecki Paweł — *Na wzgórzach Mandżurii*. Tom I i II. Tłumaczyli z rosyjskiego Tadeusz Jakubowicz i Jan Jerzyński. Obwolutę, okładkę i kartę tytułową projektowała Jadwiga Okońska. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; tom I str. 915, 1 nl; tom II str. 805, 3 nl.

Dąbrowska Maria — *Znaki życia*. Pięć opowiadań. Okładkę projektowała Ewa Frysztak-Lubelska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie V; str. 142, 2 nl.

Lessing Doris — *Mrowisko*. Przełożyła Agnieszka Glinczanka. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 509, 3 nl.

Parandowski Jan — *Godzina śródziemnomorska.* Rysunki Barbary Kusak. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 194, 2 nl.

Przygody lotnicze. Opracowanie literackie: Stanisław Strumph-Wojtkiewicz. Okładkę, stronę tytułową i ilustracje opracował Janusz Rocki. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 184, 4 nl.

Pytlakowski Jerzy — *Wierność.* Obwolutę i kartę tytułową projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 452, 4 nl.

Rombi Paride — *Piotr.* Przełożyła Barbara Sieroszewska. Okładkę projektowała Ewa Frysztak-Lubelska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 143, 1 nl.

Simonow K. — *Dnie i noce.* Tłumaczył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski. Obwolutę i okładkę projektował Włodzimierz Lewiński. Ilustracje: Ignacy Witz. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie IV; str. 372, 4 nl.

Stawiński Jerzy Stefan — *Godzina „W". Węgrzy. Kanał.* Okładkę i karty tytułowe projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 164, 4 nl.

Szmaglewska Seweryna — *Prosta droga Łukasza.* Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie II; str. 447, 1 nl.

Undset Sigrid — *Legenda o królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu.* Przekład Beaty Hłasko. Posłowie napisał Przemysław Mroczkowski. Książkę zdobiła M. Hiszpańska-Neumann. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 342, 2 nl.

Zegadłowicz Emil — *Uśmiech.* Kronika z zamierzchłej przeszłości. Posłowiem i komentarzami opatrzył Edward Kozikowski. Okładkę projektował Kazimierz Wojtanowicz. Kraków. Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 599, 3 nl.

Żukowski Jerzy — *Porachunek z cieniem.* Opowiadania. Okładkę projektował Stefan Rzepecki. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 140, 4 nl.

Żukrowski Wojciech — *Dom bez ścian.* Rysunki Aleksandra Kobzdeja. Okładkę projektował Mieczysław Wiśniewski. Rysunek na okładce Aleksandra Kobzdeja. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie III, str. 293, 3 nl.

— *Wybór opowiadań.* Ilustrował Adam Marczyński. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 609, 3 nl.

Wspomnienia

Rogowicz Wacław — *Warszawa wydarta niepamięci.* Ilustracje Antoniego Uniechowskiego. Okładkę według rysunku A. Uniechowskiego projektował Kazimierz Wojtanowicz. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 183, 3 nl.

Esej, krytyka

Hryniewiecki Bolesław — *Adam Mickiewicz a flora Litwy.* Okładkę projektowała Julitta Gadomska. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1956, wydanie I; str. 46, 2 nl.

Lichański Stefan — *Literatura i krytyka.* Okładkę projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 461, 3 nl.

Mikulski Tadeusz — *Ze studiów nad Oświeceniem.* Zagadnienia i fakty. Okładkę projektował Jan Zygmanowski, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 555, 1 nl.

Thomson George — *Aischylos i Ateny.* Studium nad społeczną genezą dramatu. Przełożył Antoni Dębnicki. Wszystkie cytaty z Aischylosa przełożył i opracował Stefan Srebrny. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 496.

Antologie

Polska literatura mieszczańska XVII wieku. Wybór tekstów. Opracowała Maria Hernasowa. Okładkę projektował Stanisław Andrzej Cyrano. Kartę tytułową: Zofia Czerwińska. Wrocław, Zakład imienia Ossolińskich, 1956, wydanie I; str. 224, 4 nl.

Felietony, reportaże

Broszkiewicz Jerzy — *Spotkania z muzyką.* Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 284, 4 nl.

Budrewicz Olgierd — *Sensacje na codzień.* Okładka i ilustracje: Jerzy Skarżyński. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 225, 3 nl.

Herdegen Leszek — *Zadania domowe.* Felietony i recenzje. Okładkę projektował Witold Skulicz. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 168, 4 nl.

Makuszyński Kornel — *Kartki z kalendarza.* Okładkę projektował Kazimierz Wojtanowicz. Fotografię wykonał R. Serafin. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 453, 3 nl.

Pigoń Stanisław — *W pracowni Aleksandra Fredry.* Okładkę projektowała Ewa Lubelska-Frysztak. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 338, 2 nl.

Słonimski Antoni — *Kroniki tygodniowe.* 1927—1939. Wyboru dokonał, wstępem i przypisami opatrzył Władysław Kopaliński. Okładkę projektował Andrzej Ciechomski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 627, 1 nl.

Satyra

Bystrzycka Zofia — *Zezem.* Ilustrował Karol Ferster. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 187, 5 nl.

Kern Ludwik Jerzy — *Do widzenia zwierzęta!* Ilustracje i okładka Daniela Mroza. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 90, 6 nl.

Swinarski Artur Marya — *Achilles i panny.* Komedia pozornie cyniczna w trzech aktach. Ilustrowała Maja Berezowska. Okładkę projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 137, 3 nl.

Sztaudynger Jan — *Krakowskie piórka.* Okładka, karta tytułowa i ilustracje: Janusz Bruchnalski. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 51, 9 nl.

— *Nowe piórka.* Ilustrowała Maja Berezowska. Okładkę i stronę tytułową projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 233, 3 nl.

Pamiętniki, biografie, listy, wspomnienia

Kordecki Augustyn — *Pamiętnik oblężenia Częstochowy. 1655 R.* Wstępem poprzedził Jan Tokarski. Londyn, „Veritas", 1956; str. 213, 1 nl.

Sienkiewicz Henryk — *Listy do Mścisława Godlewskiego* (1878—1904). Opracował, wstępem i komentarzem zaopatrzył Edward Kiernicki. Okładkę projektował Stanisław Andrzej Cyrano. Wrocław, Zakład imienia Ossolińskich, 1956, wydanie I; str. 290, 2 nl.

LITERATURA DLA MŁODZIEŻY

Albanow W. I. — *Zagubieni wśród lodów.* Przełożyła Zofia Łapicka. Okładkę projektował Janusz Stanny. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 83, 7 nl.

Centkiewiczowie Alina i Czesław — *Zdobywcy bieguna północnego.* Okładkę projektował Waldemar Swierzy. Ilustrował Roman Owidzki. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 246, 2 nl.

Cooper James Fenimore — *Ostatni Mohikanin.* Tom I i II. Przełożył Tadeusz Evert. Motta przełożył Włodzimierz Lewik. Rysunek na okładce St. Rozwadowskiego. Warszawa, „Iskry", 1956; tom I, str. 239, 1 nl; tom II str. 229, 1 nl.

Fast Howard — *Tomek i zaczarowana furtka.* Tłumaczył z angielskiego Józef Brodzki. Ilustracje i okładka Olgi Siemaszkowej. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 77, 3 nl.

Pilarz Franciszek — *Fajeczka stryja Bonifacego.* Przełożył W. Dostan. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Ilustracje Aliny Kruk. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 266, 2 nl.

Sabatini Rafael — *Kapitan Blood.* Przełożył Jerzy Pański. Ilustrował i okładkę projektował Janusz Grabiański, Warszawa, „Iskry", 1956; str. 290, 2 nl.

JĘZYKOZNAWSTWO

Kielski Bolesław — *Język francuski a polski.* Przyczynek do typologii języków. Wrocław, Zakład imienia Ossolińskich, 1956, wydanie I; str. 27, 1 nl.

SZTUKA

Teatr

Csato Edward — *Dwie strony rampy.* Okładkę i kartę tytułową projektowała Liliana Baczewska. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 352, 4 nl.

Pomianowski Jerzy — *Więcej kurażu!* Rysunki Anny Rembacz-Pomianowskiej. Okładkę projektował M. Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 250, 2 nl.

Szwankowski Eugeniusz — *Alojzy Żółkowski (Ojciec).* Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 79, 1 nl, 16 knl.

Teatra w Polsce. Indeks. Opracowali Eugeniusz Szwankowski i Wacław Zawadzki. Okładkę projektowała Ewa Lubelska-Frysztak. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 361, 3 nl.

Architektura, rzeźba, plastyka

Rocznik historii sztuki. Tom I. Komitet redakcyjny: Szczęsny Dettloff, Tadeusz Dobrowolski, Zdzisław Kępiński, Stanisław Lorentz, Kazimierz Michałowski, Wojciech Molé, Ksawery Piwocki, Juliusz Starzyński, Władysław Tatarkiewicz. Redaktor: Juliusz Starzyński. Wrocław, Zakład imienia Ossolińskich, 1956, wydanie I; str. 559, 1 nl.

Ł. 044531/26n
0384003

W najbliższych numerach ukażą się:

Zbigniew Bieńkowski

SAINT – EXUPÉRY

Lion Feuchtwanger

ODYSEUSZ I WIEPRZE

Rainer Maria Rilke

NOWE PRZEKŁADY

Andrzej Stawar

BIELIŃSKI

Krzysztof T. Toeplitz

FEDERICO FELLINI

Bohdan Wojdowski

POSZUKIWANIE

Cena zł 7.–